



LEE  
**CHILD**

JACK REACHER  
**Sprawa osobista**

Lee Child jest teraz moim NUMEREM 1 wśród autorów thrillerów

**KEN FOLLETT**

**LEE  
CHILD**

JACK REACHER  
**Sprawa osobista**

Z angielskiego przełożył

ANDRZEJ SZULC



Wydanie elektroniczne

*Dla Andrew Granta i Tashy Alexander,  
mojego brata i bratowej,  
wspaniałych pisarzy i wspaniałych ludzi*

# Jack Reacher: CV

**Imiona i nazwisko:**

Jack Reacher  
(drugiego imienia nie ma)

**Narodowość:**

Amerykańska

**Urodzony:**

29 października 1960 roku

**Charakterystyczne dane:**

195 cm; 99–110 kg;  
127 cm w klatce piersiowej

**Ubranie:**

Kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

**Wykształcenie:**

Szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych  
w Europie i na Dalekim Wschodzie; Akademia Wojskowa  
West Point

**Przebieg służby:**

13 lat w żandarmerii Armii Stanów Zjednoczonych;  
w 1990 zdegradowany z majora do kapitana, zwolniony  
do cywila w randze majora w 1997 roku

**Odznaczenia służbowe:****Wysokie:**

Srebrna Gwiazda, medal Departamentu Obrony za  
wzorową służbę, Legia Zasługi

**Ze środkowej półki:**

Soldier's Medal, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

**Matka:**

Josephine Moutier Reacher, ur. 1930 we Francji, zm.  
1990

**Ojciec:**

Żołnierz zawodowy, korpus piechoty morskiej, służył  
w Korei i Wietnamie, zm. 1988

**Brat:**

Joe, ur. 1958, zm. 1997; agent wywiadu Armii Stanów  
Zjednoczonych; pracownik Departamentu Skarbu

**Ostatni adres:**

Nieznany

**Czego nie ma:**

Prawa jazdy; prawa do zasiłku; zwrotu nadpłaconego  
podatku; dokumentu ze zdjęciem; osób na utrzymaniu

Osiem dni temu moje życie toczyło się utartym trybem. Zdarzały się w nim dobre rzeczy, zdarzały się i gorsze. Na ogół nie działo się nic specjalnego. Długie leniwe okresy bezczynności przerywane od czasu do czasu jakąś akcją. Zupełnie tak jak w wojsku. I to dzięki wojsku mnie znaleźli. Możesz rozstać się z armią, ale armia nie rozstaje się z tobą. Nie zawsze. I nie do końca.

Zaczęli szukać dwa dni po tym, jak jakiś facet strzelił do prezydenta Francji. Czytałem o tym w gazecie. Strzał z dużej odległości, z karabinu. W Paryżu. Ze mną nie miało to nic wspólnego. Byłem dziesięć tysięcy kilometrów dalej, w Kalifornii, z dziewczyną, którą poznałem w autobusie. Chciała spróbować swoich sił w aktorstwie. Ja nie. Więc po czterdziestu ośmiu godzinach spędzonych w LA ona poszła swoją drogą, a ja swoją. Pojechałem dalej autobusem, najpierw na parę dni do San Francisco, później do Portlandu, na kolejne trzy, a potem ruszyłem jeszcze dalej, do Seattle. I właśnie dlatego znalazłem się blisko Fort Lewis, w autobusie, z którego wysiadły dwie kobiety w mundurach. Na siedzeniu po drugiej stronie przejścia zostawiły egzemplarz „Army Times” z poprzedniego dnia.

„Army Times” to osobliwa stara gazeta. Zaczęto ją wydawać przed drugą wojną światową i nadal wychodzi regularnie co tydzień; zawiera nieaktualne już wiadomości i najprzeróżniejsze artykuły informacyjne, podobne do tego, którego nagłówek zobaczyłem: *Nowe przepisy! Zmiany odznak i insygniów. W perspektywie cztery kolejne zmiany kroju mundurów!* Powiadano, że wiadomości są u nich nieaktualne, bo zrzynają je ze starych biuletynów Associated Press, ale przy uważnej lekturze wyczuwało się czasami między wierszami prześmiewczy ton. Wstępniaki bywały nieraz dość odważne. Nekrologi — czasami ciekawe.

Dlatego właśnie sięgnąłem po tę gazetę. Niekiedy ktoś umiera i może ci to sprawić radość. Albo i nie. Tak czy owak, trzeba być na bieżąco. Nie było mi to jednak dane, bo przed działem nekrologów trafiłem na ogłoszenia osobiste. W których zawsze jeden weteran szuka innego weterana. Dziesiątki anonsów, wszystkie takie same.

Łącznie z tym, w którym figurowało moje nazwisko.

Dokładnie przede mną, pośrodku strony. Sześć wytłuszczonych słów, zamkniętych w ramce:

### **Jack Reacher zadzwoń do Ricka Shoemakera**

To musiała być robota Toma O’Daya. Przez co później poczułem się głupio. Nie żeby O’Day nie był łebskim facetem. Musiał być. Przetrwał bardzo długo. Naprawdę bardzo długo. Był na stanowisku od niepamiętnych czasów. Już przed dwudziestu laty wyglądał, jakby miał ich sto. Wysoki, chudy, wymizerowany, poruszający się tak, jakby w każdej chwili miał się rozsypać, niczym połamana drabina. Nikt nie wzięłby go za generała. Prędzej za profesora. Na przykład antropologii. Jego rozumowanie było z całą pewnością prawidłowe. *Reacher pozostaje poza zasięgiem radaru, a to oznacza autobusy, pociągi, poczekalnie i tanie knajpy, czyli — przypadkowo lub nie — naturalne środowisko wojskowych, którzy „Army Times” kupują w kantynach znacznie częściej niż jakiegokolwiek inne publikacje i po których można się spodziewać, że będą zostawiali za sobą tę gazetę, tak jak ptaki zostawiają ziarna z jagód.*

I mógł się spodziewać, że wezmę do ręki tę gazetę. Gdzieś. Wcześniej czy później. W końcu. Bo chciałem być na bieżąco. Możesz rozstać się z armią, ale armia nie rozstaje się z tobą. Nie do końca. Z tego, co wiedział i czego mógł się domyślić, zamieszczanie przez

dziesięć albo dwanaście tygodni anonsu w dziale ogłoszeń osobistych pozwalało mieć niewielką, lecz realną nadzieję na sukces.

Ale udało się już za pierwszym razem. Dzień po tym, jak gazeta trafiła do kiosków. Dlatego było mi później głupio.

Okazałem się przewidywalny.

Rick Shoemaker był podwładnym Toma O'Daya. W tym momencie pewnie jego zastępcą. Mogłem go oczywiście zignorować. Ale byłem mu winny przysługę. O czym O'Day naturalnie wiedział. Dlatego w ogłoszeniu umieścił nazwisko Shoemakera.

I dlatego musiałem na nie odpowiedzieć.

Przewidywalny aż do bólu.

•••

Kiedy wysiadłem z autobusu, w Seattle wcale nie padało. Było ciepło. I wszyscy byli jacyś naelektryzowani, w tym sensie, że wypijano tu olbrzymie ilości kawy, co sprawiło, że polubiłem to miasto, a także w tym sensie, że wszędzie było Wi-Fi oraz przenośne urządzenia elektroniczne, co trochę mnie zniechęciło i przez co trudno było znaleźć na rogach ulic staromodne automaty telefoniczne. Ale przy targu rybnym jeden się ostał, w związku z czym stanąłem w niosącej zapachy morza słonej bryzie i wybrałem bezpłatny numer do Pentagonu. Nie ten, który można znaleźć w książce telefonicznej, ale ten, który zapamiętałem dawno temu. Numer specjalnej linii, z którą można się połączyć wyłącznie w nagłych wypadkach. Nie zawsze ma się w kieszeni ćwierćdolarówkę.

Odezwiał się operator, powiedziałem, że chcę mówić z Shoemakerem, i przełączono mnie w jakies inne miejsce w tym samym budynku, w tym samym kraju albo gdzieś indziej na świecie, i po całej serii kliknięć, szumów oraz kilku minutach martwej ciszy usłyszałem jego głos.

— Tak? — zapytał.

— Mówi Jack Reacher.

— Gdzie jesteś?

— Nie macie najróżniejszych urządzeń, które by ci to powiedziały?

— Owszem — odparł. — Dzwonisz z Seattle, z automatu telefonicznego przy targu rybnym. Ale wolimy, kiedy ludzie sami przekazują informacje. Dzięki temu dalsza rozmowa jest łatwiejsza. Bo widać, że współpracują. Zaangażowali się.

— W co?

— W rozmowę.

— Czy my ze sobą rozmawiamy?

— Niekoniecznie. Co widzisz na wprost przed sobą?

Spojrzałem.

— Ulicę — odparłem.

— A po lewej stronie?

— Stragany z rybami.

— Po prawej?

— Kawiarnię po drugiej stronie ulicy.

— Jak się nazywa?

Powiedziałem mu.

— Idź tam i zaczekaj — rzucił.

— Na co?

— Jakies trzydzieści minut — powiedział i rozłączył się.

•••

Tak naprawdę nikt nie wie, dlaczego w Seattle przywiązują tak wielką wagę do kawy. Mają tu port, więc może logiczne było wypalanie jej tam, gdzie ją przywieziono, a potem sprzedawanie tam, gdzie ją wypalano, co stworzyło rynek i przyciągnęło innych producentów w taki sam sposób, w jaki wszyscy producenci aut wylądowali w Detroit. A może jest tutaj odpowiednia woda? Albo wysokość, temperatura czy wilgotność? Tak czy inaczej, faktem jest, że kawiarnie mają tutaj przy każdej przecznicy, a każdy poważny miłośnik kawy musi się liczyć z czterocyfrowymi wydatkami w skali rocznej. Lokal po drugiej stronie ulicy był typowy. Styl nadawały mu gołe cegły, rdzawoczerwona farba i popękane drewno, a na tablicy z wypisanym kredą menu było dziewięćdziesiąt procent rzeczy, które wcale nie pasowały do kawy, jak na przykład różnego rodzaju i podawany w różnej temperaturze nabiał, dziwne syropy smakowe na bazie orzechów oraz wiele innych substancji zanieczyszczających środowisko. Zamówiłem zwykłą czarną, bez cukru, w średniej wielkości kubku na wynos, nie w ogromnym cebrze rozmiaru *grande*, lubianym przez niektórych. Wziąłem do tego kawałek ciasta cytrynowego i usiadłem sam na twardym drewnianym krześle przy dwuosobowym stoliku.

Ciasto zajęło mi pięć minut, kawa kolejne pięć, a osiemnaście minut później pojawił się facet od Shoemakera. Co oznaczało, że jest z marynarki wojennej, bo dwadzieścia osiem minut było całkiem niezłym wynikiem, a marynarka stacjonuje w samym Seattle. No i przyjechał granatowym samochodem. To był zwykły krajowy sedan, nieszczerólnie atrakcyjny, ale wypucowany na glans. Facet był bliższy czterdziestki niż dwudziestki i twardy jak gnat. Miał na sobie cywilne ciuchy. Granatową marynarkę, niebieską koszulkę polo i spodnie w kolorze khaki. Marynarka była znoszona, a koszulka i spodnie wyprane chyba tysiąc razy. Prawdopodobnie starszy bosman sztabowy. Z sił specjalnych, prawie na pewno SEALs, bez wątpienia biorący udział w jakiejś tajnej operacji nadzorowanej przez Toma O'Daya.

Wszedł do kawiarni, lustrując kamiennym spojrzeniem wszystkich obecnych, zupełnie jakby miał jedną piątą sekundy, żeby przed rozpoczęciem ostrzału zdecydować, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Informacje, jakie otrzymał, musiały być podstawowe i zwięzłe, zaczerpnięte ze starych akt osobowych, ale wystarczyło *wzrost metr dziewięćdziesiąt pięć, waga sto dziesięć kilo*. Wszystkie inne osoby w kawiarni pochodziły z Azji, były w większości płci żeńskiej i drobnej postury. Podeszedł prosto do mnie.

— Major Reacher? — zapytał.

— Już nie.

— W takim razie pan Reacher?

— Tak — odparłem.

— Generał Shoemaker prosi, by pan się ze mną udał.

— Dokąd?

— Niedaleko.

— Ile gwiazdek?

— Nie rozumiem, proszę pana.

— Ma generał Shoemaker?

— Jedną, proszę pana. Generał brygady Richard Shoemaker, proszę pana.

— Kiedy?

— Co kiedy, proszę pana?

— Dostał awans?

— Dwa lata temu.

— Czy wydaje się to panu równie niezwykle jak mnie?

Facet przez chwilę milczał.

— Nie mam na ten temat zdania, proszę pana.

— A jak się miewa generał O'Day?

Znowu przez chwilę milczał.

— Nie znam nikogo o takim nazwisku, proszę pana — odpowiedział w końcu.

•••

Granatowym samochodem okazał się chevrolet impala z policyjnymi deklami i tapicerowanymi siedzeniami. Najświeższą rzeczą na nim była pasta polerska. Facet w granatowej marynarce kluczył ze mną przez chwilę śródmiejskimi uliczkami, a potem pojechał międzystanową I-5 na południe. Tą samą trasą, którą pokonał wcześniej autobus. Minęliśmy ponownie Boeing Field, potem lotnisko Sea-Tac i jechaliśmy dalej w kierunku Tacomy. Facet w marynarce nic nie mówił. Ja też. Siedzieliśmy tam bez słowa, zupełnie jakbyśmy brali udział w zawodach, kto dłużej się nie odezwie, i bardzo nam zależało na wygranej. Wyglądałem przez okno. Wszystko było zielone: wzgórze, morze i drzewa.

Minęliśmy Tacomę i zwolniliśmy w miejscu, gdzie kobiety w mundurach wysiadły z autobusu, zostawiając w nim swój egzemplarz „Army Times”. Wybraliśmy ten sam zjazd. Drogowskazy informowały, że mamy przed sobą wyłącznie trzy bardzo małe miasteczka i jedną bardzo dużą bazę wojskową. Istniało więc spore prawdopodobieństwo, że zmierzamy do Fort Lewis. Okazało się jednak, że niezupełnie. To znaczy formalnie rzecz biorąc, właśnie tam zmierzaliśmy, ale dawniej byśmy tak nie powiedzieli. Zmierzaliśmy do czegoś, co kiedyś nazywało się Bazą Sił Powietrznych McChord, a teraz było połówką Połączonej Bazy Lewis-McChord. Reformy. Politycy zrobią wszystko, żeby zaoszczędzić parę dolców.

Spodziewałem się pewnych korowodów przy bramie, bo z bazy korzystały wspólnie siły lądowe i powietrzne, samochód i kierowca należeli do marynarki, a ja byłem w ogóle nikim. Brakowało tylko piechoty morskiej i Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ale władza O'Daya była taka, że musieliśmy tylko lekko zwolnić. Wjechaliśmy do środka, skręciliśmy ostro najpierw w lewo, potem w prawo, przemknęliśmy przez drugą bramę i nagle znaleźliśmy się na płycie lotniska, malutcy niczym polna myszka w porównaniu z olbrzymimi transportowymi C-17. Przejechaliśmy pod ogromnym szarym skrzydłem i prując po czarnym asfalcie, skierowaliśmy się tam, gdzie na płycie stał samotny biały samolot. Firmowy odrzutowiec. Lear, gulfstream czy co tam dzisiaj kupują bogacze. Biała farba lśniła w słońcu. Poza numerem na ogonie nie było na nim w ogóle napisów. Żadnej nazwy, żadnego logo. Silniki pracowały na wolnych obrotach, trap był spuszczone.

Facet w granatowej marynarce zatoczył precyzyjny łuk i zatrzymał się tak, że drzwi impali od mojej strony dzielił niespełna metr od najniższego schodka trapu. Co uznałem za wskazówkę. Wsiadłem i przystanąłem na chwilę na słońcu. Rozkwitła wiosna i pogoda była przyjemna. Samochód, który mnie przywiózł, odjechał, a nade mną w owalnych drzwiach kabiny pojawił się steward. Miał na sobie mundur.

— Proszę pana na górę — powiedział.

Schodki ugięły się nieco pod moim ciężarem. Wspiąłem się po nich i pochyłony wszedłem do kabiny. Steward odsunął się na prawo, a po lewej z kokpitu wychylił się kolejny facet w mundurze.

— Witamy pana na pokładzie — oświadczył. — Ma pan dziś do dyspozycji całą załogę i dostarczymy tam pana bez zbędnej zwłoki.

— „Tam”, czyli dokąd? — zapytałem.

— Do celu. — Facet usiadł w fotelu obok drugiego pilota i obaj zabrali się do sprawdzania przyrządów. Ja ruszyłem za stewardem i znalazłem się w kabinie, w której



dominowały karmelowa skóra i orzechowy fornir. Byłem jedynym pasażerem. Wybrałem pierwszy lepszy fotel. Steward wciągnął trap, zamknął drzwi i siadł na składanym fotelu za plecami pilotów. Trzydzieści sekund później byliśmy w powietrzu i pięliśmy się ostro do góry.

Domyślałem się, że po starcie z McChord skręciliśmy na wschód. Nie mieliśmy zresztą wielkiego wyboru. Na zachodzie była Rosja, Japonia i Chiny i wątpiłem, by tak mały samolot miał tak duży zasięg. Zapytałem stewarda, dokąd lecimy, na co odparł, że nie widział naszego planu lotu. Gówno prawda. Nie cisnąłem go jednak. Jeśli chodzi o inne tematy, okazał się całkiem rozmowny. Poinformował mnie, że samolot to gulfstream IV, który w wyniku postępowania federalnego skonfiskowano nieuczciwemu funduszowi hedgingowemu i przydzielono siłom powietrznym do transportu VIP-ów. Jeżeli tak, to VIP-y sił powietrznych miały nie lada szczęście. Samolot był super. Cichy i solidny, z niesamowitymi fotelami. Rozkładały się w dowolny sposób. A w kąciaku kuchennym była kawa. Z prawdziwego ekspresu. Powiedziałem facetowi, żeby go nie wyłączał i że sam będę brał dolewki. Docenił to. Potraktował chyba jako oznakę szacunku. Tak naprawdę nie był oczywiście stewardem. Był kimś w rodzaju ochroniarza, przydzielonym do eskorty, dość twardym, by podołać swoim obowiązkom, i dumnym, że to rozumiem.

Patrzyłem przez okno, przyglądając się najpierw Górcom Skalistym, które nisko na dole porośnięte były ciemnozielonymi drzewami, a wysoko na górze pokryte oślepiającym śniegiem. Potem pojawiła się szachownica brązowych pól uprawnych, bez końca zaorywanych, obsiewanych i koszonych, i z rzadka pokrapianych deszczem. Po ukształtowaniu terenu poznałem, że zahaczyliśmy o koniuszek Dakoty Południowej, i zanim znaleźliśmy się nad Iowa, zobaczyłem kawałek Nebraski. Co ze względu na geometryczne zawiłości lotów na dużych wysokościach oznaczało, że zmierzamy raczej na południe. Trasą koła wielkiego. Wyglądając dziwnie na płaskiej papierowej mapie, ale pasującą jak ulał do kulistej planety. Zmierzaliśmy do Kentucky, Tennessee albo Karoliny Północnej lub Południowej. Może nawet do Georgii.

Mijały kolejne godziny, wypilem dwa dzbanki kawy i w końcu ziemia zaczęła się przybliżać. Z początku wydawało mi się, że to Wirginia, ale potem zdałem sobie sprawę, że jesteśmy w Karolinie Północnej. Zobaczyłem dwa miasta, które wyglądały na Winston-Salem i Greensboro. Pojawiły się po lewej stronie i zostały w tyle. Co oznaczało, że lecimy na południowy wschód. Żadnych większych miast aż do Fayetteville. Lecz tuż wcześniej jest Fort Bragg. Czyli miejsce, gdzie mieści się dowództwo sił specjalnych. Naturalne środowisko O'Daya.

Kolejny błąd. A właściwie trafna odpowiedź, ale tylko jeśli chodzi o nazwę. Wylądowaliśmy w wieczornym mroku w miejscu, które było kiedyś Bazą Sił Powietrznych Pope, ale później zostało przekazane siłom lądowym. Teraz było to po prostu Pope Field, położone w samym rogu o wiele większego Fort Bragg. Reformy. Politycy zrobią wszystko, żeby zaoszczędzić parę dolców.

Kołowaliśmy dość długo, malutcy na płycie mogącej pomieścić całe lotnicze eskadry. W końcu stanęliśmy przy niewielkim budynku administracyjnym. Zobaczyłem tabliczkę z napisem *47. Jednostka Logistyki, Dowództwo Wsparcia Taktycznego*. Pilot wyłączył silniki, a steward otworzył drzwi i opuścił trap.

— Które drzwi? — zapytałem.

— Czerwone.

Zbiegłem na dół i ruszyłem po ciemku przed siebie. Były tylko jedne czerwone drzwi. Otworzyły się, kiedy dzieliły mnie od nich dwa metry. Wyszła przez nie młoda kobieta w czarnym zakiecie i spódnicy. Ciemne rajstopy. Porządne buty. Bardzo młoda kobieta. Na

pewno nie przekroczyła trzydziestki. Miała blond włosy, zielone oczy i twarz w kształcie serca. Na której widniał szeroki powitalny uśmiech.

— Jestem Casey Nice — powiedziała.

— Casey i jak dalej?

— Nice.

— Jack Reacher.

— Wiem. Pracuję w Departamencie Stanu.

— W Waszyngtonie?

— Nie, tutaj.

Co było nawet logiczne. Siły specjalne są zbrojnym ramieniem CIA, ta faktycznym ramieniem Departamentu Stanu, a pewne decyzje wymagają udziału wszystkich zainteresowanych stron. Stąd obecność Casey Nice w bazie, pomimo młodego wieku. Może była strategicznym geniuszem. Kimś w rodzaju cudownego dziecka.

— Jest tutaj Shoemaker? — zapytałem.

— Wejźmy do środka — powiedziała.

Zaprowadziła mnie do małego pokoiku z szybą ze zbrojonego szkła. W środku były trzy fotele, każdy z innego kompletu, wszystkie trochę żalodne i opuszczone.

— Usiądźmy — zaproponowała.

— Po co tu przyleciałem?

— Najpierw musi pan zdać sobie sprawę, że wszystko, co pan od tej chwili usłyszysz, jest ściśle tajne. Za ujawnienie tych informacji grozi poważna kara.

— Dlaczego chce mi pani zdradzić tajne informacje? Widzi mnie pani po raz pierwszy w życiu. Nic pani o mnie nie wie.

— Puszczono w obieg pańskie dossier. Ma pan certyfikat bezpieczeństwa. Nie został nigdy uchylony. Wciąż pana obowiązuje.

— Czy wolno mi wstać i odejść?

— Wolałabym, żeby pan został.

— Dlaczego?

— Chcemy z panem porozmawiać.

— Departament Stanu?

— Akceptuje pan to, co powiedziałam o ściśle tajnych informacjach?

Pokiwałem głową.

— Czego chce ode mnie Departament Stanu?

— Mamy pewne zobowiązania.

— To znaczy?

— Ktoś oddał strzał do prezydenta Francji.

— W Paryżu.

— Francuzi zaapelowali o międzynarodową współpracę. W celu odnalezienia sprawcy.

— To nie byłem ja. Byłem w LA.

— Wiemy, że to nie pan. Nie ma pana na liście.

— Jest jakaś lista?

Zamiast odpowiedzieć, wsunęła dłoń między żakiet i bluzkę, wyciągnęła stamtąd złożoną kartkę i mi podała. Papier ogrzał się od jej ciała i lekko wygiął. Ale nie było na nim listy. To był skrócony raport z naszej ambasady w Paryżu. Najprawdopodobniej od szefa komórki CIA. Najważniejsze fakty.

Odległość, z jakiej oddano strzał, była wyjątkowa. Ustalono, że kryjówka snajpera znajdowała się na balkonie apartamentu oddalonego o tysiąc trzysta metrów od miejsca zamachu.

Prezydent Francji stał na ustawionym na ulicy podium, osłonięty po bokach taflami grubego kuloodpornego szkła. Jakiś nowy, ulepszony materiał. Z wyjątkiem samego prezydenta nikt nie widział strzału. On sam zobaczył niewiarygodnie odległy, niewielki płomień wylotowy, wysoko i daleko po swojej lewej stronie, a następnie, po ponad trzech długich sekundach, na szybie pojawiła się mała biała gwiazdka, zupełnie jakby siadł na niej blady owad. Długi, bardzo długi strzał. Ale szyba wytrzymała, a odgłos uderzającego w nią pocisku spowodował natychmiastową reakcję i na prezydenta skoczył tłum ochroniarzy. Później odnaleziono wystarczająco dużo fragmentów, by ustalić, że był to przeciwpancerny pocisk kalibru .50.

— Nie ma mnie na liście, bo nie jestem aż tak dobry — powiedziałem. — Tysiąc trzysta metrów to ogromna odległość, jeśli mierzy się do celu wielkości głowy. Pocisk jest w powietrzu przez całe trzy sekundy. To tak, jakby puszczało się kamyk do bardzo głębokiej studni.

Casey Nice pokiwała głową.

— Lista jest bardzo krótka — oznajmiła. — Dlatego Francuzi są zaniepokojeni.

Nie zaniepokoił się od razu. To było jasne. Według zbiorczego raportu przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny byli dumni z tego, że zabezpieczyli się na tak dużą odległość i mają takie znakomite kuloodporne szyby. Ale potem dotarła do nich rzeczywistość i zaczęli wydzwaniać po całym świecie. Kto zna tak dobrego snajpera?

— Gówna prawda — powiedziałem.

— W której części? — zapytała Nice.

— Nie obchodzą was Francuzi. Nie aż tak bardzo. Być może wydalibyście stosowne pomruki i kazalibyście stażystom coś odpisać. Ale ta historia wylądowała na biurku Toma O'Daya. Co najmniej na pięć sekund. Co oznacza, że jest ważna. A potem, dwadzieścia osiem minut po moim telefonie, zameldował się po mnie komandos z SEALs i przewieźliście mnie przez kontynent prywatnym odrzutowcem. Jest oczywiste, że zarówno komandos, jak i odrzutowiec byli w pogotowiu, ale jest tak samo oczywiste, że nie mieliście pojęcia, gdzie jestem i kiedy zadzwonię, więc musieliście mieć w pogotowiu całą masę komandosów i całą masę odrzutowców, tu, tam i gdzie indziej, w całym kraju, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na wszelki wypadek. A skoro chodziło wam o mnie, chodzi wam z pewnością i o innych. Zabezpieczacie się na wszystkie strony.

— Sytuacja bardzo by się skomplikowała, gdyby okazało się, że snajper jest Amerykaninem.

— Dlaczego miałby nim być?

— Mamy nadzieję, że nie jest.

— Co takiego mogę dla was zrobić, co warte jest prywatnego odrzutowca?

W jej kieszeni zadzwonił telefon. Odebrała go, przez chwilę słuchała i schowała.

— Wyjaśni to panu generał O'Day — powiedziała. — Jest gotów się z panem spotkać.

Casey Nice zaprowadziła mnie do gabinetu piętro wyżej. Budynek był wysłużony, a jego wyposażenie sprawiało wrażenie tymczasowego. I, moim zdaniem, takie właśnie było. Facet pokroju O'Daya stale się przemieszczał. Miesiąc tutaj, miesiąc tam, w anonimowych koszarach opatrzonych nic nieznaczącymi tabliczkami w rodzaju *47. Jednostka Logistyki, Dowództwo Wsparcia Taktycznego*. Na wypadek gdyby ktoś obserwował. Albo dlatego, że ktoś obserwował, jak powiedziałby on sam. Ktoś zawsze obserwował. O'Day przetrwał bardzo długo.

Siedział za biurkiem, a Shoemaker z boku, na krześle, jak powinien każdy dobry zastępca. Shoemaker postarzał się o dwadzieścia lat, czego należało się spodziewać, bo minęło dwadzieścia lat, odkąd go ostatnio widziałem. Przybrał na wadze, a jego żółtawe włosy zrobiły się żółtawo-szare. Miał rumianą nalaną twarz i był ubrany w polowy mundur z wyeksponowaną dumnie gwiazdą.

O'Day w ogóle się nie postarzał. Nadal wyglądał, jakby miał sto lat. Nosił to samo co zawsze, czyli spłowiałą czarną marynarkę, a pod nią sweter z wycięciem w serek, również czarny i tyle razy cerowany, że więcej było na nim cer niż swetra. W związku z czym uznałem, że pani O'Day nadal żyje i ma się dobrze. Nie wyobrażałem sobie, by ktoś inny naprawiał mu odzież.

Kłapnął swoją wystającą siwą szczęką i wbił we mnie schowane pod krzaczastymi brwiami nieruchome oczy.

— Dobrze cię znowu widzieć, Reacher — powiedział.

— Ma pan szczęście, że nie miałem akurat innego ważnego spotkania. Mógłbym złożyć skargę — odparłem.

Nie odpowiedział. Usiadłem na metalowym krześle, pożyczonym, jak się domyślałem, od marynarki. Casey Nice usiadła na podobnym krześle obok mnie.

— Powiedziała ci, że wszystko jest ściśle tajne? — zapytał O'Day.

— Tak — odrzekłem i siedząca obok mnie Casey Nice energicznie pokiwała głową, jakby chciała zdecydowanie potwierdzić, że wykonała co do joty jego rozkazy. O'Day działał tak na ludzi.

— Widziałeś zbiorczy raport? — zapytał mnie.

— Tak — powiedziałem i Casey Nice ponownie pokiwała głową.

— Jakie jest twoje zdanie?

— Uważam, że facet jest dobrym strzelcem.

— Ja też tak uważam — rzekł O'Day. — Musi być dobrym strzelcem, żeby dać gwarancję, że trafi jednym pociskiem z tysiąca trzystu metrów.

To było dla niego typowe. Na studiach nazywali to metodą sokratejską. Rozważenie wszystkich za i przeciw, dzięki czemu można będzie dojść do wniosków podzielanych bez zastrzeżeń przez wszystkich rozumnych ludzi.

— Nie gwarantował trafienia jednym pociskiem — sprostowałem. — Gwarantował trafienie dwoma. Pierwszy miał rozbić szkło. Drugi miał zabić faceta. Pierwszy pocisk od początku miał się rozprysnąć. Albo w najlepszym razie zmienić kierunek. Gdyby szyba pękła, snajper był gotów strzelić ponownie. Decyzję trzeba było podjąć w ułamku sekundy. Oddać kolejny strzał czy się zwijać? Robi wrażenie. Czy to był pocisk przeciwpancerny?

O'Day pokiwał głową.

— Zbadali fragmenty chromatografem gazowym — mruknął w odpowiedzi.

— Czy mamy takie szyby, żeby chronić naszego prezydenta?

— Będziemy mieli jutro.  
— To był kaliber pięćdziesiąt?  
— Waga tego, co udało się zebrać, wskazuje, że to całkiem prawdopodobne.  
— Robi jeszcze większe wrażenie. To wielka paskudna rusznica.  
— Z której, jak wiadomo, można trafić z odległości półtora kilometra. I raz z odległości dwóch i pół kilometra trafiono w Afganistanie. Więc może tysiąc trzysta metrów to nie jest aż taki wielki wyczyn.

Metoda sokratejska.

— Moim zdaniem trafienie dwa razy z tysiąca trzystu metrów jest trudniejsze niż trafienie raz z odległości półtora kilometra albo nawet większej — powiedziałem. — Chodzi przede wszystkim o powtarzalność. Moim zdaniem facet ma talent.

— Moim też — przyznał O'Day. — Uważasz, że gdzieś służył?

— Oczywiście. Inaczej nigdy by się tak nie podzkoilił.

— Sądzisz, że nadal gdzieś służy?

— Nie. Nie miałby takiej swobody ruchów.

— Zgadza się.

— Jesteśmy pewni, że oferuje swoje usługi? — zapytałem.

— Jakie jest prawdopodobieństwo, że obywatel, który ma o coś do kogoś żal, był kiedyś światowej klasy snajperem? O wiele bardziej prawdopodobne wydaje się, że obywatel, który ma o coś żal, jest gotów zapłacić za wykonanie usługi. Być może mała grupa obywateli mających o coś żal. Innymi słowy, frakcja. Co podwyższyłoby oferowaną sumę.

— Dlaczego tak się tym przejmujemy? Celem był Francuz.

— Pocisk był amerykański.

— Skąd o tym wiemy?

— Chromatograf gazowy. Przed kilku laty uzgodniono pewne rzeczy. Raczej tego nie nagłaśniano. Właściwie w ogóle nie nagłaśniano. Każdy producent wytwarza stop o innym składzie. Różnice są niewielkie, ale wystarczające. To coś jak podpis.

— W wielu miejscach na świecie zaopatrują się u Amerykanów.

— Ten facet dopiero teraz pojawił się na scenie, Reacher. Nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia z takim profilem. To jego pierwsza robota. Wyrabia sobie nazwisko. I ma cholernie trudne zadanie. Musi trafić dwa razy, i to szybko, z rusznicy kalibru pięćdziesiąt, z odległości tysiąca trzystu metrów. Jeśli mu się uda, do końca życia będzie w pierwszej lidze. Jeśli chybi, spadnie do czwartej. To zbyt wielkie ryzyko. Stawka jest zbyt wysoka. Ale on i tak staje w szranki. Co oznacza, że wie, że trafi. Musi wiedzieć. Na pewno, dwa razy z tysiąca trzystu metrów, bez cienia wątpliwości. Ilu jest takich dobrych snajperów?

To było bardzo trafne pytanie.

— Szczerze? — spytałem. — U nas? Takich dobrych? Moim zdaniem w każdym pokoleniu będziemy mieli szczęście, jeśli znajdzie się takich dwóch w piechocie morskiej, dwóch w siłach lądowych i jeden w SEALs. Łącznie nie więcej niż pięciu służących w wojsku w każdym danym momencie.

— Ale właśnie się zgodziłeś, że nigdzie nie służy.

— Właśnie dlatego musimy dodać jeszcze pięciu z poprzedniego pokolenia. Takich, którzy niedawno odeszli ze służby, są dość starzy, by nie mieć stałego zajęcia, ale dość młodzi, by nadal sprawnie funkcjonować. Właśnie tej grupie powinniście się przyjrzeć.

— To są twoi kandydaci? Poprzednie pokolenie?

— Nie bardzo widzę, kto jeszcze mógłby się zakwalifikować.

— Ile państw tak naprawdę liczy się w tej konkurencji?

— Może pięć, łącznie z nami.  
— Jeśli pomnożymy to przez pięciu możliwych kandydatów w każdym kraju, będziemy mieli dwudziestu pięciu snajperów na całym świecie. Zgadza się?  
— W przybliżeniu.  
— Nie w przybliżeniu. Tak się składa, że wywiadom na całym świecie znanych jest dokładnie dwudziestu pięciu emerytowanych elitarnych snajperów. Nie sądzisz, że ich rządy mają ich na oku?  
— Jestem o tym przekonany.  
— W związku z tym ilu z nich, twoim zdaniem, może mieć żelazne alibi dowolnego dnia?  
— Dwudziestu? — odparłem, wychodząc z założenia, że są bardzo bacznie obserwowani.  
— Dwudziestu jeden — powiedział O'Day. — Zostało nam czterech wolnych strzelców. I tu wyłania się problem dyplomatyczny. Jesteśmy niczym czterej siedzący przy stole faceci, z których każdy wpatruje się w trzech innych. Nie chcę, żeby ten pocisk okazał się amerykański.  
— Nie mieliśmy na oku jednego z naszych?  
— Nie do końca.  
— Kogo?  
— Ilu znasz tak dobrych snajperów?  
— Żadnego — odparłem. — Nie koleguję się ze snajperami.  
— Ilu kiedykolwiek znałeś?  
— Jednego. Ale to na pewno nie on.  
— I jesteś tego pewien, bo...?  
— Siedzi za kratkami.  
— Skąd o tym wiesz?  
— Bo sam go tam wsadziłem.  
— Skazano go na piętnaście lat, prawda?  
— Z tego, co pamiętam.  
— Kiedy?  
Metoda sokratejska. Policzyłem w myślach. Sporo lat. Sporo wody upłynęło w Potomacu. Sporo różnych miejsc, sporo różnych ludzi.  
— Cholera — mruknąłem.  
O'Day pokiwał głową.  
— Szesnaście lat temu — powiedział. — Czas szybko płynie, kiedy człowiek dobrze się bawi, prawda?  
— Wyszedł?  
— Rok temu.  
— Gdzie jest teraz?  
— Nie ma go w domu.

John Kott był pierwszym synem dwojga czeskich emigrantów, którzy uciekli przed dawnym komunistycznym reżimem i osiedlili się w Arkansas. Żyłasty chłopak z za żelaznej kurtyny nie różnił się zbyt od miejscowych oberwańców i dorastał jako jeden z nich. Gdyby nie nazwisko i kości policzkowe, można by pomyśleć, że jego rodzina mieszkała tam od setek lat. W wieku szesnastu lat potrafił zestrzelić wiewiórkę z drzewa z tak dużej odległości, że mało kto to widział. W wieku siedemnastu lat zabił swoich rodziców. Takiego zdania był przynajmniej miejscowy szeryf okręgowy. Nie było żadnych dowodów, ale sporo podejrzeń. Nie miało to jednak większego znaczenia, kiedy rok później zwerbowano go do wojska.

Jak na chudego, żylastego faceta był niezwykle spokojny i cichy. Potrafił obniżyć tętno do trzydziestu uderzeń na minutę i leżeć bez ruchu przez wiele godzin. Miał nadludzki wzrok. Innymi słowy, był urodzonym snajperem. Zdano sobie z tego sprawę nawet w siłach lądowych. Posłano go do szeregu specjalistycznych szkół, a potem skierowano prosto do Delt, gdzie dzięki ciężkiej, wyťažonej pracy rozwinął swój talent i stał się kimś w rodzaju gwiazdora w mrocznym świecie tajnych operacji.

W przeciwieństwie jednak do typowego żołnierza sił specjalnych bariera między tym, co robił na służbie, i tym, co robił po służbie, nie była u niego w stu procentach szczelna. Kropnięcie człowieka z odległości tysiąca metrów wymaga czegoś więcej niż tylko talentu i fizycznej sprawności. Wymaga zgody udzielanej gdzieś głęboko w pierwotnej części mózgu, gdzie wzmacniane są albo uchylane fundamentalne zakazy. Strzelec musi naprawdę szczerze wierzyć w to, co myśli: *To, co robisz, jest w porządku. To twój wróg. Jesteś od niego lepszy. Jesteś najlepszy na świecie. Każdy, kto stawia ci czoło, zasługuje na śmierć.* Większość facetów ma wajchę, która to wyłącza. Jednak Kott nie wyłączał tego do końca.

Poznałem go trzy tygodnie po tym, jak pewien facet został odnaleziony z poderżniętym gardłem w krzakach za barem, daleko w Kolumbii, w Ameryce Południowej. Zabity był sierżantem amerykańskiej armii, służył w Rangersach. Bar upodobali sobie ludzie z kierowanej przez CIA jednostki sił specjalnych i zaglądali tam, kiedy nie musieli patrolować dżungli i strzelać do członków kartelu. W związku z czym grono podejrzanych było bardzo nieliczne i bardzo małowówne. Służyłem wtedy w Dziewięćdziesiątej Dziewiątej Jednostce Żandarmerii i powierzono mi tę sprawę. Tylko dlatego, że nieboszczyk był amerykańskim wojskowym. Gdyby chodziło o cywila, Pentagon zaoszczędziłby na bilecie lotniczym.

Nikt nie puścił pary z gęby, ale razem powiedzieli bardzo wiele. Wiedziałem, kto był w barze, kazałem wszystkim go opisać i każdy dodał jakiś mały szczegół. Mogłem sobie stworzyć obraz. Jeden facet robił to, drugi tamto. Jeden facet wyszedł o jedenastej, drugi o północy. Drugi facet siedział obok pierwszego, który pił rum, a nie piwo. I tak dalej. Miałem rozrysowaną w głowie całą choreografię i poprawiałem ją tak długo, aż wszystko połączyło się w koherentną całość.

Z wyjątkiem Kotta, który był niczym dziura w powietrzu.

Nikt właściwie nic o nim nie powiedział. Ani gdzie siedział, ani co pił, ani z kim rozmawiał. W gruncie rzeczy był kompletnie nieopisany. Mogło to wynikać z różnych przyczyn, między innymi z tego, że chociaż nikt z jednostki nie zamierzał go zakapować, nikomu nie chciało się również zmyślać bajek, by go chronić. Brało się to z jakiegoś rodzaju etyki. A może braku wyobraźni. Tak czy inaczej, decyzja była słuszna. Kłamstwa zawsze wychodzą na jaw. Lepiej nic nie mówić. W ten sposób, całkowicie hipotetycznie, długa i zażarta sprzeczka



z nieboszczykiem mogła zniknąć z pola widzenia. Stać się dziurą w powietrzu.

To nie była łatwa sprawa: same dowody poszlakowe, tajna operacja w tle i gwiazdor w roli podejrzanego. Ale trzeba przyznać wojskowemu, że poświęcili jej sporo uwagi. I całkiem słusznie stwierdzili, że niczego nie osiągniemy bez przyznania się do winy.

Pozwolili mi przesłuchać Kotta.

Zadawanie pytań polega przede wszystkim na słuchaniu odpowiedzi i przysłuchiwałem się temu, co mówił Kott, bardzo długo, nim doszedłem do wniosku, że facet ma w sobie tyle arogancji, że mógłby nią obdarować cały pułk. Nie rozróżniał tego, co robi się na służbie, od tego, co po służbie. *Każdy, kto stawia ci czoło, zasługuje na śmierć* — to brednia, jaką powtarzają ci na polu bitwy, a nie sposób na życie.

Ale spotykałem takich ludzi na swojej drodze. To oni mnie ukształtowali. Chcą ci o tym opowiedzieć. Chcą, żebyś zrozumiał. Żebyś zaaprobował. W porządku, być może jakieś tymczasowe głupie przepisy przemawiają w tym momencie przeciwko nim, ale oni są przecież ważniejsi. No, tak czy nie? Prawda?

Pozwoliłem mu mówić, a potem przytakiwałem i w gruncie rzeczy skłoniłem do tego, że sam się przyznał: owszem, w pewnej chwili wdał się w rozmowę z nieboszczykiem. Dalej było już z górki. Chociaż trafniejsze byłoby określenie tego, co się działo, jako wspinanie się pod górę. Miałem wrażenie, jakbym zapalał gaz pod czajnikiem albo pompował oponę w rowerze.

Dwie godziny później podpisał długie i szczegółowe zeznanie. Chodziło w gruncie rzeczy o to, że nieboszczyk nazwał go cipą. To było sedno sprawy. Głupia gadka, która totalnie wymknęła się spod kontroli. Trzeba było jakoś zareagować. Pewnych rzeczy nie można przecież wybaczyć. No, tak czy nie? Prawda?

Ponieważ był gwiazdorem i brał udział w tajnej operacji, poszli z nim na układ. Dostał piętnaście lat za zabójstwo drugiego stopnia. Mnie to pasowało. Obyło się bez sądu wojennego, więc wyrwałem się na tydzień na Fidżi i poznałem tam Australijkę, którą do dziś miło wspominam. Nie miałem zamiaru się skarżyć.

— Nie powinniśmy niczego zakładać z góry — powiedział O'Day. — Nie mamy dowodów, że po wyjściu na wolność miał jakikolwiek kontakt z bronią.

— Ale jest na tej liście?

— Musi być.

— Jakie jest prawdopodobieństwo, że to on? — spytałem.

— Jak jeden do czterech, naturalnie.

— Postawiłby pan na niego pieniądze?

— Nie twierdzę, że to nasz sprawca. Musimy jednak przyjąć do wiadomości, że istnieje dwudziestopięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że to on.

— Kto jeszcze jest na tej liście?

— Jeden Rosjanin, jeden Izraelczyk i jeden Brytyjczyk.

— Kott siedział piętnaście lat w więzieniu — przypomniałem.

O'Day pokiwał głową.

— Zastanówmy się, jaki to na niego miało wpływ — oświadczył.

Co było kolejną trafną uwagą. Jak dokładnie może wpłynąć na snajpera piętnaście lat spędzonych za kratkami? Perfekcja w strzelaniu zależy od wielu różnych rzeczy. Mogła ucierpieć kontrola mięśni. W perfekcyjnym strzelaniu chodzi o to, żeby być jednocześnie miękkim i twardym. Wystarczająco miękkim, by zapobiec niekontrolowanemu drżeniu, wystarczająco twardym, by zapanować nad nagłą eksplozją. Mogła się też pogorszyć ogólna kondycja fizyczna, co jest ważne, bo dużo zależy od niskiego tętna i spokojnego oddechu.

— Mógł ucierpieć wzrok — powiedziałem w końcu.

— Dlaczego? — zapytał O'Day.

— Wszystko, na co patrzył w ciągu tych piętnastu lat, znajdowało się dość blisko. Generalnie to były mury. Również mury spacerniaka. Nie skupiał wzroku na niczym, co jest daleko.

Brzmiało to raczej przekonująco. Podobał mi się obraz, jaki się z tego wyłaniał. Kott, który nie był już taki twardy, może lekko rozdygotany, w okularach, zgarbiony, mimo że nie był nigdy wysoki.

Ale w tym momencie O'Day przeczytał więzienny raport sporządzony przed wyjściem Kotta na wolność.

Kott mógł uważać, że jego korzenie tkwią w Czechosłowacji lub w Arkansas, albo i tu, i tu, ale rozplanował swoje piętnaście lat w więzieniu niczym wschodni mistyk i mędrzec. Zaczął uprawiać jogę i medytacje. Ćwiczył fizycznie niezbyt intensywnie, raz dziennie, żeby zachować wewnętrzną siłę i gibkość, a poza tym całymi godzinami siedział w bezruchu, prawie nie oddychając, z pustym wzrokiem utkwionym tysiąc metrów dalej, co, jak twierdził, było mu potrzebne do ćwiczeń.

— Zasięgnąłem języka — powiedział O'Day. — Głównie u dziewczyn, które tu pracują. Ich zdaniem w uprawianym przez Kotta rodzaju jogi chodzi przede wszystkim o bezruch i zrównoważoną siłę. Zapadasz się, zapadasz, zapadasz i nagle trzask-prask, przechodzisz do następnej pozycji. To samo dotyczy medytacji. Opróżnij umysł. Zwizualizuj swój sukces.

— Chce pan powiedzieć, że wyszedł z więzienia w lepszym stanie, niż do niego trafił?

— Przez piętnaście lat ciężko pracował. Skupiony na jednym celu. A karabin to w końcu tylko metalowe narzędzie. Sukces zależy od umysłu i ciała.

— Jak się dostał do Paryża? Ma paszport?

— Pomyśl o frakcjach. O tym, jaka jest ich siła nabywczą. Zdobycie paszportu to najmniejsze z ich zmartwień.

— Kiedy go ostatnio widziałem, podpisywał zeznanie. To było przed ponad szesnastu laty. Nie bardzo wiem, jak mógłbym wam teraz pomóc.

— Musimy się zabezpieczyć na każdą ewentualność.

— Na jaką ewentualność mógłbym wam się przydać?

— Udało ci się go kiedyś złapać — powiedział O'Day. — Jeśli będzie trzeba, możesz go złapać ponownie.

W tym momencie do dyskusji włączył się Shoemaker, zupełnie jakbyśmy poznali już ogólny zarys i nadeszła pora na szczegóły. Dużo zależało od motywu ataku. Pewne frakcje nigdy nie wynajęłyby Izraelczyka, co zwiększałoby prawdopodobieństwo do jednego do trzech, tyle że Izraelczyk miał podobno typowo irlandzką urodę i neutralny kryptonim. Może frakcje nie były poinformowane. Co zaciemniłoby jeszcze bardziej obraz. Ostatecznie jednak kwestia motywu została odłożona. Sporządzona przez Departament Stanu lista ludzi, którzy mieli o coś żal do Francuzów, była długa, a wszystkich trzech podejrzanych należało traktować równo. Nie wolno było ich profilować.

— To nadal gówno prawda — powiedziałem, zwracając się do Casey Nice.

— W której części? — zapytała jak wcześniej.

— W tej samej. To zdecydowanie przesadna reakcja. Nie ruszylibyście małym palcem, gdyby Francuzom ziemia paliła się pod stopami. A mimo to zebraliście się tutaj. Zachowujecie się, jakby to było Pearl Harbor. Dlaczego? Co takiego wam robi Francja? Przesłanie sprzedawców sery?

— Nie mogą zobaczyć, że siedzimy z założonymi rękami.

— Nie mogą was w ogóle zobaczyć. Przenosicie się z miejsca na miejsce i chowacie za fałszywymi tabliczkami. Co jest w porządku. Żaden wywiadowca z jakiegokolwiek ambasady nie domyśli się, kim jesteście i co robicie. Nawet z ambasady Francji. Nie będą wiedzieć, czy im pomagacie, czy nie. Więc czym się tak naprawdę przejmujecie?

— To kwestia reputacji.

— Istnieje dwudziestopięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że skazany za pospolite przestępstwa Amerykanin wykonuje gdzieś na świecie prywatne zlecenie. Nie będzie pierwszy ani ostatni. Nasza reputacja zbytnio na tym nie ucierpi. Zwłaszcza że Francuz wcale nie ucierpiał. W końcu nic złego się nie stało.

O'Day poruszył się na krześle.

— Nie my wyznaczamy zasady polityki.

— Ostatnim razem, kiedy stosował się pan do zaleceń Kongresu, Abraham Lincoln chodził w krótkich spodenkach.

— A więc do czyich zaleceń się stosuję?

— Prezydenta — odparłem i ugryzłem się w język.

— Wszyscy są wściekli na Francuzów — podjął O'Day — a to w gruncie rzeczy oznacza, że nikt nie jest na nich wściekły. Nikt nie miał jakiegoś konkretnego powodu, żeby zastrzelić tego faceta. Nie w tym roku. Nie w większym stopniu niż zwykle. Dlatego też wiele wskazuje na to, że to mogła być próba generalna. Nasz człowiek pokazuje, ile jest wart, przed otrzymaniem poważniejszego zlecenia. Które będzie dotyczyć kogo? Nikt tego nie wie, ale każdy się spodziewa, że chodzi o niego. Dlaczego mieliby się tego nie spodziewać? Każdy uważa się za najważniejszą osobę na świecie. Zbliża się szczyt Unii Europejskiej, z udziałem głów państw, a potem mamy G Osiem i G Dwadzieścia. To oznacza ośmiu, a później dwudziestu światowych liderów w jednym miejscu. W tym również naszego. Pozujących do wspólnej fotografii. Stojących nieruchomo z uśmiechami na twarzach. Najprawdopodobniej na schodach jakiegoś publicznego gmachu. Nie chcą, żeby w pobliżu grasował facet, który strzela celnie z odległości tysiąca trzystu metrów.

— Więc chodzi o polityków, którzy trzęsą portkami?

— Dosłownie. Na całym świecie.  
— Łącznie z naszym?  
— Secret Service popadła w taką paranoję, że osobiste zdanie prezydenta nie ma znaczenia.  
— Dlatego zarezerwowaliście dla mnie prywatny odrzutowiec.  
— Pieniądze nie grają roli.  
— Ale nie zwróciliście się z tym tylko do mnie, prawda? Proszę, niech pan mi powie, generale, że nie polegacie tylko na jednym facecie.  
— Mamy wszelką pomoc, jaka jest nam potrzebna — mruknął O'Day.  
— To na pewno nie Kott — powiedziałem.  
— Z całą pewnością nie wszyscy trzej. Chcesz rzucać kostką czy zabrać się do pracy?

Nie odpowiedziałem. Shoemaker poinformował mnie, że zostanę zakwaterowany w pobliskich koszarach i że nie wolno mi kręcić się po innych częściach bazy. Gdyby ktoś mnie przypadkiem albo oficjalnie pytał, miałem mówić, że jestem cywilnym kontrahentem, specjalistą od załadunku palet. Naciskany, miałem wyjaśnić, że pracuję dla jednostki 47. w związku z problemem, jaki wyłonił się w Turcji. Po wymienieniu przeze mnie nazwy tego kraju pytający dojdzie do wniosku, że chodzi o pociski balistyczne, i jeśli ma dobre zamiary, wycofa się, a jeśli złe, zostanie mylnie poinformowany. Co, zdaniem O'Daya, stanowiło najbardziej pożądane wyjście.

— Kto szuka pozostałych trzech? — zapytałem.  
— Ich własne służby w swoich krajach — odparł O'Day.  
— A nie Francuzi we Francji?  
— Uważają, że wrócił do domu i gdzieś się zaszył.  
— Może to emigrant. Rosjanin, który mieszka we Francji. Albo Izraelczyk czy facet z Wielkiej Brytanii. Mieszkający na starej farmie albo w willi nad morzem.  
— Być może nie wzięli tego pod uwagę.  
— Czy Kott wyjechał stąd i zamieszkał we Francji?  
O'Day pokręcił głową.  
— Wrócił do Arkansas.  
— I?  
— W pierwszym miesiącu posłaliśmy kilka razy drona nad jego dom. Nie zauważyliśmy nic niepokojącego. A potem dron był potrzebny gdzie indziej i odstawiliśmy Kotta na tylny palnik.  
— A teraz?  
— Wysłaliśmy drona ponownie. Dom Kotta jest pusty. Nie ma śladów życia.

• • •

Casey Nice odprowadziła mnie do koszar, o których wspomniał Shoemaker i które okazały się prowizoryczną małą wioską składającą się z przenośnych jednostek mieszkalnych przerobionych z szesnastometrowych kontenerów. Dwa metry czterdzieści centymetrów wysokości, dwa metry czterdzieści centymetrów szerokości, wycięte otwory na drzwi i okna, doprowadzone woda i prąd. Mój kontener był pomalowany na piaskowożółto i prawdopodobnie wrócił niedawno z Iraku. Mieszkałem w gorszych warunkach. Noc była przyjemna. Wiosna w Karolinie Północnej. Zbyt wcześnie, żeby zrobiło się gorąco, zbyt późno, żeby zmarznąć. Na niebie widać było gwiazdy i widmowe pasma chmur.

— Mieszka pani w jednym z tych klocków? — zapytałem, kiedy przystanęliśmy przy moich metalowych drzwiach.

Casey Nice wskazała następny rząd.

— W tym białym — odparła. Jeśli jej stał przy Pierwszej Ulicy, mój stał przy Drugiej.

— Na to się pani pisała? — zapytałem.

— To miejsce, w którym teoria sprawdza się w praktyce — odpowiedziała. — Nie narzekam.

— To na pewno nie Kott — powtórzyłem. — Jeśli chodzi o snajperów, Rosjanie mają ich najwięcej i są najlepsi. A Izraelczycy lubią kaliber pięćdziesiąt.

— Tym, co nas niepokoi, jest joga. Najwyraźniej Kott miał w życiu jakiś cel. Po wyjściu na wolność planował podjęcie tego, co przerwał. — Kiwnęła głową, jakby zrobiła to, co do niej należało, i odeszła, zostawiając mnie przed drzwiami. Otworzyłem je i wszedłem do środka.

Wnętrze wyglądało dokładnie tak, jak może wyglądać szesnastometrowy kontener z falistej blachy, pomalowany wszędzie błyszczącą białą farbą, z urządzonymi w amfiladzie kącikiem wypoczynkowym, kuchnią, łazienką i sypialnią. Zupełnie jak w staroświeckiej salonce. Okna miały osłony, które po rozłożeniu tworzyły blaty robocze. Podłoga była ze sklejki. Rozpakowałem się, co polegało na wyjęciu z kieszeni mojej składanej szczoteczki do zębów, rozłożeniu jej i włożeniu do kubka w łazience. Zastanawiałem się, czy nie wziąć prysznicza, ale nie zdążyłem tego zrobić, bo rozległo się pukanie do drzwi. Ruszyłem z powrotem przez wąski zagracony prostopadłościan i otworzyłem je na oścież.

Kolejna kobieta w czarnym żakiecie, spódnicy, ciemnych rajstopach i porządnym butach. Ta w wieku bardziej zbliżonym do mojego. Widać, że nawykła do wydawania poleceń. Włosy srebrzystoszare, ładnie przycięte, ale nie układane i nie farbowane. Twarz kiedyś ładna, a teraz atrakcyjna.

— Pan Reacher? Jestem Joan Scarangelo — powiedziała, podając mi rękę.

Uścisnąłem ją. Miała szczupłą, lecz silną dłoń. Proste, kwadratowe, krótko przycięte paznokcie. Przezroczysty lakier. Żadnych pierścionków.

— CIA? — zapytałem.

— To nie powinno być aż tak widoczne — odparła z uśmiechem.

— Spotkałem się już z ludźmi z Departamentu Stanu i sił specjalnych. Domyśliłem się, że wkrótce pojawi się ktoś od was.

— Mogę wejść?

Mój kącik wypoczynkowy miał dwa metry czterdzieści wysokości, dwa metry czterdzieści szerokości i około czterech metrów długości. W sam raz dla dwojga. Meble były przyśrubowane do podłogi: krótka kanapa i dostawione do siebie dwa małe fotele. Jak w kamperze albo w studyjnym projekcie nowej kabiny gulfstreama. Usiadłem na kanapie, a Joan Scarangelo na jednym z foteli i ustawiliśmy się pod odpowiednimi kątami, by móc patrzeć sobie prosto w oczy.

— Jesteśmy panu bardzo wdzięczni za pomoc — zagaiła.

— Jeszcze nic nie zrobiłem — odparłem.

— Ale jestem pewna, że pan zrobi, jeśli okaże się to konieczne.

— Czyżby FBI przestało się zajmować tym, co do niego należy? Czy to nie oni szukają normalnie Amerykanów, którzy przebywają w Stanach?

— Kott może nie przebywać w Stanach. Obecnie.

— W takim razie to do was należy wykonanie zadania.

— I wykonujemy je. Korzystając z najlepszego wsparcia, jakie możemy uzyskać. Nie robiąc tego, dopuścilibyśmy się zaniedbania. Zna pan faceta.

— Przyskrzytniłem go przed szesnastu laty. Poza tym nic o nim nie wiem.

— Najpierw szczyt Unii Europejskiej, następnie G Osiem, czyli ośmiu najbardziej

rozwiniętych krajów świata, a potem G Dwadzieścia — powiedziała. — Europa, osiem największych światowych gospodarek i dwadzieścia największych światowych gospodarek. Głowy państw, wszyscy w tym samym miejscu i w tym samym czasie. Z definicji wszyscy z wyjątkiem jednego na obcym terenie. Jeśli jeden z nich zginie, to będzie klęska. Jeśli zginie więcej niż jeden, to będzie katastrofa. A wspomniał pan, zdaje się, że snajper w Paryżu mógł strzelić dwa razy. Więc właściwie dlaczego ma się ograniczać do dwóch strzałów? Niech pan sobie wyobrazi, że zginie trzech albo czterech przywódców. Będziemy mieli totalny paraliż. Załamanie rynków, powrót do recesji. Ludzie zaczną głodować. Mogą wybuchnąć wojny. Rozpadnie się cały światowy ład.

— Może powinni odwołać te szczyty.

— Ten sam skutek. Światem trzeba rządzić. Nie mogą tego robić przez telefon.

— Przez miesiąc albo dwa mogliby spróbować.

— Ale kto ma to zaproponować? Kto wykona pierwszy ruch? My przed Rosjanami? Czy Rosjanie przed nami? Czy Chińczycy przed kimkolwiek?

— Więc to wyłącznie kwestia testosteronu?

— A co nią nie jest? — rzuciła Joan Scarangelo.

— Skoro mowa o rządzeniu światem, nie mam nawet telefonu — powiedziałem.

— A chciałby pan mieć?

— Chodzi mi o to, że John Kott jest facetem, z którym spędziłem jeden dzień szesnaście lat temu. Nie mam żadnych środków, żadnej łączności, żadnych baz danych, kompletnie nic.

— My to mamy. Przekażemy panu wszystkie tropy.

— A potem wyślecie mnie, żebym go dorwał?

Joan Scarangelo milczała.

— Na tym to polega, proszę pani — powiedziałem. — Wiem, że dopiero tu dotarłem, ale nie urodziłem się wczoraj. Nie wypadłem sroce spod ogona. Jeśli to Kott jest sprawcą, chcecie, żebym zaczął się koło niego kręcić, bo wtedy ci, którzy mu płacą, będą chcieli mnie wyeliminować. Jedna z frakcji, jak lubi powtarzać O'Day. Mam ich wywabić z ukrycia. To wszystko. Jestem tylko przynętą.

Wciąż milczała.

— A może chcecie, żeby to sam Kott próbował mnie załatwić. Jest w końcu na mnie porządnie wkurzony. Wsadziłem go na piętnaście lat za kratki. To pokrzyżowało mu chyba w dużym stopniu życiowe plany. Na pewno nie darzy mnie sympatią. Może w całej tej historii z jogą chodziło przede wszystkim o mnie, a nie o generalne podniesienie kwalifikacji.

— Nikt nie myśli o tym w kategoriach przynęty.

— Bzdura. Tom O'Day myśli o wszystkim i wybiera najłatwiejszą i najbardziej efektywną strategię.

— Boi się pan?

— Zna pani kogoś z piechoty?

— W tej bazie jest ich wielu.

— Niech pani z nimi pogada. Ci z piechoty mają przesrane życie. Sterczą w błocie i w okopach, są przemoczeni, zmarznięci i głodni, spadają na nich pociski moździerzowe, bomby i rakiety, przed sobą mają drut kolczasty i gniazda karabinów maszynowych, ale wie pani, czego nie lubią najbardziej?

— Snajperów — odparła.

— Zgadza się. Przypadkowa śmierć, nie wiadomo skąd, nie wiadomo kiedy i nie wiadomo gdzie. Bez uprzedzenia i ostrzeżenia. Codziennie w każdej minucie. Ani chwili ulgi. Niewyobrazalny stres. Niektórzy od tego dosłownie wariują. I potrafię to zrozumieć. W tym

momencie siedzę w małym metalowym pudle i cieszę się z tego bardziej, niż powinienem.

— Poznałam kiedyś pańskiego brata — oznajmiła Scarangelo.

— Naprawdę?

Pokiwała głową.

— Joego Reachera. Byłam młodą oficer prowadzącą, a on służył w wywiadzie wojskowym. Pracowaliśmy razem przy pewnej sprawie.

— Teraz powie mi pani, że dobrze o mnie mówił i twierdził, że lepiej ze mną nie zadzierać. Będzie się pani powoływać na nieżyjącą osobę.

— Przykro mi, że już nie żyje. Ale rzeczywiście dobrze o panu mówił.

— Gdyby Joe tu był, kazałby mi trzymać się od tej sprawy jak najdalej. Nazwa miejsca jego pracy mówi sama za siebie. Wywiad wojskowy. Poza tym znał Toma O'Daya.

— Nie lubi pan O'Daya?

— Moim zdaniem ktoś powinien dać mu medal, posłać kulkę w łeb i nazwać jakiś most jego imieniem.

— Może to nie najlepszy pomysł.

— Dziwię się, że nadal działa w branży.

— To dzięki tego rodzaju historiom nadal działa w branży. Teraz bardziej niż kiedykolwiek. To on pociąga za wszystkie sznurki.

Nie odpowiedziałem.

— Nie będziemy tu pana trzymać siłą — mruknęła Scarangelo.

Wzruszyłem ramionami.

— Jestem winien Rickowi Shoemakerowi przysługę — powiedziałem. — Zostanę. Przewidywalny aż do bólu.

Scarangelo zaraz potem wyszła, zostawiając po sobie niewyraźny zapach perfum, a ja wzięłem prysznic i położyłem się spać. O'Day zaczynał każdy dzień od konferencji i zamierzałem wziąć w niej udział zaraz po śniadaniu. Którego nie miałem, niestety, gdzie zjeść. W świetle dnia okazało się, że zajmujemy sam róg Pope Field, które było ogromne. Według moich obliczeń miałem co najmniej półtora kilometra do najbliższej stołówki. Może nawet pięć kilometrów. A nie wolno mi było kręcić się po bazie. Przemierzanie bez upoważnienia Fort Bragg nie byłoby zbyt rozropne. Zwłaszcza w obecnych okolicznościach. Tak naprawdę w żadnych okolicznościach.

Ruszyłem więc z powrotem w stronę czerwonych drzwi i znalazłem Casey Nice w pokoju, w którym stał stół. Na stole były półmiski z muffinkami i drożdżówkami oraz wielkie pojemniki z kawą. Z Dunkin' Donuts, nie z wojskowej stołówki. Prywatny catering. Zrobią wszystko, żeby zaoszczędzić parę dolców.

- Wygodnie się panu mieszka? — zapytała Casey Nice.
- Lepsze to niż spanie w wydrążonej kłodzie — odparłem.
- Tam pan normalnie sypia?
- Tak się tylko mówi.
- Ale dobrze pan spał?
- Znakomicie.
- Spotkał się pan z kimś wczoraj wieczorem?
- Z niejaką Joan Scarangelo.
- To dobrze.
- Kim ona jest dokładnie?
- Zastępczynią wicedyrektora operacji.

Co mogłoby się wydać podrzędnym stanowiskiem, ale nim nie było. W świecie CIA zastępca wicedyrektora operacji należy do najwyższego wewnętrznego kręgu. To jedna z trzech albo czterech najlepiej zorientowanych osób na tej planecie. Normalnie powinna urzędować w Langley w gabinecie mniej więcej osiem razy większym od mojego kontenera, przy biurku z większą liczbą telefonów, niż widziałem w ciągu całego życia.

- Naprawdę podchodzą do tego bardzo poważnie, prawda? — zapytałem.
- Chyba muszą, nie sądzi pan?

Nie odpowiedziałem na to pytanie, a chwilę później do pokoju weszła Scarangelo we własnej osobie. Skinęła głową na powitanie, wzięła słodką bułeczkę i filiżankę kawy i wyszła. Ja wzięłem dwie muffinki, pustą filiżankę i cały pojemnik z kawą. Zamierzałem postawić go przed sobą z dzióbkiem skierowanym w moją stronę. Ze stałą możliwością dolewki. Niczym alkoholik grzejący stołek przy barze.

• • •

Poranna konferencja odbywała się na piętrze, w sali przylegającej do gabinetu O'Daya. Nic wyszukanego. Po prostu cztery zestawione ze sobą stoły i osiem krzeseł dla nas pięciorga. Shoemaker, O'Day i Scarangelo zajęli już swoje miejsca. Casey Nice usiadła obok Scarangelo, a ja tam, gdzie po obu stronach miałem puste krzesła. Ustawiłem przed sobą kawę i ugryzłem kawałek muffinki.

Shoemaker zabrał głos jako pierwszy. Znowu miał na sobie mundur polowy z generalską



gwiazdą, co było do przewidzenia, ale jego wstępna analiza była wystarczająco wnikliwa, by uznać, że na nią zasłużył.

— Polski rząd ogłosi chyba wkrótce przyspieszone wybory — powiedział. — Greków też prawdopodobnie to czeka. Można by to uznać za normalną rzecz, jaka zdarza się w demokracji, ale kiedy przewertujemy dokładnie Konstytucję Unii Europejskiej, znajdziemy tam przepis pozwalający odwołać naradę głów państw, jeśli w dwóch państwach członkowskich odbywają się akurat wybory. Innymi słowy, przywódcy zrejerowali. Szczyt Unii Europejskiej się nie odbędzie. To skupia naszą uwagę na szczycie G Osiem za trzy tygodnie. Te plany na razie nie ulegają zmianie. Mamy zatem czas i cel ataku.

Zaczerpnąłem powietrza, żeby się odezwać, ale O'Day wyciągnął w moją stronę otwartą dłoń, jakby dawał psu komendę „siad!”.

— Masz zamiar nas ostrzec, że to tylko daleko idąca spekulacja i że prawdziwy cel może być zupełnie inny. Co może się okazać prawdą, ale zrozum, że nie obchodzi nas żaden inny cel. Jeśli ofiarą zamachu padnie ktoś inny, będziemy tańczyć ze szczęścia. Dopóki do tego nie dojdzie, zakładamy dla celów operacyjnych, że planowany zamach na jednego ze światowych przywódców jest faktem stwierdzonym.

— Chciałem jedynie zapytać, kto uczestniczy w szczycie G Osiem — powiedziałem.

Musiało to być chyba głupie pytanie, bo wszyscy zaczęli się wiercić i nikt nie odpowiedział.

— My, Kanada, Zjednoczone Królestwo, Francja, Niemcy, Włochy, Japonia i Rosja — odezwała się w końcu Casey Nice.

— To nie są największe światowe gospodarki — zauważyłem.

— Kiedyś były — stwierdziła Scarangelo. — Niektóre rzeczy są wryte w kamieniu.

— Więc jeśli ta sprawa ma tło osobiste albo nacjonalistyczne, wtedy celem może być przywódca któregoś z tych krajów. Ale jeśli terroryści chcą w ten sposób dać coś ważnego do zrozumienia, w takim razie, z całym należnym szacunkiem, to raczej nie będzie prezydent Włoch. Bo kto by na to w ogóle zwrócił uwagę? Rządy i tak zmieniają się tam co trzy tygodnie. I nie Kanada. Nie rozpoznałbyś ich szefa rządu, nawet gdyby przyszedł zrobić zakupy w twoim sklepie. To samo dotyczy Japonii. I Francji. A także Zjednoczonego Królestwa. Świat nie stanie na krawędzi katastrofy, jeśli jakiś nadęty mydłek straci życie. Z Niemcami byłby pewnie mały problem.

Scarangelo pokiwała głową.

— Największa gospodarka Europy, jedyny kraj w regionie, który prowadzi poważną politykę fiskalną. I całkiem nowa mentalność, opierająca się na tym, że politycy nie mogą padać ofiarą zamachów. Mogłyby się wydarzyć różne rzeczy. A Niemcy spadłyby z bardzo wysokiego konia.

— A zatem to może dotyczyć nas, Rosji i Niemiec. Co czyni sytuację łatwą do opanowania. Trzymajcie po prostu tych facetów pod kloszem. Nie pozwólcie im zaczerpnąć świeżego powietrza. Niech pozostałych pięciu przechadza się po dziedzińcu. Albo wyślijcie również zastępców tych trzech, żeby było komu zrobić fotki. Można by to zinterpretować zupełnie inaczej. Jesteśmy tacy dzielni, że wysłaliśmy ich obu.

O'Day pokiwał głową.

— To jest plan B i został już sporządzony. Plan A polega na tym, żeby znaleźć Johna Kotta. I liczyć na to, że Londyn, Moskwa i Tel Awiw odniosą podobny sukces.

— Wiemy coś na temat ich snajperów?

— Wiemy o nich wszystko. Brytyjczyk jest byłym żołnierzem SAS, nazywa się Carson. W mundurze, choć nikt tego oficjalnie nie przyzna, położył trupem przeszło pięćdziesiąt osób na

całym świecie, jedną z nich z odległości prawie dwóch kilometrów, co zostało udokumentowane i zweryfikowane. Rosjanin to facet o nazwisku Dacew. Jego pierwszy instruktor walczył jeszcze pod Stalingradem, co oznacza twardą szkołę. Izraelczyk nazywa się Rozan. Najlepszy, jakiego kiedykolwiek widzieli, jeśli chodzi o karabin Barrett kalibru pięćdziesiąt, a to naprawdę wysoka rekomendacja w izraelskich siłach zbrojnych.

— Wygląda na to, że wszyscy są lepsi od Kotta.

— Nie, wygląda na to, że wszyscy są równie dobrzy jak on. Dla Kotta tysiąc trzysta metrów to była bułka z masłem. Coś rutynowego. To znaczy zanim go przyskrzyńskiłeś.

— Mówi pan to takim tonem, jakbym nie powinien tego robić, generale.

— Był wart więcej niż ten trep, którego zabił.

— Gdzie odbywa się szczyt G Osiem? — zapytałem.

— W Londynie — odparł O'Day. — Technicznie rzecz biorąc, tuż za granicą miasta.

W czymś w rodzaju książęcej rezydencji albo starego zamku.

— Mają tam fosę?

— Nie jestem pewien.

— Może powinni zacząć ją kopać.

— Cały plan polega na tym, żeby nie trzeba było tego robić.

— Tak czy owak, nie mogę wam tam pomóc. Mam nieważny paszport.

— W tej sprawie powinien pan się zwrócić do Departamentu Stanu — powiedział O'Day.

Podniósł wzrok i Casey Nice wsunęła dłoń pod żakiet, podobnie jak wówczas, gdy pokazała mi raport z ambasady. Wyjęła stamtąd ciekawą niebieską książeczkę i przesunęła ją po stole w moją stronę. Była tak samo ciepła jak kartki raportu.

To był paszport, z moim nazwiskiem i zdjęciem, wydany dzień wcześniej na dziesięć lat.

Zaraz potem konferencja dobiegła końca i zostałem zaproszony do gabinetu Ricka Shoemakera, który poprosił, bym przed podróżą do Arkansas opracował szczegółowy plan taktyczny. Trochę mnie to rozbawiło. Arkansas nie wymagało opracowywania szczegółowego planu taktycznego. I to był zły kierunek.

— Facet na pewno został w Europie — powiedziałem. — Prawdopodobnie jest już w Londynie. Jeśli to w ogóle on.

— Joan Scarangelo przekazała nam, że w pełni rozumiesz swoją rolę — rzekł Shoemaker.

Jestem tylko przynętą.

— Mówi pan serio? — zapytałem.

— To nic wielkiego. Jak sam zauważyłeś, jeśli to Kott jest sprawcą, raczej go tam nie będzie. Ale jeśli to on, mogli tam zostawić kogoś, kto będzie monitorował nasze postępy. To oczywisty pierwszy krok. Taki, który powinniśmy tak czy owak uczynić. Musimy mieć pewność, że wrócił do strzelania. Jeśli nie, jesteśmy w domu. Joga i medytacje to nie wszystko. Snajper potrzebuje przede wszystkim kontaktu z bronią. Mogą się spodziewać, że to sprawdzimy. To nie będą prawdziwi zawodowcy. Dla ciebie żaden problem. Ale możemy z nich coś wycisnąć.

— Jeśli to on.

— Jeśli to nie on, tym bardziej nie masz się czym przejmować.

— Dlaczego to mam być ja? Na świecie jest cała masa agentów federalnych. Mogą posłużyć za przynętę. Z pewnością lepiej niż ja. Mogliby tam podjechać na sygnale.

— Wiesz, ilu Amerykanów ma dzisiaj najwyższy certyfikat bezpieczeństwa?

— Nie mam pojęcia.

— Prawie milion. I połowa z nich to cywile. Kadra kierownicza i biznesmeni, wykonawcy i podwykonawcy. Z tego miliona co najmniej dwie setki biorą w łapę.

— Jakbym słyszał O'Daya.

— Ma na ogół rację.

— I zawsze wpada w paranoję.

— Dobrze, podzielmy to na pół. W grupie osób z najwyższym certyfikatem bezpieczeństwa mamy stu zdrajców. Bezpieczeństwo narodowe jest w rozsypce. Ta sytuacja trwa już od dziesięciu lat. Z tego względu nasz projekt jest naprawdę ściśle tajny. Informacje o nim nie weszły do szerszego obiegu. Na tę chwilę generał O'Day woli współpracować z ludźmi, którym może ufać.

— Nie mogę nawet wynająć samochodu. Nie mam prawa jazdy ani karty kredytowej.

— Pojedzie z tobą Casey Nice — oświadczył Shoemaker. — Ma dość lat, żeby prowadzić.

— W takim razie ona również będzie przynętą.

— Wiedziała, na co się pisze. I jest twardsza, niż na to wygląda.

• • •

Ostatecznie opracowanie szczegółowego planu taktycznego sprowadziło się do zabrania z łazienki mojej szczoteczki do zębów i zapisania ostatniego znanego adresu Kotta, którym okazał się wynajęty dom położony siedem kilometrów od najbliższych ludzkich siedlisk, w lewym dolnym rogu stanu, tam gdzie Arkansas przechodzi w Oklahomę, w Teksas albo

Luizjanę. Casey Nice weszła do swojego białego klocka ubrana w czarny żakiet i spódnicę i pięć minut później wyszła stamtąd w niebieskich dżinsach i skórzanej brązowej kurtce, które, moim zdaniem, lepiej pasowały do lewego dolnego rogu Arkansas.

Dali nam ten sam samolot. I tę samą załogę. Pozwoliłem, by Casey Nice weszła po schodkach przede mną, co było jedynym racjonalnym rozwiązaniem, kiedy jedno z was jest dwudziestoparoletnią dziewczyną w dżinsach, a drugie nie. Usiadłem w tym samym fotelu, ona naprzeciwko mnie. Tym razem steward dobrze znał nasz cel podróży, którym była Texarkana. Cywilne lotnisko z punktem wynajmu samochodów. Nie trasą koła wielkiego. Po prostu na południowy zachód, nad Georgią, Alabamą i Missisipi. Jeden dzbanek kawy powinien wystarczyć, chyba że Casey Nice będzie chciała wypić filiżankę.

— Shoemaker mówił, że wiesz, na co się pisałaś — powiedziałem do niej.

— Chyba wiem — odparła.

— To znaczy?

— Mają teraz taką teorię. Widziałeś, jak to wygląda. Pracujemy wszyscy razem. Teoria głosi, że w przyszłości wszyscy połączymy się w jedno. To znaczy za kulisami. Więc musimy brać udział w akcjach w terenie. Co całkowicie mi pasuje. Muszę być gotowa. Moja kariera będzie się rozwijała głównie w przyszłości.

— W jakiego rodzaju akcjach brałaś udział do tej pory?

— Nie martwię się tym, co nas czeka, jeśli o to ci chodzi.

— Dobrze wiedzieć.

— A powinnam?

— Byłaś kiedykolwiek w pokoju hotelowym z takim naprawdę wielkim łóżkiem? Takim, co ma dwa metry piętnaście centymetrów długości? Kiedy będziemy na otwartym terenie, powinnaś się znajdować ode mnie dokładnie w takiej samej odległości. Ponieważ w najlepszym razie Kott nie ma z tym wszystkim nic wspólnego i kiedy nadleciały wasze drony, wybrał się po prostu na ryby. A teraz wrócił do domu, do którego prowadzi długi, prosty podjazd, i siedzi z naładowanym karabinem w kuchni. W zależności od tego, jak bardzo będzie wzburzony, za pierwszym strzałem może chybić o metr. Ale nie o dwa metry.

— Moim zdaniem nie będzie go w domu. Moim zdaniem jest w Londynie.

— Dlaczego to miałby być on? Inni wydają się lepszymi kandydatami.

— Dacew służył jako bardzo młody człowiek w Armii Czerwonej, a potem w armii rosyjskiej. Odszedł do cywila przed pięciu laty. Rozan odszedł z izraelskich sił zbrojnych wcześniej od niego. Brytyjczyk Carson opuścił SAS jeszcze dawniej. Ale w Paryżu mieliśmy do czynienia z zupełnie nowym zawodnikiem. Dlaczego Dacew, Rozan albo Carson mieliby tak długo czekać z wejściem na rynek? Wygląda mi to na kogoś, kto przez rok doskonalił swoje umiejętności, a teraz ogłosił, że jest do wzięcia. Na kogoś, kto dopiero od niedawna jest wolnym strzelcem.

— Tak czy owak, powinnaś się trzymać co najmniej dwa metry ode mnie. Dacew i Rozan mogli znaleźć inne zatrudnienie. W czyjejs prywatnej armii albo w ochronie. Może prowadzili sklep ze zdrową żywnością i nadeszły złe czasy. Może niedawno skończyły im się pieniądze z odprawy. Albo wyszli z mamra, do którego trafili za jakieś inne przestępstwa. Kott mógł być wolnym strzelcem dłużej niż którykolwiek z nich, nawet jeśli mówimy tylko o roku.

— W takim razie powinni go wybrać w pierwszej kolejności, bo jest najbardziej doświadczony. Przebywa w Londynie, jestem tego pewna. Arkansas nie budzi we mnie niepokoju.

We mnie też w pierwszej chwili go nie budził.

Wylądowaliśmy w Texarkanie i znaleźliśmy punkt wynajmu samochodów na końcu długiego szeregu firm związanych w jakiś sposób z branżą lotniczą. Casey Nice wyjęła absolutnie standardowe, wydane w Marylandzie prawo jazdy, na którym mignęła mi jej data urodzenia, dzięki czemu dowiedziałem się, że ma dwadzieścia osiem lat. Do prawa jazdy dołożyła wydaną przez bank w Marylandzie kartę kredytową i dostała w zamian całą masę formularzy do wypełnienia oraz kluczyk do pick-upa marki Ford F-150, który był najwyraźniej najchętniej wynajmowanym pojazdem na lotnisku w Texarkanie.

Pick-up był czerwony i miał nawigację satelitarną podłączoną do zapalniczki. Casey Nice wprowadziła tam adres, który nam podano. Urządzenie przewinęło najpierw cały obraz, jakby gromadziło wszystkie bogate rezerwy miejscowej wiedzy, po czym oznajmiło, że mamy do celu osiemdziesiąt kilometrów. Kiedy odjeżdżaliśmy, obejrzałem się w stronę lotniska. Widać na nim było nasz samolot. Przed sobą mieliśmy wąskie kręte drogi i świeże liście na drzewach.

— Powinniśmy się zatrzymać na lunch — powiedziałem.

— Czy nie należałoby najpierw wykonać zadania?

— Jedz, kiedy nadarza się okazja. To naczelna zasada.

— Gdzie?

— W pierwszej napotkanej knajpie.

Która nie okazała się typowym wiejskim barem, na jaki liczyłem. Zamiast niego zaraz za schludnym miasteczkiem zobaczyliśmy na rozstajach dróg nowo zbudowane minicentrum handlowe ze stacją Shella z jednej strony i rodzinną restauracją z drugiej. Między nimi było kilka tanich sklepów sprzedających rzeczy potrzebne do życia, wśród nich apteka i odzieżowy. W restauracji były zwykłe drewniane stoły i zastawa nie od kompletu, a w menu mieli proste, niewyszukane potrawy. Ja zdecydowałem się na spóźnione śniadanie, z kawą, naleśnikami i jajkami na boczku. Casey Nice zamówiła sałatkę oraz wodę i za wszystko zapłaciła, najprawdopodobniej z budżetu O'Daya.

Później zboczyłem do sklepu z ubraniami, skupiając się na khaki, jeśli idzie o kolory, i na niskim poziomie, jeśli idzie o ceny. Wybrałem bieliznę, skarpetki, spodnie i koszulę oraz kurtkę, przeznaczoną chyba do gry w golfa przy deszczowej pogodzie. Przebrałem się jak zwykle w kabinie i wyrzuciłem stare rzeczy do śmieci. I jak zwykle zainteresowało to Casey Nice.

— Mówiono nam o tym na odprawie, ale nie wiedziałam, czy mam w to wierzyć — powiedziała.

— Mieliście na mój temat odprawę?

— Generał O'Day mówi na ciebie Sherlock Homeless<sup>1</sup>.

— Powinien sam pomyśleć o kupieniu sobie nowego swetra.

Wsiedliśmy z powrotem do czerwonego pick-upa i pojechaliśmy dalej, na północny zachód, omijając róg Teksasu i kierując się w stronę granicy Oklahomy. Nawigacja pokazywała nasz cel w postaci flagi z czarno-białą szachownicą, zupełnie jakby to była meta wyścigu prowadzącego przez absolutne pustkowia. Miałem nadzieję, że w miarę jak będziemy się zbliżać, na ekranie pojawi się więcej dróg.

•••

Godzinę później rzeczywiście pojawiły się kolejne drogi, wszystkie wąskie, szare i kręte. Poza tym na ekranie widać było jeziora, strumienie i rzeki, co sugerowało pejzaż poryty

wąwozami. I co rzeczywiście widać było za szybami. Niskie zalesione wzniesienia, biegnące jedno za drugim niczym pofałdowana powierzchnia tary do prania. Casey Nice zatrzymała się półtora kilometra od miejsca oznaczonego flagą i wyjęła komórkę, ale nie uzyskała połączenia i nie zobaczyła tego, co chciała zobaczyć. Być może satelitarnego obrazu. Byliśmy zatem skazani na GPS, na którym flaga z szachownicą ustawiona była pośród morza zieleni mniej więcej osiemset metrów na północ od drogi, którą jechaliśmy.

— Długi podjazd — mruknąłem.

— Miejmy nadzieję, że nie jest prosty jak strzała — odparła.

Ruszyliśmy powoli dalej i w końcu po prawej stronie zobaczyliśmy początek podjazdu. Okazał się biegnącym między drzewami zwykłym kamienistym traktem, który zaczynał się między symbolicznymi, usypanymi z głazów słupkami i znikał szybko między świeżymi zielonymi liśćmi. Na poboczu stała skrzynka na listy, zardzewiała, bez żadnego nazwiska. A dokładnie naprzeciwko niej, po lewej stronie szosy, stał dobrze widoczny dom. Należący zapewne do najbliższego sąsiada Kotta.

— Zacznijmy od tego miejsca — powiedziałem.

Dom sąsiada nie był szczególnie elegancki, ale niczego mu nie brakowało. Długi, niski, zbity z brązowych desek, z wysypanym żwirem placikiem, na którym stał pick-up. Z tyłu znajdował się chyba mały ogródek. Po jednej stronie była antena satelitarna wielkości sporego kombiaka, po drugiej przerdzewiała pralka z leżącymi na ziemi zbutwiałymi węzami.

Nacisnąłem palcem przycisk dzwonnka i za drzwiami rozległ się gong jak w podmiejskim domu. Żadnej reakcji. Po jakimś czasie usłyszeliśmy kroki i zza węgła domu, tego od strony pralki, wyszedł facet. Miał jakieś czterdzieści lat, krótko przycięte włosy, takiej samej długości brodę, gruby kark, sceptyczny wzrok oraz twarz, która nie zapadłaby nikomu w pamięć, gdyby nie brakująca lewa jedyńka w górnej szczęce.

— Mogę pomóc? — zapytał obojętnym tonem.

Z doświadczenia wiedziałem, że te słowa mogły poprzedzać wszystko, poczynając od autentycznej szczerzej współpracy po kulkę w łeb.

— Szukamy Johna Kotta — powiedziałem.

— To nie ja — odparł.

— Wie pan, gdzie mieszka?

Facet wycelował dłonią nad rzadkim żywopłotem, wskazując podjazd po drugiej stronie szosy.

— Jest w domu?

— A pan to kto?

— Jestem jego znajomym.

— Skąd?

— Z mamra.

— Dlaczego pan sam nie podjedzie i nie sprawdzi?

— To wynajęty samochód. Jeśli złapię gumę, każą mi zaraz płacić. A ten trakt nie wygląda najlepiej.

— Nie wiem, czy jest w domu — powiedział facet.

— Dawno tu mieszka?

— Od mniej więcej roku.

— Pracuje?

— Nie sędzę.

— Więc z czego ma na czynsz?

— Nie mam pojęcia.

— Widział pan, jak wyjeżdża i przyjeżdża?  
— Jeśli akurat patrzyłem.  
— Kiedy go pan ostatnio widział?  
— Nie mam pewności.  
— Dzisiaj? Wczoraj?  
— Trudno powiedzieć. Niezbyt często patrzę.  
— Miesiąc temu? Dwa miesiące?  
— Trudno powiedzieć.  
— Czym jeździ?  
— Starym niebieskim pick-upem — odparł facet. — Raczej przedpotopowym fordem.  
— Słyszał pan tu kiedyś strzały?  
— To znaczy gdzie?  
— W lasach. Albo na wzgórzach.  
— Jesteśmy w Arkansas — powiedział.  
— Czy pana Kotta odwiedzają jacyś goście?  
— Trudno powiedzieć.  
— Kręcili się tu jacyś obcy?  
— Obcy, to znaczy kto?  
— Na przykład jacyś cudzoziemcy.  
— Pan jest pierwszy, jakiego widzę od dłuższego czasu.  
— Nie jestem obcy i nie jestem cudzoziemcem — sprostowałem. — Nie można mnie zaliczyć ani do jednych, ani do drugich.  
— A gdzie się pan urodził? — zapytał facet.  
I na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi. Poznał po akcencie, że nie urodziłem się na Południu. A Nowy Jork, Chicago czy Los Angeles nie robiłyby mu różnicy. Powiedziałem mu więc prawdę.  
— W Berlinie Zachodnim.  
Nie odpowiedział.  
— W rodzinie marines — dodałem.  
— Ja byłem w siłach powietrznych — oznajmił facet. — Nie lubię marines. Moim zdaniem to banda zarozumiałych, żądnych sławy dupków.  
— Nie czuję się obrażony — odparłem.  
Facet odwrócił się i spojrzał na Casey Nice, lustrując ją powoli wzrokiem od góry do dołu i od dołu do góry.  
— Domyślam się, że nie siedziała panienka za kratkami.  
— Tylko dlatego, że są za głupi, żeby mnie złapać — odpowiedziała.  
Uśmiechnął się i przesunął językiem po szczybie między zębami.  
— Złapać na robieniu czego? — zapytał.  
— Powinien pan sobie wstawić ten ząb — powiedziała. — Miałby pan całkiem miły uśmiech, gdyby pan to zrobił. I powinien pan zabrać tę pralkę z podwórka. Musi tam tak stać?  
— Robi sobie panienka ze mnie jaja? — Facet zrobił krok do przodu i spojrzał na nią spode łba, a potem zerknął na mnie, a ja zmroziłem go wzrokiem, jakbym miał jedną piątą sekundy, żeby zdecydować, czy będzie utykał przez tydzień, czy wyląduje do końca życia na wózku. — No cóż, mam nadzieję, że miło wam będzie odwiedzić starego kumpla — powiedział po chwili, po czym cofnął się i zniknął za węglem domu, tym razem od strony anteny satelitarnej.  
Postaliliśmy jeszcze przez sekundę w niemrawym wiosennym słońcu, a potem wsiedliśmy z powrotem do czerwonego pick-upa, przecięliśmy próg między pasmami ruchu na szosie

i skręciliśmy prosto w kamienisty trakt prowadzący do domu Kotta.



Trakt nie różnił się wiele od wyschniętego koryta potoku, ale przynajmniej nie był prosty. W każdym razie z początku. Odchodził pod kątem prostym od dwupasmówki, następnie skręcał ostro w prawo, wspinał się na brzeg potoku i skręcał z powrotem w lewo, żeby pobiec równoległe do wąwozu. A potem znowu skręcał ostro w prawo. Co było dalej, nie widzieliśmy. Casey Nice siedziała pochylona do przodu, walcząc z kierownicą, która miotła się i podskakiwała w jej rękach.

— Musisz odchylić się do tyłu. A właściwie przesunąć do tyłu swój fotel — powiedziałem.

— Dlaczego?

— Ponieważ kiedy zaczniesz się strzelanina, powinnaś dać nurka w dół. Nie wiem, czy silnik tego auta jest z aluminium, czy z żelaza, ale tak czy owak stanowi dobrą ochronę. To znaczy jeśli od razu nie zginiesz.

— Facet jest w Londynie.

— W Londynie jest jeden z nich. Pozostali trzej nie.

— Jest z nich najlepszy.

— Siedział piętnaście lat za kratkami.

— Pracując nad sobą. I albo mu się to udało, albo nie. Jeśli się udało, jest tak samo dobry jak wcześniej. A to wystarczyło mu w Paryżu. Może być nawet lepszy niż kiedykolwiek. W ogóle o tym pomyślałaś? O tym, że ma nadludzkie umiejętności?

— To ma być oficjalna analiza Departamentu Stanu? Powinniście się ograniczyć do wydawania paszportów i wiz.

Posuwaliśmy się powoli dalej, zbliżając się do ostrego zakrętu w prawo. Nie zauważyliśmy śladów obserwacji. Nikt nie monitorował naszych postępów. Wąwóz, którym jechaliśmy, z lotu ptaka mógł się wydawać niewielki, podobny do zadrapania na plecach kochanka, ale z bliska, w ludzkiej skali, robił duże wrażenie. Miał jakieś dziesięć metrów głębokości i jego dno usiane było popękkanymi głazami, między którymi rosły tylko chwasty i niskie krzaki. Drzewa zaczynały się na górze i były już obsypane liśćmi, młodymi i jeszcze stulonymi, ale na tyle gęstymi, by skutecznie zasłonić widok.

— Może powinniśmy pójść dalej na piechotę — zaproponowałem.

— Dwa metry od siebie?

— Co najmniej.

Nice zwolniła i zatrzymała się w miejscu. Nie było gdzie zjechać. Trakt miał szerokość mniej więcej jednego pojazdu. Co było korzystne.

— Jeśli pojechał po zakupy, usłyszymy, jak wraca — powiedziałem. — Kiedy zobaczy nasz samochód, zatrąbi.

— Jest w Londynie.

— Zostań w pick-upie, jeśli chcesz.

— Nie chcę.

— W takim razie idź pierwsza. Tak jakbyś sprzedawała encyklopedie. Nie zastrzeli cię.

— Na pewno?

— Nie rzuciłaś mu jeszcze wyzwania.

— Widzisz? Coś o nim jednak wiesz.

— Będę siedział jakieś osiem metrów z tyłu. Krzycz, jeśli pojawi się jakiś problem.

• • •

Patrzyłem, jak odchodzi. Idąc środkiem traktu, przeskakiwała zgrabnie z kamienia na kamień, zupełnie jakby korytem strumienia płynęła woda, a ona nie chciała zmoczyć butów. Ja szedłem osiem metrów za nią, stawiając dłuższe, wolniejsze kroki, tak jakbym wspinał się po zboczu, chociaż wzniesienie było bardzo łagodne. Zatrzymała się przed zakrętem, obejrzała, a ja wzruszyłem ramionami i wtedy zniknęła z pola widzenia. Na chwilę się zatrzymałem i nadstawiłem uszu, ale słysząc tylko stukot kamyków pod jej stopami, ruszyłem w ślad za nią, trochę szybciej, żeby dzielił nas taki sam niewielki dystans jak poprzednio.

Za zakrętem był długi prosty odcinek drogi, która wiodła pod górę wzdłuż wąwozu, a dalej chyba polana i dom zbudowany z takich samych ciemnych desek jak sąsiada. Po lewej stronie między liśćmi majaczyła matowa niebieska plama. Być może stał tam zaparkowany pick-up, taki sprzed pierwszej wojny. Łączna odległość do celu wynosiła mniej więcej dziewięćdziesiąt metrów.

Casey Nice szła teraz skrajem drogi. Musiała trochę zwolnić, ale czuła się tam chyba lepiej niż pośrodku. Podobnie jak ja. Wybrałem drugi skraj drogi. Byłoby głupotą ustawianie się na tej samej linii strzału. Byłoby głupotą, gdyby ona oberwała chybioną kulą wymierzoną we mnie, a ja chybioną kulą wymierzoną w nią.

Idąc w tym osobliwym szyku, dotarliśmy do skraju polany. Nice zatrzymała się i obejrzała. Zasygnalizowałem, żeby nie ruszała się z miejsca, standardowym znakiem dłoni, który w piechocie poznaje się podczas podstawowego szkolenia, a ona zrozumiała go i cofnęła się między drzewa. Przeciąłem trzema długimi krokami trakt i do niej dołączyłem.

— Chcesz, żebym zapukała do drzwi? — zapytała.

— Chyba będziesz musiała — odparłem.

— Facet ma psa?

— Już by zaszczekał.

Nice pokiwała głową, wzięła głęboki oddech i ruszyła dalej. Odgłos jej kroków się zmienił: ustało postukiwanie kamyków i rozległ się chrzęst żwiru. Usłyszałem pukanie do drzwi. Nie odgłos dzwonka: po prostu głośne stuk-puk-stuk-puk kłykciami palców, które mogło wydać się natarczywe w mieście, ale było całkiem na miejscu na wsi, gdzie domownicy mogą pracować gdzieś w obejściu.

Bez odpowiedzi.

Żadnych kroków ani skrzypienia podłogi w środku domu, żadnego szurania nogami ani chrzęstu żwiru dochodzącego z tyłu.

Nic.

Nice zapukała powtórnie.

Stuk-puk-stuk-puk.

Cisza. Żadnej reakcji. W domu nie było nikogo, nikt nas nie obserwował.

Wyszedłem spomiędzy drzew i do niej dołączyłem. Zasłony w większości okien były zasunięte i przez wąskie szpary zobaczyliśmy proste pomieszczenia, wyposażone przed kilku laty w tanie meble. Budynek był niski i długi, w stylu rancza, podobnie jak dom sąsiada na dole. Może zbudowali je w tym samym czasie ci sami ludzie. Sprawiał wrażenie solidnego. Otaczała go ubita ziemia, bez większego przekonania wysypana żwirem, przez który przebijały się zeszloroczne chwasty, przydeptane nieco przy frontowych i tylnych drzwiach, a także na dzikich ścieżkach prowadzących do miejsca, gdzie stał niebieski pick-up.

Okazało się, że niebieski pick-up to rzeczywiście ford, bardzo stary. Kupiony prawdopodobnie za sto dolców gotówką. Idealny dla kogoś, kto właśnie wyszedł z Leavenworth.

Jego maska była zimna jak lód i nie wyglądało na to, by ktoś nim ostatnio jeździł, ale w przypadku tak starego gruchota trudno to było ocenić.

Casey Nice poszukała wzrokiem miejsc, gdzie można by schować zapasowy klucz. Ich brak rzucał się w oczy. Żadnej doniczki przy drzwiach, żadnych posążków, żadnych kamiennych lwów.

— Powinniśmy się włamać? — zapytała.

Zobaczyłem trzecią dziką ścieżkę. Można ją było poznać po długim płytkim zagłębieniu, w którym zdeptana trawa miała trochę inne — mniejsze, ciemniejsze i bardziej pokiereszowane — źdźbła. Biegła od starego pick-upa w stronę następnego wąwozu.

— Sprawdźmy najpierw tam — powiedziałem.

Nice ruszyła za mną przez las i wkrótce znaleźliśmy się przy wschodnim krańcu kolejnego wąwozu, bardzo podobnego do tego, który pokonaliśmy wcześniej: głęboki na jakieś dziesięć metrów jar przypominał niesamowicie długą wannę. Powstał w wyniku jakiegoś dawnego procesu geologicznego. Prawdopodobnie zlodowacenia sprzed miliona lat, kiedy uwięzione w trylionach ton lodu wielkie ostre głady powoli, lecz nieubłaganie żłobiły ziemię niczym pług oracza. Wąwóz, podobnie jak jego kuzyn, usłany był na dole kamieniami, między którymi prawie nic nie rosło. Za to drzewa po obu stronach wystrzeliły wysoko, co podkreślało jego głębokość i długość.

Trzy drzewa były powalone. Zaraz na samym początku. Trzy sosny, proste i dorodne. Dwie leżały równolegle do siebie, mniej więcej trzy metry jedna od drugiej, umacniając brzegi jaru niczym przyczółki mostu. Trzecia została pocięta piłą łańcuchową na trzymetrowe odcinki, które przerzucono między leżącymi pniami i do których przybito mocno gwoździami płytę wodoodpornej sklejki o rozmiarach dwa metry czterdzieści na metr dwadzieścia.

— Co to takiego? — zapytała Casey Nice.

Trzymając się wystających gałęzi i starając się nie stracić równowagi, wdrapaliśmy się ostrożnie na solidną platformę, stanęliśmy na płycie i rozejrzeliśmy się. Za nami były drzewa. Po lewej i prawej stronie drzewa. Przed nami wąwóz, który prowadził daleko na zachód, wąski i prosty. Porastające jego dno chwasty były nisko pod nami. Końca nie było prawie widać. Widniała tam szara smuga, anomalia, zupełnie jakby jar kończył się bliżej, niż powinien, być może z powodu niemającej nic wspólnego ze zlodowaceniem skalnej lawiny, która zeszła kilka epok później.

Przyjrzałem się sklejce i zobaczyłem w niej dwa niewyraźne owalne wgłębienia, każde wielkości strusiego jaja, położone dość blisko siebie i przypominające odciski stóp stojącej nieruchomo osoby. Sklejka była tam szara, a właściwie lekko srebrzysta, jak wtedy, gdy się ją pociera metalem. Miała w tym miejscu również grafitowe plamy ze smaru, a także zwyczajny zestarzały brud.

Przykucnąłem i przesunąłem palcem po śladach.

— Karabin tej wielkości ma dwie nóżki przymocowane do łoża — powiedziałem. — Można je rozkładać i składać. Jak każdy sumienny żołnierz, Kott nałożył trochę smaru na nawiasy, żeby je ochronić, następnie starł jego nadmiar szmatką i nasmarował nóżki, a zwłaszcza stópki, które są w końcu jedyną częścią karabinu stykającą się z zewnętrznym światem. A potem przychodził tu ćwiczyć tyle razy i w tylu różnych pozycjach, że zostawił tak duże ślady.

— Sherlock Homeless — mruknęła.

Spojrzałem wzdłuż wąwozu.

— Nie sądzisz, że te skały tworzą coś w rodzaju półki albo stołu? — powiedziałem. — Może tam właśnie umieszczał swoje tarcze strzelnicze?

— Jakie skały? — zapytała.

•••

Zmierzyliśmy tę odległość, podążając idealnie równoległą ścieżką przez las i odejmując to, co nadłożyłem, obchodząc drzewa; ja, stawiając swobodne kroki o długości dokładnie metra, a ona licząc, z początku po cichu, a po przekroczeniu tysiąca dwustu metrów na głos, najpierw mrużąc pod nosem, by się nie pomylić, a potem, gdy liczba rosła i rosła, głośno, wyraźnie, z coraz większym podziwem i wreszcie z lekkim niedowierzaniem, gdy doszedłem do ostatnich spiętrzonych szarych skał.

— Tysiąc trzysta metrów — usłyszałem.

Spiętrzone skały, z tego, co mogłem stwierdzić, rzeczywiście znalazły się tam w rezultacie lawiny i rzeczywiście utworzyły coś w rodzaju półki albo stołu. O wysokości tylko trzydziestu centymetrów i szerokości metr dwadzieścia w najbardziej płaskim miejscu. Ale to najwyraźniej wystarczyło, by ustawić tam całą baterię butelek i puszek po piwie. Wszędzie widać było odpryski metalu i okruchy szkła. A także białe strzępy, jakby od czasu do czasu mocował tam papierowe tarcze. Skała z tyłu też była wszędzie rozłupana i roztrzaskana. Ktoś ją na serio ostrzeliwał. Setkami albo nawet tysiącami pocisków.

— Potrzebny jest nam pojemnik — powiedziałem.

— Jakiego rodzaju? — zapytała Casey Nice.

— Coś niewielkiego — odparłem, wskazując rozłupane i potrzaskane skały. —

Powinniśmy zabrać stąd trochę tego pyłu. Żeby zbadali go w chromatografie gazowym. Powinniśmy ustalić, czy to te same pociski.

Nice poklepała się po kieszeniach i zobaczyłem, że coś znalazła, uznała, że to nie to, a potem, nie znalazłszy nic innego, wróciła do pierwotnego pomysłu. Posłała mi lekko zakłopotane spojrzenie.

— Co jest? — zapytałem.

— Mam fiolkę po lekach.

— Powinna być odpowiednia.

Włożyła rękę do kieszeni i wyciągnęła z niej małą pomarańczową fiolkę z nalepką. Odkorkowała ją, wysypała na dłoń tabletki, wrzuciła je luzem do kieszeni, zakorkowała z powrotem fiolkę i rzuciła mi ją.

— Dzięki — powiedziałem.

Zebrałem pył, szczątki i okruchy w kupkę i nabierając je szczypta po szczypcie kciukiem i palcem wskazującym, zacząłem wsypywać do fiolki. Nie miałem pojęcia, jak funkcjonuje chromatograf gazowy, wiedziałem tylko, że to bardzo zaawansowane technicznie urządzenie i wystarczy mu najmniejsza próbka, ale potrzebowaliśmy cząsteczek ołowiu i chciałem zwiększyć prawdopodobieństwo ich wykrycia. Wrzucałem więc szczypta po szczypcie, aż fiolka wypełniła się mniej więcej do połowy, i dopiero wtedy zakorkowałem ją i włożyłem do kieszeni.

— W porządku, teraz możemy włamać się do jego domu — uznałem.

•••

Zrobiliśmy to, wyważając kopniakiem drzwi, co okazało się dość łatwe. To oczywiście kwestia siły, która jest równa iloczynowi masy i przyspieszenia, przy czym to drugie jest pochodną prędkości. A to oznacza, że ważniejsza jest prędkość, nie masa. Kiedy zwiększysz masę mięśniową o dziesięć kilo na siłowni, to nieźle, bo dodajesz dziesięć kilo do równania, ale lepiej jest machnąć nogą dwadzieścia procent szybciej. Premia wynosi o wiele więcej. To samo dotyczy baseballu. Możesz zamachnąć się powoli ciężkim kijem albo szybko lekkim, i powolny ciężki kij wyeksponuje piłkę nie dalej niż na koniec boiska, a szybki i lekki na trybuny. Zbyt często zapomina się o tej zasadzie. Ludzie traktują drzwi z przesadnym szacunkiem. Mierzą je ostrożnym wzrokiem, podchodzą blisko i w zasadzie ograniczają się do przyłożenia podeszwy do drewna.

Ja tak nie robię. Wybraliśmy tylne drzwi, ponieważ ustępowały frontowym pod kilkoma względami, takimi jak grubość oraz jakość zawiasów i zamka, a poza tym z tyłu mogłem wziąć

dłuższy rozbieg. Potrzebowałem miejsca na trzy kroki. I pokonałem je spacerkiem. Nie musiałem się zbytnio wysilać. Kiedy jestem w ruchu, moje udo może poruszać się szybciej ode mnie, moja goleń jeszcze szybciej, a pięta przechodzi przez zamek, jakby go w ogóle nie było.

I tak to dokładnie wyglądało. Złapałem drzwi, kiedy odbiły się od ściany, i Casey Nice weszła jako pierwsza. Do kuchni. Wszedłem tam za nią i zobaczyłem blaty, szafki, metalowy zlew, lodówkę koloru awokado oraz kuchenkę zrobioną z prasowanego metalu, o obłych kształtach niczym samochód z lat pięćdziesiątych. Blaty były matowe, a szafki pomalowane na przygnębiający kolor, który mógł być zielony, brązowy albo gdzieś pomiędzy.

W zastałym, suchym powietrzu nie czuć było żadnych kuchennych woni. Żadnej cebuli, żadnych śmieci. Po prostu neutralna, nieorganiczna pustka.

I zapach starości.

Casey Nice ruszyła w stronę drzwi, które prowadziły do holu.

— Gotów? — zapytała.

— Zaczekaj — powstrzymałem ją. Chciałem się przekonać, czy nie słyszę niskich wibracji, które wydziela każda żywa istota. Nic usłyszałem ich. Dom był cichy i pusty. Opuszczony, jakby od dawna nikt w nim nie mieszkał. — Sprawdź salon — powiedziałem. — Ty sprawdź sypialnię.

Weszła pierwsza do holu, którego ściany wyłożono sklejką pomalowaną na ciemny, brudny kolor. Rozejrzała się i skręciła w lewo, więc ja ruszyłem w prawo i znalazłem się w salonie z wnęką, w której urządzono jadalnię. Wnętrze było dobrze rozplanowane i miało prawidłowe proporcje, ale sprawiało nieco przytłaczające wrażenie wskutek nadmiaru ciemnej boazerii. Tam, gdzie jej nie było, ścianę pokrywała mdła winylowa tapeta w stylu taniego hotelu. Umeblowanie składało się z kanapy, pufa i dwóch foteli, wszystko obite brązowym sztruksem i wszystko dość zużyte. Poza tym stały tam dwa małe stoliki, bez telewizora. Nie było też żadnych gazet i czasopism, i żadnych książek. Nie było telefonu. Nie było rzuconego na poręcz fotela starego swetra ani zaschniętej szklanki po piwie, nie było popielniczki z petami. Żadnego osobistego akcentu. Żadnego śladu życia z wyjątkiem wybrudzenia, wyświechtania i zagłębienia na sofie.

— Reacher?! — zawołała Casey Nice z drugiego końca domu.

— Co jest?! — odkrzyknąłem.

— Naprawdę powinieneś to zobaczyć.

Usłyszałem coś dziwnego w jej głosie.

— O co chodzi?

— Powinieneś to zobaczyć.

Podążyłem więc za dźwiękiem jej głosu, wszedłem do sypialni i stanąłem twarzą w twarz z sobą samym.

To była oczywiście fotografia. Czarno-biała, mojej twarzy. Ale powiększona do rzeczywistych rozmiarów. Zapewne w komercyjnym punkcie ksero. Prawie do samych brzegów kartki formatu A4. Przypięto ją do ściany pineskami metr dziewięćdziesiąt pięć centymetrów od podłogi. Niżej, w miejscach, gdzie powinny być szyja, ramiona, tors, ręce i nogi, do ściany przypięto więcej kartek, na których ktoś narysował czarnym permanentnym markerem tak, żeby jego odcień pasował do czarnego ksero, całą resztę mojej postaci. Naturalnej wielkości człowiek, stojący nieruchomo z podniesioną głową i wysuniętymi do przodu kciukami, mocno wsparty na stopach, w butach, które wyrysowano nader dokładnie, łącznie ze sznurowadłami.

Generalnie był to dość udany wizerunek. Moja matka nie dałaby się nabrać, ale przedstawiał mnie dość wiernie.

Postać miała wbity w pierś nóż. Mniej więcej tam, gdzie powinno być moje serce. Duży kuchenny nóż, być może nawet trzydziestocentymetrowy, wbity na głębokość dwunastu centymetrów w drewnianą ścianę.

— Jest coś więcej — powiedziała Casey Nice.

Stała we wnęce, przeznaczonej chyba na łóżko. Podeszedłem do niej i odkryłem, że tylna ściana obwieszona jest kartkami. Wyłącznie związanymi ze mną. Na górze była ta sama fotografia, naturalnej wielkości. Niżej dokument, z którego została zaczerpnięta. Czyli mój elegancko skserowany życiorys ściągnięty z wojskowych akt osobowych, z małym zdjęciem w górnym prawym rogu. Pod życiorysem było kilkadziesiąt innych skserowanych kartek, przypiętych ciasno pineskami, jedna obok drugiej, i ułożonych w jakimś szczególnym porządku.

Wybranych według szczególnego kryterium.

To były opisy moich porażek. W większości zaczerpnięte z raportów sporządzonych po akcji, gdzie wskazywano pominięte tropy, pominięte powiązania, niepotrzebne ryzyko. Całe trzydzieści stron na temat Dominique Kohl.

Moje porażki.

— Kim ona była? — zapytała Casey Nice.

— Pracowała dla mnie — odparłem. — Wysłałem ją, żeby aresztowała faceta. Została uprowadzona, okaleczona i zabita. Powinienem był sam się tym zająć.

— Przykro mi.

— Mnie też jest przykro.

Casey Nice przez minutę przypatrywała się kartkom.

— Nie mogłeś tego przewidzieć — powiedziała.

— Była dokładnie w twoim wieku.

— Niestety, jest coś więcej — mruknęła.

• • •

Zaprowadziła mnie do kolejnego pokoju, gdzie zobaczyłem na stole coś, co jak się domyślałem, było domowej roboty stojakiem, nadającym się do mocowania papierowych tarcz strzelniczych na skalnej półce oddalonej o tysiąc trzysta metrów od karabinu. Godna podziwu inicjatywa, tyle że na papierowych tarczach widniała moja fizjonomia. Ta sama fotografia, naturalnej wielkości. Były ich dwie sterty. Na jednej tarcze zużyte, na drugiej nie. Nieużywane nie różniły się od tego, co już widziałem. Ta sama historia. Czarne ksero mojej twarzy powiększonej do brzegów kartki formatu A4. Zużyte tarcze były jeszcze mniej ładne. Wiele było

prawie kompletnie podartych na strzępy przez masywny pocisk kalibru .50, przez fragmenty skał, które odprysły od skalnej półki, albo przez jedno i drugie. Niektóre były lepiej zachowane. Jedna prawie nienaruszona z wyjątkiem równiutkiej dziury tuż pod moją prawą kością policzkową. Inna miała dziurę w prawym kąciku ust.

Z tysiąca trzystu metrów. Trochę za bardzo w lewo i trochę za nisko, lecz mimo to piękny strzał.

Doskonalił swoje umiejętności.

Niżej było wiele kolejnych całkowicie zniszczonych tarcz, ale te dobre były naprawdę cholernie dobre, w tym trzy z dziurami dokładnie między moimi oczami, jedna leciutko przesunięta w lewo, druga leciutko przesunięta w prawo, ale ostatnia idealnie pośrodku.

Z tysiąca trzystu metrów.

Prawie półtora kilometra.

— Kiedy zrobiono tę fotografię? — zapytała Casey Nice.

— Chyba jakieś dwadzieścia lat temu.

— Więc mógł zdobyć te akta, zanim poszedł siedzieć.

Pokręciłem głową.

— Część tych nieudanych akcji miała miejsce już po tym, jak trafił za kratki. Miał dostęp do akt po wyjściu na wolność.

— Musi być na ciebie niezłe wkurzony.

— Tak sądzisz?

— Jest w Londynie.

— Niekoniecznie — odparłem. — Po co miałby tam jechać? Skoro jest taki wkurzony na mnie, po co miałby tracić czas za granicą?

— Z wielu powodów. Po pierwsze, dla pieniędzy, bo możesz mi wierzyć, ta akcja przyniesie mu masę forsy. A drugi powód jest taki, że nie może cię odnaleźć. Trudno cię zlokalizować. Mógłby cię szukać bez końca. Nie wybiega tak daleko myślą w przyszłość.

— Niewykluczone. Ale w tym momencie wcale nie musi mnie szukać. Zapukałem do jego drzwi. I prawdopodobieństwo, że gdzieś tu jest, wynosi siedemdziesiąt pięć procent.

— Mógł nas już zastrzelić dziesięć razy. Ale nie zrobił tego. Bo go tu nie ma.

— Myślisz, że w ogóle tu mieszkał? Gdzie są jego rzeczy?

— Domyślam się, że nie ma ich wielu. Coś do spania i plecak. Prowadzi życie ascety, jak mówi się o ludziach, którzy medytują. Spakował to i zabrał ze sobą do Paryża. A potem do Londynu.

Wydawało się to nawet sensowne. Pokiwałem głową. Przez piętnaście lat Kott nie miał nic osobistego. Może do tego przywykł. Przyjrzałem się uważnie tarczy z dziurą w samym środku, dokładnie między oczami.

— Chodźmy — powiedziałem.

• • •

Powrót do czerwonego pick-upa okazał się mniej emocjonujący, niż mogłem przypuszczać. Z powodu drzew. Trafienie kogoś z dużej odległości w lesie jest z przyczyn geometrycznych niemożliwe. Po drodze zawsze będzie jakieś drzewo, które zatrzyma kulę albo zmieni w nieprzewidywalny sposób jej lot.

Trakt był zbyt wąski, by można było na nim zawrócić, a nie chcieliśmy się cofać, podjechaliśmy więc do domu, wykręciliśmy tam na wysypanym żwirem placu i ruszyliśmy z powrotem, patrząc przed siebie. Nie zauważyliśmy nic ciekawego na trakcie, a dwupasmówka była pusta. Kazaliśmy nawigacji zawieźć nas na lotnisko i ta dziarsko zabrała się do dzieła. Te



same osiemdziesiąt kilometrów, w drugą stronę.

— Muszę cię przeprosić — powiedziałem do Casey Nice.

— Za co?

— Mylnie cię zaszeregowałem. Myślałem, że jesteś pracowniczką Departamentu Stanu, wypożyczoną do CIA po to, żebyś nabrała doświadczenia i się otrząsała. I dlatego rzuconą być może na zbyt głęboką wodę. Ale jest odwrotnie. Jesteś agentką CIA, którą wypożyczył Departament Stanu po to, żebyś nabrała doświadczenia i się otrząsała. W sprawach dotyczących paszportów, wiz i różnych formularzy. Więc wcale nie rzucili cię na głęboką wodę.

— Co mnie zdradziło?

— Parę rzeczy. Znaki piechoty. Znasz je.

Casey Nice pokiwała głową.

— Spędziłam trochę czasu w Fort Benning.

— I przez cały czas zachowywałaś się w pełni profesjonalnie.

— Shoemaker nie powiedział ci, że jestem twardsza, niż na to wyglądam?

— Sądziłem, że próbuje w ten sposób uzasadnić niepotrzebne ryzyko.

— A swoją drogą Departament Stanu to nie tylko paszporty i wizy. Zajmujemy się najróżniejszymi rzeczami. W tym także nadzorowaniem takich operacji.

— W jaki sposób? Tę operację prowadzą O'Day i dwie osoby z CIA. Ty i Scarangelo. Departament Stanu nie jest w to zaangażowany.

— To ja reprezentuję Departament Stanu. Tak jak powiedziałaś. Tymczasowo.

I teoretycznie.

— Informujesz na bieżąco swojego tymczasowego i teoretycznego szefa?

— Nie do końca.

— Dlaczego?

— Bo to jest zbyt ważne dla Departamentu Stanu. Jeśli się okaże, że to Brytyjczyk, Rosjanin albo Izraelczyk, wtedy jasne, pozwolimy Departamentowi zgarnąć laur zwycięstwa. Ale dopóki nie wiemy tego na pewno, informacje na temat tej operacji nie wejdą do szerszego obiegu.

— Tak to teraz nazywacie?

— Określenie „ściśle tajne” było już zarezerwowane.

— Przecież to są rzeczy z pierwszych stron gazet. Jak mogą być ściśle tajne?

— Jutro to będzie wczorajsza wiadomość. Francuzi mają zamiar dokonać aresztowania.

To powinno ostudzić emocje.

— Kogo mają zamiar aresztować?

— Jakiegoś kozła ofiarnego. Znajdą kogoś, kto zechce przez trzy tygodnie odgrywać terrorystę o dzikim spojrzeniu. W zamian za jakąś inną przysługę. Przypuszczam, że ogłosili właśnie casting do tej roli. To da nam trochę czasu na działanie.

— Strzał padł z odległości tysiąca trzystu metrów — przypomniałem jej. — To się liczy. Nie to, kto strzelał. Muszą zabezpieczyć obrzeża. W promieniu co najmniej półtora kilometra.

— Albo mogą schować się w okopach. Co może ich czekać wcześniej czy później. Na razie jednak preferujemy bardziej aktywne podejście. Zamierzamy wsadzić Johna Kotta za kratki. Z pewnością nie chcemy być jedynymi, którzy nie przyskrzynili swojego faceta.

— Jak sobie radzą pozostali?

— Słyszałeś, co powiedział rano O'Day. Mają ich nazwiska, fotografie i życiorysy.

— I na tym koniec?

— Mają to, co my. Na razie gramy wszyscy do tej samej bramki.

Jechaliśmy jeszcze przez jakiś czas i w końcu oddaliśmy wypożyczony samochód, po

czym podeszliśmy do bramy w ogrodzeniu, skąd wózek golfowy zabrał nas do samolotu. Dwie godziny później byliśmy z powrotem w Pope, gdzie okazało się, że nie gramy już wszyscy do tej samej bramki.

Nie graliśmy już wszyscy do tej samej bramki, ponieważ Izraelczycy odnaleźli swojego faceta. Pan Rozan został zlokalizowany. Był na wakacjach. Nad Morzem Czerwonym. Obserwatorzy nie zauważyli, jak wyjechał. Ale obecnie już wrócił. Jego poczynania zostały prześledzone i najróżniejsi pracownicy barów i restauracji potwierdzili jego wersję. Była nie do podważenia. Faceta nie było w Paryżu. Odpadał jako możliwość. Został skreślony z listy.

— A to oznacza, że nasze zadanie stało się jeszcze bardziej pilne — stwierdził O'Day.

Po południu również lubił urządzać konferencje. Siedzieliśmy wszyscy w tym samym pokoju na piętrze, przy zestawionych razem stołach. O'Day, Shoemaker i Scarangelo, wszyscy zwarcu i gotowi, ja i Casey Nice świeżo z samolotu, nadal ze świstem odrzutowego silnika w uszach. Opowiedzieliśmy im, co odkryliśmy w Arkansas, i oddaliśmy pył i okruchy, nie w fiolce po lekach, ale w torebce na dowody rzeczowe. Shoemakera rozczarowało, że dom nie był objęty obserwacją. Żałował, że nie udało się zarzucić przynęty. O'Day uznał, że obsesja Kotta na moim punkcie jest zrozumiała.

— Chciałbym wiedzieć, jak uzyskał dostęp do moich akt — powiedziałem.

— Najprawdopodobniej miał jakiegoś kumpla w administracji. To rutynowe akta przechowywane w rutynowych warunkach w Missouri.

— Nie mógł mieć kumpli w administracji. Facet nie miał nawet kumpla we własnej jednostce. Żaden nie chciał skłamać, żeby ocalić mu skórę.

— W takim razie kupił te akta.

— Za co? Właśnie wyszedł z Leavenworth. A potem pojechał na swoje zadupie i wystrzelił około tysiąca naboju kalibru pięćdziesiąt. Które mogą kosztować jakieś pięć dolarów za sztukę. Nawet w Arkansas. Skąd wziął takie pieniądze?

— Przyjrzymy się temu.

— W jaki sposób? Nie dysponujecie odpowiednimi środkami. Skończcie z tym pieprzeniem o bezpieczeństwie narodowym. Potrzebne jest teraz regularne policyjne śledztwo. Facet miał strzelnicę na tysiąc trzysta metrów i oddał strzał z odległości tysiąca trzystu metrów. Czy to zbieg okoliczności? A może ten apartament z balkonem w Paryżu został wybrany już dawno temu? Może ćwiczył specjalnie pod jego kątem? W takim przypadku mielibyśmy do czynienia ze spiskiem planowanym od roku. Potrzebujemy danych. Na przykład, na początek, do kogo należy ten apartament w Paryżu?

— Chcesz być naszym policjantem?

— Myślałem, że mam być przynętą.

— Możesz być i jednym, i drugim.

— Nigdy nie zgłaszam się na ochotnika. Podstawowa żołnierska zasada.

— Może powinienes. Nie będziesz mógł teraz spokojnie zmrużyć oka. Nie po tym, co widziałeś.

— Na tym świecie pewnie żyje kilkanaście osób, które są na mnie nadal porządnie wkurzone. Dlaczego miałyby mnie to obchodzić? Żadna z nich nigdy mnie nie znajdzie.

— My cię znaleźliśmy.

— To co innego. Sądzi pan, że odpowiedziałbym na ogłoszenie zamieszczone przez Kotta?

— Zostawiłbyś go na wolności?

Sokratejskie podejście.

— Nie jestem jego kuratorem — odparłem.

— Jak na swój wiek jesteś w całkiem dobrej formie, Reacher — stwierdził O'Day. — Bez wątplenia dlatego, że wybrany przez ciebie tryb życia daje ci mnóstwo okazji do ćwiczeń na świeżym powietrzu. Polegających, jak przypuszczam, głównie na chodzeniu. Które, jak słyszałem, jest najlepszym rodzajem aktywności fizycznej. Domyślam się jednak, że tak naprawdę nie jest to żadna uciążliwość. To coś, co cię pociąga, prawda? Szerokie drogi, słoneczne dni, odległe horyzonty. Albo światła wielkiego miasta, z jego zgiełkiem i gwarem, i gabinetem osobliwości na każdym rogu ulicy. Lubisz chodzić. Cieszyć się wolnością.

— Do czego pan zmierza? — zapytałem.

— Wygląda to inaczej, kiedy gdzieś tam czai się snajper — mruknął O'Day.

Joan Scarangelo spojrzała mi prosto w oczy, jakby chciała, żebym zaprzeczył.

— Zwłaszcza snajper do tego stopnia porabany — dodał O'Day — że przez piętnaście lat ćwiczył jogę, a później rysował sylwetki na ścianie sypialni.

Nie odpowiedziałem.

— Jakiego rodzaju policyjne czynności byś wykonał? — zapytał.

— Kott zostawił w domu swojego pick-upa. Dlatego ktoś go musiał stamtąd zabrać. Nie taksówka, bo facet nie ma telefonu i nie ma tam zasięgu. Sprawa została wcześniej ustalona. Podobnie jak cała reszta, co oznacza, że od kilku miesięcy wjeżdżali tam i wyjeżdżali stamtąd różni ludzie. Ktoś musiał coś zauważyć.

— Sąsiad nic nie widział.

— Tak teraz mówi. Został opłacony. I poinstruowany.

— Tak sądzisz?

Pokiwałem głową.

— Musiał przyznać, że zna swojego sąsiada — wyjaśniłem. — W Arkansas byłoby dziwne, gdyby nie znał. Ale zakazano mu mówić o wizytach. Kiedy tylko zapytałem, czy nie kręcili się tam jacyś cudzoziemcy, zmienił temat. Wypowiedział się niepochlebnie o piechocie morskiej i zaczął łypać okiem na panią Nice.

— To prawda? — zapytał O'Day, zwracając się do Casey Nice.

— Poradziłam sobie — odparła.

— Co mówił o piechocie morskiej?

— Że to banda zarozumiałych, żądnych sławy dupków.

— Był z marynarki?

— Z sił powietrznych.

O'Day pokiwał mądrze głową.

— Wnioski? — zapytał, zwracając się ponownie do mnie.

— Sąsiad ma na pawlaczu torbę z forszą — powiedziałem.

— Nie do namierzenia.

— Może tak, a może nie. Ale facet wie, od kogo ją dostał. A więcej tej samej forsy jest w kasie jakiegoś sklepu z bronią. Którego właściciel będzie pamiętał klienta kupującego naboje kalibru pięćdziesiąt. To duży zakup.

— Możliwe, że kupował je w różnych sklepach.

— Owszem. I możliwe, że zakupów dokonywali różni ludzie, żeby nie wzbudzać podejrzeń. A więcej ludzi oznacza więcej lotów do Little Rock i Texarkany, więcej wypożyczeń samochodów, więcej benzyny kupowanej na lokalnych stacjach, być może więcej mandatów za przekroczenie szybkości i złe parkowanie i więcej zapisów wideo z kamer w radiowozach, więcej śniadań, lunchów i kolacji w lokalnych knajpach i więcej nocy spędzonych w lokalnych motelach. Wszystko to można sprawdzić. Podobnie jak to, co wie sąsiad.

O'Day przez chwilę otwierał i zamykał usta, jakby ćwiczył różne odpowiedzi, ale w końcu powiedział tylko:

— Okay.

— Nie mogę pojechać i tego zrobić. Nie mam żadnego statusu — powiedziałem. — Nikt nie będzie ze mną gadał.

— Zajmie się tym FBI.

— Myślałem, że ta sprawa jest ściśle tajna. Że nie weszła do szerszego obiegu.

— Dziel i rządź — mruknął O'Day. — Wszyscy mogą poznać jakiś mały fragment układanki. Pod warunkiem że nikt nie dowie się dosyć, żeby złożyć ją w całość.

— W takim razie rekomenduję, żeby zacząć działać od wczoraj.

— W najlepszym razie zaczniemy od jutra. — Zapisał coś na kartce. — Rosjanie nie mają żadnych wyników. Towarzysz Dacew zapadł się pod ziemię. Brytyjczycy uważają, że ich Carson podróżuje z nabytym ostatnio fałszywym paszportem. Szukają więc ludzi, którzy odwiedzili w interesującym nas przedziale czasowym Paryż, legitymując się wydanym niedawno dokumentem. Drogą lądową, powietrzną lub morską. Mają prawie tysiąc nazwisk.

— Gdzie go widziano ostatnio?

— W domu, przed miesiącem. Rutynowa wizyta wydziału specjalnego.

— A Dacewa?

— Tak samo, w Moskwie, mniej więcej przed miesiącem. Różnica polega na tym, że żadnego nie przyłapano na trenowaniu strzelania na odległość tysiąca trzystu metrów. Mam obawy, że to może być nasz człowiek.

— Może Carson lub Dacew trenowali za granicą. Nie musieliby tego robić tak długo. Kott miał do nadrobienia zaległości. Może wszyscy gdzieś się spotkali. Może próbę generalną poprzedziła preselekcja. Możliwe, że to był konkurs, w którym wzięło udział trzech zawodników, i zlecenie otrzymał zwycięzca.

— Możliwych jest wiele rzeczy — mruknął O'Day.

— Mamy jakieś zdjęcia? — zapytałem.

O'Day otworzył czerwoną teczkę i wyjął z niej cztery fotki, wszystkie kolorowe. Odłożył jedną na bok. Facet z kręconymi włosami, opalenizną i niewinnym uśmiechem. Prawdopodobnie Rozan, Izraelczyk, który nie był już podejrzany. Pozostałe trzy zdjęcia generał przesunął w moją stronę. Na pierwszym widać było mniej więcej pięćdziesięcioletniego faceta z gładko ogoloną głową, płaską jak deska twarzą i lekko skośnymi ciemnymi oczyma. W jego żyłach musiała płynąć mongolska krew.

— Fiodor Dacew — oznajmił O'Day. — Pięćdziesiąt dwa lata. Urodzony na Syberii.

Następny facet kiedyś był może blady, ale z czasem ogorzał i pomarszczył się od słońca i wiatru. Krótkie kasztanowe włosy, uważne spojrzenie, rozbity nos i uśmiezek, który mógł być drwiący albo agresywny w zależności, jak się na niego spozjrzało.

— William Carson — powiedział O'Day. — Urodzony w Londynie, czterdzieści osiem lat.

Ostatni był John Kott. Pewni ludzie, jak na przykład Shoemaker, robią się z wiekiem więksi, nalani i miękcy, ale Kott zrobił się mniejszy, bardziej żyłasty, zredukowany do samych mięśni i ścięgien. Jego czeskie kości policzkowe jeszcze bardziej się uwydatniły, usta były ściągnięte w wąską kreskę. Tylko oczy stały się większe. Świdrował mnie nimi na wylot.

— To zdjęcie zrobione tuż przed wyjściem na wolność. Najnowsze, jakie mamy — wyjaśnił O'Day.

Nieprzyjemne trio. Złożyłem razem fotografie i przesunąłem je z powrotem.

— Czy Brytyjczycy wykopali już tę fosę? — zapytałem.

— Nie zamierzają wprowadzić kordonu o promieniu półtora kilometra — oznajmiła Scarangelo. — Wie pan, jak gęsto zaludniona jest Wielka Brytania? To tak jakby się chciało ewakuować cały Manhattan. Nie możemy na to liczyć.

— Więc co teraz?

— Lecisz do Paryża — powiedział O'Day.

— Kiedy?

— Zaraz.

— Jako przynęta czy jako gliniarz?

— I jedno, i drugie. Ale przede wszystkim potrzebujemy tam na miejscu kogoś spostrzegawczego. Na wypadek gdyby ktoś coś wcześniej przeoczył.

— Dlaczego mieliby mi cokolwiek pokazać? Jestem dla nich nikim.

— Kiedy podasz swoje nazwisko, pokażą ci wszystko. Już do nich dzwoniłem. Zobaczysz wszystko, co pokazaliby mnie. Taka jest władza O'Daya. Zwłaszcza dzisiaj.

Nie odezwałem się.

— Mówisz, zdaje się, po francusku? — zapytał Shoemaker.

— Tak.

— I po angielsku.

— Trochę.

— A po rosyjsku?

— Dlaczego miałbym mówić po rosyjsku?

— Brytyjczycy i Rosjanie też przysyłają swoich ludzi. Macie się spotkać. Wydobądź od nich, co się da, ale sam niczego nie zdradzaj.

— Być może dostali te same instrukcje.

— Powinien ci tam towarzyszyć ktoś z CIA — powiedział O'Day i Casey Nice pochyliła się na swoim krześle.

— Ja polecę — oznajmiła Joan Scarangelo.

Dali nam ten sam samolot, tyle że ze świeżą załogą. Dwaj nowi faceci w kokpicie i nowa osoba z obsługi, tym razem kobieta, wszyscy w polowych mundurach sił powietrznych. Wszedłem na pokład prosto spod prysznica, w moim nowym ubraniu z Arkansas, a Scarangelo pojawiła się pięć minut później, również wyprysznicowana, w kolejnej czarnej garsonce. Miała ze sobą małą walizkę na kółkach i torebkę. Mieliśmy lecieć przez całą noc, siedem godzin w powietrzu, plus sześć stref czasowych, co oznaczało, że powinniśmy wylądować o dziewiątej rano francuskiego czasu. Mój fotel został rozłożony i oparty o fotel stojący naprzeciwko, który również rozłożono, tak że stworzyły razem kozetkę. To samo zrobiono z dwoma fotelami po drugiej stronie kabiny. Leżały na nich poduszki, prześcieradła i koce. Dwa długie wąskie łóżka, przedzielone wąskim przejściem. Co bynajmniej mi nie przeszkadzało. Nie dało się tego powiedzieć o Scarangelo. Była kobietą w pewnym wieku, kobietą pewnego typu. Odniosłem wrażenie, że wolałaby mieć więcej prywatności.

Najpierw jednak musieliśmy usiąść w normalnych fotelach, na czas startu, a potem zostaliśmy tam, ponieważ stewardesa oznajmiła, że podadzą nam jakieś posiłki. Które, jak się okazało, zupełnie nie pasowały do otaczających nas wnętrz. Nie były kulinarnym odpowiednikiem karmelowej skóry i orzechowego forniru. I nie pochodziły ze stołówek sił lądowych. Ani sił powietrznych. Podano nam hamburgery w tekturowych otwieranych pudełkach, podgrzane w pokładowej mikrofalówce, nierozpoznawalne, kupione pewnie w jakiejś budzie przy głównym wjeździe do bazy Pope. Może tuż obok Dunkin' Donuts.

Zjadłem swojego, a potem połowę Scarangelo, która go nie tknęła. Po jakimś czasie zaczęła kombinować, jak w miarę bezkolizyjnie położyć się do łóżka. Widziałem, jak rozgląda się na wszystkie strony, sprawdza kąty widzenia i oświetlenie, zastanawia się, gdzie będą się znajdował i co zobaczą.

— Pójdę pierwszy do toalety — zaproponowałem.

Łazienka była z tyłu, na samym końcu, tuż przed lukiem bagażowym, gdzie wsadzili jej walizkę. Skorzystałem z toalety, wymyłem zęby, po czym wróciłem do głównej kabiny i wybrałem łóżko po prawej stronie. Zdjąłem buty i skarpetki, bo lepiej mi się bez nich śpi, położyłem się na kocu i obróciłem na bok, twarzą do ściany.

Scarangelo zrozumiała w lot, o co mi chodzi. Usłyszałem sztywny szelest nylonu i wełny, gdy odeszła, a po jakimś czasie miękki szelest bawełny, kiedy wróciła. Usłyszałem, jak kładzie się na łóżku i przykrywa kocem. W końcu wydała cichy odgłos, coś pomiędzy kasznięciem i sennym pomrukiem, co uznałem za komunikat: Okay, dziękuję, może się pan odwrócić. Obróciłem się więc na plecy i wbiłem wzrok w ściankę nad głową.

— Zawsze kładzie się pan na kocu? — zapytała.

— Tylko kiedy jest ciepło — odparłem.

— Zawsze śpi pan w ubraniu?

— W takiej sytuacji nie mam wyboru.

— Bo nie ma pan piżamy. Nie ma pan domu, nie ma pan bagażu, nie ma swoich rzeczy. Mieliśmy odprawę na pana temat.

— Mówiła mi o tym Casey Nice — powiedziałem i obróciłem się lekko do ściany, żeby było mi wygodniej. Robiąc to, poczułem, że coś wbija mi się w biodro. Coś, co miałem w kieszeni. Nie szczoteczka do zębów, bo była w drugiej kieszeni. Uniosłem się i sprawdziłem, co to takiego.

Fiolka po lekach. Wziąłem ją w dłoń i bez większego zainteresowania przyjrzałem się w przyćmionym świetle nalepce. Spodziewałem się chyba leku na alergię, zabranego być może w przewidywaniu wiosennych pyłków w lasach Arkansas, albo leku przeciwbólowego zażywanego po wizycie u dentysty lub naderwaniu mięśnia. Lek nazywał się jednak zoloft i byłem pewien, że nie zwalcza alergii ani bólu. Byłem pewien, że przepisuje się go na stres. Lub na stany lękowe. Lub na depresję, napady paniki, zespół stresu pourazowego czy zaburzenia kompulsywno-obsesyjne. Mocny lek, wydawany tylko na receptę.

Której jednak nie wypisano Casey Nice. Nazwisko na nalepce było inne. Należało do mężczyzny: Antonio Luna.

— Co pan myśli o naszej pani Nice? — zapytała Scarangelo.

Schowałem fiolkę do kieszeni.

— Miła z nazwiska, miła z natury — powiedziałem.

— Zbyt miła?

— Niepokoi to panią?

— Potencjalnie.

— W Arkansas spisała się świetnie. Sąsiad nie zdołał jej zdenerwować.

— Jak by się spisała, gdyby pana tam nie było?

— Prawdopodobnie tak samo. Inna dynamika, ten sam rezultat.

— Dobrze wiedzieć.

— To pani protegowana?

— Nigdy wcześniej jej nie spotkałam — odparła Scarangelo. — I niekoniecznie wybrałabym akurat ją. Ale była naszą osobą w Departamencie Stanu, więc pasowała do wytycznych.

— Ci światowi przywódcy stale ryzykują, że ktoś do nich strzeli — powiedziałem. — Takie są koszty ich działalności. A ochrona jest teraz lepsza niż kiedykolwiek. Nie rozumiem, o co ten cały krzyk.

— Na odprawie zaznaczono, że jest pan dobrym matematykiem.

— W takim razie dane, które przekazano wam na odprawie, są nieścisłe. Jestem dobry co najwyżej w arytmetyce na poziomie szkoły średniej.

— Powierzchnia koła o promieniu tysiąca trzystu metrów?

Uśmiechnąłem się w ciemności. Pi razy promień do kwadratu.

— Ponad pięć kilometrów kwadratowych — powiedziałem.

— Średnia gęstość zaludnienia w centrach dużych zachodnich miast?

Akurat to pytanie nie należało do matematyki ani do arytmetyki, ale do wiedzy ogólnej.

— Szesnaście tysięcy ludzi na kilometr kwadratowy? — odparłem.

— Ma pan nieaktualne dane. Obecnie bliżej dwudziestu tysięcy. W niektórych częściach Londynu i Paryża gęstość zaludnienia wynosi dwadzieścia pięć tysięcy. Generalnie musieliby zamknąć dziesiątki tysięcy dachów i okien i sto tysięcy ludzi. Niewykonalne. Utalentowany snajper to ich najgorszy koszmar.

— Gdyby nie szyby kuloodporne.

Scarangelo pokiwała po ciemku głową. Słyszałem, jak jej włosy szorują po poduszce.

— Chronią ich po bokach, ale nie z przodu i nie z tyłu. I politycy ich nie lubią. Wyglądają za nimi tak, jakby się bali. Co jest prawdą, ale oni nie chcą, żeby ludzie o tym wiedzieli.

Wygląda to inaczej, kiedy gdzieś tam czai się snajper.

— Czy ktoś wie na pewno, że te szyby okażą się skuteczne? — zapytałem.

— Producent twierdzi, że tak. Część ekspertów jest sceptyczna.

Tym razem to ja pokiwałem głową po ciemku. Ja też byłbym sceptyczny. Pociski kalibru



.50 są bardzo mocne. Wyprodukowano je do karabinu maszynowego Browninga, którym można ścinać drzewa.

— Pogodnych snów — powiedziałem.

— Mało prawdopodobne.

• • •

Wylądowaliśmy w jasnym porannym słońcu na Le Bourget, które, jak poinformował nas steward, jest najbardziej zatłoczonym prywatnym lotniskiem w Europie. Samolot zaczął kołować w stronę dwóch zaparkowanych na uboczu samochodów. Chyba citroenów. Niezupełnie limuzyn, ale z całą pewnością długich, niskich i lśniących. Stało przy nich pięciu mężczyzn, którzy krzywili się nieco i kulili przed podmuchami powietrza i hałasem. Dwaj byli najprawdopodobniej kierowcami, dwaj żandarmami, a ostatni siwowłosym dżentelmenem w eleganckim garniturze. Samolot dokołował do nich i stanął. Po minucie zgasły silniki i pięciu facetów wyprostowało się i ruszyło do przodu. Steward zajął się drzwiami, a Scarangelo stanęła w przejściu i dała mi komórkę.

— Niech pan do mnie dzwoni, jeśli będzie pan mnie potrzebował — powiedziała.

— Pod jaki numer? — zapytałem.

— Jest tam wpisany.

— Każde z nas jedzie gdzie indziej?

— Naturalnie. Pan jedzie na miejsce przestępstwa, a ja do DGSE.

Pokiwałem głową. Direction Générale de la Sécurité Extérieure. Francuska wersja CIA. W sumie ani lepsza, ani gorsza. Kompetentna organizacja. Ze strony Scarangelo chodziło najprawdopodobniej o grzecznościową wizytę i być może wymianę informacji na wysokim szczeblu. Względnie brak takowej.

— Poza tym jestem przynętą — mruknąłem.

— Tylko incydentalnie.

— Casey Nice pojechała ze mną do Arkansas.

— Zachowując dystans dwóch metrów.

Ponownie pokiwałem głową.

— Który trudniej zachować, wchodząc przez drzwi do apartamentu.

— Facet przebywa w Londynie — powiedziała Scarangelo. — Którykolwiek z nich to jest.

Drzwi samolotu otworzyły się i do środka wpadło poranne powietrze, chłodne, rześkie i przesycone zapachem paliwa lotniczego. Steward odsunął się na bok i Scarangelo wyszła pierwsza, po czym zatrzymała się na chwilę na najwyższym schodku, niczym składający przyjacielską wizytę dygnitarz. Następnie zeszła na dół, a ja ruszyłem w ślad za nią. Siwowłosy facet w garniturze przywitał się z nią. Najwyraźniej się znali. Może był jej dokładnym odpowiednikiem. Może załatwiali już wcześniej jakieś sprawy. Wsiedli razem do pierwszego citroena, z tyłu, jeden z kierowców zajął miejsce za kierownicą i odjechali. Następnie podeszli do mnie dwaj umundurowani żandarmi i popatrzyli na mnie grzecznie i wyczekująco, a ja wyłowilem z kieszeni mój sztywny nowy paszport i go podałem. Jeden z nich otworzył go i obaj spojrzeli na wydrukowane nazwisko, na fotografię i moją twarz, a potem facet oddał mi paszport, trzymając go w obu dłoniach, jakby składał uroczystą ofiarę. Żaden właściwie nie uklonił się ani nie strzelił obcasami, ale przypadkowemu obserwatorowi mogło się wydawać, że obaj to zrobili. Taka była władza O'Daya.

Drugi kierowca otworzył przede mną drzwi drugiego citroena, a kiedy usiadłem na tylnym siedzeniu, ruszyliśmy do przodu, przejechaliśmy przez bramę w ogrodzeniu z czarnej

siatki. Minęliśmy budynek terminalu i skręciliśmy na drogę.

• • •

Le Bourget jest bliżej śródmieścia, ale dalej na północnym wschodzie leży przy tej samej trasie wielkie cywilne lotnisko Charles'a de Gaulle'a, więc korki były potężne. Autostradą sunęły w żółtym tempie samochody i taksówki, wszystkie zmierzające do miasta. Większość taksówkarzy wyglądała na Wietnamczyków, wśród których było wiele kobiet. Niektórzy wieźli samotnych pasażerów siedzących na tylnym siedzeniu, inni całe grupy tuż po radosnym powitaniu w drzwiach hali przylotów. Nad jezdnią wisiały elektroniczne tablice z informacjami o korkach i napisami *attention aux vents en rafales*. Wiedziałem, że to ostrzeżenie przed wiatrem, nie mogłem sobie jednak przypomnieć, co dokładnie oznacza słowo *rafales*, i dopiero widząc od czasu do czasu gwałtownie kołyszące się samochody i łopoczące nagle na budynkach flagi, zdałem sobie sprawę, że chodzi o nagle podmuchy.

— Czy ma pan wszystko, czego panu potrzeba? — zapytał mój kierowca.

W sensie egzystencjalnym było to zasadnicze pytanie, ale w tym momencie niczego mi nie brakowało, skinąłem więc tylko głową, patrząc w lusterko, i zachowałem milczenie. Właściwie byłem głodny i miałem ochotę napić się kawy, sądziłem jednak, że te problemy uda się rozwiązać dość szybko. Przypuszczałem, że poranny samolot z Londynu wylądjuje jakiś czas po mnie, a poranny samolot z Moskwy trochę później, i że paryscy gliniarze nie mają ochoty urządzać trzech odrębnych przedstawień na miejscu przestępstwa, w związku z czym wszyscy trzej pojedziemy tam razem, co oznaczało, że będę miał prawdopodobnie czas zjeść porządne śniadanie, zanim pojawią się moi koledzy z Rosji i Wielkiej Brytanii. Zostanę zapewne odwieziony do hotelu, którego stawki nie przekraczają policyjnego budżetu, a w pobliżu znajdę jakieś przytulne kafejki. Paryż był w mojej opinii przyjemnym miastem. Cieszyłem się na myśl o czekającym mnie dniu.

A potem ten dzień nadszedł.

Przecieliśmy Périphérique, który jest paryską wersją waszyngtońskiego Beltwaya i miejscem, gdzie panujący na zewnątrz typowo europejski bałagan zmienia się w rozległe żywe muzeum, z wysadzonymi drzewami ulicami, wspaniałymi odrestaurowanymi gmachami i kutymi w żelazie ozdobami. Skręciliśmy w rue de Flandre i dalej, celując w lukę między Gare du Nord i Gare de l'Est. Minąwszy ją, kierowca przerzucił się w pełni na tryb miejski i klucząc bocznymi uliczkami, podjechał w końcu pod zielone drzwi przy alejce odchodzącej od uliczki o nazwie rue Monsigny, która, na ile mogłem się zorientować, znajdowała się mniej więcej w połowie drogi między tylną ścianą Luwru i fasadą Opery. Przy zielonych drzwiach była mała mosiężna tabliczka z napisem *Pension Pelletier*. Pension to skromny hotel, coś pomiędzy gospodą i zajazdem. Z cenami nieprzekraczającymi skromnego policyjnego budżetu.

— Oczekują pana, *monsieur* — powiedział mój kierowca.

— Dzięki.

Wysiadłem i stanąłem na chodniku. Słońce świeciło dość niemrawo, powietrze nie było ani ciepłe, ani zimne. Samochód odjechał. Zignorowałem chwilowo zielone drzwi i ruszyłem alejką w stronę rue Monsigny. Dokładnie naprzeciwko mnie przecinała ją pod ostrym kątem inna wąska uliczka, dzięki czemu na skrzyżowaniu powstał mały trójkątny plac, który jak wszystkie takie miejsca w Paryżu, został zagospodarowany przez kafejkę z parasolami, stolikami i krzesłami i jak wszystkie inne paryskie kafejki o tej porannej porze ta była mniej więcej w jednej trzeciej zapełniona gośćmi, z których większość siedziała nieruchomo za rozpostartymi gazetami, pustymi filiżankami i talerzykami z okruskami croissantów. Podeszedłem tam, usiadłem przy wolnym stoliku i minutę później pojawił się przy mnie starszy kelner w białej koszuli, czarnej muszce i białym fartuchu, u którego zamówiłem suto śniadanie, składające się z dużego dzbanka kawy, *croque madame*, czyli grzanki z serem, szynką i smażonym jajkiem, oraz dwóch *pains au chocolat*, czyli prostokątnych croissantów z kawałkami gorzkiej czekolady w środku. Wiedziałem, że niełatwo będzie się z tym wszystkim uporać, ale ktoś musiał to zrobić.

Facet siedzący dwa stoliki ode mnie czytał poranną gazetę, a ja widziałem pierwszą stronę i po tytułach poznałem, że Casey Nice miała rację. Panika związana z zamachem rzeczywiście już się skończyła. *Jutro to będzie wczorajsza wiadomość*. Aresztowano domniemanego zamachowca, sprawa została rozwiązana, świat mógł spać spokojnie. Siedziałem zbyt daleko, by przeczytać to, co napisano drobnym drukiem, ale byłem pewien, że to historia samotnego fanatyka o obco brzmiącym północnoafrykańskim nazwisku, stukniętego amatora, który nie ma żadnych powiązań i nie powinien budzić większych obaw. *To powinno ostudzić emocje i da nam trochę czasu na działanie*.

Zjadłem śniadanie, wypilem kawę i obserwowałem dalej wylot alejki. *Vents en rafales* nie cichły, co jakiś czas parasol nad moim stolikiem przez sekundę wściekle łopotał, a potem opadał. Ulicą przechodziło sporo ludzi, w drodze do pracy albo w drodze ze sklepu, niosąc bagietki, wyprowadzając na spacer psy albo dostarczając listy i paczki. Kelner zabrał moje talerze i przyniósł więcej kawy. W końcu w alejkę wjechał podobny do mojego czarny citroen i zatrzymał się przy zielonych drzwiach. Siedzący z tyłu pasażer usłyszał pewnie „Oczekują pana, *monsieur*”, po czym wysiadł i stanął na chodniku. Mógł mieć koło pięćdziesiątki i był średnich rozmiarów facetem, świeżo ogolonym, z krótko przyciętymi szpakowatymi włosami, w grubym szaliku w szkocką kratę na szyi i jasnobrązowym płaszczu Burberry, spod którego wystawały nogawki szarych spodni, należących zapewne do wykwintego garnituru uszytego

przy Savile Row. Pod nogawkami miał wyglansowane na wysoki połysk brązowe angielskie półbuty.

Co oznaczało, że musi być Rosjaninem. Żaden brytyjski agent nie ubrałby się w ten sposób, chyba że starałby się o rolę w filmie z Jamesem Bondem. A w nowej Moskwie jest sporo sklepów z luksusową odzieżą. Aparatczycy nigdy nie mieli lepiej. Jego samochód wycofał się z alejki i odjechał. Facet przyglądał się przez chwilę zielonym drzwiom, a potem dokładnie tak, jak ja zrobiłem wcześniej, odwrócił się i skierował do kafejki, lustrując wzrokiem jej gości, zatrzymując na ułamek sekundy oczy na każdym z nich i natychmiast przechodząc do następnego. Szybka i bezwzględna ocena, ale najwyraźniej trafna, bo podszedł prosto do mnie.

— Pan jest tym Amerykaninem? — zapytał po angielsku.

— Sądziłem, że Brytyjczyk dotrze tu przed panem — odparłem, kiwając głową.

— Nie dałby rady. Bo wyleciałem w środku choleryjnej nocy — wyjaśnił facet i wyciągnął do mnie rękę. — Jewgienij Kienkin — przedstawił się. — Miło pana poznać. Może mi pan mówić Eugene. Co jest dokładnym odpowiednikiem. W skrócie Gene, jeśli pan chce.

— Jack Reacher — powiedziałem i uścisnąłem mu rękę.

— I co pan sądzi o tym całym syfie? — zapytał, siadając z mojej lewej strony.

Miał dobrą dykcję i neutralny akcent. Tak naprawdę ani brytyjski, ani amerykański. Jakiś rodzaj uniwersalnej międzynarodowej intonacji.

— Sądzę, że albo pan, albo ja, albo Brytyjczyk ma poważny problem — odrzekłem.

— Jest pan z CIA?

Pokręciłem głową.

— Emerytowany wojskowy — odparłem. — Przyskrzynyłem kiedyś naszego faceta. Pan jest z FSB czy SWR?

— SWR — odparł. Skrót oznaczał Służbę Wnieszniej Razwiedki, czyli służbę wywiadu zagranicznego. Coś podobnego do CIA, DGSE albo MI6 w Wielkiej Brytanii. — Ale tak naprawdę to nadal KGB — dodał. — Stare wino w nowych butelkach.

— Zna pan tego waszego Dacewa?

— Można tak powiedzieć.

— Jak dobrze?

— Byłem jego oficerem prowadzącym.

— Był kagebistą? Powiedziano mi, że służył w armii. Najpierw Czerwonej, potem rosyjskiej.

— Formalnie rzecz biorąc, pewnie tak. Może taka nazwa figurowała na jego przekazach z żołdem. Wtedy, kiedy je czasami dostawał. Ale facet, który strzela tak dobrze? Lepiej wykorzystać go gdzie indziej.

— Do czego?

— Do zabijania ludzi, których chcieliśmy zabić.

— Ale teraz już nie?

— Interesuje się pan piłką nożną? — zapytał Kienkin.

— Trochę.

— Najlepsi zawodnicy dostają najlepsze oferty. Tydzień wcześniej grają gdzieś na klepisku w małej wiosce, a po tygodniu są milionerami w Barcelonie, Madrycie, Londynie albo Manchesterze.

— I Dacew dostawał takie oferty?

— Mówił, że ma ich pełną kieszeń. Wściekł się na mnie, kiedy nie zaproponowałem mu czegoś na podobnym poziomie. A potem zniknął. I teraz jesteście tu, gdzie jesteście.

— Na ile jest dobry?

— Ma nadprzyrodzone zdolności.  
— Lubi pociski kalibru pięćdziesiąt?  
— Jednemu pasuje to, drugiemu coś innego. Z tej odległości, jasne.  
Nie odezwałem się.

— Ale nie sądzę, żeby to był on — dodał Kienkin.

— Dlaczego nie?

— Nie zgodziłby się stawać do konkursu. Nie musi niczego udowadniać.

— Więc który to z nich, pana zdaniem?

— Moim zdaniem to wasz facet. Musi coś udowodnić. Siedział piętnaście lat za kratkami.

Usłyszałem dzwonek komórki i czekałem, aż Kienkin wyjmie ją z kieszeni i odbierze, ale nie zrobił tego, i uświadomiłem sobie, że dzwonek dochodzi z mojej kieszeni. Dzwonił telefon, który dała mi Scarangelo. Wyciągnąłem go i zerknąłem na ekran. Widniał na nim napis *Zablokowane*. Wcisnąłem zielony przycisk.

— Tak? — rzuciłem.

To była Scarangelo.

— Jest pan sam?

— Nie.

— Jesteśmy podsłuchiwani?

— Prawdopodobnie przez trzy różne rządy.

— Nie przez ten telefon — powiedziała. — Może pan się nie przejmować.

— Czym mogę służyć?

— Dostałam właśnie wiadomość od O'Daya. Mamy wyniki badań chromatograficznych fragmentów, które przywieźliście z Arkansas.

— I co?

— To nie te same pociski. Nie przeciwpancerne. To amunicja sportowa. Pociski są specjalnie odlewane i obrabiane, żeby poprawić celność.

— Produkcji amerykańskiej?

— Niestety.

— Te cacka kosztują sześć dolców za sztukę. Czy O'Day śledzi przepływy pieniężne?

— Zajmuje się tym FBI. Ale to chyba dobrze? Ogólnie rzecz biorąc?

— Mogło być gorzej — przyznałem, po czym rozłączyłem się i schowałem komórkę z powrotem do kieszeni.

— Co jest amerykańskiej produkcji i kosztuje sześć dolców za sztukę? — zapytał Kienkin.

— To brzmi jak początek dowcipu — odparłem.

— A jaka jest punta?

Nie odpowiedziałem i chwilę później podszedł do nas ten sam starszy kelner. Kienkin zamówił kawę i białe bułeczki z masłem i dżemem morelowym. Mówił po francusku tak samo płynnie jak po angielsku, ale bez lokalnego akcentu.

— A jak się miewa generał O'Day? — zapytał mnie po odejściu kelnera.

— Zna go pan? — zdziwiłem się.

— Ze słyszenia. Wiedzieliśmy o nim wszystko. Właściwie go studiowaliśmy. Dosłownie, na sali lekcyjnej. Był dla KGB wzorem do naśladowania.

— Nie dziwię się. Ma się świetnie. Nie zmienił się nawet na jotę.

— Cieszę się, że wrócił. Pan pewnie też.

— Czy kiedyś w ogóle odszedł?

Kienkin zrobił minę, która mogła oznaczać wszystko.

— Domyślaliśmy się, że jego gwiazda przygasła. Okresy względnej stabilności nie są dobre dla takiego starego wiarusa jak on. Ale taka sprawa jak ta powoduje, że przypominamy sobie o ludziach. Nie można tracić nadziei.

W tym momencie kolejny citroen przecisnął się przez tłum pieszych i skręcił w alejkę. Kierowca z przodu, pasażer na tylnym siedzeniu. Zatrzymał się przy zielonych drzwiach i chwilę zaczekał. „Oczekują pana, *monsieur*”. Pasażer wysiadł na zewnątrz. Postawny facet, czterdziesto- albo czterdziestopięcioletni, lekko opalony, z przyszyżonymi krótko jasnymi włosami i nijaką kwadratową twarzą. Ubrany w niebieskie dżinsy, sweter i krótką brezentową kurtkę. Na nogach miał brązowe zamszowe wysokie buty. Może z pustynnych sortów brytyjskiej armii. Jego samochód odjechał, a on zerknął na zielone drzwi, po czym odwrócił się, spojrzął przed siebie, w lewo i w prawo, przeciął rue Monsigny i podszedł prosto do nas.

— Panowie Reacher i Kienkin, jeśli się nie mylę? — powiedział.

— Jest pan dobrze poinformowany — stwierdził Kienkin. — Skoro już pan wie, jak się nazywamy.

— Robimy, co w naszej mocy — odparł facet. Na moje ucho pochodził z Walii. Miał lekko śpiewny akcent. — Bennett — oznajmił, wyciągając rękę. — Miło panów poznać. Nie ma sensu mówić wam, jak mam na imię. Nie będziecie w stanie go wymówić.

— Jak brzmi? — zapytałem.

Facet wydał z siebie gardłowy dźwięk, jakby był chorym na płuca górnikiem.

— W porządku — powiedziałem. — Niech będzie Bennett. Jest pan z MI6?

— Mogę być, jeśli chcecie. To oni zapłacili za mój bilet. Ale w tym momencie wszystko jest dość płynne.

— Zna pan tego waszego faceta, Carsona?

— Spotykaliśmy się wiele razy.

— Gdzie?

— Tu i tam. Jak już powiedziałem, teraz wszystko jest dość płynne.

— Sądzi pan, że to on?

— Raczej nie.

— Dlaczego?

— Bo Francuzowi nic się nie stało. Moim zdaniem to wasz człowiek.

Bennett usiadł po mojej prawej stronie, naprzeciwko Kienkina. Kelner przyniósł to, co zamówił Kienkin, i Bennett poprosił go o to samo. Ja zamówiłem więcej kawy. Starszy facet był zadowolony. Rachunek rósł. Miałem nadzieję, że albo Kienkin, albo Bennett mają plik lokalnych pieniędzy. Bo ja nie miałem.

— Zna pan miejsce, w którym odbędzie się spotkanie G Osiem? — zapytał Rosjanin, zwracając się do Bennetta.

Ten pokiwał głową.

— Biorąc pod uwagę normalne standardy, jest dość bezpieczne. Może trochę mniej z grasującym na wolności Kottem.

— To niekoniecznie jest Kott — odezwałem się. — Musicie zachować otwarty umysł. Przyjmowanie z góry pewnych założeń może nam tylko utrudnić zadanie.

— Mam umysł otwarty tak szeroko, że zaraz wypadnie mi mózg. Mimo to nie sądzę, żeby to był Carson. Może Dacew.

— W takim razie to nie był konkurs i tracimy tylko czas na cały ten teoretyczny syf — stwierdził Kienkin. — Dacew nie stanąłby do konkursu. Jest na to zbyt arogancki. Jeśli rzeczywiście strzelał Dacew, to cała sprawa jest tym, czym się wydaje, czyli zamachem na Francuza, który nie powiódł się z powodu kuloodpornej szyby. A to oznacza, że tracimy tylko

czas, bo trop już od kilku dni jest nieaktualny.

Kelner wrócił z kawą i pieczywem dla Bennetta i trzecim dzbankiem kawy dla mnie, a po drugiej stronie ulicy w alejkę skręcił minivan z policyjnymi znakami i zatrzymał się przy zielonych drzwiach. Wsiadł z niego samotny gliniarz w niebieskim mundurze i kepi na głowie, zastukał do drzwi i czekał. Po minucie otworzyła mu kobieta w podomce i wywiązała się między nimi krótka i pełna konfuzji rozmowa. Przyjechałem po trzech facetów, oznajmił pewnie gliniarz. Jeszcze się nie zameldowali, odparła zapewne ona. Gliniarz cofnął się, spojrzął w prawo i w lewo wzdłuż alejki oraz w stronę rue Monsigny, po czym nasunął kepi na czoło i podrapał się po karku. A potem z pewnym opóźnieniem i jakby w zwolnionym tempie jego wzrok spoczął z powrotem na nas. Podziękował kobiecie w podomce i ruszył w naszym kierunku. Widziałem, że zdecydował się udawać, że nie wpadł w ogóle w konsternację, i uznać, że jesteśmy tymi, których szuka.

— Najpierw musimy pojechać na komisariat — oświadczył, podchodząc do naszego stolika. Powiedział to po francusku, z paryskim ulicznym akcentem (będącym odpowiednikiem brooklyńskiego akcentu w Nowym Jorku albo akcentu cockney w Londynie), lecz bez żadnego wdzięku, jęklwym zawodzącym tonem, jakby dźwigał na swoich barkach cały ciężar nieprzyjaznego świata.

— Mówi, że najpierw musimy pojechać na komisariat — powiedział Bennett.

— Wiem — mruknął Kienkin.

Ja się nie odezwałem.

W końcu to Kienkin zapłacił rachunek, wyłuskując banknot z rulonu nowiuteńkich euro, które mogły być prawdziwe albo i nie. Wszyscy wstaliśmy, przeciągnęliśmy się i strzepnęliśmy okruszki z ubrania, a potem przeszliśmy w ślad za gliniarzem przez ulicę w stronę minivana. Słońce wspinało się coraz wyżej po porannym jasnolazurowym niebie i zrobiło mi się trochę cieplej, ale nagle znowu powiał wiatr, zupełnie jakby ktoś dotknął chłodną dłońią mojego ramienia. Drogi płaszcz Kienkina załopotał wokół jego kolan, a potem równie niespodziewanie wiatr ucichł i znowu zrobiło się ciepło.

A my weszliśmy w ocienioną alejkę i wsiedliśmy do minivana, najpierw Bennett, potem Kienkin i na koniec ja, w tym momencie bez cienia troski, tak jak się wsiada w bazie do środka transportu, który jedzie do baru, klubu lub do jakiegoś innego miejsca, gdzie czekają kobiety.

Komisariat, do którego nas zabrali, tak naprawdę wcale nie był komisariatem. Nie było to miejsce, do którego przychodzi obywatel, żeby zgłosić zaginięcie kota albo kradzież portfela. Przypominało bardziej bunkier wywiadu, stojący pośród innych budynków rządowych na lewym brzegu rzeki, niedaleko Assemblée nationale, które jest francuską wersją amerykańskiego Kapitolu albo brytyjskiego pałacu westminsterskiego. Po wejściu przez anonimowe szare drzwi schodziło się dwa piętra niżej do labiryntu niskich pomieszczeń z pomalowanymi na szaro ścianami i wyłożonymi szarym linoleum podłogami. Domyśliłem się, że budynek należy do DGSE, i miałem nadzieję, że pieniądze, które zaoszczędzili na wystroju, zostały wydane na większą skuteczność.

Zaprowadzono nas do czegoś w rodzaju sali konferencyjnej, z której zabrano wszystkie krzesła, a na stole ustawiono w długim szeregu dwanaście laptopów. Wszystkie były otwarte pod tym samym kątem i na wszystkich widać było dokładnie to samo, czyli ruchome wygaszacze ekranu z napisem *Police nationale*, przesuujące się powoli, lecz zdecydowanie po ekranach, wszystkie w tym samym tempie i wszystkie odbijające się od brzegu ekranu jak w dawnej, przypominającej ping-pong grze wideo. Za naszymi plecami do środka weszła kobieta, drobna, ale całkiem dojrzała, w wieku być może czterdziestu pięciu lat, z miękkimi ciemnymi włosami i mądrymi ciemnymi oczyma. W innych okolicznościach mógłbym ją zaprosić na lunch, ona jednak kompletnie mnie zignorowała.

— Wszystkie nasze akta są teraz w formie cyfrowej — oświadczyła, nie zwracając się do nikogo w szczególności. — Zaczynjcie, panowie, od lewej strony i przesuwasz się w prawo, to dowiecie się wszystkiego, co wiemy.

Bennett, Kienkin i ja stanęliśmy zatem przed pierwszym ekranem. Rosjanin dotknął wypiełgnowanym paznokciem touchpada, wygaszacz ekranu zniknął i pojawił się zamiast niego zapis wideo. Był to, jak się domyślałem, przekaz francuskiej telewizji, transmitującej przemówienie prezydenta. Rzecz działa się wieczorem. Facet stał na podium przed rzeźbiście oświetlonymi szerokimi marmurowymi schodami. Za nim wisiały francuskie flagi. Stojących po bokach kuloodpornych szyb nie było prawie widać. Mikrofony osadzono na wygiętych niczym łabędzie szyje czarnych łodyżkach, które wyrastały z pulpitu mównicy. Sądząc po przekazywanym dźwięku, były kierunkowe. Wycelowano je w pierś, szyję i usta faceta i raczej nie wychwytywały całej reszty. Technicy telewizyjni dodali jednak najwyraźniej dźwięk z innych mikrofonów, ponieważ słyszeliśmy także cichy pomruk tłumu i uliczne odgłosy. Facet nawijał o tym, że postęp jest wciąż możliwy i że dwudziesty pierwszy wiek może nadal należeć do Francji, pod warunkiem że będzie ona prowadziła właściwą politykę, która, tak się przypadkowo składało, była firmowana przez niego. W pewnym momencie zająknął się, niemal w zamyśleniu spojrzął gdzieś wysoko w lewo, po czym wrócił do przerwane go wątku. Trzy sekundy później znowu spojrzął w lewo, tym razem na coś, co działo się o wiele bliżej. Ponownie się zająknął, a po dwóch sekundach przewrócono go i zniknął pod zwartą ciżbą facetów w czarnych garniturach, którzy popełzli razem z nim po podium niczym poruszający się szybko gigantyczny żółw.

Kienkin nacisnął ponownie paznokciem klawisz, żeby cofnąć nagranie do momentu, kiedy prezydent po raz pierwszy się zająknął i zerknął w lewo.

— To płomień wylotowy — powiedział. — Musi być. A to kula trafiająca w szybę — dodał po drugim zerknięciu trzy sekundy później.



Nie usłyszeliśmy odgłosu strzału. Być może jakiś wielki ekspert potrafiłby wyodrębnić go na ścieżce dźwiękowej, ale i tak nic by nam to nie dało. Wszyscy wiedzieli, że padł strzał.

— Zobaczycie dosyć? — zapytał Rosjanin.

Bennett pokiwał głową, ja w ogóle się nie odezwałem i Kienkin kliknął myszką. Na ekranie wyświetlił się uliczny plan Paryża. Jedna czerwona strzałka, oznaczona literą A, wskazywała na nim frontowe schody Les Invalides, druga, oznaczona literą B, gąszcz uliczek niedaleko Boulevard St-Germain. Dwie strzałki połączone były cienką czerwoną linią podpisaną *1300 metrów*.

— Les Invalides to stary szpital wojskowy — oznajmił Bennett.

— Wiem — powiedział Kienkin. — Teraz to zabytek. Całkiem okazały.

I całkiem odpowiednie miejsce do wygłoszenia ważnego politycznego przemówienia. Miejsce, które budzi pozytywne emocje, wystarczająco duże, by mógł się tam zgromadzić pokaźny tłum, i wystarczająco małe, żeby nie było obciachu, gdyby tłum okazał się jednak niezbyt liczny. Mogące poza tym pomieścić wozy transmisyjne oraz anteny satelitarne. Lokalizacja przy Boulevard St-Germain oznaczała pewnie kamienicę. Długi, bardzo długi strzał, oddany z grubsza w kierunku zachodnim, nad niskimi budynkami i w dużej części otwartą przestrzenią, prawie równoległe do rzeki. Z miejsca oddalonego co najwyżej kilometr od nas. Blisko domu dla każdego mającego coś wspólnego z rządem.

Kienkin kliknął po raz kolejny i następną rzeczą, jaką zobaczyliśmy, była zrobiona po fakcie fotografia podium i osłaniających je kuloodpornych szyb. Podium było kanciastą konstrukcją zaprojektowaną tak, by można ją było szybko zmontować, rozłożyć i składować, a kuloodporne szyby okazały się prawie niewidocznymi panelami o wysokości jakichś dwóch metrów i dziesięciu centymetrów, szerokości metra dwadzieścia i grubości może nawet dwunastu centymetrów, stojącymi w dyskretnej odległości po obu stronach niczym boczne ścianki przestronnej budki telefonicznej.

— W porządku? — zapytał Kienkin.

Bennett pokiwał głową, ja w ogóle się nie odezwałem i Rosjanin kliknął myszką. Na ekranie pojawiło się zdjęcie miejsca, w którym pocisk trafił w szybę. Zostawił na niej tylko małe białe wyszczerbienie, od którego odchodziły długie na ponad dwa centymetry pajęczne nóżki pęknięć. Klikając dalej, Kienkin pokazywał kolejne powiększenia, aż do zdjęcia zrobionego przez mikroskop elektronowy, na którym wyszczerbienie wyglądało jak Wielki Kanion, mimo że z dołączonego opisu wynikało, że ma niespełna dwa milimetry głębokości. Ostatnie zdjęcie było, podobnie jak pierwsze, w normalnym rozmiarze, lecz przetworzono je przy użyciu tej samej technologii wideo, jaką stosuje się podczas transmisji sportowych, kiedy obraz zatrzymuje się i obraca tak, by można go było zobaczyć pod innym kątem. Tutaj także obrócono fotografię tak, że spoglądaliśmy na kuloodporną szybę mniej więcej z boku, a potem punkt widzenia lekko się podniósł i zobaczyliśmy ją z góry. Jak się domyśliłem, z punktu widzenia snajpera, przez jego lunetę, z balkonu apartamentu tysiąc trzysta metrów dalej.

Mała biała szczybka była stamtąd prawie niewidoczna, ale po chwili w jej miejscu pojawiła się jasnoczerwona kropka, od której poprowadzono cienkie czerwone linie, pozwalające zmierzyć odległość od krawędzi szyby. Szczybka znajdowała się trochę ponad pięćdziesiąt centymetrów od lewej i trochę ponad siedemdziesiąt centymetrów od górnej krawędzi.

Kienkina najwyraźniej nie zachwyciły te pomiary.

Pochylił się i przez chwilę bacznie im się przyglądał.

— Widzicie to, co ja widzę? — zapytał.

Bennett nie odezwał się.

— Nie wiem, co pan widzi — powiedziałem.

Rosjanin odwrócił się i rozejrzał za ciemnowłosą kobietą.

— Czy możemy już jechać do apartamentu? — zapytał.

— Nie chcą panowie obejrzeć reszty prezentacji? — odparła.

— A co zawiera?

— Ekspertyzy techniczne, ślady, balistykę, metalurgię, tego rodzaju rzeczy.

— Można dzięki nim ustalić, kto strzelał?

— Nie do końca.

— W takim razie nie — powiedział Kienkin. — Nie chcemy oglądać całego tego syfu.

Chcemy zobaczyć apartament.

Pojechaliśmy obejrzyć apartament tym samym policyjnym minivanem, prowadzonym przez tego samego jękliwego gliniarza. Towarzyszyła nam ciemnowłosa kobieta z dwoma ze swoich laptopów oraz wysoki rangą funkcjonariusz Police nationale, siwowłosego weteran w niebieskim polowym mundurze. Przejazdówka była krótka i szybka, z Siódmej do Szóstej Dzielnicy, cały czas wzdłuż Boulevard St-Germain, a potem zaułkami odchodzącymi od rue Bonaparte, do ładnej starej kamienicy, która stała niepozorna i cicha pośród innych, podobnych do niej. Zbudowana w solidnym stylu Beaux Arts, miała wysoką dwuskrzydłową bramę, przez którą, mijając kanciapę dozorczyńni, wchodziło się na wewnętrzne podwórko z klatkami schodowymi i rozklekotanymi starymi windami w każdym z rogów. Bywałem w takich kamienicach już wcześniej. Można było w nich poczuć zapachy kurzu, gotowania i pasty do podłóg, usłyszeć dobiegające skądś stłumione dźwięki fortepianu i perlisty śmiech dziecka i zobaczyć wytworne, choć pamiętające lepsze czasy złocenia, wiśniowe boazerie, wytarte dywany z Aubusson i pieczołowicie wypolerowane meble w stylu empire.

Kierowca obudził dozorczyńnię, a ta otworzyła bramę, przez którą wjechaliśmy do środka i zaparkowaliśmy na podwórku. Następnie weszliśmy na klatkę schodową po lewej stronie, wspięliśmy się na piąte piętro i stanęliśmy przed zamkniętymi na klucz drzwiami, które nie były w żaden sposób oznakowane. Żadnej policyjnej taśmy, żadnej pieczęci prokuratora, żadnej informacji o toczącym się śledztwie.

— Do kogo należy to mieszkanie? — zapytałem.

— Właścicielka zmarła przed dwoma laty — oznajmił starszy facet z Police nationale.

— W jaki sposób snajper dostał się do środka?

— Najprawdopodobniej były w obiegu klucze.

— Dozorczyńni niczego nie widziała?

Starszy facet pokręcił głową.

— Sąsiedzi też nie.

— Czy na ulicy są kamery?

— Niczego nie nagrały.

— I nikt nie widział wychodzącego snajpera?

— Wszyscy oglądali chyba zamach w telewizji.

Facet wyjął klucz, który wyglądał na świeżo dorobiony, pokręcił nim w zamku i drzwi otworzyły się na oścież. Weszliśmy do wysokiego eleganckiego holu, od którego odchodził wysoki elegancki korytarz. Podłoga wyłożona była białymi i czarnymi płytami marmuru, zmatowiałego i nierównego po przejściu tysięcy stóp. Powietrze było chłodne i zastałe. Za podwójnymi, wysokimi na trzy albo trzy i pół metra drzwiami widać było pograżone w półmroku pokoje. Starszy facet wprowadził nas do salonu, a stamtąd do długiej, co najmniej dziesięciometrowej jadalni. Był tam olbrzymi mahoniowy stół, częściowo nakryty starym białym prześcieradłem, dwadzieścia krzeseł, po dziesięć z każdej strony, kafłowy kominek, który równie dobrze wyglądałby w jakimś zamczysku, a poza tym poplamione stare lustra, marmurowe popiersia i ciemne olejne pejzaże w ciężkich złożonych ramach. W przeciwległej ścianie było troje sięgających od podłogi do sufitu przeszkłonych drzwi. Wszystkie otwierały się do środka i wszystkie wychodziły na zachód. Środkowe znajdowały się na wprost wielkiego stołu, przy pozostałych stały marmurowe bufety. Klasyczny stary styl, spokojny, symetryczny, miły dla oka.

Za przeszkłonymi drzwiami był balkon.

Biegł wzdłuż całego pokoju i miał mniej więcej dwa i pół metra szerokości, podłogę z kamiennych płyt i niską kamienną balustradę. W stojących w rzędzie kamiennych donicach była przesuszona ziemia i zeschnięte resztki geranium. O ścianę między drzwiami opierały się dwa żelazne stoliki, każdy z dostawionymi dwoma żelaznymi krzesłami.

Za balustradą majaczyły w oddali frontowe schody przed budynkiem Les Invalides. Oddalone o jakieś tysiąc trzysta metrów. Prawie niewidoczne.

— Jak namierzyliście to miejsce? — zapytał Bennett.

— Prezydent zobaczył płomień wylotowy, co pozwoliło nam ustalić z grubsza kierunek — odparł facet z Police nationale. — Później wynikało to po prostu z analizy balistycznej, która dała nam cztery możliwe lokalizacje, wszystkie w tym budynku. Trzy inne mieszkania zajmują niewinne rodziny. To było puste. I zauważyliśmy świeże ślady na kurzu. Jesteśmy całkowicie pewni, że strzelano właśnie stąd.

— Wszystko to wyjaśniliśmy w naszej prezentacji — dodała ciemnowłosa kobieta. — Powinniście ją byli obejrzeć.

Kienkin pokiwał głową, po części przepraszającym, po części niecierpliwym gestem.

— Skąd dokładnie strzelał, waszym zdaniem? — zapytał.

— Zaczęliśmy od zdjęć zrobionych mikroskopem elektronowym — odparła kobieta. — Przeciwpancerne pociski mają wyjątkowo twarde czubek, mogliśmy zatem już na poziomie molekularnym ustalić dokładny kąt trafienia. Wyliczyliśmy szybkość, co dało nam odległość, i wyliczyliśmy spadek pocisku, co dało nam dokładną lokalizację. Naszym zdaniem strzał został oddany z centralnej części balkonu z pozycji siedzącej, z karabinu, którego nóżki były oparte o ziemię w środkowej donicy. Na ziemi są ślady, a na kamiennych płytach zadrapania.

Kienkin ponownie pokiwał głową.

— Rzućmy na to okiem — powiedział.

Wyszliśmy zatem wszyscy na balkon i rzuciliśmy okiem. Znajdowaliśmy się na piątym piętrze. Powietrze było tu świeże, widok wspaniały. Środkowa donica była solidna, ciężka i niewzruszona, niezbyt wysoka, ale stosunkowo szeroka, podobna z wyglądu do starożytnej greckiej wazy, gładka i omszała ze starości. Wydawała się całkiem prawdopodobnym miejscem. Biorąc pod uwagę, że cel znajdował się trochę niżej, siedzący strzelec średniego wzrostu powinien się za nią czuć całkiem wygodnie. Celowałby między dwoma omszałymi kolumnami o obłych kształtach, na których wspierała się poręcz.

— Ile wzrostu ma Dacew? — zapytałem.

— Metr siedemdziesiąt, metr siedemdziesiąt pięć — odparł Kienkin.

— A Carson? — zwróciłem się do Bennetta.

— Metr siedemdziesiąt.

Tak samo. Podobnie jak Kott, który kiedy widziałem go ostatnim razem przed szesnastu laty, miał metr siedemdziesiąt.

Rosjanin, nie zważając na swoje eleganckie ubranie, usiadł po turecku za donicą, zamknął jedno oko i zmrugał drugie.

— Zrobiliście stąd zdjęcia? — zapytał. — Kiedy przed Les Invalides nadal stało podium i szyby?

— Oczywiście — odparła kobieta. — Są w prezentacji. Powinniście ją byli obejrzeć.

— Przepraszam — mruknął Kienkin. — Może przypadkiem ma ją pani ze sobą?

— Tak się składa, że mam. — Kobieta odpaliła jeden ze swoich laptopów, przez chwilę klikała i przewijała, po czym postawiła go na donicy, tuż przed twarzą Kienkina. — Naszym zdaniem to zdjęcie odtwarza dość wiernie widok przez lunetę — powiedziała.

I rzeczywiście odtwarzało dość wiernie. Pochyliłem się, żeby też spojrzeć, i zobaczyłem

na ekranie podium, w miarę duże i w miarę z bliska, z osłaniającą cel, choć ledwie widoczną kuloodporną szybą. Stało porzucone i zapomniane pośrodku pospiesznie ewakuowanego i zamkniętego placu.

— Nie widzę tego małego wyszczerbienia — rzekł Kienkin.

Kobieta wcisnęła się między nas. Poczułem zapach Chanel. Kliknęła i na szybie pojawiła się czerwona kropka, pięćdziesiąt centymetrów od lewej i siedemdziesiąt centymetrów od górnej krawędzi.

— Jakiego dokładnie wzrostu jest wasz prezydent? — zapytał Rosjanin.

Ponownie kliknęła i za szybą pojawiła się jakaś postać, nie prezydent Francji, ale dubler, prawdopodobnie tej samej wagi i wzrostu. Najpewniej gliniarz albo ochroniarz.

Czerwona kropka znajdowała się piętnaście centymetrów na lewo od jego szyi.

— Widzicie? — powiedział Kienkin. — Wiedziałem. I tak by nie trafił. Pocisk zboczył w lewo i trochę niżej.

Dźwignął się na nogi, strzepnął żwir ze swojego burberry, zbliżył się do balustrady i spojrzął ponad szarymi paryskimi dachami w stronę Les Invalides. Bennett podszedł do niego i stanął po prawej stronie, a ja podszedłem z lewej i stanęliśmy wszyscy ramię przy ramieniu. Zobaczyłem Boulevard Raspail, szerokie ulice, samochody i ludzi, eleganckie szpalery ogłowionych drzew i ozdobne uliczne latarnie, otwarte zielone przestrzenie i ciche budynki koloru miodu, z czarnymi rynnami, spadzistymi dachami i obwisłymi flagami, a w oddali, kawał drogi za nimi, szczyt wieży Eiffla.

A potem wydarzyły się trzy rzeczy, w śmiertelnie równym, ustalonym z góry rytmie, powolnym niczym tykanie starego zegara, raz, dwa i trzy: najpierw w oddali błysnęło jasne światło, następnie w nagłym podmuchu wiatru załopotały wszędzie flagi, a potem tuż przy moim ramieniu wybuchła głowa Kienkina.

Leżałem na posadzce, zanim jeszcze runęło na nią martwe ciało Kienkina. Jego roztrzaskana głowa potrafiła mnie, kiedy padał, i zostawiła czerwono-szary śliski ślad na mojej kurtce. Pamiętam, że pomyślałem: Cholera, była zupełnie nowa, i nagle wylądował obok mnie Bennett, który sekundę później zniknął, jakby wykonał magiczną sztuczkę. Chwilę wcześniej leżał przy mnie na kamiennych płytach i zaraz potem — jak każdy dobry tajny agent — zapadł się pod ziemię. Nie trafiłeś do raportu, nie będzie karnej musztry, powiadają w Wielkiej Brytanii. Lepiej, żeby w ogóle nikt nie zapisał twojego nazwiska.

Kobieta z laptopami, bardziej jęcząc, niż krzycząc, wycofała się na czworakach do jadalni. Stary gliniarz w niebieskim mundurze sterczał jak skamieniały dokładnie w tym samym miejscu, w którym stał od początku, odsłonięty od pasa w górę. Co, moim zdaniem, nie robiło wielkiej różnicy, bo strzelec z pewnością nie miał zamiaru pozostać tam, skąd strzelał. Nie w centrum Paryża. Ukląłem, wyjrzałem znad balustrady i próbowałem sobie przypomnieć, gdzie widziałem płomień wylotowy. Zamknąłem oczy i zobaczyłem go ponownie, na lewo od zabytkowego szpitala i w związku z tym znacznie od niego dalej, w mansardowym oknie chyba na szóstym piętrze.

Otworzyłem oczy i sprawdziłem. Albo Boulevard de Latour-Maubourg, albo mała uliczka tuż za nim. Szary dach, w którym osadzone było owalne okno w stylu Beaux Arts, z misternym kamiennym obramowaniem. Oddalone o jakieś tysiąc czterysta pięćdziesiąt metrów. Prawie półtora kilometra. Siedemnastominutowy spacer normalnym krokiem. Obróciłem się na pięcie, odsunąłem na bok klęczącą kobietę z laptopami, przeciąłem szybko jadalnię, salon, korytarz i hol, po czym wyszedłem po schodach na podwórko, a stamtąd na ulicę.

Nie skierowałem się w stronę Les Invalides. To nie miało sensu. Uznałem, że snajper wyszedł już z budynku i z każdą minutą, którą traciłbym, by się tam dostać, zyskiwałby minutę, by się stamtąd oddalić. Usłyszałem z daleka syreny, tradycyjne żalosne zawrodo bi-bup, które nadal stosują Francuzi. Dużo syren. Dokąd zmierzał ten facet? Moim zdaniem nie na północ. I nie samochodem. Z powodu syren. Mosty na Sekwanie były wąskimi gardłami. Dałoby się z nich uciec, tylko skacząc do wody. A policja ma również łodzie. Facet przemieszczał się więc pieszo, na południe albo południowy zachód. Nie na południowy wschód, bo tam znajdował się Gare Montparnasse, a węzły transportowe były po mostach drugim miejscem, gdzie powinna pojawić się policja. Z tego samego powodu powinien unikać metra. Pokonał już około dwustu metrów na piechotę, prawdopodobnie wzdłuż Ecole Militaire, co oznaczało, że idzie Avenue de la Motte-Picquet albo Avenue Lowendal.

Ja wybrałem rue de Sèvres. Nie biegłem, ponieważ przejeżdżającym gliniarzom mogło się to nie spodobać, ale z całą pewnością podążałem energicznym, zdecydowanym krokiem. O wiele szybciej niż strzelec, który z tego, czego mogłem się spodziewać, szedł spacerkiem, bez pośpiechu i bez żadnego określonego celu — prawdziwe wcielenie niewinności — niosąc... Co dokładnie? Żadnego znanego mi snajperskiego karabinu kalibru .50 nie da się rozłożyć na oddzielne części. Nie bez użycia piły i palnika. Większość ma mniej więcej półtora metra długości i waży ponad dwadzieścia pięć kilo. Czy zawinął go w perski dywan? W belę materiału? A może gdzieś go ukrył?

Skręciłem w Boulevard Garibaldi i doszedłem do wniosku, że w tym momencie facet musi mnie wyprzedzać o jakieś trzysta metrów i przecina właśnie daleko przede mną moją trasę, przyspieszyłem więc ostro i po trzech minutach szybkiego marszu dotarłem do rogu rue de la

Croix-Nivert, która jest przedłużeniem Avenue Lowendal. Przecznicę dalej biegła rue du Commerce, która jest przedłużeniem Avenue de la Motte-Picquet. Facet musiał wybrać jedną z nich i zdążył na południowy zachód, w sam środek Piętnastej Dzielnicy, gdzie mógł się poczuć bezpiecznie.

Wybrałem pierwszą ulicę, ponieważ uznałem koniec końców, że na Avenue Lowendal facet będzie czuł się lepiej niż na Motte-Picquet. Idąc nią, był odgradzony masywnym gmachem Ecole Militaire od policyjnych sił szybkiego reagowania, nadjeżdżających od strony wieży Eiffla. Skręciłem więc tam, znowu przyspieszyłem kroku i wpatrując się w siną dal, wpadłem na niewielkiego faceta podążającego w przeciwnym kierunku. Mignął mi przed oczyma, zanim to się stało, i odniosłem wrażenie, że to Azjata, prawdopodobnie Wietnamczyk, starszy, niż można by sądzić po jego żwawym kroku. Kiedy się zderzyliśmy, okazał się muskularny, nabity i zaskakująco ciężki.

Zwolniłem nieco, żeby pozwolić mu się ode mnie odbić. Miałem nadzieję, że się nie przewróci, ja zaś będę mógł go przeprosić i bez zbędnej zwłoki ruszyć dalej. Ale on się nie odbił. Przywarł do mnie mocno, zaciskając dłonie na fałdach mojej kurtki i pociągając mnie w dół, jakby ugięły się pod nim kolana. Zatoczyłem się do przodu i lekko pochyliłem, starając się nie nadepnąć mu na odcisk, a on obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara, oparł się o mnie i zaczął popychać w stronę krawężnika.

I nagle mnie uderzył.

Cofnął prawą dłoń, puszczając moją marynarkę, zacisnął palce i próbował walnąć mnie w krocze. Co mogło mi przysporzyć poważnych problemów, gdyby nie to, że zdążyłem się uchylić i zacisnięte palce trafiły w wewnętrzną stronę mojego uda, które również jest dość wrażliwym miejscem. Uderzenie poraziło jakiś nerw i noga na chwilę mi zdrętwiała. Facet musiał to wyczuć, bo znowu zaczął mnie z całej siły popychać, a był całkiem krzepki. Za plecami słyszałem przejeżdżające samochody, naprawdę blisko. Wąska paryska ulica, średnia prędkość około sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, dziewięciu na dziesięciu kierowców gadających przez komórki.

Wystarczy.

Złapałem faceta za gardło i odsunąłem od siebie na długość ramienia, dalej, niż mógł sięgnąć pięściami. Mógł mnie oczywiście kopnąć, ale wtedy ja mogłem go przydusić mocniej, i chyba to zrozumiał. Ruszyłem do przodu, popychając go przed sobą.

I w tym momencie pojawili się gliniarze.

Było ich dwóch, obaj młodzi — zwykli stójkowi w małym samochodzie i tanich niebieskich mundurach, nieróżniący się wiele od pracowników oczyszczania miasta czy zamiataczy ulic. Ale mieli prawdziwe odznaki i prawdziwą broń. A scenariusz rozgrywający się na ich oczach wydawał się oczywisty. Wielki biały mężczyzna dusił małego sędziwego Azjatę, popychając go przed sobą po chodniku. Z całą pewnością nasuwało to fatalne skojarzenia. Zatrzymałem się więc i puściłem starego.

Który natychmiast uciekł.

Skręcił w lewo, skręcił w prawo i zniknął z pola widzenia. Gliniarze go nie ścigali. Wydawało się to całkiem logiczne. Facet był ofiarą, nie sprawcą. Nie potrzebowali zeznań ofiary, bo widzieli całe zajście na własne oczy. Sprawa nie budziła żadnych wątpliwości. Miałem jedną piątą sekundy na podjęcie decyzji. Zostać czy wziąć nogi za pas? Ostatecznie uznałem, że władza, jaką miał O'Day, pomoże mi w każdym wypadku, i to błyskawicznie. A po snajperze i tak nie pozostanie już żaden ślad. Stojąc w miejscu, zaoszczędzę wszystkim zadyszki. Więc dlatego zostałem.

• • •

Aresztowali mnie bez większych ceregieli, na chodniku przed trafiką, pod całym szeregiem zarzutów, wśród których były napaść, naruszenie nietykalności cielesnej, nienawiść rasowa i maltretowanie osób starszych. Wsadzili mnie do tyłu samochodu i zawieźli na komisariat przy rue Lecourbe. Dyżurni przeszukali mnie i zabrali komórkę Scarangelo, mój nowy paszport, a także szczoteczkę do zębów, kartę bankową, całą moją amerykańską gotówkę i pustą fiolkę po lekach należących do Casey Nice. Wsadzili mnie do celi z dwoma innymi facetami. Jeden był pijany, drugi naćpany. Kazałem pijanemu, żeby ustąpił mi miejsca na ławce. Lepiej od razu ustalić, kto tu rządzi. Na dłuższą metę zaoszczędziłem mu w ten sposób kłopotów. Usiadłem na jego miejscu, oparłem się o ścianę i czekałem. Wyobrażałem sobie, że moje nazwisko pojawi się w systemie w ciągu dwudziestu minut, i byłem pewien, że Scarangelo będzie mnie już wówczas intensywnie szukała.

• • •

Odnalezienie mnie zajęło jej godzinę. Przyjechała z siwowłosym facetem w eleganckim garniturze, który był chyba wielką szychą w tych stronach. Wszyscy obecni w komisariacie gliniarze stanęli na baczność. Po minucie miałem z powrotem w kieszeniach swoje rzeczy, a po kolejnej znaleźliśmy się na zewnątrz. Byłem wolny i nie ciążyły na mnie żadne zarzuty. Taka była władza O'Daya. Scarangelo wsiadła do tego samego czarnego citroena, który zabrał ją z Le Bourget, ja wsunąłem się do środka w ślad za nią, a facet w garniturze został na chodniku, zamknął za nami drzwi i zawołał po francusku do kierowcy, żeby odwiózł nas prosto na lotnisko.

Samochód ruszył z miejsca, a ja obejrzałem się i zobaczyłem, że facet przez sekundę odprowadza nas wzrokiem, a potem wchodzi z powrotem do komisariatu.

— Dlaczego pan wybiegł? — zapytała Scarangelo.

— Nie wybiegłem. Nie lubię biegać. Wyszedłem.

— Dlaczego?

— Jestem waszym gliniarzem. Szukałem sprawcy. To właśnie robią gliniarze.

— Nie był pan w jego pobliżu. Był pan w zupełnie złym miejscu.



- Uznałem, że nie będzie długo przebywał tam, skąd strzelał.
- Mylił się pan.
- Więc co się wydarzyło?
- Złapali go. I mają jego broń.
- Złapali go?
- Czekał na miejscu.
- Który to z nich?
- Żaden. To był Wietnamczyk, mniej więcej dwudziestoletni chłopak.
- Z jakiej broni strzelał?
- Z AK-czterdzieści siedem.
- Gówno prawda.
- Pańskim zdaniem — odparła.

Chciałem się odezwać, ale Scarangelo podniosła rękę.

— Nie chcę nic słyszeć — mruknęła. — Nie chcę znać surowych danych. Jutro mogą się zacząć wezwania do sądu. Bezpieczniej dla mnie, jeśli nie będę nic wiedziała. Mam zamiar zaczekać na oficjalne oświadczenie.

— Chciałem zapytać, czy nie będzie pani to przeszkadzać, jeśli pojedziemy okrężną drogą — powiedziałem.

— Czekają na nas samolot.

— Bez nas nie odleci.

— Dokąd chce pan jechać?

— Niech pan jedzie do Bastille i skręci w prawo — powiedziałem do kierowcy, pochylając się do przodu.

— W Roquette? — zapytał po chwili zastanowienia.

— Do samego końca — odparłem. — I niech pan zaczeka przy bramie.

— Tak jest, proszę pana.

Scarangelo zmierzyła mnie znowu badawczym spojrzeniem i nagle zainteresowała ją moja kurtka. A dokładniej czerwono-szary śluz, który teraz pociemniał i spurpurowiał i przy bliższych oględzinach okazał się upstrzony drobnymi odłamkami białej kości.

— Co to jest? — zapytała.

— Facet, którego kiedyś znałem.

— Obrzydliwość.

— To surowe dane.

— Potrzebuje pan nowej kurtki.

— To jest nowa kurtka.

— Musi się pan jej pozbyć. Kupimy panu inną. Teraz.

— Czekają na nas samolot.

— Nie zajmie nam to dużo czasu.

— Jesteśmy we Francji — powiedziałem. — Nic, co mają w tutejszych sklepach, nie będzie na mnie pasować.

— Dokąd jedziemy? — zapytała.

— Przed wyjazdem chciałbym coś zrobić — odparłem.

— Co takiego?

— Chcę się przespacerować.

— Gdzie?

— Zobaczy pani.

• • •

Przejechaliśmy przez Sekwanę mostem d'Austerlitz, skręciliśmy w lewo w Boulevard de la Bastille i ruszyliśmy w kierunku Kolumny Lipcowej, szybko i płynnie, zupełnie jakby kierowca włączył syrenę i migające światła, choć wcale tego nie zrobił. Pomnik stał pośrodku ogromnego ronda, tak samo porąbanego jak wszystkie inne w Paryżu, a czwartą odchodzącą od niego ulicą była rue de la Roquette, która prowadziła na wschód, prosto do bramy cmentarza.

— Père Lachaise — domyśliła się Scarangelo. — Jest tu pochowany Chopin. I Molier.

— A także Edith Piaf i Jim Morrison — dodałem. — Z Doorsów.

— Nie mamy czasu na zwiedzanie.

— To nie zajmie dużo czasu — odparłem.

Kierowca zaparkował przy bramie i wysiadłem. Scarangelo ruszyła wraz ze mną.

W drewnianej budce sprzedawali plany z zaznaczonymi sławnymi grobami. Tak jak w Hollywood sprzedają plany z domami gwiazd. Ruszyliśmy szeroką zwirowaną aleją, a potem skręciliśmy w lewo i w prawo, mijając okazałe mauzolea i białe marmurowe nagrobki. Szedłem na chybił trafił, mając w pamięci ponury, szary zimowy poranek sprzed wielu lat. Stąpałem powoli, co jakiś czas się zatrzymując i sprawdzając, aż w końcu dotarłem do tego, czego szukałem, czyli pasa zielonej wiosennej trawy z szerokimi niskimi nagrobkami. Znalazłem ten właściwy. Był jasny, prawie w ogóle niezniszczony, z nadal wyraźną i precyzyjną inskrypcją: *Joséphine Moutier Reacher, 1930—1990*. Życie, które trwało sześćdziesiąt lat. Przyszedłem na świat dokładnie w jego połowie. Stałem tam z rękoma zwisającymi po bokach i krwią i mózgiem innego mężczyzny na kurtce.

— Rodzina? — zapytała Scarangelo.

— Moja matka — odparłem.

— Dlaczego tu jest pochowana?

— Urodziła się w Paryżu i zmarła w Paryżu.

— Dlatego tak dobrze zna pan miasto?

Pokiwałem głową.

— Przyjeżdżaliśmy tutaj od czasu do czasu. A po śmierci mojego ojca z powrotem tutaj zamieszkała. Przy Avenue Rapp. Po drugiej stronie Les Invalides. Odwiedzałem ją, kiedy mogłem.

Scarangelo pokiwała głową i przez jakiś czas milczała, być może z szacunku. Stała obok mnie ramię przy ramieniu.

— Jaka była? — zapytała.

— Drobną, ciemnowłosa, ale niebieskooka, bardzo kobieca, bardzo uparta. Ale generalnie szczęśliwa. Najlepsza pod słońcem. Wchodziła do jakiejś zaplutej kwatery piechoty morskiej na końcu świata, uśmiechała się i mówiła 'Ome sweet 'ome. Nie wymawiała głoski „h” z powodu francuskiego akcentu.

— Sześćdziesiąt lat to niewiele — zauważyła Scarangelo. — Przykro mi.

— Takie życie — odparłem. — Nie skarżyła się.

— Na co umarła?

— Na raka płuc. Dużo paliła. Była Francuzką.

— To Père Lachaise.

— Wiem.

— Chodzi mi o to, że nie każdy może tutaj zostać pochowany.

— Oczywiście. Zrobiłby się straszny tłok.

— Chodzi mi o to, że to wielki honor.

— Zasługi wojenne.

Scarangelo znowu spojrzała na nagrobek.

— W której wojnie?

— drugiej wojnie światowej.

— Miała piętnaście lat, kiedy się skończyła.

— To były trudne czasy.

— Co robiła?

— Działała w ruchu oporu. Zestrzeleni nad Holandią i Belgią alianccy lotnicy byli przetrzucani na południe przez Paryż. Zajmowała się tym cała siatka. Jej zadaniem było przeprowadzanie ich z jednego dworca na drugi i wysyłanie w drogę.

— Kiedy?

— W większości w czterdziestym trzecim. Mówią, że brała udział w osiemdziesięciu akcjach.

— Miała trzynaście lat.

— To były trudne czasy — powtórzyłem. — Uczennica świetnie się do tego nadawała. Miała mówić, że lotnicy są wujkami lub braćmi, którzy odwiedzili ją w mieście. Na ogół byli przebrani za urzędników albo wieśniaków.

— Narażała życie. I życie swojej rodziny.

— Codziennie. Ale dobrze sobie radziła.

— Nie było o tym mowy w pańskich aktach — stwierdziła Scarangelo.

— Nikt nie wiedział. Nie mówiliśmy o tym. Nie wiem nawet, czy powiedziała o tym mojemu ojcu. Po jej śmierci znaleźliśmy medal. A potem pewien starszy pan przyszedł na jej pogrzeb i opowiedział nam o wszystkim. Był jej oficerem prowadzącym. Chyba też już nie żyje. Nie byłem tutaj, odkąd ją pochowaliśmy. Pierwszy raz widzę ten nagrobek. Przypuszczam, że zajął się tym mój brat.

— Dobrze wybrał.

Pokiwałem głową. Skromny pomnik dla skromnej kobiety. Zamknąłem oczy i przypomniałem sobie, kiedy ostatnio widziałem ją żywą. Śniadanie z dwoma dorosłymi synami, w jej mieszkaniu przy Avenue Rapp. Runął wtedy mur berliński. Była już bardzo chora, ale starała się elegancko ubierać i normalnie zachowywać. Piliśmy kawę i jedliśmy croissantsy. To znaczy piliśmy i jedliśmy ją z bratem, a ona skrywała brak apetytu, opowiadając różne rzeczy. Mówiła o ludziach, których znaliśmy, miejscach, które odwiedzaliśmy, rzeczach, które się tam wydarzyły. Potem przez jakiś czas milczała i w końcu dała nam dwie ostatnie rady, takie same jak te, których udzielała nam zawsze. Coś w rodzaju matczynego rytuału. Robiła to wcześniej tysiąc razy. Wstała z trudem z krzesła, podeszła od tyłu do Joego, położyła dłonie na jego ramionach, po czym tak jak zawsze pochylała się i pocałowała go w policzek. Wszystko zgodnie z ustaloną wcześniej choreografią.

— Czego nie musisz robić, Joe? — zapytała.

Joe nie odpowiedział, bo nasze milczenie stanowiło część rytuału.

— Nie musisz rozwiązywać wszystkich problemów na tym świecie. Tylko niektóre z nich. Starczy ich dla ciebie.

Pocałowała go jeszcze raz, po czym podeszła z trudem do mojego krzesła i pocałowała z kolei mnie. Zmierzyła drobnymi dłońmi moje ramiona i pomacała twarde mięśnie, jak zawsze zafascynowana tym, że jej malec urósł taki duży.

— Masz siłę dwóch normalnych chłopców — stwierdziła, mimo że zbliżałem się wtedy do trzydziestki. — Co zrobisz z tą całą siłą?

Nie odpowiedziałem. Nasze milczenie było częścią rytuału. Matka odpowiedziała za mnie.

— Będziesz postępował właściwie — oznajmiła.

I na ogół próbowałem to robić, co czasami przysparzało mi problemów, a czasami sprawiało, że zdobywałem własne medale. W ramach skromnego hołdu pochowałem razem z nią moją Srebrną Gwiazdę. W tym momencie leżała pod moimi stopami, w paryskiej ziemi, na głębokości dwóch metrów. Pomyślałem, że wstążka dawno już zgniła, ale metal nadal jest lśniący.

Otworzyłem oczy, cofnąłem się o krok i spojrzałem na Scarangelo.

— W porządku, możemy już iść — powiedziałem.

W kabinie samolotu było ciepło, więc nie chcąc wystawiać na próbę delikatnych zmysłów Scarangelo, zdjąłem pobrudzoną kurtkę, złożyłem ją wierzchem do środka i cisnąłem na pusty fotel. Po czterdziestu minutach opuściliśmy francuską przestrzeń powietrzną, następnie na wysokości dwunastu tysięcy dziewięciuset metrów przecięliśmy na ukos Wielką Brytanię i zaczęliśmy przemierzać północny Atlantyk. Trasą koła wielkiego. Zjedliśmy to, co załoga zabrała z Le Bourget, i wyciągnęliśmy się oboje na rozkładanych fotelach, po obu stronach przejścia, naprzeciwko siebie, blisko, ale bez przesady.

— Kim dokładnie był ten facet w garniturze? — zapytałem.

— Szefem sekcji antyterrorystycznej w DGSE — odparła Scarangelo.

— Ten młody Wietnamczyk jest od niego? Ten z AK-czterdzieści siedem?

— Jak to od niego?

— Czy jest kolejnym kozłem ofiarnym? Dla gazet?

— Nie, to prawdziwy sprawca. Nadal tam stał, przy tym mansardowym oknie.

Nie odezwałem się.

— Co jest? — zapytała.

— Nie będzie pani chciała słuchać tego, co powiem.

— Czy to coś, co rozwikła O'Day?

— Jestem pewien, że już to zrobił.

— W takim razie może mi pan przedstawić szersze tło.

— Co pani pamięta o Sowietach? — zapytałem.

— Wiele rzeczy.

— Przed wszystkim byli realistami, zwłaszcza jeśli chodzi o ludzką naturę i wartość ich własnego personelu. Mieli bardzo dużą armię, co oznaczało, że ich przeciętny żołnierz był leniwy, niekompetentny i pozbawiony jakichkolwiek przydatnych talentów. Przyjęli to do wiadomości i rozumieli, że nie mogą na to nic poradzić. Więc zamiast szkolić ludzi, by sprostali standardom dostępnej nowoczesnej broni, zaprojektowali swoją dostępną nowoczesną broń tak, by dali sobie z nią radę ich ludzie. Co było naprawdę radykalnym podejściem.

— Rozumiem.

— Stąd wziął się AK-czterdzieści siedem. Weźmy pierwszą lepszą sytuację. Co robi spanikowany żołnierz pod ogniem przeciwnika? Łapie swój karabin, przesuwając selektor ognia i pociąga za spust. W naszych karabinach selektor działa tak, że po odbezpieczeniu przechodzi się na ogień pojedynczy, a potem na ciągły, co jest sympatyczne i logiczne, ale wiadomo, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto nasi ludzie wpadną w panikę, przesuną selektor do końca i w rezultacie oddając pierwszy, źle wymierzony strzał, opróżnią cały magazynek. I kiedy dojdzie do prawdziwej strzelaniny, nie będą mieli czym strzelać. A to jest bardzo frustrujące. Dlatego selektor w AK-czterdzieści siedem przechodzi po odbezpieczeniu na ogień ciągły, a potem na pojedynczy. To nie jest sympatyczne ani logiczne, ale z całą pewnością praktyczne. Ogień pojedynczy jest jakby opcją domyślną, a ciągły wynika ze świadomego wyboru.

— Rozumiem.

— Poza tym wiedzieli, że w warunkach polowych karabin nie może być stale czyszczony i utrzymywany w nienagannym stanie, w związku z czym postarali się, by był niezawodny praktycznie w każdych okolicznościach. Kiedy pociągasz za spust, pada strzał. Znajdowaliśmy

AK-czterdzieści siedem, które leżały w ziemi przez długie lata i ich drewniane części w całości zostały zeżarte przez owady, a mimo to działały bez zarzutu.

— Rozumiem.

— Wiedzieli także, że ich żołnierz i tak nie trafi w nic, co jest oddalone powyżej stu metrów. Prawdopodobnie nie widział nic, co było oddalone powyżej stu metrów. Więc po co wydawać pieniądze, żeby broń była bardziej celna? AK-czterdzieści siedem jest po pierwsze, po drugie i po trzecie niezawodny, ale celność jest zerowa. To broń do walki w krótkim dystansie. Na ulicy, w mieście, co najwyżej między brzegami rzeki.

— Chce pan powiedzieć, że z tej broni nie można było oddać tego strzału?

— Za żadne skarby świata. Mogłaby pani dać Kottowi, Carsonowi albo Dacewowi najlepsze wyprodukowane kiedykolwiek AK-czterdzieści siedem, a i tak do niczego by im się nie przydało na dystansie powyżej trzystu metrów. A strzał, który zabił Kienkina, został oddany z odległości tysiąca czterystu metrów. Ponad cztery razy większej. Nie trafiliby nawet we właściwy budynek. Poza tym pocisk jest lichej jakości. W ogóle by tam nie doleciał. Musieliby podnieść lufę o trzydzieści stopni i posłać pocisk w górę, żeby potem opadł. Tak jak rakietka balistyczna. Taki strzał jest po prostu niemożliwy. A nawet gdyby im się to udało, dolatujący pocisk miałby tak niewielką energię, że można by go odbić raketką pingpongową. Odbiłby się od nażelowanych włosów Kienkina. Ale się nie odbił. Urwał mu głowę z ramion.

— A zatem?

— To nie był dwudziestoletni Wietnamczyk z kałasznikowem.

— W takim razie dlaczego go tam znaleźli?

— Domyślam się, że stanowiło to część umowy. Kott, Carson, Dacew czy też ktokolwiek to był, zapewnił sobie lokalne wsparcie. Co w Paryżu może oznaczać Wietnamczyków. Mają tutaj dużą społeczność. Jestem pewien, że większość z nich uczciwie zarabia na życie, prowadząc taksówki czy co tam jeszcze i generalnie ciężko pracując, ale jestem równie pewien, że część zasila uliczne gangi. Umieścili ich kilkunastu na ulicy jako ruchomy kordon, żeby umożliwić sprawcy ucieczkę. Nie mam wątpliwości, że ten starszy facet, który stanął mi na drodze, do nich należał. Był ruchomą przeszkodą. A młodego posłali na ten strych, żeby zmylił policję. To dla niego chrzest bojowy. Zostanie aresztowany, nie puści pary z gęby, trochę posiedzi i zdobędzie szlify. Założę się, że w tym kałasznikowie usunięto iglicę, żeby można go było za jakiś czas zwolnić.

Scarangelo przez jakiś czas milczała.

— To musi być Dacew, prawda? — odezwała się w końcu. — Co Kott albo Carson mieliby przeciwko Kienkinowi?

— O'Day na pewno zaprezentuje nam na ten temat najprzeróżniejsze teorie — odparłem.

• • •

Okazało się jednak, że metoda sokratejska ma swoje ograniczenia. O'Day, Shoemaker i Nice rozważyli wszystkie za i przeciw, ale nie udało im się dojść do wniosków podzielanych przez wszystkich rozumnych ludzi. Otrzymali szczegółowe raporty z Paryża, Moskwy i Londynu, a także diagramy, fotografie oraz zapisy wideo i analizowali je po wielokroć, ale nie doszli do żadnych konkluzji. Czekali na mnie, żeby usłyszeć, co mam do powiedzenia.

Wylądowaliśmy w Pope Field późnym popołudniem, niespełna dzień po wylocie, odzyskawszy sześć godzin, które straciliśmy, lecąc do Paryża. Scarangelo chciała wziąć prysznic, zanim wszyscy siądziemy i zajmujemy się sprawą, a ponieważ wydawało się to rozsądne, O'Day dał nam trzydzieści minut, które ja też spędziłem pod prysznicem, najpierw splukując Kienkina z mojej kurtki, co okazało się dość łatwe, bo materiał był wodoodporny i maż

szybko z niego spłynęła. Polewałem kurtkę tak długo, aż kapiące z niej krople były czyste, a potem osuszyłem ją ręcznikiem. Następnie sam się opłukałem, użyłem szamponu oraz mydła i ubrałem się wystarczająco szybko, żeby przed początkiem konferencji zajrzeć do bufetu. Na stole było niewiele do jedzenia, ale została przynajmniej kawa, nalałem więc sobie filiżankę i udałem się na górę.

O'Day siedział tam gdzie zawsze z towarzyszącym mu Shoemakerem. Usiadłem powitany uśmiechem przez Casey Nice, a zaraz po mnie weszła Scarangelo, zaróżowiona od gorącej wody, z niewysuszonymi do końca włosami, ubrana w kolejną czarną spódnicę i zakiet.

— Po pierwsze, pozbadźmy się Wietnamczyków — powiedział O'Day.

— Już tego kiedyś próbowaliśmy — mruknąłem.

Nie uśmiechnął się. Domyślałem się, że podczas tamtego dawnego konfliktu wyglądał tylko na osiemdziesiąt lat i był pewnie odpowiedzialny za jakąś strategię. Najwyraźniej nadal był w tej kwestii nieco przewrażliwiony.

— Zakładamy, że strzelec albo jego mocodawcy zapłacili miejscowym kryminalistom za wsparcie — powiedziała Casey Nice, przerywając niezręczne milczenie. — Albo za zgodę na działanie na ich terenie. Albo za jedno i drugie.

— Całkiem prawdopodobne — przyznałem. — Chyba że to Wietnamczycy są mocodawcami. Może to się odbywa na poziomie rządowym. Może mają zamiar najechać Rosję.

— Mówisz serio?

— Niezupełnie — odparłem. — Zgadza się. To było lokalne wsparcie.

— W takim wypadku będzie dla nich kwestią dumy i dyscypliny, żeby nie puścić pary z ust. Wskutek czego będziemy dysponować wyłącznie naszymi własnymi interpretacjami bardzo niejasnego i pełnego luk scenariusza.

— Nie ma w nim żadnych luk. W każdym razie nie z punktu widzenia Kienkina.

— Naszym zdaniem pojechał do Paryża, pragnąc gorąco przekonać nas i Brytyjczyków, że Dacew nie maczał w tym palców. Zgadzasz się?

Pokiwałem głową.

— Mówił, że stając do konkursu, Dacew by się poniżył.

— A DGSE uważa, że Kienkin chciał chyba za wszelką cenę udowodnić, że strzał był niecelny. I miał rację. Kula poszła za bardzo w lewo i lekko w dół. Moskwa twierdzi, że Dacew nigdy nie chybia. A odchylenie w lewo i w dół wydaje się typowe dla Kotta. Sądząc po tych papierowych tarczach, które widzieliśmy w Arkansas.

— To nie Kott strzelał z tego balkonu na piątym piętrze — powiedziałem.

O'Day podniósł wzrok.

— Jak do tego doszedłeś?

— DGSE ustaliło, że strzelec siedział za donicą. Tymczasem Kott przez rok trenował, leżąc na brzuchu. To tak jak z pozycją, w jakiej się śpi. Każdy ma swoją własną. A siedzenie za donicą nie jest po prostu w stylu Kotta.

O'Day pokiwał głową.

— Dobrze wiedzieć — mruknął.

— Ale Kienkin nie mógł o tym wiedzieć — wtrąciła Casey Nice. — Mógł tylko twierdzić, że Dacew na pewno by nie chybił. I był z siebie bardzo zadowolony, dopóki nie zginął. I w tym momencie sprawa staje się niejasna. To znaczy: wszystko wskazuje na to, że to nie Dacew, i nagle okazuje się, że to on. Bo między Dacewem i Kienkinem były pewne nieporozumienia, a między Kottem i Kienkinem czy Carsonem i Kienkinem prawie na pewno ich nie było.

— Wstań — powiedziałem.

— Co?

— Wstań i zdejmij but.

— Po co?

— Po prostu to zrób.

Casey Nice wstała.

— Z której nogi? — zapytała.

— Którykolwiek — odparłem i też wstałem.

Nice pochyliła się i zdjęła lewy but, a ja podszedłem do drzwi. Podobnie jak wszystkie inne w tym budynku były zrobione z drewna i miały dwa metry wysokości i osiemdziesiąt centymetrów szerokości.

— Przypuśćmy, że to jest szklana szyba — powiedziałem. — Przypuśćmy, że wiesz, że jest całkiem twarda. Przypuśćmy, że daję ci jedną jedyną szansę, żeby roztrzaskać ją obcasem buta. Mocne, porządne uderzenie. Pokaż, gdzie byś walnęła.

Stała przez chwilę w miejscu, a potem pokuśtykała w moją stronę. Obróciła but w dłoni i złapała go niczym broń.

— Nie mam wystarczającej wiedzy — powiedziała. — Powinnam wiedzieć coś na temat technologii ceramiki. Na temat materiałoznawstwa.

— Dacew, Kott i Carson też nie są naukowcami. Zdaj się na instynkt.

Zobaczyłem, że przygląda się kolejnym miejscom. Podniosła na próbę but i lekko go przesunęła, jakby rozpatrywała w myślach różne pozycje.

— Opisz mi swój sposób myślenia — poprosiłem.

— Nie uderzę nigdzie blisko krawędzi — powiedziała. — Szkło tylko by odprysło, niczym mały kawałek dużego ciastka.

— Rozumiem.

— I nie w sam środek. Mam wrażenie, że siła uderzenia rozeszłaby się wtedy równo na wszystkie strony, a potem odbiła się od krawędzi i jakby sama się anulowała. Gdybym uderzyła w środek, szyba mogłaby się tylko wygiąć niczym membrana bębna.

— Więc gdzie?

— Gdzieś z boku, ale nie przy samym skraju. Żeby wstrząs był asymetryczny. Żeby pomogły wewnętrzne naprężenia.

— Pokaż.

Casey Nice przyjrzała się po raz ostatni drzwiom, podniosła but, udała, że bierze wielki zamach, i w końcu obcas dotknął drzwi w ich górnej lewej części, tak że gdyby przeskalować je do rozmiarów kuloodpornej szyby w Paryżu, punkt, który wybrała, znalazłby się trochę ponad pięćdziesiąt centymetrów od lewego i trochę ponad siedemdziesiąt centymetrów od górnego skraju.

— Faceta miał zabić drugi strzał — powiedziałem. — Nie pierwszy. Pierwszy strzał miał rozbić szybę. To wszystko. Więc snajper nie chybił. Trafił prosto w cel.

• • •

Casey Nice poszła chwilę przy drzwiach, po czym włożyła but i usiedliśmy z powrotem.

— Moim zdaniem Kienkin rozumiał to od samego początku — ciągnąłem. — Hipoteza, że to był Dacew, stała się dzięki ustaleniom DGSE bardziej, a nie mniej prawdopodobna. Kienkin przyjechał tam, mając nadzieję, że jego podopieczny jest niewinny, ale wszystko, co zobaczył, świadczyło o tym, że nie jest.

— Każdy z tej trójki mógł oddać ten strzał — mruknął Shoemaker.



— Ale czy potrafiłby oddać celny drugi strzał? Wydaje mi się, że to właśnie miał na myśli Kienkin. Jeśli ten, kto strzelał, chciał trafić Francuza, musiał wycelować w punkt, który był przesunięty o piętnaście centymetrów w górę i w prawo w stosunku do poprzedniego. I zrobić to naprawdę szybko. Co jest cholernie trudną rzeczą, w ułamku sekundy, z odległości tysiąca trzystu metrów. Lufa musiałaby się przesunąć mniej więcej o dwie dziesiąte milimetra. Ani trochę więcej i ani trochę mniej, i wszystko to płynnie, bardzo precyzyjnie i spokojnie. Nie było czasu, żeby się odprężyć, upewnić i wziąć oddech. Gdyby szyba pękła, Francuz prawie natychmiast by zareagował. W najlepszym razie zacząłby podskakiwać jak szalony. Faktycznie jakieś dwie sekundy później nakryli go własnymi ciałami agenci ochrony. Pomyślcie o tym. Strzelacie, przesuwacie lufę o dwie dziesiąte milimetra, strzelacie ponownie, wszystko to szybciej, niż o tym mówię. To wymaga zdolności nadprzyrodzonych. A według Kienkina Dacew takie posiadał.

— No dobrze, robimy postępy — stwierdził O'Day. — Strzelcem był Dacew.

— Kienkin z pewnością doszedł do takiego wniosku — odparłem. — Obserwowałem go. Był twardym zawodnikiem, ale miał pewną słabość. Rano wyglądał na naburmuszonego, bo musiał wczesnie wstać. Ale był także zadowolony z siebie. W tym momencie czekał go po prostu miły dzień w Paryżu. To nie był jego problem. Prawdopodobnie mój. Postawił mi nawet śniadanie. A potem łuski zaczęły mu spadać z oczu i dzień przestał być taki miły. Bo okazało się, że to jego problem. Musiał wrócić do domu i przekazać złe wiadomości. Wcale mu się to nie uśmiechało. Miał w sobie coś z biurokraty.

— I w tym momencie Dacew zastrzelił go i zaoszczędził mu kłopotów.

— Nie — odparłem. — To nie Dacew go zastrzelił.

— Musicie się zastanowić nad tym drugim strzałem — powiedziałem. — I nie powinniście mi wierzyć na słowo. Weźcie telefon i zadzwoncie do pięciu najlepszych snajperów. Z Recon Marines, SEALs, Delta Force, skądkolwiek. Na pewno jesteście w stanie to zrobić. Na pewno macie ich numery na liście szybkiego wybierania. Na pewno tak naprawdę wszyscy pracują dla was, tak samo jak Dacew pracuje dla KGB.

— KGB to stara historia — mruknął Shoemaker. — Teraz to jest SWR.

— Stare wino w nowych butelkach.

— Do czego zmierzasz?

— Zapytajcie naszych najlepszych chłopców o ten drugi strzał. Zapytajcie o dwa pociągnięcia za spust, jedno zaraz po drugim, z tą różnicą, że cel przesuwa się o piętnaście centymetrów, a odległość wynosi tysiąc trzysta metrów. Wszystko to z karabinu o długości ponad półtora metra, który waży więcej niż żelazny łom.

— Co by mi powiedzieli?

— Każdy z nich powiedziałby: ależ oczywiście, panie generale, oddałbym taki strzał z zawiązanymi oczyma.

— Więc na czym polega problem?

— Problem polega na tym, że odpowiedziałby pan wtedy: przestańcie wciskać kit, żołnierzu, i powiedzcie prawdę. I wtedy każdy z nich przysięgłby, że to niemożliwe.

— Kienkin najwyraźniej nie podzielał tej opinii.

— Uwierzył we własną reklamę. Dacew to zwykły człowiek, dokładnie taki sam jak pan czy ja. No, w każdym razie ja. Nie zdołałby oddać takiego strzału. Nikt na całym świecie nie zdołałby oddać takiego strzału.

— Więc co sugerujesz?

— Było dwóch strzelców.

W tym momencie w sali konferencyjnej zapadła cisza. Wykorzystałem to, żeby dopić do końca swoją kawę.

— Jednym z nich był Dacew albo Carson, a drugim Kott — dodałem.

O'Day podniósł powoli głowę niczym wylazący spod piasku stary szary żółw.

— Przed chwilą stwierdziłeś całkiem kategorycznie, że Kotta tam nie było — wytknął mi.

— Mówiłem, że nie było go na balkonie. Był w jadalni, leżał na długim stole, którego końcowa część przypominała rozmiarami płytę sklejkę. Celował ponad głowę swojego partnera. Wyobraźcie to sobie. Dwaj snajperzy. Jeden siedzi po turecku za donicą. Drugi leży na stole. Są tam już od trzydziestu minut. Są w strefie zero. Powoli oddychają. Całkowicie rozluźnieni. Drzwi na balkon są otwarte. Ten siedzący za donicą koncentruje się na kuloodpornej szybie. W komorze ma nabój przeciwpancerzy. Wybrał dokładnie to samo miejsce co pani Nice. Zupełnie instynktownie. Leżący za nim trochę wyżej ma w komorze nabój sportowy. Celuje we Francuza. Prawdopodobnie w jego skroń. Może facet ma pod garniturem kamizelkę kuloodporną? Nie stanowi to jakiejś szczególnej przeszkody, ale po co sobie utrudniać życie? Głowa jest lepsza. Więc celuje w głowę. Czeka tylko, aż pęknie szyba.

— Ale szyba nie pęka.

— Więc zabierają się stamtąd i dają nogę. Ale Kott zostaje w Paryżu. Woli od razu przerwać śledztwo. Rozbija obóz i dzień po dniu obserwuje ten balkon. A może dostaje cynk od Francuzów. Powinniście to sprawdzić. Tak czy inaczej, w końcu wylania się przed nim szansa.

Na balkonie stają trzej śledczy. Widząc mnie w lunecie, musiał dojść do wniosku, że wygrał los na loterii. Jego małe serduszko musiało zabić szybciej. A potem uspokoił się i pociągnął za spust.

— I trafił Kienkina przez pomyłkę?

— Nie przez pomyłkę. Wycelował w moją pierś, w samą dziesiątkę. To był pewniak, strzał na złoty medal olimpijski. Kiedy pociągnął za spust, już nie żyłem. Ale pocisk był w powietrzu prawie przez cztery sekundy. I nagle powiał wiatr. Pamiętam, że to zobaczyłem. Pamiętam ogień wylotowy, łopot flag i chwilę później kula trafiła Kienkina. Bo wiatr przesunął pocisk. Tylko o pięćdziesiąt centymetrów na dystansie tysiąca czterystu metrów. Lecząca kula zboczyła leciutko z toru, z mojej piersi na jego głowę.

— Nie możesz tego udowodnić.

— Mogę — odparłem. — Gdyby to był Dacew, który wziął na cel Kienkina, wtedy zginąłby Bennett. Stał następny w rzędzie. Nie można wygrać z wiatrem. Po prostu się zerwał. Flagi załopotowały dziko, a potem równie szybko opadły. Przez cały ranek wiał porywisty wiatr. Możecie to sprawdzić.

O'Day przez kilka sekund milczał.

— Dwaj snajperzy. Jezu — mruknął w końcu. — Musimy zapoznać z tą teorią Londyn i Moskwę — dodał. — To znaczy jeśli wszyscy się z nią zgadzamy. Rick?

Shoemaker też chwilę milczał, a potem pokiwał głową.

— Wchodzę w to — powiedział.

— Joan?

— Lepiej myśleć, że jest ich dwóch, podczas gdy w rzeczywistości jest tylko jeden, niż myśleć, że jest tylko jeden, podczas gdy w rzeczywistości jest ich dwóch. Bezpieczniej jest myśleć się w tę stronę.

O'Day nie zapytał o zdanie Casey Nice.

— Jadę teraz do Londynu — oznajmiłem.

— Teraz? — zdziwił się O'Day.

— Nie przeszkadzają mi moje fotki w sypialni. Nie przeszkadza mi nawet, że ten mały gnój wziął mnie na cel. Dla gliniarza to ryzyko zawodowe. Ale facet był nieostrożny i chybił. Nie powinien próbować strzelać w wietrzny dzień. Zabił niewinnego człowieka. To zmienia postać rzeczy. To jest błąd. I jak pan powiedział, skoro złapałem go raz, złapię go ponownie.

— I co wtedy zrobisz?

— Wyrwę mu rękę z barku i zatłukę go nią na śmierć.

— Nie zgadzam się — mruknął O'Day. — Pojedziesz do Londynu, kiedy ja ci każę. To skomplikowana sprawa. Trzeba poczynić pewne przygotowania.

— Nie może mi pan wydawać rozkazów. Jestem cywilem.

— Pomagającym swojemu krajowi. Zróbmy to jak należy.

Nie odezwałem się.

— Kienkin nie był niewinnym człowiekiem — dodał O'Day. — Służył w KGB. Robił złe rzeczy.

Nie odezwałem się.

— Mówiłem ci — mruknął O'Day.

— Co pan mówił?

— Że wygląda to inaczej, kiedy gdzieś tam czai się snajper.

— Czy w Londynie też będą pracowali we dwóch? — zapytała Scarangelo.

— Prawdopodobnie — odparłem. — Wystarczy tam celów dla wszystkich. To podwoi ich siłę ognia.

— Więc kto obsadzi drugie miejsce? Carson czy Dacew?

— Nie jestem hazardzistą.

— A gdyby pan był?

— Stawiałbym na Carsona. Kienkin twierdził, że Dacew nie przystąpiłby do konkursu.

Nie traktowałbym tego jako reklamy. Mówił z autentycznym przekonaniem.

— Zaczekaj, aż będziemy gotowi — powiedział O'Day. — Wtedy będziesz mógł polecieć do Londynu.

Konferencja dobiegła końca i wyszedłem przez czerwone drzwi, żeby wrócić do mojej kwatery z falistej blachy. Po kilku krokach dogoniła mnie Casey Nice.

— Masz ochotę na kolację? — zapytała i wydało mi się to fajnym pomysłem. Ostatni ciepły posiłek, jaki zjadłem, to był *croque madame* w Paryżu, na śniadanie, za które zapłacił nie kto inny jak Jewgienij Kienkin.

— Gdzie byśmy zjedli? — zapytałem.

— Poza bazą. Na przykład coś z rożna.

— Masz samochód?

— Tak jakby.

— Jak mam to rozumieć?

— Sam zobaczysz.

— Umowa stoi.

— Tylko się przebiorę — powiedziała. Była w czarnym żakiecie i spódnicy. Ciemne nylony, eleganckie buty. Coś, w czym można się pokazać w Waszyngtonie i Langley, ale nie za bardzo w wiejskiej budzie nieopodal Fayetteville.

— Chętnie zaczekam — powiedziałem.

— Pięć minut — odparła.

• • •

Pięć minut przedłużyło się do dziesięciu. Ale warto było czekać. Zapukała do moich drzwi i kiedy je otworzyłem, okazało się, że związała włosy w kitkę i ma na sobie trochę odmienioną wersję stroju z Arkansas. Ta sama brązowa skórzana kurtka włożona na biały T-shirt, za to inne dżinsy. W tym samym kolorze, ale biodrówki. I całe przetarte, sprane i znoszone. Mówi się chyba o takich dżinsach *distressed*, co dla mnie znaczy tyle samo co „zestresowany” i po prostu nie ma sensu. Bo czy można znaleźć się w lepszym miejscu niż tam, gdzie się znalazły?

Podniosła dłoń i pokazała wiszące na palcu samochodowe kluczyki.

— Z góry przepraszam — powiedziała.

— Za co?

— Sam zobaczysz.

I pięć minut później zobaczyłem — na ogrodzonym parkingu przy drodze biegnącej wzdłuż granicy Pope Field. Pełno tam było pojazdów, które spodziewałem się ujrzeć, czyli pick-upów, mniej więcej dwudziestoletnich sportowych wozów krajowej produkcji, a także poobijanych mercedesów i bmw przywiezionych do kraju po odsłużeniu tury w Niemczech. Wypatrywałem anomalii i zobaczyłem małego mini coopera w kolorze lawendy, a trochę dalej nowego garbusa Volkswagena, żółtego, do połowy schowanego za jakimś szkaradnym starym wiejskim rzęchem. Doszedłem do wniosku, że skoro z góry przepraszala, musi być właścicielką garbusa. Może dostała go w prezencie z okazji ukończenia studiów. Może w wazoniku nad tablicą rozdzielczą tkwiła stokrotka, pasująca kolorem do karoserii.

Ale to nie był garbus. To był stojący obok niego szkaradny stary rzęch.

— Co to za gruchot, do diabła? — zapytałem.

— W jakiejś części to stary ford bronco. Poza tym to arkusze blachy dospawane tam, gdzie odpadły oryginalne części. Fragmenty w brązowym kolorze to w równym stopniu rdza co

błoto. Doradzono mi, żeby go nie zmywać. Mogłoby to doprowadzić do dalszej korozji i osłabienia nadwozia.

— Skąd go masz?

— Sprzedał mi go facet z Fort Benning.

— Za ile?

— Dwadzieścia dwa dolary.

— Niesamowite.

— Wskakuj do środka. Jest otwarty. Nigdy go nie zamykam. Po co miałabym to robić?

Zawiasy drzwi od strony pasażera składały się w większym stopniu z rdzy niż z błota i musiałem użyć w stosunku do nich nieco siły. Otworzyłem je na wystarczającą szerokość, by wślizgnąć się bokiem do środka, i zobaczyłem, że Casey Nice robi po swojej stronie dokładnie to samo, zupełnie jakbyśmy tańczyli ze sobą taniec limbo. Przy fotelach nie było pasów bezpieczeństwa. Tak naprawdę nie było również foteli. Po prostu pas wystrzępionego brezentu zawieszony na metalowej ramie.

Ale silnik po krótkim rżeniu i łoskocie w końcu zaskoczył i zaczął pracować, krztusząc się i kaszląc. Skrzynia biegów działała wolniej niż usługi pocztowe. Nice wrzuciła wsteczny bieg i wszystkie mechaniczne części pod maską zebrały się, policzyły, czy jest kworum, i zaczęły dyskutować, co robić. Najwyraźniej wymagało to dłuższej debaty, bo minęło kilka pełnych sekund, zanim pojazd szarpnęła i ruszył do tyłu. Casey Nice przekręciła kierownicę, co wydawało się dość trudnym zadaniem, następnie zaś wrzuciła pierwszy bieg i najpierw komisja do spraw jazdy do tyłu zatwierdziła protokół, zakończyła obrady i opuściła salę i dopiero wówczas ekipa zajmująca się jazdą do przodu podpisała listę obecności i zasiadła przy stole. Wniosek został zgłoszony, przedyskutowany i poparty, minęły kolejne pełne sekundy i w końcu pick-up ruszył do przodu, z początku powoli i zrywami, a później nabierając szybkości i tocząc się niezłomnie w stronę bramy wyjazdowej.

— Powinnaś ukraść starego niebieskiego pick-upa Johna Kotta — poradziłem Nice. — To byłby znaczący krok do przodu.

— Ten grat pozwala mi przemieścić się z punktu A do punktu B — odparła.

— A co się dzieje, kiedy chcesz przemieścić się z punktu C do punktu D?

— Jest piękny wieczór. Mały spacer nie powinien ci zaszkodzić.

Wyjechaliśmy przez jedną z wielu bocznych bram Fort Bragg do rzeczywistego świata, a w każdym razie do jakiejś jego wersji, i poturlaliśmy się biegnącą przez Karolinę Północną zwyczajną dwupasmową drogą, po której obu stronach ulokowały się biznesy dostosowane wyłącznie do gustów i możliwości ekonomicznych wojskowych płci obojga. Zobaczyłem lombardy i budki z fast foodem, komisje z używanymi samochodami, kioski z komórkami na kartę, sklepy z rzeczami za dolara, wypożyczalnie gier wideo, a także najróżniejsze bary i knajpy. Mniej więcej półtora kilometra dalej zabudowania zaczęły się przerzedzać i ich miejsce zajęły puste działki, sosnowe zagajniki oraz wrażenie coraz większego pustkowiecia.

Pick-up jechał dalej. Niezbyt szybko i roztaczając wokół siebie woń spalonego oleju, ale permanentnie posuwając się do przodu. Po jakimś czasie skręciliśmy w prawo i podążaliśmy dalej, przez coraz większe pustkowie, najwyraźniej zmierzając do jakiegoś znanego Casey Nice miejsca.

— Nie niepokoi cię, że Kott napawał się twoimi klęskami? — zapytała.

— Niekoniecznie — odparłem. — Informacje o nich są publicznie dostępne.

— Mnie by niepokoiło.

— W bezpośrednim starciu wygrywam jeden do zera. To powinno mu dać do myślenia.

— Dzięki podmuchowi wiatru.

- W czepku się urodziłem.
- Poza tym stałeś pod wiatr.
- To też.
- Celowo?

— To coś wpojonego. Czyli, jak przypuszczam, również forma celowego działania.

Przed sobą zobaczyłem zawieszony między drzewami światła, a potem leśną polanę z walącą się szopą, wokół której na żwirze i na ziemi poustawiane były stoły i krzesła. Szopa miała komin i widziałem wylatujące z niego ciepło i dym. Poczulem zapach pieczonego na wolnym ogniu mięsa.

- Pasuje? — zapytała Nice.
- Miejsce w sam raz dla mnie.

W tym momencie rozpoczęła procedurę zmniejszania szybkości, co polegało na silnym wdepnięciu pedału hamulca, a następnie szalonym jego pompowaniu. Obróciła kierownicę, wjechała na parking i zatrzymała się w miejscu. Przekręciła kluczyk i wyjęła go ze stacyjki. Silnik pracował jeszcze przez pełną minutę, a potem zadygotał i zgasł. Wyślizgnęliśmy się na zewnątrz i znaleźliśmy stół. Knajpa nie miała nazwy. I tak naprawdę menu. Do wyboru było mięso z białym chlebem albo fasolą w sosie pomidorowym i trzema rodzajami zimnych napojów. Plastikowe talerze, plastikowe widelce, papierowe serwetki, płatność wyłącznie gotówką i kelnerka, która wyglądała na jedenaste lat. Wszystko jak trzeba.

Zamówiliśmy żeberka i chleb dla Nice, karkówkę i fasolę dla mnie, do tego dwie cole. Niebo było bezchmurne i świeciły gwiazdy. Powietrze rześkie, ale nie zimne. Knajpa wypełniona mniej więcej w połowie. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem z niej fiolkę po lekach. Postawiłem ją na stole, nalepką w jej stronę.

— Powinnaś to wziąć z powrotem. Łykanie kłaków z kieszeni nie wyjdzie ci na zdrowie — powiedziałem.

Przez chwilę nie ruszała fiolki z miejsca. A potem pogrzebała we własnej kieszeni i wyciągnęła z niej tabletki. Na dłoni miała ich siedem. Mniej niż poprzednio. Zdmuchnęła z nich kurz, otworzyła kciukiem fiolkę i wysypała je z powrotem do środka.

- Kim jest Antonio Luna? — zapytałem.
  - Moim znajomym. Nazywam go Tony Moon.
  - Współpracownik?
  - Po prostu facet, którego znam.
  - Który miał pustą fiolkę akurat wtedy, kiedy była ci potrzebna?
- Nie odpowiedziała.

— Albo który udaje symptomy, a potem daje ci swoją receptę, bo ty nie możesz z tym pójść do waszego lekarza.

— Czy to cię w jakiś sposób dotyczy? — zapytała.

— W żadnym wypadku.

Casey Nice schowała fiolkę do kieszeni.

— Wszystko jest ze mną w porządku — powiedziała.

— Dobrze wiedzieć — odparłem.

A potem podali nam jedzenie i zupełnie zapomniałem o tabletkach, legalnych czy nie. Fasola była zwyczajną fasolą, cola zwyczajną colą, ale mięso było niesamowite. Siedzieliśmy na polanie gdzieś na kompletnym zadupiu, ale w tym momencie nie chciałbym być nigdzie indziej. Casey Nice podzielała chyba moje zdanie. Obgryzała z mięsa swoje żeberka, uśmiechała się i oblizywała wargi. Wszystko było jak trzeba do chwili, kiedy zadzwonił telefon.

Casey Nice wytarła palce, odebrała go, przez chwilę słuchała i rozłączyła się.

— Musimy wracać — oznajmiła. — Coś się stało w Londynie.



W Londynie stało się to, że ktoś zmarł. Co samo w sobie nie było niczym nadzwyczajnym. Londyn ma około ośmiu milionów mieszkańców, a w Zjednoczonym Królestwie umiera średnio dziewięć osób na tysiąc rocznie, w związku z czym w każdym dowolnym dniu kilkuset londyńczyków wydaje ostatnie tchnienie. Umierają ze starości, z przedawkowania, na choroby degeneracyjne, różnego rodzaju nowotwory, na zawał, wylew, zakrzepicę, w wypadkach samochodowych, pożarach i w wyniku samobójstw. Wszystko w normie.

Ale śmierć w wyniku postrzału w głowę z wielkokalibrowego karabinu raczej się w niej nie mieściła.

Dotelepaliliśmy się starym połatanym fordem bronco do Fort Bragg i zastaliśmy O'Daya, Shoemakera i Scarangelo w sali na górze. Shoemaker zapoznał nas z faktami. W Londynie mieszkał ważny przywódca albańskiego gangu, niejaki Karel Libor, bardzo bogaty, bardzo brutalny, bardzo skuteczny, handlujący narkotykami, dziewczynami i bronią. Jak większość bardzo bogatych i bardzo skutecznych mafiosów miał także bardzo rozwiniętą paranoję. Strzegło go wielu facetów i nigdzie się nie wybierał, jeśli cel podróży nie został wcześniej dokładnie sprawdzony i zabezpieczony. Chroniono go nawet, kiedy szedł ze swojego domu do samochodu. Najwyraźniej jednak nie udało się go ustrzec przed kulą kalibru .50 wystrzeloną z odległości dziewięciuset metrów. Głowa pana Libora eksplodowała i zachlapała karoserię opancerzonego range rovera, do którego wsiadał.

— Wnioski? — zapytał O'Day.

Shoemaker odchylił się do tyłu, jakby pytanie nie było skierowane do niego, a Scarangelo spojrzała na Casey Nice, która wzruszyła ramionami i nic nie powiedziała.

— Kott i Carson są już w Londynie — oświadczyłem. — I kupują lokalne wsparcie. Ale nie za pieniądze. Najwyraźniej osoby wspierające chciały tym razem zapłaty w naturze. W tym wypadku eliminacji rywala.

O'Day pokiwał głową.

— Rywala, do którego w inny sposób trudno się dostać na poziomie ulicy. Ale wystarczy podnieść wzrok, by przekonać się, że w Londynie jest teraz całkiem sporo wysokościowców. Sporo możliwości, by strzelić z odległości dziewięciuset metrów. A dziewięćset metrów to dla Kotta bułka z masłem. Praktycznie strzał z bliska.

— Albo dla Carsona — dodałem.

— Albo dla Dacewa — uzupełnił. — To, że drugim snajperem jest Carson, to tylko twoja opinia. Musimy zachować otwarty umysł.

— Czy coś podobnego wydarzyło się w Paryżu?

O'Day ponownie pokiwał głową.

— Chyba tak. Tyle że nie od razu się zorientowaliśmy, ponieważ nie użyto karabinu. Mniej więcej tydzień przed zamachem na prezydenta na Montmartrze zasztyletowano przywódcę algierskiego gangu. Bardzo gruby kawałek sera, jak mogliby powiedzieć Francuzi. I trzeba przyznać, że Wietnamczycy bardzo na tym skorzystali.

— Kto korzysta na tym w Londynie? — odezwała się Casey Nice.

— Czekam na ostateczny raport — rzekł O'Day. — Ale wstępne ustalenia są takie, że skorzystały mogły dwie grupy. Serbska organizacja w zachodniej części Londynu i staroświecki angielski gang we wschodniej. Według MI5 Karel Libor był zadrą w boku jednych i drugich.

— Gdzie dokładnie ma się odbywać spotkanie G Osiem? — zapytałem.

— We wschodniej części Londynu.

— W takim razie jeśli określenie „lokalne” rzeczywiście oznacza „lokalne”, nasi spiknęli się ze staroświeckimi Brytolami.

— Właściwie w jakim celu? — chciała wiedzieć Scarangelo.

— Część zapłaty w naturze można uznać za tradycyjny trybut, dzięki któremu będą mogli tam w ogóle działać — powiedział Shoemaker. — Coś w rodzaju myta albo podatku. Poza tym chodzi o logistykę, miejsca, gdzie można się zatrzymać i ukryć, a w dniu samego zamachu informacje na temat ochrony i zewnętrzny kordon. Tak jak to widzieliśmy w Paryżu.

— To nam utrudni życie — stwierdziła Scarangelo.

— Przeciwnie, to nam je ułatwi — powiedziałem, kręcąc głową. — Nie szukamy już dwóch facetów. Szukamy pięćdziesięciu. Oni uważają to za lokalne wsparcie, ja widzę dodatkowe tropy.

— Swoją drogą, miałeś rację co do sąsiada Kotta — mruknął O’Day. — FBI znalazło prawie całe dziesięć tysięcy dolarów gotówką. Tyle że nie na pawlaczu.

— A gdzie?

— W pralce na jego podwórku.

— Sprytne — powiedziałem. — Powinienem być do niej zajrzeć. Kto mu je dał?

— Nie chce powiedzieć. A podtapianie wyszło ostatnio z mody.

— Za bardzo się boi, żeby puścić farbę. To może być znaczące.

— Francuzi znaleźli pocisk, który zabił dzisiaj rano Kienkina. Mocno zdeformowany przez ścianę budynku, ale pod względem chemicznym nie różni się od fragmentów, które przywieźliście z Arkansas. Całkiem możliwe, że z tej samej serii.

Pokiwałem głową.

— To rodzi pytanie, jak Kott podróżuje — powiedziałem. — Nie poleciał samolotem rejsowym, bo mielibyście ślad na papierze. Nie mógł odprawić karabinu kalibru pięćdziesiąt i pudełka z amunicją tak, żeby nikt tego nie zauważył.

— Dwie możliwości — rzucił Shoemaker. — Frachtowiec z Mobile albo Galveston lub prywatny odrzutowiec skądkolwiek. Odprawy celne na prywatnych lotniskach w Europie praktycznie nie istnieją.

— Z pewnością prywatny odrzutowiec — uznał O’Day. — Ci ludzie szastają pieniędzmi. Dziesięć tysięcy dla szczerbatego buraka z Arkansas? To grubo powyżej tego, co należało mu dać. Facet na pewno zadowoliliby się kilkoma setkami. Nie zależy im na racjonalizacji kosztów. Szukają łatwych rozwiązań i mają budżet, który je zapewnia.

— Jak dostali się dzisiaj do Londynu? — zapytała Casey Nice.

— Prawdopodobnie pociągiem — odparła Scarangelo. — Linią Eurostar. W Paryżu jest odprawa paszportowa, ale poza tym jedzie się szybko i łatwo, z centrum miasta do centrum miasta.

— Jak przewieźli swoje karabiny?

— Może w torbach do golfa. Albo pokrowcach na narty. Sporo ludzi wozi dziwny bagaż.

— Skąd wiedzieli, do kogo zwrócić się w Londynie w kwestii lokalnego wsparcia?

— Zakładam, że na podstawie wcześniejszego rozpoznania. I być może wcześniejszych negocjacji.

— Rano będziemy wiedzieli więcej — oświadczył generał O’Day. — Na pozostałą część wieczoru was zwalniam. Spotkamy się jutro przy śniadaniu.

• • •

Zszedłem po schodach i ruszyłem w stronę czerwonych drzwi, ale po raz kolejny usłyszałem obok siebie stukot obcasów i szelest czarnych rajstop. Obejrzałem się i zobaczyłem idącą za mną Joan Scarangelo. Przyglądała mi się posępnym wzrokiem.

— Musimy porozmawiać — powiedziała.

— O czym?

— O panu.

— To znaczy?

— Nie chcę mówić tutaj.

— W takim razie gdzie?

— U pana na kwaterze. Robi wrażenie niezamieszkaney. Jak strefa neutralna.

Poszliśmy więc razem. Otworzyłem drzwi i usiedliśmy tak samo jak poprzednio, ja na sofie, a ona w fotelu, pod odpowiednimi kątami, żeby patrzeć sobie prosto w oczy.

— Jak panu smakowała kolacja? — zapytała.

— Smakowała — odparłem. — A pani?

— Spierałam się w jej trakcie z generałami O'Dayem i Shoemakerem.

— Na temat jakości dań?

— Nie, na temat roli, jaką ma pan odegrać w Londynie.

— To znaczy?

— W Londynie to będzie wyglądało inaczej niż w Paryżu. Brytyjczycy są inni. Będą chcieli panować nad sytuacją. Przyjmą dobre rady i informacje, ale nie pozwolą nam działać na własną rękę. Nie na swoim terytorium. I musimy to respektować. Są dla nas pod wieloma względami ważni.

— I co z tego?

— Uważam, że powinien pan tam się udać jawnie, jako nasz człowiek.

— Ale O'Day się temu sprzeciwia, bo wtedy nie będę mógł nic zdziałać.

Scarangelo pokiwała głową.

— Chce, żeby pojechał pan tam jako anonimowy obywatel. Do którego się nie przyznajemy. To oznacza, że jeśli złapią pana, kiedy będzie pan dusił jakiegoś starca na chodniku, nie będziemy panu mogli w żaden sposób pomóc.

— Będę uważał.

— Mówię serio — powiedziała. — Generał O'Day ma na myśli rzeczy, które są ewidentnie nielegalne. Sam pański wyjazd tam będzie ewidentnie nielegalny. Obecność nieujawnionego agenta na terenie jurysdykcji sojusznika jest bardzo źle widziana. Jeśli pan coś schrzani, będzie pan zwykłym przestępcą, nikim więcej. Właściwie będzie pan traktowany jeszcze gorzej. Ambasada interesuje się zwykłymi przestępcami, ale panem nikt nie będzie się interesował. Widząc pana, odwrócą wzrok w drugą stronę. Bo takie będą mieli od nas wytyczne.

— Będę uważał — powtórzyłem.

— Przeczytałam dokładnie akta sprawy Johna Kotta — powiedziała.

— I co?

— Świetnie pan poprowadził to przesłuchanie.

— Dziękuję.

— Dał mu pan sznur, na którym sam się powiesił. Był arogancki i nie mógł znieść, że ktoś rzuca mu wyzwanie.

Pokiwałem głową.

— Na tym to w gruncie rzeczy polegało.

— Moim zdaniem jest pan tak samo zły jak on — oświadczyła.

Nie odezwałem się.

— W tym momencie powinien pan powiedzieć, że nigdy nie poderznął nikomu gardła — mruknęła.

— Powiedziałbym to, gdybym mógł.

— Moim zdaniem wysyłanie pana w jakimkolwiek charakterze do Londynu obarczone jest zbyt wielkim ryzykiem.

— Więc mnie nie wysyłajcie.

— Chce pan powiedzieć, że i tak pan tam pojedzie?

— Żyjemy w wolnym kraju.

— Mogłabym odebrać panu paszport.

— Mam go w kieszeni. Niech mi go pani odbierze.

— Mogę anulować go w komputerze. Aresztują pana na lotnisku.

— Decyzja należy do pani. Mnie jest wszystko jedno. Kott wcześniej czy później wróci do kraju. Wtedy go dorwę. Choćby cały świat palił się i walił, choćby nastąpił ogólny paraliż, upadały rynki, wybuchały wojny i głodowali ludzie. Nic z tego w najmniejszym stopniu mi nie przeszkodzi. Potrafię o siebie zadbać. I prawdę mówiąc, nie mam zbyt wielu spraw na głowie.

Scarangelo się nie odezwała.

— Powinniście skorzystać z najlepszego wsparcia, jakie możecie uzyskać — powiedziałam. — Nie robiąc tego, dopuścilibyście się zaniedbania. Pamiętam chyba skądś te słowa.

— I to pan jest tym najlepszym wsparciem?

— To się jeszcze okaże. Albo ktoś wykona to zadanie, albo nie. Tym kimś mogę być ja lub ktoś inny. Nie wiemy, co przyniesie przyszłość. Ale moje dossier jest przekonujące i nie bardzo widzę, jak mógłbym zaszkodzić.

— Może pan zaszkodzić, dając się aresztować w ciągu pierwszych pięciu minut. Wtedy oprócz zagrożenia zamachem będziemy mieli incydent dyplomatyczny. Nie jestem pewna, czy mogę panu ufać.

— Więc niech pani jedzie ze mną — zaproponowałem. — Będzie pani mogła zatwierdzać każdy mój ruch. Będziemy mogli się naradzać, ramię przy ramieniu. Nie w odległości dwóch metrów od siebie.

Scarangelo pokiwała głową.

— Na tym polega kompromis, który zawarłam z O'Dayem.

— Naprawdę?

— Ale to nie będę ja. Pojedzie z panem Casey Nice. Nieujawniona. Nie ma jej na ich radarze. Ma zdecydowanie zbyt niską rangę. Zresztą w tym momencie nie pracuje w CIA. Reprezentuje Departament Stanu.

— Zasady postępowania?

— Robi pan dokładnie to, co ona panu każe.

• • •

Powiedziawszy to, Scarangelo wyszła, zostawiając po sobie zapach mydła i ciepłego ciała. Odczekałem minutę, po czym również wyszedłem i skierowałem się z powrotem w stronę czerwonych drzwi. Wszedłem na górę do gabinetu Shoemakera i zastałem go przy biurku.

— Scarangelo opowiedziała mi o waszej rozmowie przy kolacji — oznajmiłem.

— Zadowolony?

— Jasne, wywijam koziołki.

— Spójrz na to od jaśniejszej strony. Będziesz potrzebował najświeższych informacji wywiadowczych. Przekażemy je Nice, a ona przekaze je tobie. Bez niej działałbyś po omacku.

— Brała wcześniej udział w jakiejś akcji za granicą?  
— Nie.  
— Brała udział w jakiegokolwiek akcji?  
— Właściwie nie.  
— Twoim zdaniem to dobry pomysł?  
— To konieczny kompromis. Dzięki temu tam dotrzesz. Nie musisz słuchać tego, co będzie mówiła.  
— Ale będę musiał się nią opiekować.  
— Wie, na co się pisała. I jest twardsza, niż na to wygląda.  
— Już to mówiłeś.  
— I co, nie miałem racji?  
Pomyślałem o kumplu Nice, Tonym Moonie, ale przemilczałem to.  
— Jeśli chcesz, możesz odejść, Reacher — powiedział Shoemaker. — Nie jesteś mi nic winien. Sprawa już się przedawniła. To O'Day wpadł na pomysł, żeby obrać tę drogę. Nazwał to zagrywką psychologiczną. Uznał, że tylko takie działanie okaże się skuteczne.  
— I nie miał racji?  
— Jeśli chcesz, możesz odejść — powtórzył Shoemaker. — Pracują nad tym setki ludzi. I Brytyjczycy traktują to bardzo poważnie. To znaczy że już się tym zajęli. To szczyt G Osiem. Dla służb bezpieczeństwa to coś w rodzaju Superbowl. Więc trzymają rękę na pulsie. I nie będzie im ciebie brakowało. Jesteś tylko jednym facetem. Jakie znaczenie może mieć twoja obecność?  
— To kolejna psychologiczna zagrywka?  
— Chcę, żebyś tam był, to jasne. Chcę, żeby byli tam wszyscy. Żeby w razie potrzeby utworzyli ludzką ścianę. Bez względu na koszty. Bo jeśli amerykański snajper zmieni G Osiem w G Cztery, będziemy mieli poważne kłopoty jako naród.  
— To ma być psychologiczna zagrywka? Że niby co, jestem patriotą? Bawicie się w emocjonalne manipulacje?  
— Idź i pogadaj z O'Dayem — poradził mi.

•••

Co zrobiłem zaraz potem, mijając salę konferencyjną i wchodząc do sąsiadującego z nią gabinetu. O'Day siedział za biurkiem, ubrany swoją w czarną marynarkę i czarny sweter. Miał pochyloną głowę i spoglądając na mnie, podniósł tylko wzrok, jakby bolał go kark, kiedy nim poruszał.

— To jedna z najgorszych decyzji, jakie kiedykolwiek podjęto — powiedziałem.  
— Nawet jeśli masz rację, to twoja jedyna szansa, żeby dopaść Johna Kotta — odparł. — Będę przekazywał pani Nice wszystko, co wiem. Będzie za tobą stała siła całego rządu. Poza tym musisz przecież doprowadzić tę sprawę do końca. Nie będziesz mógł zmrużyć oka, dopóki on nie zniknie.

— Sypiam bardzo dobrze, dziękuję.  
— W takim razie musisz się przemóc. Wszyscy czytaliśmy oczywiście twoje akta. Pamiętasz te kartki w sypialni Kotta? Wiemy, o czym mówią. Nasza pani Nice jest w tym samym wieku co niejaka Dominique Kohl, której odcięto piersi kuchennym nożem, bo posłała ją, żeby aresztowała psychopatę.

— Zgadza się — powiedziałem. — Dokładnie o tym mówią.  
— Zrobiłeś się przesądny? Każdy wcześniej czy później będzie miał dwadzieścia osiem lat. Jedno z drugim nie ma żadnego związku. I nie będziesz jej posyłał, żeby kogokolwiek aresztowała, bo nie trzeba będzie nikogo aresztować. Chcę, żebyś tam był, tylko ty i nikt więcej,

żebyś zajął się tym osobiście i na dowód tego przywiózł mi ich uszy.

— Dlaczego ja? Zaangażowane są w to setki ludzi.

— I jeśli okaże się to łatwe, na pewno jeden z nich wykona zadanie. Ale to nie będzie łatwe. Taka jest prawda. To może przerosnąć ich wszystkich. Tego właśnie się boję. Potrzebuję zapory. Potrzebuję kogoś, komu mogę ufać — mruknął.

Zapewne kolejna psychologiczna zagrywka.

Spotkałem się z Casey Nice nazajutrz rano. Już jej powiedziano. Była cała rozpromieniona. Przedstawiła mi procedury.

— W naszych komórkach są GPS-y, więc będą śledzili każdy nasz krok — oznajmiła. — Będę otrzymywała najbardziej aktualne informacje za pośrednictwem SMS-ów, poczty głosowej i e-maili. W kontaktach będziemy mieli wpisane nasze numery, a także na wszelki wypadek numery generałów O'Daya i Shoemakera. Wszystkie rozmowy będą szyfrowane i nie do namierzenia.

— Wyjaśnili ci zasady postępowania? — zapytałem.

— Tak, zrobili to.

— Kto ci je przedstawił?

— Wszyscy.

— Każdy oddzielnie czy razem?

— Oddzielnie.

— Wszyscy powiedzieli to samo?

— Nie.

— Więc do czyich zaleceń się dostosujesz?

— Generała O'Daya — odparła.

• • •

Shoemaker dał nam szereg praktycznych rzeczy. Ładowarki do komórek, karty kredytowe, plik angielskiej gotówki, rezerwacje hotelowe oraz bilety lotnicze z Atlanty do Londynu liniami Delta. Mieliśmy polecieć firmowym gulfstreamem do Georgii, a potem korzystać z samolotów rejsowych jak normalni obywatele.

Następnie wszyscy zebraliśmy się w sali konferencyjnej, bo O'Day miał dla nas dwie najświeższe informacje. Najpierw pokazał nam fotografię, zatrzymany obraz z nagrania monitoringu na Gare du Nord w Paryżu. Zapisana godzina wskazywała, że zarejestrowano je pięćdziesiąt minut po strzale, który zabił Kienkina. Obraz był nieostry i trochę rozmazany, ale wystarczająco wyraźny, by można było rozpoznać sfotografowanego mężczyznę. Średniego wzrostu, chudy i zylasty — same mięśnie i ścięgna — stał odwrócony bokiem do kamery i otoczony tłumem, ale zdradziły go kości policzkowe. John Kott, bez dwóch zdań. Miał opuszczony wzrok i usta zaciśnięte w wąską kreskę. Trudno było to definitywnie stwierdzić na podstawie zrobionego z daleka zdjęcia, ale mowa jego ciała i wyraz twarzy świadczyły o tym, że źle się czuje w zatłoczonym, gwarnym miejscu. Co było zrozumiałe. Piętnaście lat w Leavenworth, a potem kolejny rok na zadupiu w Arkansas. Gare du Nord należy do najbardziej zatłoczonych dworców na świecie. Spora zmiana tempa.

— To hala przy peronie, z którego odchodzą pociągi Eurostar — powiedział O'Day. — Pociąg do Londynu odjechał dziesięć minut później. Powinniśmy zakładać, że do niego wsiadł.

— Dlaczego nie ma z nim Carsona? — zapytała Casey Nice.

— Zakładamy, że podróżują oddzielnie. Tak jest o wiele bezpieczniej. W ten sposób nie ryzykują, że zgarniemy ich obu za jednym zamachem — odparł O'Day, po czym otworzył teczkę i wyjął z niej jakiś dokument. To była analiza przestępczości zorganizowanej dostarczona przez MI5 z Londynu. — Są przekonani, że to miejscowi angielscy gangsterzy — oznajmił. — Kontrolują ulice wokół naszego obiektu i bardzo szybko przejęli biznes pana Libora. Tak

szybko, że wiadomość o jego zgonie nie mogła dotrzeć do nich normalnymi kanałami. Wiedzieli wcześniej, co się wydarzy. Bo oni to zorganizowali.

Następnie przeczytał nam cztery nazwiska, szefa oraz trzech jego przybocznych. White, Miller, Thompson i Green, co brzmiało jak nazwa kancelarii prawniczej. Następnie przedstawił składający się z trzydziestu kolejnych osób wewnętrzny krąg uzupełniany w razie potrzeby ludźmi zatrudnianymi na zlecenie, którzy chcieli udowodnić swoją przydatność. Organizację określano mianem Romford Boys i tak było od niepamiętnych czasów, ponieważ ich baza mieściła się w dzielnicy Romford na wschodnim skraju miasta, na północ od Tamizy, po wewnętrznej stronie obwodnicy. Gang składał się w większości z białych, przeważnie tam urodzonych. Zajmowali się narkotykami, dziewczynami i bronią, czyli tym samym co Libor, a na dodatek wymuszeniami i lichwą. O'Day nie przedstawił żadnych barwnych opowieści o makabrycznych morderstwach, znęcaniu się i sadystycznych torturach. Powiedział tylko, że od wielu lat liczne i pochodzące z różnych środowisk ofiary gangu zapadały się po prostu pod ziemię i nikt ich więcej nie widział.

•••

Casey Nice poszła się spakować, a ja ponownie wzięłem prysznic, ponownie się ubrałem i schowałem do kieszeni szczoteczkę do zębów. Spotkaliśmy się w kabinie gulfstreama. Nice miała na sobie strój z Arkansas.

— Generał O'Day powiedział mi, że miałeś spore wątpliwości — oznajmiła.

Nie odezwałem się.

— Wątpliwości co do współpracy ze mną — dodała.

Nie odezwałem się.

— To, co się stało z Dominique Kohl, to nie twoja wina — powiedziała.

— O'Day pokazał ci akta?

— Przeczytałam je już wcześniej na ścianie w sypialni Kotta. To nie była twoja wina. Nie mogłeś tego wiedzieć.

Nie odezwałem się.

— Nie zamierzam nikogo aresztować — podjęła. — Będę trzymała się z tyłu. To się już nie powtórzy.

— Zgadza się — powiedziałem. — Tego rodzaju rzeczy zdarzają się na ogół wyjątkowo. Nie z reguły.

— Niewykluczone, że sprawa zostanie rozwiązana, zanim tam dotrzemy. Brytyjczycy na pewno dadzą z siebie wszystko.

— Nie mam co do tego wątpliwości.

— Będziemy mieli wszystkie dane minutę po tym, jak otrzyma je O'Day. Damy sobie radę.

— Teraz to ty chyba zaczynasz mieć wątpliwości.

— Po prostu nie bardzo wiem, czego się spodziewać.

— Ja też nie — przyznałem. — Nikt tego nigdy nie wie. Po żadnej ze stron. I to dobrze. To znaczy, że w tej grze wygrywa ten, kto najszybciej myśli. To wszystko, czego się od ciebie wymaga.

— Nie możemy być oboje najszybsi.

— Zgadza się. Mogę spaść na drugie miejsce. A to oznacza, że ktoś może zacząć grać z karabinu do mnie. Więc lepiej trzymaj się dwa metry ode mnie.

— A jeśli to ja znajdę się na drugim miejscu i to mnie wezmą na cel?

— Ta sama zasada. Dwa metry odległości. Będę miał przynajmniej uczciwą szansę.



• • •

Lotnisko w Atlancie było tak wielkie, że musieliśmy złapać taksówkę, żeby przejechać z terminalu prywatnego do pasażerskiego. Casey Nice odprawiła się przy urządzeniu przypominającym bankomat, ale ja podszedłem do normalnego stanowiska, gdzie po zerknięciu do mojego nowego paszportu wydano mi tradycyjną kartę pokładową. Mieliśmy bilet w klasie ekonomicznej premium, co uderzyło mnie jako oksymoron. Nice oświadczyła, że oznacza to dodatkową przestrzeń na nogi. Wyjaśniła, że opracowano długi i skomplikowany algorytm, za pomocą którego rząd oszczędza pieniądze podatników. Każdemu podróżującemu służbowo przysługiwała na starcie zwykła klasa ekonomiczna, chyba że istniały uzasadnione powody, by przyznać mu lepszą. W naszym przypadku uzasadnionym powodem był fakt, że mieliśmy przystąpić do pracy natychmiast po wyjściu z samolotu. To dawało nam dodatkową przestrzeń na nogi.

Która, jak się okazało, nie była zbyt duża. Przeszliśmy bez butów, bez kurtek i z pustymi kieszeniami przez kontrolę bezpieczeństwa, a potem przez coś, co wyglądało jak centrum handlowe, gdzie ja zatrzymałem się przy bufecie z kawą, a Nice przy barze ze świeżymi sokami. Miała ze sobą małą walizeczkę na kółkach oraz coś pośredniego między damską torebką i torbą na zakupy i w większym stopniu niż ja mogła uchodzić za zwyczajną pasażerkę. Usiedliśmy na cienko wyściełanych krzesłach i w końcu, po tym, jak najpierw zajęli swoje miejsca pasażerowie z normalną przestrzenią na nogi, weszliśmy do samolotu. Nasze fotele nie różniły się od innych, a dodatkowa przestrzeń przed nimi stanowiła pewne udogodnienie dla niej, lecz nie dla mnie. Wbijając mocno kręgosłup lędźwiowy w oparcie, mogłem zgiąć kolana pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, ale to było mniej więcej wszystko, co mogłem zrobić.

Pilot oznajmił, że lot będzie trwał sześć godzin i czterdzieści minut.

• • •

Dwie godziny później, kiedy już się najedliśmy i napiliśmy, personel pokładowy podkręcił ogrzewanie, żebyśmy wszyscy zasnęli i dali im spokój. W rozmowie między sobą określali to mianem zamroczenia. Ale mnie to nie przeszkadzało. Sypiałem w gorszych pozycjach. Przy moim zagłówniku były małe ruchome skrzydełka, odgiąłem je więc tak, jakbym zakładał na głowę zacisk medyczny, i zamknąłem oczy.

— Biorę te tabletki, bo się denerwuję — powiedziała Casey Nice.

Otworzyłem oczy.

— I działają? — zapytałem.

— Owszem, działają.

— Ile ci zostało?

— Pięć.

— Wczoraj przy kolacji miałaś siedem.

— Policzyłeś je?

— Niezupełnie. Po prostu zauważyłem. Były żółte, małe, trzymałaś je w kieszeni i było ich siedem.

— Wzięłam jedną wczoraj wieczorem i jedną dziś rano.

— Bo się denerwowałaś?

— Tak.

— Czym się denerwowałaś?

— Tym, że muszę opanować wytyczne i wykonać misję.

— Teraz też się denerwujesz?

— Nie.  
— Bo wzięłaś rano tabletkę?  
— Przestała już działać. Ale czuję się dobrze.  
— To świetnie — rzuciłem. — Bo to jest łatwiejsza część.  
— Wiem.  
— Czy doktora leczącego Tony’ego Moona nie niepokoi, że jego stan się nie polepsza?  
— Ludzie biorą te leki latami. Niektórzy przez całe życie.  
— Ty też będziesz je tak brała?  
— Nie wiem.  
— Co jeszcze wprawia cię w niepokój? — zapytałem.

Z początku nie odpowiedziała.

— Stawka, o jaką toczy się gra — odparła w końcu. — Sama stawka. Jest taka wysoka.

Nie możemy pozwolić, żeby to się powtórzyło.

— Nie możemy pozwolić, żeby co się powtórzyło?

— Jedenasty września.

— Ile miałaś wtedy lat?

— To mnie ukształtowało.

— Wtedy właśnie postanowiłaś wstąpić do CIA?

— Wiedziałam, że chcę coś zrobić. Ale w końcu decyzja została podjęta za mnie.

Zwerbowano mnie na studiach.

— Gdzie studiowałaś?

— W Yale.

Pokiwałem głową w moim ortopedycznym zacisku. Yale to w dużym stopniu inkubator CIA. Tak jak Cambridge w Anglii jest inkubatorem MI6. Terrorysta musi tylko sprawdzić listy studentów. Albo podłożyć bombę na zjeździe absolwentów.

— Musisz być bystra, skoro dostałaś się do Yale — powiedziałem.

Nie odpowiedziała.

— Pracujesz ciężko? — zapytałem.

— Staram się, jak mogę.

— Jesteś uważna?

— Zawsze.

— I zapłaciłaś dwadzieścia dwa dolce za środek transportu.

— Co to ma wspólnego z czymkolwiek?

— To oznacza, że jesteś trochę niekonwencjonalna. Co jest czwartą z czterech cech, które powinnaś posiadać. I które wszystkie posiadasz. Cztery cechy, które zawsze będą nam potrzebne. Bystrzy, ciężko pracujący, uważni i myślący lateralnie ludzie.

— Mieliśmy takich dziesiątego września.

— Nie, nie mieliśmy — odparłem. — Naprawdę nie mieliśmy. Podobnie jak nie mieliśmy dużej armii w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym. Od dawna takiej nie potrzebowaliśmy. Mieliśmy przedwczorajszych ludzi robiących przedwczorajsze rzeczy. Ale wzięliśmy się w garść naprawdę szybko. Podobnie jak ty to zrobiłaś. To się już nie powtórzy.

— Nie możesz tego stwierdzić.

— Właśnie to zrobiłem.

— Nie możesz tego wiedzieć.

— Nie warto brać z tego powodu tabletek. Po prostu ciężko pracuj, bądź uważna i główkuj. To wszystko, co możesz zrobić. I nie jesteś sama jedna. Są was tysiące, tak samo dobrych, tak samo ciężko pracujących i tak samo uważnych.

— Mimo to możemy zawieść.

— Odpręż się — powiedziałem. — Przynajmniej na parę tygodni. Ta historia to nie jest jedenasty wrzesień. Wiem, że Scarangelo widzi wszystko w czarnych barwach, ale chyba nie ma racji. Kiedy pewni politycy padają ofiarą zamachu, połowa ich kraju świętuje na ulicach. Ludzie kupują piwo i chorągiewki. Może to nawet wywołać cud gospodarczy.

— Jestem pewna, że ta możliwość również była rozpatrywana. Wydaje mi się jednak, że opinia wicezastępczyni Scarangelo jest podzielana przez większość.

— Tak ją nazywacie?

— Takie zajmuje stanowisko.

— Czy twoja broń czeka na ciebie w hotelu? — zapytałem.

— Jakim hotelu? — odparła.

— Tym, w którym się zatrzymamy. Czy może odbierzesz ją skądś indziej?

— Nie ma żadnej broni. Jestem nieujawniona. Władze nie mogą mi dać broni. Tobie także.

— Więc co mamy zrobić?

— Standardowa procedura przewiduje zaopatrzenie się w broń na miejscu poprzez rekwizycję.

Obróciłem mocno głowę w lewo i w prawo, żeby odsunąć skrzydełka przy zagłówniku.

— To może się okazać dość łatwe, ponieważ Romford Boys mają się na baczności ze względu na Kotta i Carsona — powiedziałem. — I wcześniej czy później zetkniemy się z ich zewnętrznym kordonem. Potrącimy jakby skraj pajęczyny. A ponieważ zewnętrzny kordon jest uzbrojony, zabierzemy im broń i my też będziemy uzbrojeni.

— To chyba jedna z możliwości, którą, ich zdaniem, powinniśmy rozważyć. Generał Shoemaker uważa też, że kontakt z zewnętrznym kordonem Romford Boys może sam w sobie okazać się korzystną taktyką. Zasugerował zwrócenie się z pozorowaną ofertą biznesową. Jeśli przebrniemy przez pierwszą linię, możemy zlokalizować drugą i zorientować się, gdzie jest jądro. Innymi słowy, gdzie są Kott i Carson.

— Czy udzielisz mi szczerzej odpowiedzi, jeśli o coś zapytam?

— To zależy.

— Ilu jeszcze nieujawnionych agentów wysyłają Stany Zjednoczone?

— Pięciu.

— Ilu jest brytyjskich tajniaków?

— Z tego, co ostatnio słyszałam, trzynastu.

— Jak to wygląda w przypadku pozostałych sześciu krajów?

— Każdy wysłał po dwóch agentów, z wyjątkiem Rosji, która nie chce być gorsza od nas i wysłała siedmiu.

— Kiedy tam wszyscy przybędą?

— Prawdopodobnie przed nami. Niewykluczone, że trochę się spóźnimy na przyjęcie.

— A jak bardzo zajęci są ci romfordczycy?

— Zajęci czym?

— Robieniem interesów. Z dostawcami, hurtownikami, detalistami i tak dalej.

— Nie mam pojęcia.

— Uznajmy, że są przynajmniej w umiarkowanym stopniu zajęci, tak? Narkotyki, dziewczyny i broń. Te branże polegają głównie na sprzedawaniu i kupowaniu. I na rynku zawsze pojawia się ktoś nowy, ktoś, kto daje lepszą cenę, po tej czy po drugiej stronie. Więc od czasu do czasu negocjują z nieznanymi ludźmi. Są do tego jakby przyzwyczajeni. Więc jeśli pojawi się jakiś udający twardziela nieznajomy proponujący niesamowity interes, nie będą do tego

przywiązywali szczególnej wagi. Nawet jeśli zaraz potem pojawi się następny. Ale wyliczyłaś właśnie trzydzieści siedem osób, które wszystkie wpadły na ten sam pomysł co Rick Shoemaker. Na widok trzeciego albo czwartego kontrahenta ludzie z zewnętrznego kordonu zaczną strzelać bez ostrzeżenia. Więc nie wykonamy tego numeru z pajęczyną. Zrobimy coś zupełnie innego.

— Co takiego?

— Wyjaśnię to później — powiedziałem, bo w tym momencie nic nie przychodziło mi do głowy, a jej zostało tylko pięć tabletek.

Przespałem może trzy godziny, sztywno wyprostowany, z głową w imadle, a potem mniej więcej dziewięćdziesiąt minut przed lądowaniem zapaliły się światła i zaczęły się stuki i brzęki w kuchni. Casey Nice wyglądała jak ktoś, kto przez całą noc nie zmrużył oka. Była blada, spocona i rozgorączkowana. Uroki nocnego lotu.

— Byłeś już w Londynie? — zapytała.

— Kilka razy — odpowiedziałem.

— Co muszę wiedzieć?

— Nigdy nie byłeś?

— Nie służbowo.

— To nie jest wyjazd służbowy. Jesteśmy tu incognito, pamiętasz?

— Dokładnie o to mi chodzi — odparła. — Mam zaraz przekroczyć granicę obcego państwa i złamać około stu praw i traktatów. Oni traktują to bardzo poważnie.

— Mówiła mi o tym Scarangelo.

— I miała rację.

— W takim razie największym twoim problemem będzie lotnisko. Powinniśmy zakładać, że zaostrzyli kontrolę. Ci ludzie są zresztą zawsze w stanie paranoi. Mają wszędzie kamery i weneckie lustra. Będą nas obserwować od pierwszej chwili po wyjściu z samolotu. Od momentu, kiedy wejdziemy do rękawa, dosłownie. Wypatrują nerwowych i podejrzanych zachowań. Bo to ich pierwsza i największa szansa, żeby wyłapać ludzi. A zbytnio nam nie pomoże, jeśli zawrócą nas z granicy albo zamkną, żeby przesłuchać. Więc nie zachowuj się nerwowo ani podejrzanie. Nie myśl o setkach praw i traktatów. Pomyśl o czymś zupełnie innym.

— Na przykład o czym?

— Co chciałabyś najbardziej robić w Londynie? Chodzi mi o jakieś głęboko skrywane pragnienie. Dowolnie głupie.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Chcę, żebyś wyobraziła sobie, że je spełniasz. Albo masz zamiar spełnić. Po to tu przyjechałaś. Masz zamiar złapać taksówkę i to zrobić.

— W porządku.

— Po wyjściu z lotniska będzie o wiele łatwiej. Tyle że każdy centymetr przestrzeni publicznej jest tutaj naszpikowany kamerami. Większa część przestrzeni prywatnej także. W Londynie jest jedna czwarta wszystkich działających na świecie kamer monitoringu. Nie sposób się przed nimi schować. Musimy przyjąć to do wiadomości i robić to, co do nas należy. Czy tego chcemy, czy nie, występujemy w filmie i jedyne, co możemy zrobić, to wynieść się stąd po fackie naprawdę szybko. Zanim zaczną przeglądać taśmy.

— Jeśli znajdziemy Kotta i Carsona, nie będziemy musieli szybko się wynosić. Zaproszą nas do pałacu Buckingham i dadzą medal.

— To zależy od tego, co z nimi zrobimy, kiedy już ich znajdziemy. I jak porządnie to zrobimy. Jestem przekonany, że Brytole tak samo jak my lubią czystą, schludną robotę, ale jeśli nie będzie czysta i schludna, w okamgnieniu rzucają nas na pożarcie. Będą zadawali pytania w swoim parlamencie i jest tutaj cała masa wrogo nastawionych gazet, które natychmiast zrobią wielki raban. Będą utrzymywali, że przez cały czas chcieli formalnego aresztowania i uczciwego procesu. Nazwą nas nielegalnymi cudzoziemskimi najemnikami. W gruncie rzeczy mordercami. Zostaniemy potępieni. A jeśli to okaże się konieczne, poświęceni. Więc generalnie preferuję

strategię szybkiego wycofania się. Poza tym i tak nie mam ochoty iść do pałacu Buckingham.

— Nie chciałbyś się spotkać z królową?

— Niekoniecznie. To zwykły człowiek. Jesteśmy wszyscy równi. Czy ona marzy o tym, żeby spotkać się ze mną?

— Nie myśl w ten sposób na lotnisku, bo z pewnością cię aresztują. Uznają, że przyleciałeś, żeby dokonać na nią zamachu.

• • •

Poranki są na Heathrow okresem ożywionego ruchu lotniczego i przez ponad czterdzieści minut krążyliśmy w powietrzu, zataczając szerokie leniwe kręgi nad centrum Londynu, w trakcie których część pasażerów zrywała się, że są już tak blisko, a jednak tak daleko, a inni cieszyli się po prostu widokami z okien, patrząc na wijącą się rzekę, olbrzymie, rozciągające się na wielkim obszarze miasto i stojące tu i tam słynne budynki, miniaturowe z dużej wysokości, ale jednocześnie dokładnie widoczne. Wreszcie żarty się skończyły i podeszliśmy do lądowania. Otworzyło się podwozie, po czym powoli i łagodnie koła dotknęły ziemi i dokołowaliśmy szybko na stanowisko.

Wyjście z samolotu zajęło sporo czasu. Ludzie wstawali, przeciągali się, włączali komórki, wyciągali ze schowków bagaże i zaglądali pod siedzenia, żeby sprawdzić, czy niczego nie zostawili. Dlatego weszliśmy na teren terminalu nieregularną kolumną, pojedynczo, parami i trójkami, wszyscy oddzielnie, ale blisko ze sobą związani, wszyscy zmierzający w tym samym kierunku i z grubsza tym samym krokiem, częściowo niecierpliwym, częściowo zmęczonym. Przeglądając się pasażerom przed sobą, nie zauważyłem żadnych podejrzanych zachowań. Za siebie się nie oglądałem, żeby samemu nie wzbudzić podejrzeń.

Po odczekaniu w długiej kolejce przeszliśmy bez żadnych problemów przez odprawę paszportową. Casey Nice poszła na pierwszy ogień, ze starannie wypełnioną deklaracją, i odczytałem z ruchu warg, że urzędnik pyta ją o cel podróży, a ona odpowiada „Turystyczny” i dodaje „To znaczy wakacje”, jakby była dwujęzyczna. Podeszedłem do okienka zaraz po niej i nie zadano mi żadnego pytania. W moim nowym paszporcie wbito pierwszy stempel, po czym dołączyłem do Nice i ruszyłem wraz z nią przez halę bagażową do oddziału Cel i Akcyzy Jej Królewskiej Mości. Gdzie również nie napotkaliśmy żadnych problemów. Anglicy zainwestowali dużo forsy w niewidzialne skanery. Przeszliśmy przez mniej więcej dziesięciometrowy korytarz z weneckimi lustrami i bez ani jednego widocznego funkcjonariusza.

Potem był tłum ludzi czekających, by powitać wszystkich, tylko nie nas, rześkie poranne powietrze wpadające przez automatyczne drzwi oraz tablice nad głowami informujące o dostępnych środkach transportu, którymi były kolej, metro, autobusy i taksówki. Heathrow znajduje się na zachód od centrum, a nasz hotel był we wschodniej części Londynu, wystarczająco daleko, by taksówkarz zapamiętał nas jako ludzi, którzy zamówili najlepszy kurs tygodnia. Poza tym plik pieniędzy, jakie dostaliśmy od Shoemakera, choć pokaźny, nie był niewyczerpany.

Wybraliśmy zatem metro, przede wszystkim, by doświadczyć czegoś nowego, a także ponieważ uważam, że w tunelach miasta można najlepiej wyczuć, jaka panuje w nim atmosfera. Rezonująca akustyka wzmacnia uczucia strachu i nerwowości albo ujawnia ich brak.

To była długa jazda, na twardych ławkach, z dwiema przesiadkami, tunelami niewiele większymi od samych wagonów. Nie czułem w powietrzu jakiegoś szczególnego napięcia. Sporo normalnych codziennych smutków i zmartwień, ale nic poza tym. Wysiedliśmy na stacji o nazwie Barking i stanęliśmy na chodniku w porannym słońcu. Zmęczona i lekko potargana Casey Nice wyglądała ze swoją walizką na kółkach jak bezdomne dziecko. Jej zdaniem do hotelu

mieliśmy jeszcze kawałek drogi. Długi spacer. Nie widziałem krążących po ulicach taksówek. Za daleko od centrum.

— Naprawdę potrzebujemy jakiejś limuzyny — powiedziała.

— Nie sędzę, żeby je tutaj mieli — odparłem.

Najwyraźniej jednak mieli coś z grubsza podobnego. Przed witryną z napisem *Barking Minicabs* zobaczyłem kilka poobijanych sedanów. Podeszliśmy tam i zajrzałem do środka. Za wysokim kontuarem ze sklejki siedział facet. Poprosiłem go o samochód. Odpowiedział, że przywoływanie taksówek na ulicy jest niedozwolone. Tylko uprzednio zamówione.

— Niczego nie przywołuję — odparłem. — Mówię normalnym tonem. I nie stoję na ulicy.

— Tylko uprzednio zamówione. Moglibyśmy stracić licencję.

— Czy ja wyglądam panu na rządowego inspektora? Czy ja wyglądam na gliniarza?

— Musi pan zamówić samochód przez telefon — powiedział facet i wskazał wiszącą na ścianie tablicę, na której był napis *Tylko na uprzednie zamówienie* oraz numer telefonu.

— Serio? — zapytałem.

— Moglibyśmy stracić licencję — powtórzył.

Zastanawiałem się, czy nie zastosować metod alternatywnych, ale nagle przypomniałem sobie, że mam w kieszeni telefon, który dała mi Scarangelo w Paryżu. O'Day zaopatrzył go na czas misji w moduł GPS. Wyjąłem go i wybrałem numer, który widniał na tablicy. Z początku nic się nie działo, bo do akcji weszły liczne służby namierzające i liczne organizacje międzynarodowe. W końcu mniej więcej metr od mojego łokcia zadzwonił stacjonarny telefon. Facet odebrał go.

— Potrzebuję samochodu — powiedziałem.

— Oczywiście, proszę pana. Kiedy ma zostać podstawiony?

— Za trzydzieści sekund.

— W jakim miejscu?

— Tutaj.

— Jaki jest cel podróży?

Wymieniłem nazwę hotelu.

— Liczba pasażerów?

— Dwie osoby.

— Pański kierowca odbierze pana za minutę — powiedział facet.

Co, formalnie rzecz biorąc, oznaczało, że będę czekał dwa razy dłużej, niż prosiłem, ale nie robiłem z tego wielkiej afery. Po prostu się rozłączyłem, wróciłem do czekającej na zewnątrz Casey Nice i powiedziałem jej, jak to wygląda.

— Nie powinieneś się tak upierać — pouczyła mnie. — Zapamiętaj cię. A tego rodzaju firma płaci prawdopodobnie haracz romfordczykom. I informują ich pewnie, co się dzieje w okolicy.

• • •

Samochód był podniszczony, brudny i niezbyt przestronny, ale zawiózł nas tam, gdzie chcieliśmy, czyli do taniego hotelu z parkingiem, usytuowanego w okolicy, która dawno temu była leżącą na końcu świata wiochą i dalej tak wyglądała, kiedy się jej dokładniej przyjrzeć. Tu i tam widać było stare ceglane mury, a nieopodal stał nieprzyzwoicie dostojny stary dom, wtłoczony między o wiele mniejsze podmiejskie budynki. Najprawdopodobniej dawny dwór, przed dwustu laty, gdy miasto było o cały dzień drogi stąd, zamożny i sielski. Ale potem dociągnięto kolej i dziedzic stracił raz i drugi po pięć hektarów ziemi, a potem przyszły autobusy

i samochody i dziedzie stracił sad, ogród i całą resztę, wszystko z wyjątkiem kamiennego dziedzińca od frontu, na którym z trudem mieściły się dwa auta.

Hotel zbudowano, mając na celu przede wszystkim rentowność. Mogliby wziąć dźwig, poustawiać do wysokości czterech pięter kontenery z Pope Field i efekt byłby podobny. Zameldowaliśmy się i dostaliśmy klucze, a ponieważ Nice chciała zostawić swój bagaż, udałem się na poszukiwanie swojego pokoju, który robił wrażenie wyjątkowo siermiężnego, lecz miał wszystko, czego potrzebowałem, i nie było w nim nic zbędnego. Umyłem się, przeczesałem palcami włosy, po czym zszedłem na dół, gdzie zastałem Nice, zwartą i gotową.

— Jaki mamy plan? — zapytała.

— Pójdziemy rzucić okiem — odparłem.

— Na co?

— Na miejsce, gdzie odbędzie się G Osiem.



Facet w recepcji wezwał dla nas taksówkę, zamawiając ją przepisowo przez telefon, i pojawiła się zaskakująco szybko. Nice podała kierowcy adres i ruszyliśmy, jak mi się zdawało, na północny wschód, ulicami, które robiły wrażenie podmiejskich, ale w jakiś sposób skondensowanymi, jakby były trochę węższe, szybsze i bardziej zatłoczone, niżby chciały. Minęliśmy tablicę informującą, że jesteśmy w Romford, ale trzymaliśmy się przez dłuższy czas na zachód od centrum, a potem okrążyliśmy je od północy boczną uliczką i nagle ujrzelśmy przed sobą rozległe tereny zielone, przypominające kształtem kawałek pizzy i rozszerzające się, w miarę jak się od nas oddalały, aż do miejsca, w którym płynął nieprzerwany strumień pojazdów jadących obwodnicą, czyli autostradą M25, jak nazywały ją miejscowe znaki.

Pośrodku klina zieleni stał elegancki ceglany budynek z wykuszami, kominami, dwuspadowymi dachami i setkami lśniących szprosowych okien. W stylu elżbietańskim albo będący bardzo dobrą wiktoriańską imitacją. Teren dookoła rezydencji wysypany był złocistym równym grysem, a wszędzie dookoła grysu był prosty zielony trawnik, bardzo zwyczajny i nieskazitelnie utrzymany.

Dookoła trawnika biegł wysoki ceglany mur, tworzący gigantyczny prostokąt i zamykający rezydencję ze wszystkich czterech stron, z lewej, prawej, z przodu i z tyłu, ale w bardzo przyzwoitej odległości. Trawniki były długie i szerokie. Ktoś to sobie bardzo dobrze policzył. Mur niewątpliwie należał do rezydencji, był częścią projektu architektonicznego, ale od środka ogrody mogły się wydać bardzo rozległe. Po drugiej stronie muru pozostał niewielki spłachetek zieleni, za którym znowu zaczynał się Londyn, po obu stronach, jakby brał posiadłość w dwa ognie.

— To tutaj? — zapytałem.

— Tak — odparła Casey Nice. — Rezydencja nazywa się Wallace Court. Od stuleci mieszkała tutaj rodzina Darbych. Pałac jest z szesnastego wieku, mur wiktoriański. Obecnie mieści się tu centrum konferencyjne.

Pokiwałem głową. Kolejny stary dwór, przed wiekami tak samo zamożny i sielski, ale mający chyba więcej szczęścia. Wiktoriański właściciel musiał zdawać sobie sprawę, że nadchodzą zmiany. Może inwestował w kolej. Dlatego zbudował mur, żeby powstrzymać ekspansję świata. Domyślałem się, że udawało się to przez kolejnych sto lat, do chwili, gdy zbudowano autostradę i hałas spowodował, że dalsze mieszkanie tutaj stało się niemożliwe. Rodzina zatem w końcu się poddała i wyniosła, a dom stał się centrum biznesowym, gdzie dzięki wszechobecnemu hałasowi ludzie są być może naelektryzowani i pełni energii.

— To nie jest chyba typowa lokalizacja na spotkanie G Osiem — powiedziałem.

— Owszem, miejsce było kontrowersyjne — przytaknęła Casey Nice. — Normalnie preferują bardziej rustykalne i ustronne otoczenie. Ale Brytyjczycy się uparli. Dlatego że jest stąd blisko do miejsca, gdzie odbywały się igrzyska olimpijskie, czy coś podobnego. Chyba nikt jasno nie wyłuszczył powodów.

Siedzieliśmy w taksówce jeszcze chwilę po tym, jak się zatrzymała. *Wygląda to inaczej, kiedy gdzieś tam czai się snajper.* A potem odetchnęliśmy głęboko i wysiedliśmy, żeby z bliska przyjrzeć się posiadłości. Mur miał mniej więcej trzy metry wysokości, był gruby, ozdobny i z przyporami. Musiał kosztować fortunę. Składał się chyba z miliarda cegieł. Prawdopodobnie można by z nich zbudować całe miasto. Pomyślałem ponownie o żyjącym dawno temu wiktoriańskim właścicielu, panu Darbym. Miał pewnie bródkę i pokaźne bokobrody. Musiał być

niesamowicie uparty. Lepiej było sobie odpuścić i kupić wyspę.

W murze była tylko jedna brama, kunsztownie ozdobiona i pomalowana na czarno z wplecionymi tu i ówdzie złotymi liśćmi. Ustawiona była dokładnie naprzeciwko frontowych drzwi domu, do których wiodła długa prosta aleja. Wszystko to razem sprawiało, że lokalizacja nie była najgorsza. Może rzeczywiście nietypowa i kontrowersyjna, ale nie skazana z góry na porażkę. Wystarczyło ściągnąć wojsko, ustawić po zewnętrznej stronie muru uzbrojonych po zęby żołnierzy w polowych mundurach, jakieś dziesięć metrów jeden od drugiego, a przy jednej jedynej bramie zastosować najwyższe środki bezpieczeństwa. Eliminowało się w ten sposób dziewięćdziesiąt dziewięć procent konwencjonalnych zagrożeń. Opancerzony humvee może i mógłby przebić się przez mur, ale nic mniejszego z całą pewnością nie dałoby rady. Widziałem więc, dlaczego tajne służby ośmiu krajów dały swoją zgodę. Uznały, że miejsce jest odpowiednie.

Do czasu.

Do spotkania G8 zostały jeszcze prawie trzy tygodnie, ale przygotowania szły pełną parą. To było jasne. W oddali rozładowywano ciężarówki. A przy bramie stał policjant. I uważnie nas obserwował. Nie poczciwy *bobby* ze spiczastym hełmem na głowie, ale krępy, nabity facet w keplarowej kamizelce, z pistoletem maszynowym Heckler and Koch.

— Widział nas — szepnęła Casey Nice.

— Na tym polega jego praca — odparłem.

— Nie możemy teraz tak po prostu odejść. To się wyda podejrzan.

— Więc chodźmy i z nim pogadajmy.

Podszedłem do gliniarza i zatrzymałem się w stosownej odległości, sygnalizując językiem ciała to, co wszyscy nauczyliśmy się sygnalizować. Nie dawaj facetowi z bronią powodów do niepokoju.

— Myśleliśmy, że będziemy mogli tam wejść — zagailem.

— Naprawdę, proszę pana? — odparł facet z bronią.

Miał miejscowy akcent i przemawiał beznamiętnym tonem, a sposób, w jaki wymówił „proszę pana”, był celowo neutralny, jakby w rzeczywistości chciał powiedzieć: „Kazano mi używać tego zwrotu, ale nie przywiązuję do niego większej wagi”.

— Niewykluczone, że wprowadzono mnie w błąd — odparłem. — Mój przewodnik jest bardzo stary.

— Jaki przewodnik?

— Dał mi go mój ojciec. A jemu wcześniej dał chyba jego ojciec. Coś w rodzaju rodzinnego dziedzictwa. Piszą tam, że w pewne dni w roku można tam wejść i obejrzeć za sześć pensów rezydencję i ogrody.

— Powinien pan oddać ten przewodnik do antykwariatu.

— Domyślam się, że cena sześciu pensów wzrosła razem z inflacją.

— Ten dom nie jest prywatną rezydencją od trzydziestu lat. A w tym momencie i tak jest zamknięty. Więc byłbym wdzięczny, gdyby się pan oddalił.

— W porządku — odparłem i powoli odeszliśmy, rozglądając się długo i uważnie, w lewo, prawo, za siebie i w górę, przypatrując się drzewom, szeregowym domom, bliźniakom i niewielkim apartamentowcom, stacjom benzynowym, sklepom spożywczym, ruchowi ulicznemu i niebu. Nasza taksówka odjechała, w związku z czym ruszyliśmy dalej na piechotę.

— I co teraz? — zapytała Casey Nice. Robiła wrażenie zmęczonej.

— Wrócimy do hotelu i się prześpiemy — powiedziałem.

• • •

Nie było nam to jednak dane z powodu telefonu od O'Daya, po którym żalowałam, że nie jestem hazardzistą. Scarangelo zapytała: „Kto obsadzi drugie miejsce? Carson czy Dacew?”, a ja odparłam, że Carson. I okazało się, że miałem rację. Ponieważ Dacew został odnaleziony. To znaczy aresztowany. Właśnie poinformowano nas o tym z Moskwy. Ponad trzy tygodnie wcześniej schowano go w bagażniku samochodu w garażu pod nocnym klubem, wywieziono z miasta na prywatne lotnisko i przetransportowano drogą lotniczą sześć tysięcy kilometrów na wschód, gdzie zajął pozycję i cierpliwie czekał, tak jak to zwykle robią snajperzy. Kiedy nadeszła pora, oddał jeden strzał, który trafił w głowę faceta zajmującego się wytopem boksytów. Z odległości tysiąca stu metrów, zakomunikował nam O'Day. Zwyczajna historia w świecie sprywatyzowanych bogactw naturalnych. Za jednym pociągnięciem spustu mocodawca Dacewa stał się numerem drugim na rynku aluminium.

Okazało się to, niestety, niewystarczające. Numer pierwszy poczuł się naturalnie zagrożony i spostrzegł okazję do dalszej konsolidacji, a miał wysoko postawionych przyjaciół, kupionych i zblatowanych. Wskutek tego siły ładu i porządku w nietypowy dla siebie sposób postanowiły zaprowadzić porządek. Czemu dopomogła pogoda. Wiosna na dalekim wschodzie Rosji to nie to samo co wiosna w Karolinie Północnej, Paryżu albo Londynie. Temperatura spada tam poniżej zera i sypie śnieg. Samolot nowego numeru drugiego został uziemiony. Całą jego świątę odnaleziono w miejscowym hotelu. Był z nimi Dacew. Prowadzone w stylu KGB (stare wino w nowych butelkach) przesłuchanie pozwoliło szybko dojść do sedna sprawy i Dacew został zatrzymany. O'Day domyślał się, że dano mu do wyboru: albo będziesz bez marudzenia i wybrzydzenia pracował dalej dla SWR, albo trafisz za kratki. Co dla każdego, kto znał od podszewki rosyjski system penitencjarny, tak naprawdę nie było żadnym wyborem. O'Day przeniósł już akta Dacewa z działu wolnych strzelców do działu zatrudnionych. Nie wiedział, co przyniesie przyszłość, ale miał jasność co do przeszłości: Dacewa nie było w Paryżu ani za pierwszym, ani za drugim razem i nie przebywał teraz w Londynie.

Rozmowa dobiegła końca. Nadal staliśmy w holu naszego hotelu.

— Sytuacja stała się po prostu trudniejsza — powiedziała Casey Nice. — Ponieważ Carson jest miejscowy, a Kott też mówi po angielsku.

— Napijesz się kawy? — zapytałem.

— Nie.

— Może gorącej herbaty?

— Niech będzie kawa bezkofeinowa.

Wyszliśmy zatem z hotelu i udaliśmy się do przaisnej kawiarenki trochę dalej po drugiej stronie ulicy. Żadna międzynarodowa sieć. Nic, co przypominałoby kawiarnię w Seattle. Po prostu zwykła londyńska kafejka z chłodnymi jarzeniówkami i wilgotnymi laminowanymi blatami. Ja wziąłem zwykłą czarną, Nice bezkofeinową i usiedliśmy.

— Zamknij oczy — powiedziałem.

— W butach czy bez butów? — zapytała z uśmiechem.

— Pomyśl o tym, co widzieliśmy, oddalając się od Wallace Court. Wyobraź to sobie.

Powiedz mi pierwszą rzecz, która przychodzi ci do głowy.

— Niebo — odparła, zamykając oczy.

— Pomyślałem o tym samym. To nisko zabudowany teren. Trochę dwupiętrowych szeregowców, trochę trzy- i czteropiętrowych kamienic, ale w większości zwykle jednopiętrowe bliźniaki, niekiedy z dobudowanymi strychami.

— Co w promieniu tysiąca trzystu metrów daje około dziesięciu tysięcy okien na wyższych piętrach.

— Nie dziesięć tysięcy. To nie jest Manhattan ani Hongkong. To Romford. Ale

z pewnością parę tysięcy. Z których kilkaset zupełnie dobrze się nadaje. Co byś zrobiła, gdybyś była odpowiedzialna za bezpieczeństwo?

— Musiałabym podporządkować się instrukcjom Secret Service.

— Powiedzmy, że jesteś dyrektorem Secret Service.

— Niczego bym nie zmieniała. Kazałabym im robić to, co normalnie robią.

— Czyli co? Widziałaś, co się dzieje, kiedy gdzieś przybywa prezydent?

— Oczywiście, że widziałam. Opancerzona limuzyna skręca w zamkniętą ulicę, a potem podjeżdża do dużego białego namiotu dostawionego do budynku docelowego. Poła namiotu jest za nią opuszczana. Prezydent ani na chwilę nie jest na otwartym terenie. Jest bezpieczny w opancerzonym samochodzie i bezpieczny w namiocie. W każdym razie przed snajperem. Snajper nie wie, w którym dokładnie miejscu i w którym momencie prezydent wysiada z samochodu. Nie widzi, bo zasłania mu namiot. Mógłby strzelać na chybił trafił, ale jakie ma szanse? Pomyliłby się pewnie co najmniej o dwie sekundy i pięć metrów.

— I Secret Service zastosuje właśnie ten system, prawda? — powiedziałem. — Zawsze go stosują. W samolocie transportowym mają opancerzoną limuzynę i namiot. Brytyjczycy mogą gadać, że to ich przedstawienie, ale to nie ma znaczenia. Jeśli chcesz zaprosić prezydenta Stanów Zjednoczonych na przyjęcie, Secret Service mówi ci, jak to będzie wyglądało. Czy tego chcesz, czy nie, będziesz miał namiot dostawiony z boku domu. A prezydent nie powie przecież, że inni nie mogą z niego korzystać. Nie powie: przykro mi, kochani, ale musicie skorzystać z wejścia dla służby.

— Inni nie mają własnych opancerzonych limuzyn.

— To nie ma większego znaczenia. Wystarczy kilka zwykłych mercedesów.

Z przyciemnianymi szybami. W którym siedzi premier, a w którym jego asystenci i sekretarze?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że gdybym był Johnem Kottem albo Williamem Carsonem, wcale by mi się to nie podobało. Miałbym przeciwko sobie oczywiste i niezawodne środki bezpieczeństwa, które z całą pewnością zostałyby użyte, a poza tym nisko zabudowany teren, bardzo płaską trajektorię oraz ograniczoną liczbę odpowiednich pozycji strzeleckich. Tak ograniczoną, że jeśli Brytyjczycy sypną groszem, będą mogli postawić gliniarza w każdej sypialni.

— Więc myślisz, że zamach jest wykluczony?

— Gdzie mieliby go dokonać? Limuzyna wjeżdża do namiotu.

— Zapominasz o fotografii — powiedziała.

Zapytałem Casey Nice, jaką fotografię ma na myśli, a ona szczegółowo mi to wyłuszczyła. Powiedziała, że — jak wszystko w polityce i w dyplomacji — sprawa jest poważniejsza, niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Jest czymś więcej niż tylko rytuałem albo formalnością. Chodzi o kwestie wizerunkowe, o kolegalność i sposobność pokazania się w jednym szeregu z grubymi rybami. Chodzi o to, jaki kto ma status, ile jest wart i co napiszą o nim gazety w ojczyźnie. Do spaceru na świeżym powietrzu przywiązywano dużą wagę. Świat musiał zobaczyć, że dany polityk przechadza się razem ze swoimi kolegami, rozmawia, żartuje, śmieje się, poklepuje ich po plecach, załatwia interesy. Że jest tak samo ważny jak cała reszta.

Wyjaśniła również, że wszyscy będą wychodzili na dwór nie tylko po to, by zrobić sobie zdjęcie. Co jakiś czas będą przechadzali się po trawnikach w dwu- i trzyosobowych grupkach. Jeśli facet z Włoch ma problem z długiem w euro, powinno się go zobaczyć, jak spaceruje razem z Niemcem, pogrążony w rozmowie z nim. Mogą gadać o dzieciach albo o piłce nożnej, ale w Rzymie będzie się liczył sam ten obrazek. Z tego samego względu nasz prezydent powinien być widziany razem z Rosjaninem, Brytyjczyk z Francuzem, a Japończyk z Kanadyjczykiem. Poza tym wszyscy wzajemnie działają sobie na nerwy, a niektórzy są nadal nałogowymi palaczami, więc przerwy w obradach są nieuniknione.

— Kott i Carson będą mieli możliwość zobaczyć swoje cele, możesz mi wierzyć — powiedziała.

— Czy wchodzi w grę odwołanie całego spotkania? — zapytałem.

— Nie.

Przez zaparowaną szybę kawiarni zobaczyłem czarną furgonetkę, która podjechała pod nasz hotel.

— Nie można zrobić im zdjęcia w środku budynku? — odezwałem się po chwili.

— Teoretycznie tak, ale nie w tych okolicznościach.

— Czy niedopuszczalna jest rozsądna rozważa?

— Nie, jeśli sprawia wrażenie tchórzostwa.

— To jakiś obłąd.

— Na tym polega polityka. Świat musi widzieć, że stają na wysokości zadania. A u niektórych zbliżają się właśnie wybory. Tego rodzaju przekaz jest ważny.

Czarna furgonetka czekała przy krawężniku po drugiej stronie ulicy. Nikt z niej nie wysiadł. Nikt nie wszedł.

— A jeśli będzie padał deszcz? — zapytałem.

— Zaczekają, aż przestanie — odparła.

— Może nigdy nie przestać. Jesteśmy w Anglii.

— Teraz nie pada. Chcesz, żebym sprawdziła prognozę pogody?

Pokręciłem głową.

— Licz na najlepsze, szykuj się na najgorsze — powiedziałem. — Czy ustalono już wcześniej, gdzie pstrykną im tę fotkę?

— Na tylnym dziedzińcu — odrzekła. — Są tam niskie stopnie. Wymarzone miejsce dla niższych facetów.

— Tył domu wychodzi na autostradę. Lepsze to niż centrum miasta.

— Po obu stronach jest dużo budynków.

— Czy wykorzystają szyby kuloodporne?

— To nie ma sensu — odparła. — Te panele chronią tylko jednego faceta za mikrofonem. Nie ochronią ośmiu, którzy się przechadzają.

Pokiwałem głową. Wyobraziłem sobie osiem przechadzających się osób.

Najprawdopodobniej wyjdą na dziedziniec przez jakieś przeszklone drzwi i wszyscy będą udawali zdziwienie, że muszą się tak nagle oderwać od spraw tego świata i spełnić trywialne żądania prasy. „Do licha, naprawdę?” „Musimy to zrobić właśnie teraz?” „No dobrze, załatwmy to szybko i wracajmy do pracy”. Będzie więc sporo fałszywych nieśmiałych uśmiechów i sporo żartobliwych przepychanek, by znaleźć się gdzieś z tyłu. I wszystko, jak się domyślałem, będzie się odbywało w ramach małej zwartej grupy, bo tego wymaga kolegalność, zasada równości i chęć pławienia się w blasku odbitej chwały. Żaden z całą pewnością nie będzie chciał się znaleźć na osobności. Gdyby przeciekło jakieś zdjęcie z siedmioosobową grupką po jednej stronie i samotnikiem po drugiej, miałoby to fatalny wydźwięk. Tytuły w krajowej prasie pisałyby się same. *Niekontaktowy, ignorowany, bojkotowany, zamknięty w sobie, nie potrafi współpracować z innymi.*

Będą więc stali w zwartej grupie i kiedy dojdą do wniosku, że media mają już dosyć wygłupów, ustawią się na stopniach, wypną pierś i kompletnie znieruchomieją.

Bez opasek na oczach.

Czarna furgonetka nadal stała po drugiej stronie ulicy.

— Bierzesz dalej te tabletki? — zapytałem.

— Wciąż mam ich pięć — odparła.

— Więc czujesz się dobrze?

Casey Nice pokiwała głową.

— Całkiem dobrze — mruknęła.

— Bo opanowałaś wytyczne, a nasze pierwsze działania są satysfakcjonujące?

— Bo dostrzegam teraz sposób, w jaki można przez to wszystko przebrnąć. Problem sam się zawęży. Kott i Carson będą chcieli widzieć tylny dziedziniec i być może tylny trawnik. A więc mniej więcej sześćdziesiąt procent budynków przestaje nas interesować. Wiemy, gdzie możemy ich znaleźć. To znaczy z grubsza wiemy.

Czarna furgonetka nadal stała po drugiej stronie ulicy.

— A gdybyśmy gdzieś po drodze napotkali przeszkodę... — powiedziałem.

— Jakiego rodzaju?

— Coś nieoczekiwanego. Poradzisz sobie?

— To zależy.

— Od czego?

Casey Nice przez dłuższy czas milczała. Zastanawiała się nad tym na serio.

— Poradzę sobie, jeśli nie wybije nas to z rytmu — odpowiedziała w końcu.

— Chcesz powiedzieć, że jeśli będziemy mieli jakiś problem, powinniśmy się z nim uporać szybko i zdecydowanie?

— Tak. Jeśli pojawi się jakaś przeszkoda, musimy ją pokonać i zdążyć dalej do celu. Nie możemy pozwolić, żeby nas od niego odwiodła. Widzę teraz rozwiązanie i nie chcę stracić go z oczu.

Czarna furgonetka nadal tam stała.

— Dobrze — rzuciłem. — Wracajmy do hotelu.

Furgonetka stała przy krawężniku tyłem do nas. Wielkością i kształtem przypominała małego SUV-a, ale z tyłu była całkowicie zabudowana. Przednia szyba, szyba od strony kierowcy, od strony pasażera i nic więcej. Była pomalowana na czarno i z tego, co widziałem, nie miała żadnych napisów. Poza tym wyglądała na bardzo czystą. Nawoskowana i lśniąca jak lustro. Podobnie jak samochód SEALs w Seattle. I tu rodziło się pytanie. Kto korzysta z dużych czarnych pojazdów i utrzymuje je w nieskazitelnym stanie? Tylko dwie odpowiedzi. Firmy wynajmujące limuzyny oraz siły ładu i porządku. A firmy wynajmujące limuzyny nie mają w swojej ofercie furgonetek. W ostateczności minibusy, ale pasażerowie lubią okna.

Tyle że znajdowaliśmy się w Londynie, a co ja o nim wiedziałem? Może trwała akurat rewolucja kulturalna, polegająca na tym, że ludzie zapalali miłością do czystych samochodów? Może do Ameryki miało to dotrzeć pół roku później, podobnie jak beatlemania? Choć z drugiej strony wszystkie inne pojazdy, które widziałem na ulicy, były brudne.

— To gliniarze? — zapytała Casey Nice.

— Na pewno dadzą nam jasno do zrozumienia, czy nimi są, czy nie — odparłem.

Prześliśmy ulicę i kiedy pokonaliśmy całą drogę, jaka dzieliła nas od furgonetki, jej przednie drzwi otworzyły się jednocześnie z jednej i drugiej strony, szybko i gładko — klamki naciśnięte, kiedy byliśmy blisko, pchnięte łokciami, kiedy byliśmy jeszcze bliżej. Wysiadło z niej dwóch facetów. Ten, który stanął na chodniku, obrócił się powoli na pięcie, a jego partner szybko obszedł maskę. Ten sam obrót, różne szybkości. Rodzaj zsynchronizowanego działania, bez wątplenia doprowadzonego do perfekcji przez długą praktykę.

Obaj faceci byli w ciemnych garniturach, na które włożyli czarne płaszcze. Obaj biali. A właściwie, dokładnie rzecz biorąc, różowi. Czerstwi, jakby przeżyli długą i mroźną zimę. Obaj byli ode mnie niżsi, ale niewiele lżejsi. Obaj mieli wielkie sękaty dłonie i umięśnione karki.

Zablokowali nam drogę.

— Mogę pomóc? — zapytałem, podobnie jak sąsiad w Arkansas.

— Mam zamiar włożyć bardzo powoli rękę do kieszeni i pokazać panu rządowy dokument identyfikacyjny — oświadczył facet, który wykonał krótszy obrót. — Rozumie pan?

Co mogło się okazać sprytną sztuczką, ponieważ w czasie, gdy gapilibyśmy się na jego rękę, która wsunęłaby się powoli do kieszeni, zatrzymała się tam, a potem powoli wysunęła, drugi facet mógł złożyć fabrycznie nowy egzemplarz heckler and kocha z dostarczonych części.

Z drugiej strony, gdyby uważali, że będzie im potrzebna broń, wysiedliby z nią z furgonetki.

— Rozumiem — powiedziałem.

Facet zerknął na Casey Nice.

— A pani?

— Proszę bardzo — odparła.

Zrobił to więc powoli i wyjął z kieszeni skórzane etui. Było czarne i robiło wrażenie starego i zużytego. Otworzył je kciukiem i palcem wskazującym. Po obu stronach zgięcia miało dwa plastikowe okienka, oba lekko pozółkłe. Za jednym był rodzaj tarczy herbowej Metropolitan Police. Lśniącej, rzeźbionej i robiącej duże wrażenie na ich spiczastych hełmach, ale o wiele mniej imponującej na papierze. Za drugim okienkiem był dowód tożsamości.

Facet podniósł etui.

Jego kciuk przesłonił zdjęcie.

— Zaslania pan kciukiem zdjęcie — powiedziałem.

— Przepraszam — odparł i odsunął kciuk.

To była jego fotografia.

Wyżej wydrukowany był napis *Metropolitan Police*.

— Chcemy zadać państwu kilka pytań — oznajmił.

— Jakich pytań? — zapytałem.

— Chcemy, żeby wsiedli państwo do furgonetki.

— A gdzie wy będziecie siedzieć?

Facet trochę się stropił.

— Chcemy, żeby wsiedli państwo do tyłu furgonetki — uściślił.

— Nie lubię ciemności — odparłem.

— Z przodu jest druciana siatka. Będzie pan miał dużo światła.

— Dobrze.

Trochę go to zaskoczyło. Znowu się stropił. A potem kiwnął głową i razem ze swoim partnerem dał krok do przodu, a my cofnęliśmy się, zeszliśmy z chodnika na jezdnię, stanęliśmy w miejscu i czekaliśmy grzecznie, aż jeden z nich otworzy drzwi.

Zrobił to ten, który wcześniej obszedł dookoła maskę. Przekręcił klamkę, po czym otworzył prawe skrzydło drzwi i je zablokował, a następnie zrobił to samo z lewym. Oba skrzydła otwarte były pod kątem większym niż dziewięćdziesiąt stopni, tworząc coś w rodzaju rękawa. Przestrzeń ładunkowa była kompletnie pusta, bez żadnych oznaczeń i tak samo czysta jak karoseria z zewnątrz. Wszędzie był goły metal, wszędzie pomalowany na czarno, nawoskowany i wypolerowany. Ściany wewnętrzne wzmocniono wspornikami, podłoga była żebrowana. I zgodnie z obietnicą, za kabiną pasażerską, na całej jej wysokości i szerokości, przyspawana była gęsta druciana siatka.

Drzwi po wewnętrznej stronie nie miały klamek.

Facet odsunął się od lewego skrzydła drzwi, trochę się prostując, bo wcześniej pochylił się, by je zablokować, a ja odbiłem się z tylnej stopy, gwałtownie obróciłem i wbiłem mu łokieć w grzbiet nosa: potężne uderzenie, skierowane lekko w dół. Pod facetem ugięły się kolana, a głowa poleciała mu do tyłu i z metalicznym odgłosem odbiła się od drzwi, ale ja nie patrzyłem, co się z nim dalej dzieje, bo w tym momencie odwracałem się już w drugą stronę, odpychając stojącą mi na drodze Casey Nice i zamierzając wyróżnić tym samym łokciem pierwszego faceta, który był silnym mężczyzną, ale najwyraźniej marnym wojownikiem. Być może stracił czujność, polegając wyłącznie na swojej aparycji i reputacji. Może minęło już wiele lat, odkąd brał ostatnio udział w poważnej walce. Jedynym sposobem, by poradzić sobie z nagłym ciosem łokciem, jest obrót, pochylenie się do przodu i przyjęcie uderzenia ramieniem, co jest zawsze bolesne i może spowodować utratę czucia w ręce, ale pozwala na ogół utrzymać się na nogach. Jednak facet zdecydował inaczej. Wybrał złe rozwiązanie. Cofnął się, podnosząc podbródek i mając nadzieję, że uchylą się przed ciosem, co w ogóle mu się nie udało i nigdy nie mogło się udać. Łokieć trafił go prosto w gardło, idealnie poziomo, niczym żelazny łom poruszający się z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Szybkość ma znaczenie — podobnie jak w baseballu i przy wyważaniu drzwi. A w ludzkim gardle sporo jest wrażliwych chrząstek i małych kostek. Poczulem, że mój łokieć miażdży wiele z nich, po czym spojrzałem na drugiego faceta, który nie potrzebował jednak dodatkowych pytań. Siedział na tyłku, opierając się o otwarte drzwi i krwawiąc obficie z nosa, wyliczony do ośmiu. Odwróciłem się więc z powrotem i zobaczyłem, że facet, którego uderzyłem w gardło, leży na wznak w rynsztoku, charcząc, rżęząc i łapiąc się za krtani.

Uklękłem przy nim i go obmacałem. Żadnej broni palnej ani noża. Wróciłem do faceta



siedzącego na tyłku. To samo. W biały dzień nie są uzbrojeni, domyśliłem się. Nie w Londynie.

W polu widzenia pojawiła się z powrotem Casey Nice. Była bardzo blada.

— Co ty, do diabła, wyprawiasz? — zapytała.

— Pogadamy później — odparłem. — Jesteśmy w miejscu publicznym. Najpierw załadujmy ich do furgonetki.

Facet w rynsztoku z trudem oddychał. Złapałem go za przód płaszcza, podniosłem, wsunąłem do przestrzeni ładunkowej najpierw głowę i ramiona, a potem całą resztę, następnie zaś zrobiłem to samo z drugim facetem, ale łapiąc go za kołnierz z tyłu i za pasek, bo z przodu obficie krwawił, a nie chciałem ubrudzić się czymś lepkiem. Kopnąłem blokady, zatrzasnąłem drzwi i zaciągnąłem klamkę.

Zamknięte.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytała Casey Nice.

— Nie chciałaś, żeby coś odwodziło nas od celu.

— To są gliniarze, na litość boską.

— Siadaj z przodu. Musimy porzucić gdzieś to cholerstwo.

— Jesteś nienormalny.

Rozejrzałem się i zobaczyłem samochody i ludzi, ale wszyscy najwyraźniej zajmowali się własnymi sprawami. Nie zbierał się wokół nas żaden tłum. Nikt nie stał, zakrywając dłonią otwarte usta, nikt nie szukał w kieszeni komórki. Zostaliśmy zignorowani. Prawie świadomie. Na całym świecie jest tak samo. Ludzie odwracają wzrok.

— Powiedziałaś, że jeśli wyłoni się jakiś problem, powinniśmy się z nim uporać szybko i zdecydowanie — przypomniałem Nice.

Podszedłem do drzwi od strony kierowcy, wsiadłem do środka i odsunąłem fotel najdalej, jak było można, a można było niezbyt daleko z powodu drucianej siatki. Miałem prowadzić furgonetkę z ręczną skrzynią biegów i silnikiem Diesla, z kolanami przy uszach i w ruchu lewostronnym, a do żadnej z tych rzeczy nie byłem przyzwyczajony.

Casey Nice usiadła obok mnie. Była w dalszym ciągu blada. Kluczyk nadal tkwił w stacyjce. Uruchomiłem silnik, wcisnąłem sprzęgło i poruszyłem drażkiem. Wyglądało na to, że samochód ma mnóstwo biegów. Co najmniej siedem, razem ze wstecznym. Opierając się na wiedzy teoretycznej, pchnąłem drażek w górę i w lewo i poszukałem dźwigni kierunkowskazów.

— Miałam na myśli inne problemy, nie gliniarzy — sprostowała Casey Nice.

— Gliniarze są takim samym problemem jak każdy inny. A nawet gorszym. Mogą odwieźć nas na lotnisko skutych kajdankami. Nikt inny nie może tego zrobić.

— Teraz na pewno to zrobią. Będą nas chcieli dopaść i się zemścić. Napadłeś właśnie na dwóch policjantów. Od tej chwili jesteśmy ścigani. Sytuacja stała się przez ciebie tysiąc razy trudniejsza. Milion razy trudniejsza. Nasze zadanie stało się niewykonalne.

Włączyłem kierunkowskaz, zerknąłem w tylne lusterko i ruszyłem do przodu, z lekkim szarpnięciem, bo moja lewa stopa nie przywykła do sprzęgła.

— Tyle że to wcale nie byli policjanci — powiedziałem.

Zmieniłem bieg raz, drugi i trzeci, za każdym razem coraz płynniej, po czym wyrównałem kurs i ruszyłem lewym środkowym pasem.

— Widzieliśmy jego odznakę — mruknęła.

— Założę się, że wydrukował ją sobie na domowym komputerze.

— Założysz się? Co to w ogóle znaczy? Masz zamiar pobić stu policjantów tak na wszelki wypadek, bo jeden z nich miał być fałszywy?

Zmieniłem jeszcze raz bieg i dodałem gazu, żeby nie odstawać od innych.

— Żaden gliniarz na świecie nie nazwie swojej odznaki rządowym dokumentem

identyfikacyjnym — powiedziałem. — Gliniarze nie pracują dla rządu. Przynajmniej we własnym przekonaniu. Pracują dla swojego wydziału. Dla siebie wzajemnie. Dla światowego braterstwa gliniarzy. W ostateczności dla miasta. Ale nie dla rządu. Rząd jest czymś, czego nienawidzą. Jest ich najgorszym wrogiem, na każdym poziomie. Narodowym, okręgowym, lokalnym. Nikt tam nie rozumie gliniarzy i wszyscy coraz bardziej utrudniają im życie, zalewając ich niekończącym się strumieniem gówna. Żaden gliniarz nie użyłby tego słowa.

— Jesteśmy w innym kraju.

— Gliniarze na całym świecie są tacy sami. Wiem, bo byłem jednym z nich i poznałem wielu innych. Tutaj także. Jeśli chodzi o gliniarzy, to nie jest inny kraj.

— Może tak właśnie nazywają tutaj swoją legitymację.

— Moim zdaniem nazywają ją legitymacją policyjną.

— Facet wiedział, że nie zrozumiemy, co to takiego. Dlatego użył innych słów.

— Powiedziałby: jestem funkcjonariuszem policji, włożę teraz bardzo powoli rękę do kieszeni i pokażę swoją odznakę. Albo legitymację policyjną. Albo identyfikator. Albo papiery. Albo coś jeszcze. Ale z jego ust powinny paść słowa „policja” lub „policyjny”, a nie „rząd” lub „rządowy”.

Casey Nice przez minutę się nie odzywała, a potem rozpięła pasy, obróciła się na fotelu i przyklęła, żeby spojrzeć przez kratkę.

— Reacher, jeden z nich nie oddycha — odezwała się po chwili.

Zerknąłem do tyłu, ale nie mogłem oderwać wzroku od drogi na wystarczająco długą chwilę, by zyskać pewność. Może po prostu oddychał bardzo powoli.

— Musisz coś zrobić, Reacher — rzuciła Casey Nice.

— Co ja jestem, doktor?

— Musimy znaleźć jakiś szpital.

— Ze szpitala natychmiast zadzwonią po gliniarzy.

— Moglibyśmy zostawić furgonetkę przy izbie przyjęć i zwiać.

Jechałem dalej, nie mając tak naprawdę pojęcia, dokąd zmierzam, na każdym skrzyżowaniu wybierając najbardziej uczęszczaną trasę, płynąc z prądem ulicami, które wydawały się nieskończenie długie, ale nigdy proste. Domyślałem się, że kierujemy się generalnie na północ i oddalamy od rzeki. Mijaliśmy najróżniejsze miejsca, wśród nich wszelkiego rodzaju fast foody, bary z kebabem i pieczonymi kurczakami, pizzerie i hamburgerownie, najrozmaitsze biura ubezpieczeniowe, sklepy z komórkami i dywanami. Żadnego szpitala. Jeśli facet rzeczywiście przestał oddychać, kipnął już przed wieloma minutami.

Wjechałem na wyboisty wyasfaltowany plac między dwoma rzędami pojedynczych garażów. Nie było tam nic prócz połamanego i zardzewiałego roweru. Żadnych ludzi. Żadnej aktywności. Zatrzymałem furgonetkę, ustawiłem drążek zmiany biegów w pozycji neutralnej i obejrzałem się za siebie.

Odczekałem chwilę.

Facet nie oddychał.

Drugi facet gapił się na mnie. Dolna część jego twarzy przypominała czerwoną maskę. Górna część była biała. Teraz był rzeczywiście biały. Nos miał fatalnie rozbity. Oczy szeroko otwarte.

— Wsiądę teraz i otworzę tylne drzwi — powiedziałem. — Jeśli spróbujesz ze mną pogrywać, zrobię ci to samo, co zrobiłem jemu.

Nie odpowiedział.

— Rozumiesz? — zapytałem.

— Tak — odparł.

W kącikach jego ust widać było pęcherzyki krwi.

Otworzyłem drzwi, wysiadłem i obszedłem furgonetkę. Casey Nice zrobiła to samo ze swojej strony. Nacisnąłem tylną klamkę i uchyliłem drzwi. Facet, który oddychał, był po lewej, facet, który nie oddychał — po prawej. Wsunąłem do środka rękę na próbę. Żadnej reakcji. Wymacałem więc nadgarstek po prawej i sprawdziłem puls.

Nie wyczułem go.

Ukląłem w środku i dotknąłem szyi. Facet był wciąż ciepły. Zsunąłem nieco w dół jego kołnierzyk i położyłem palce z boku szyi. Na wszelki wypadek trzymałem je tam bardzo długo. Czekając, przyjrzałem mu się uważniej. Miał przekłute w dwóch miejscach ucho. I wystający spod kołnierzyka niewielki tatuaż na szyi. Przypominał przekręcony na wietrze liść.

Facet był martwy.

— Powinniśmy przeszukać jego kieszenie. Powinniśmy przeszukać ich obu — powiedziałem i przesunąłem się na bok, żeby zacząć od żywego faceta.

— Nie mogę tego zrobić — mruknęła.

— Zrobić czego?

- Przeszukać trupa.
- Dlaczego?
- To zbyt makabryczne.
- Chcesz się zamienić?
- Możesz przeszukać obu?
- Jasne — odparłem i zrobiłem to.

Żywy facet miał w kieszeniach podejrzenie mało rzeczy. A to, co miał, też było trochę podejrzane. Przeszukawszy jego spodnie, nabrałem pewności, że to nie gliniarz. Po pierwsze, miał przy sobie zbyt wiele gotówki. Setki, jeśli nie tysiące brytyjskich funtów, w grubych przetłuszczonych rulonach. Gliniarze są funkcjonariuszami publicznymi, co nie czyni z nich wprawdzie biedaków, ale raczej nie opływają w dostatki. Mają do zapłacenia rachunki i z trudem wiążą koniec z końcem. Poza tym facet nie miał żadnego urzędnika, które pozwoliłoby mu nawiązać łączność. Absolutnie nic. Żadnej komórki ani krótkofalówki, a w przypadku będącego na służbie gliniarza było to nie do pomyślenia.

Zatrzymałem jego pieniądze i oddałem Nice etui z odznaką.

— Sprawdź to — poprosiłem.

Następnie przeszukałem martwego faceta, z analogicznym rezultatem. Gotówka i etui z legitymacją. Zatrzymałem pieniądze i oddałem etui Nice. Zdążyła już opróżnić pierwsze.

— Miałaś chyba rację — przyznała. — To fałszerstwo. Plastik jest umyślnie podrapany, a zażółcenia są zrobione markerem. Dowód tożsamości to dokument Worda, a odznaka jest obrazkiem o niskiej rozdzielczości, ściągniętym prawdopodobnie ze strony internetowej.

Przyjrzałem się ponownie tatuażowi. Może to nie był przekreślony liść. Po co taki wielki twardelec chciałby mieć wytatuowany przekreślony liść? I w ogóle jakikolwiek liść, jeśli nie był ekologiem, w co poważnie wątpiłem.

Może to było coś zupełnie innego.

— Popatrz — rzuciłem.

Pochyliłem się, rozwiązałem facetowi krawat, wyciągnąłem go spod kołnierzyka, rozpiąłem cztery pierwsze guziki koszuli i odwinąłem ją do tyłu tak, jak to kiedyś robili faceci na dyskotekach.

Tatuaż nie przedstawiał liścia. To był niewielki zawijas zdobiący pierwszą dużą literę składającego się z dwóch wyrazów napisu biegnącego w poprzek jego piersi, tam gdzie kobiety noszą naszyjniki.

*Romford Boys.*

— Na wypadek gdyby trafili za kratki — powiedziałem. — Inni osadzeni zostawią ich w spokoju.

Zatrzasnąłem z powrotem drzwi i zaciągnąłem klamkę.

Zamknięte.

Casey Nice nie odzywała się.

— Co jest? — zapytałem.

— To było zbyt wielkie ryzyko. A gdybyś popełnił błąd? To były tylko słowa.

— Zobaczyłem ludzi, którzy odwracali wzrok. Bo wiedzą, co jest dla nich dobre. Może już do tego przywykli. Może te czarne furgonetki znaczą w tej okolicy tylko jedno. Może tak właśnie znikają tutaj ludzie i nigdy się nie odnajdują.

Milczała.

— A poza tym było ich tylko dwóch. Gdyby namierzono nas jako nieujawnionych zagranicznych agentów, powierzyliby to zadanie ludziom z wydziału specjalnego, którzy muszą uzasadnić swój napompowany budżet, a poza tym uwielbiają dramatyczne wydarzenia

i ściągnęliby pewnie kilka drużyn antyterrorystycznych z gazem łzawiącym. Mieliby nad nami przewagę liczebną pięćdziesiąt do jednego. Cała okolica zmieniałaby się w strefę frontową. To nie wygląda już jak w filmach. Nie chodzą po mieście w długich trenczach.

— Kiedy się zorientowałeś?

— Powinni użyć normalnego samochodu. I powinni powiedzieć, że są z MI5. Po ludziach z MI5 można się spodziewać wszystkiego.

Usiedliśmy z powrotem z przodu i zajrzałem do schowka na tablicy rozdzielczej. Były tam dwie komórki, obie na kartę, z opłaconą z góry liczbą minut, obie nadal w sklepowym opakowaniu i absolutnie nie do namierzenia, jeśli kupiło się je za gotówkę, co uważałem za raczej pewne. Generalnie bardzo efektywne środki bezpieczeństwa. Romford Boys prowadzili dobrze zorganizowane przedsięwzięcie. Każda operacja obarczona była pewnym ryzykiem. Nawet uprowadzenie dwóch niepodjęzających niczego cudzoziemców spod taniego hotelu. Wszystko mogło się wydarzyć. Mogliśmy stawiać opór, poza tym w miejscu akcji mógł się pojawić nieskorumpowany gliniarz. Stąd brak broni i telefonu na kartę. Mniej dowodów dla prokuratora, mniej danych do akt.

Przesunąłem drążek zmiany biegów w górę i w lewo i podskakując na wybojach, wyjechaliśmy z placu na ulicę.

• • •

Przejechaliśmy półtora kilometra na południe, a potem skręciliśmy na wschód w kierunku Romford. Jak każdy facet lubię czasem pokazać, jaki ze mnie chojrak, i chciałem znaleźć najlepsze miejsce, żeby to zrobić. Chciałem, żeby furgonetkę odnaleziono po całym dniu nerwówki, chciałem zobaczyć, kto ją odnajdzie, i chciałem to zobaczyć z bezpiecznego miejsca. Mając więc na uwadze te trzy wymogi, krążyłem tak długo, aż znaleźliśmy odpowiednie miejsce. Którym był popękany betonowy parking za niewielkim supermarketem. Z drugiej strony przylegała do niego tylna ściana pensjonatu, urządzonego w połączonych ze sobą dwóch starych willach i posiadającego sporo okien. Casey Nice ściągnęła na smartfon mapkę okolicy i to, co na niej zobaczyliśmy, nas usatysfakcjonowało. Pensjonat stał przy głównej arterii, która prowadziła z południa na północ i z której można było skręcić na wschód albo na zachód.

— Ale musimy pamiętać, że mają tu swoich kapusiów — powiedziała. — Z pewnością mieli ich w firmie taksówkarskiej. Zapewne w zamian za zniżkę w pobieranym haraczu. Chyba nawet dużą zniżkę. Facet, który zawiózł nas do Wallace Court, musiał ich natychmiast zawiadomić.

— Bo Wallace Court jest na liście ich priorytetów — odparłem. — To miejsce nie jest. A poza tym są przekonani, że już nas dorwali. Zaczną nas znowu szukać dopiero po odnalezieniu furgonetki. Więc na razie możemy być spokojni.

Objechaliśmy jeszcze raz okolicę i zatrzymaliśmy się sto metrów od wjazdu na parking. Powiedziałem Casey Nice, że spotkam się z nią na rogu.

— Na parkingu może być kamera — ostrzegła mnie.

— Będę szedł ze spuszczoną głową — odparłem.

— To nie wystarczy. Za bardzo rzucasz się w oczy.

— Zanim obejrzą taśmy, nie będzie nas w tym kraju — mruknąłem.

Nie odpowiedziała. Po prostu wysiadła i odeszła. Wiedziałem dokładnie, czego dotyczyliśmy, i wytarłem wszystkie te miejsca krawatem nieboszczyka: zewnętrzne i wewnętrzne klamki, kierownicę, drążek zmiany biegów, dzwignienki przy kierownicy, dzwignię przesuwania fotela, zatrzaski pasów bezpieczeństwa i schowka na tablicy rozdzielczej. Wyrzuciłem krawat do studzienki, zsunąłem kurtkę z barków i naciągnąłem jej rękawy na dłonie, po czym przejechałem

w ten sposób ostatni krótki odcinek i zaparkowałem na pierwszym lepszym miejscu niedaleko tylnych drzwi do supermarketu. Zgasilem silnik, wysiadłem, zamknąłem drzwi furgonetki pilotem i odszedłem z pochyloną głową, wpatrując się w beton pod nogami.

Nice czekała na rogu i doszliśmy razem do ulicy, która była szersza i bardziej zatłoczona od innych, z czterema pasmami ruchu, autobusami, ciężarówkami i samochodami osobowymi sunącymi zderzak przy zderzaku. Znaleźliśmy drzwi do pensjonatu tam, gdzie powinny się znajdować, i weszliśmy do środka. Hol mógł być kiedyś świeży i czysty, ale te czasy bezpowrotnie minęły. Poprosiliśmy o pokój od podwórka. Powiedzieliśmy, że przeszkadza nam hałas od ulicy i że linie lotnicze zgubiły nasz bagaż i mają go nam dowieźć. Zapłaciłem gotówką z rulonu nieboszczyka, dostaliśmy duży mosiężny klucz i weszliśmy na górę.

W pokoju było chłodno i trochę wilgotno, ale duże okno zapewniało doskonały widok. Parking był tuż-tuż, mniej więcej czterdzieści pięć stopni pod nami. Furgonetka stała odwrócona do nas tyłem i dobrze widoczna. Casey Nice usiadła na łóżku, a ja na krześle stojącym przy toalecie, które ustawiłem w pewnej odległości od okna. Nie chciałem, żeby ktoś podniósł wzrok i zobaczył dwie blade twarze przyklejone do szyby. Zawsze lepiej skryć się w półmroku, tak jak to zrobił John Kott w Paryżu, na stole w jadalni.

Czekaliśmy, tak jak to już miałem okazję czekać wiele razy. Na czekaniu upływa duża część pracy w siłach ładu i porządku i duża część służby w wojsku. Długie leniwe okresy bezczynności przerywane od czasu do czasu jakąś akcją. Byłem w tym dobry i okazało się, że Casey Nice też jest w tym dobra. Nie przysypiała i to było najważniejsze. Siedziała spokojnie, nie wytrzeszczając oczu, ale spoglądając tam, gdzie zauważyła ruch. W pewnym momencie skorzystała z toalety i zastanawiałem się, czy nie wzięła tabletek, ale nie poruszyłem tego tematu.

W końcu zadała nieuniknione pytanie.

— Nie jest ci przykro z powodu tego faceta?

— Jakiego faceta? — odparłem.

— Tego, który umarł.

— Masz na myśli faceta, którego zamordowałem z zimną krwią?

— Powiedzmy.

— Był z niego prawdziwy twardziel.

— Nie jest ci przykro?

— Nie — odparłem.

— Naprawdę?

— A tobie jest?

— Trochę.

— Nic mu nie zrobiłaś.

— Mimo to.

— Facet miał wybór — powiedziałem. — Mógł spędzić życie, pomagając starszym paniom przechodzić przez ulicę. Mógł pracować jako wolontariusz w bibliotece. Przypuszczam, że mają tutaj jakąś bibliotekę. Mógł zbierać pieniądze na głodne dzieci w Afryce albo na to, na co je dzisiaj zbierają. Mógł zrobić bardzo wiele dobrych rzeczy. Ale nie zrobił. Wybrał co innego. Zdecydował, że będzie żył, wymuszając haracze i krzywdząc ludzi. Pewnego dnia otworzył niewłaściwe drzwi i to, co mu się przydarzyło, to jego problem, nie mój. Poza tym do niczego się nie nadawał. Marnował dobre jedzenie. Był zbyt głupi, żeby żyć.

— Głupota nie jest zbrodnią. A poza tym w Wielkiej Brytanii nie ma kary śmierci.

— Teraz już jest.

Nic na to nie odpowiedziała i znowu pograżyliśmy się w milczeniu. Zapadał powoli zmierzch i na parkingu pod nami zapaliła się żółta latarnia sodowa, zamontowana na wysokim

słupie, tak że oświetlała prawie całą czarną furgonetkę. Inne samochody przyjeżdżały, stały jakiś czas i odjeżdżały. Ich kierowcy zerkali na furgonetkę i odwracali wzrok. Z początku myślałem, że robią tak, bo wiedzą, do kogo należy, i to wzbudza ich niepokój. Potem zdałem sobie sprawę, że musi być inny powód.

— Ten drugi facet pewnie wali o ściany i wrzeszczy — powiedziałem.

Popełniłem błąd. Powinienem mu powiedzieć, żeby tego nie robił. Albo zadbać, by tego nie robił. To trochę psuło moje wyliczenia czasowe. Nie mogłem już liczyć na cały dzień nerwówki. Co najwyżej na kilka godzin. Choć początkowo mieszkańcy Romford nie palili się do odegrania roli dobrych samarytanów. Nikt nie ruszył nawet palcem, żeby pomóc facetowi. Wszyscy odwracali po prostu wzrok i jak najszybciej wynosili się z parkingu. Kolejny dowód, że tyrani nie mogą liczyć na lojalność i miłość swoich poddanych.

— Jestem głodna — oznajmiła nagle Casey Nice.

— W pobliżu na pewno można coś zjeść — odparłem. — Kebab, pieczonego kurczaka, pizzę, hamburgera, co tylko chcesz. To miasto jest chyba światową stolicą fast foodu.

— No to może by coś kupić?

— Jedz, kiedy nadarza się okazja. To naczelna zasada.

— Jesteś głodny?

— Trochę.

— Na co masz ochotę?

— Na pizzę — odparłem. — Z samym serem. Mniejsza szansa, że wśród składników znajdzie się kawałek szczura czy gołębia. Albo psa lub kota.

— Coś do picia?

— Cokolwiek, co pochodzi z rozlewni i jest szczelnie zamknięte.

— Nic mi nie grozi?

— Zależy, co zamówisz.

— Mam na myśli chodzenie po ulicach.

— Boisz się, że cię napadną?

— Boję się, że zauważą mnie chłopcy z Romford.

— W tej chwili nas nie szukają. Są przekonani, że nas dorwali.

— Jest różnica między aktywnymi poszukiwaniami i przypadkowym spostrzeżeniem.

— Co byś powiedziała, gdybyś miała siebie opisać siedmioma słowami?

— Masz na myśli cechy fizyczne czy psychiczne?

— Mam na myśli to, co powiedział kierowca taksówki, który nas zakablował.

— No nie wiem...

— Kobieta średniego wzrostu, z kucykiem, w brązowej skórzanej kurtce. Tak właśnie cię opisał. Niewiele możesz odmienić, jeśli chodzi o płeć i wzrost, ale możesz zlikwidować kucyka i zdjąć kurtkę. Wtedy staniesz się po prostu dwudziestokilkuletnią dziewczyną w dżinsach i T-shircie. W okolicy jest ich pewnie sto tysięcy. Nikt cię nie pozna.

Casey Nice zdjęła więc elastyczną opaskę z kucyka, potrząsnęła głową i włosy spadły jej luźno na ramiona. Następnie ściągnęła kurtkę najpierw z jednej, a potem drugiej ręki, położyła ją na łóżku i obróciła się do mnie twarzą.

Czy była podobna do Dominique Kohl? Tak i nie. Nie, bo posiadała bardziej skandynawską, a Kohl bardziej śródziemnomorską pulę genów. Kohl miała ciemniejszą skórę, ciemniejsze włosy i ciemniejsze oczy. Wtedy, kiedy ją poznałem, było wyjątkowo gorąco, nawet jak na Waszyngton, i z dnia na dzień Dominique Kohl stawała się coraz bardziej brązowa i przykurzona. Nosila przeważnie szorty i T-shirt. I to właśnie T-shirt upodabniał ją do Nice. T-shirt Kohl był oliwkowozielony, a Nice biały, ale cienka, licha tkanina w obu przypadkach

okrywała młode wysportowane dziewczyny w ich szczytowej formie, obie szczupłe i gładkie, obie w jakimś sensie gibkie, zwinne i elastyczne, obie w jakimś sensie identyczne. Przynajmniej na pozór. Wewnętrznie były inne. Nice była nieśmiała, a Kohl nie brakowało pewności siebie. Wierzyła w siebie i była gotowa stawić czoło światu.

To jej nie uratowało.

— Uważaj — powiedziałem.

— Będę z powrotem za dziesięć minut — odparła.

Wyszła i słyszałem, jak jej kroki cichną w głębi korytarza. Oderwałem na chwilę wzrok od okna i wsadziłem dłoń do kieszeni jej kurtki. Wyciągnąłem pomarańczową fiolkę.

Zostały jej trzy tabletki.



Siedząc sam w pokoju, obserwowałem parking przy małym supermarkecie i widziałem, jak pewne rzeczy stale się powtarzają. Kierowcy wjeżdżali na parking, wysiadali, zerkali nagle zaskoczeni i niezdecydowani na czarną furgonetkę, a potem odwracali wzrok i wchodzili chyłkiem do sklepu. Po kilku minutach wychodzili i starali się jak najszybciej odjechać.

Minęło dziesięć minut. Casey Nice nie wracała.

Niebo za latarnią sodową zupełnie pociemniało, parking zasnuła nocna mgiełka i krople rosy osiadły na czarnej furgonetce, która od czasu do czasu kołysała się i podskakiwała. Zamknięty w środku żywy facet wpadał w desperację. Może chciał skorzystać z toalety.

Minęło piętnaście minut. Casey Nice nie wracała.

W końcu jakiś kierowca zaparkował samochód, spojrzął na czarną furgonetkę i nie oddalił się szybkim krokiem. To był młody, może dwudziestoletni facet z naželowanymi włosami ostrzyżonymi pod garnek. Zbliżył się ostrożnie do furgonetki, przechylił głowę i przez chwilę nasłuchiwał. Następnie podszedł jeszcze bliżej, zajrzał do środka przez boczną szybę od strony kierowcy, a potem zrobił to samo przez przednią szybę. Wreszcie wyjął z kieszeni komórkę. Może pracował dorywczo dla Romford Boys i chciał udowodnić swoją przydatność. Ponownie nadstawił ucha, chyba słuchając żywego faceta, który dyktował mu numer telefonu, po czym go wystukał.

Za moimi plecami obrócił się klucz w zamku i do pokoju weszła Casey Nice. Na rozpostartej dłoni trzymała dwa pudełka z pizzą, a w drugiej ręce cienką plastikową torbę z zimnymi napojami w puszkach.

— Wszystko w porządku? — zapytałem.

— Na razie tak.

— Jakiś chłopak właśnie gdzieś dzwoni — powiedziałem, wskazując głową okno.

Casey Nice położyła pudełka z pizzą na toalecie i wyjrzała na zewnątrz. Młody chłopak mówił coś do telefonu. Po chwili pochylił się i odczytał numer rejestracyjny furgonetki. Następnie odsunął komórkę od ucha, zadał jakieś pytanie przez szparę przy drzwiach, po czym przystawił do niej ucho, żeby wysłuchać odpowiedzi. Chodziło prawdopodobnie o nazwisko żywego faceta, które powtórzył przez telefon.

— Dlaczego nie zbije szyby albo nie włamie się do środka? — zdziwiła się Casey Nice.

— Uważasz, że wie, jak to się robi?

— Z całą pewnością. Wystarczy na niego spojrzeć. Nie żebym powielala stereotypy.

— Domyślam się, że facet z drugiej strony linii mówi mu, żeby tego nie robił. To bezwzględny świat. To nie są herosi, którzy odnieśli sukces, ale nieudacznicy, którzy skrewili. Nie warto dla nich niszczyć pojazdu. Ktoś przywiezie zapasowy klucz.

— Jak szybko?

— Za pięć minut — odparłem. — Albo za dziesięć. W każdym razie szybko. Nie dbają o swoich ludzi, ale chcą usłyszeć, co mają im do powiedzenia.

Wstałem z krzesła i otworzyłem pudełko z pizzą. Sam ser, ciasto drożdżowe, tu i tam spęczniałe i poczerniałe w piecu, mniejsze od gigantycznych dekli, jakie sprzedają w Ameryce.

— Dziękuję za poczęstunek — powiedziałem, tak jak nauczyła mnie matka.

— Proszę bardzo. — Wzięła swoje pudełko i oboje zjedliśmy po kawałku. W puszkach była cola, lodowato zimna. Na parkingu pod nami młody chłopak zakończył rozmowę i czekał, przestępując z nogi na nogę. Najwyraźniej na gratulacje. Z całą pewnością dorywczy pracownik

zdobywający dodatkowe punkty.

Komórka Casey Nice cicho zaświergotała.

— Przychodząca wiadomość — wyjaśniła i spojrzała na wyświetlacz. — Od generała O'Daya. Chce wiedzieć, dlaczego zalegliśmy w jednym miejscu.

— Powiedz mu, że odpoczywamy.

— Wie, że nie jesteśmy w naszym hotelu. Dzięki GPS-owi.

— Powiedz mu, że jesteśmy w kinie. Albo w teatrze. Albo w muzeum. Powiedz, że się ukulturalniamy. Albo malujemy paznokcie. Powiedz, że jesteśmy w gabinecie odnowy biologicznej.

— Wie, że to nieprawda. Sprawdził nas pewnie na Google Maps. Na Street View. Wie, gdzie jesteśmy.

— Więc po co pyta?

— Chce wiedzieć, dlaczego się nie przemieszczamy.

— Powiedz mu, żeby się zrelaksował. Mikrozarządzanie z odległości pięciu tysięcy kilometrów nie ma sensu.

— Nie mogę. Dostarcza nam najnowszych informacji i my też mamy to robić. To może funkcjonować tylko w ten sposób.

Sprawdziłem, co dzieje się na dole. Bez zmian. Nieruchoma furgonetka. Czekaający chłopak.

— Dobrze, przekaż mu, że wcielamy w życie sugestię Shoemakera. Przekaż, że weszliśmy w kontakt z zewnętrznym kordonem.

— Niestety, będę mu musiała przekazać, jak to się odbyło. To znaczy, że nie poprzez fikcyjną propozycję biznesową.

— Śmiało. Na pewno się nie przejmie.

— Może się przejąć. Mieli co do ciebie obawy.

— Miała je Scarangelo. Być może Shoemaker. Ale O'Day nie mógł się aż tak zmienić.

— Jesteś tego pewien?

— Sama się przekonaj. Przekaż mu dokładnie, co się wydarzyło.

Przesunęła więc palcem po ekranie i zaczęła stukać weń kciukami, a ja ponownie zerknąłem, co dzieje się za oknem. A działo się niewiele. Krąg żółtego światła, mgiełka, furgonetka, chłopak. Casey Nice skończyła pisać, odłożyła telefon na łóżko i sięgnęła po drugi kawałek pizzy. Ja żułem ser, popijałem colą i czekałem. Chłopak na parkingu co kilka minut podchodził do krawężnika i obserwował ulicę, a potem wracał do furgonetki, kładł ręce na karoserii i krzychał coś przez szparę w drzwiach, prawdopodobnie słowa otuchy. „Tak, zadzwoniłem, powiedzieli, że już jadą, będą tutaj lada chwila”.

Komórka Nice znowu zaświergotała. SMS od O'Daya. Przeczytała go dwa razy i podniosła wzrok.

— Przesyła szczerze gratulacje i radzi tak trzymać.

Pokiwałem głową.

— Ludzkie życie nic dla niego nie znaczy. Obchodzą go tylko rezultaty — powiedziałem. Powstrzymała się od komentarza.

— Poproś go o informacje, które dostał od MI5 na temat tego gangu z Romford. Zdjęcia, historia, raporty policyjne, wszystko, co ma. Musimy dokładnie wiedzieć, z kim mamy do czynienia.

Nice znowu zaczęła pisać. Chłopak na dole znowu przemawiał przez szparę w drzwiach. Wykonywał uspokajające gesty. Wiercił się, machał rękoma i spoglądał z nadzieją w stronę ulicy. „Na pewno przyjadą, słowo daję”.

I w końcu przyjechali.

•••

Na parking wjechały dwa samochody, oba czarne, oba z przyciemnianymi szybami — czterodrzwiowy jaguar i duże dwudrzwiowe coupé, długie, niskie i imponujące. Chyba marki Bentley. Wjechały szybko i zatrzymały się gwałtownie, dokładnie pośrodku parkingu. Drzwi jaguara otworzyły się na oścież i wyskoczyli z niego czterej mężczyźni, wszyscy biali i w ciemnych garniturach. Sformowali coś w rodzaju kordonu, zadzierając wysoko głowy i trzymając po bokach luźno opuszczone ręce. Chłopak z naželowanymi włosami lekko się cofnął. Z bentleya wysiadł kierowca. Podobnie jak pierwszych czterech, też był w garniturze. Rozejrzał się, zerkając w lewo, prawo, do przodu i do tyłu, a potem obszedł szerokim łukiem swój samochód, stanął przy drzwiach pasażera i otworzył je, tak jak to powinien zrobić szofer.

I z bentleya wysiadł olbrzym.

Najpierw wysunął pochyloną głowę i zgarbione plecy, zginając się w pasie i uginając kolana, a potem się wyprostował, ale zrobił to w kilku etapach, niczym skomplikowany mechanizm, dziecinna zabawka, która na początku wygląda jak ciężarówka wywrotka, a potem otwiera się, wysuwając kolejne elementy, i staje się gotowym do akcji wojownikiem. Był ogromny — z rękoma dłuższymi od nóg większości ludzi, dłońmi większymi od szpadli i torsem przypominającym baryłkę z ropą, ciasno opiętym dwurzędową marynarką, która normalnemu człowiekowi sięgałaby do kostek. Stopy miał wielkości rzecznych barek, kark szeroki na trzydzieści centymetrów, a głowę większą od piłki do kosza. Do tego odstające wielkie uszy, zwisające brwi, wydatne kości policzkowe, małe, głęboko osadzone oczka i cofnięty mały podbródek. Wyglądał jak woskowa figura neandertalczyka w muzeum historii naturalnej, tyle że nie był śniady, lecz blady i rudy, i rozmiarami przekraczał co najmniej dwukrotnie każdego dawnego hominida. Mógł mieć dwa metry piętnaście centymetrów wzrostu i ważyć sto czterdzieści kilo. A może więcej. Poruszał się w dziwny rozchybotany sposób, pokonując metr albo metr dwadzieścia przy każdym olbrzymim kroku, kołysząc wielkimi ramionami i wywijając gigantycznymi dłońmi.

— Jezus — mruknęła Casey Nice.

— Nie sędzę — odparłem. — Nie ma brody. Ani sandałów.

Facet podszedł do tylnych drzwi furgonetki, stawiając dwa kroki tam, gdzie normalny człowiek potrzebowałby czterech, po czym machnął ręką, co wyglądało, jakby wielki biały łabędź wzbijał się w powietrze. Jego szofer pogrzebał w kieszeni i wyciągnął z niej klucz. Wielki facet cofnął się, a szofer wsadził klucz w zamek, przekręcił go i otworzył drzwi najpierw z prawej, potem z lewej strony. Czterej faceci z jaguara zmienili pozycje, zacieśniając kordon i odwracając się do środka niczym gapie przyglądający się ulicznej bójce.

Wszyscy czekali.

Żywy facet wygramolił się z furgonetki, pełzną na brzuchu, stopami do przodu, powoli, sztywno i z widocznym bólem. Oparł się brzuchem o krawędź podłogi, wyprostował i odwrócił, by stawić czoło przeznaczeniu. Krew, która zakrzepła na jego twarzy, wydawała się czarna w sodowym świetle latarni, a skóra żółta. Olbrzym dał znowu krok do przodu i zajrzał do ciemnego wnętrza furgonetki. W tym momencie nie widziałem jego twarzy, ale zadał chyba krótkie pytanie. „Co się, do diabła, stało?”

Żywy facet tak naprawdę nic na to nie odpowiedział. Pokręcił po prostu głową, wypuścił z płuc powietrze i rozłożył ręce w bezradnym geście. Pytanie zostało powtórzone. Tym razem żywy facet odpowiedział, wymruczał coś, prawie w ogóle nie poruszając zakrwawionymi wargami, cztery albo pięć sylab, nic więcej. Może „skoczył na nas” albo „Skoczyli na nas”, może

„Nie dorwaliśmy ich” albo „Zwinęli się stąd”.

Olbrzym przez chwilę przetwarzał tę informację, pochylając lekko głowę, a potem ją unosząc, jakby fizycznie połykał złą wiadomość. Przez minutę milczał, po czym znowu zaczął mówić, tym razem gestykulując z przesadną uprzejmością, co oznaczało, że szydzi z faceta, bo nie było już żadnych ważnych informacji, które mógł od niego uzyskać. „Było was dwóch, prawda? I ich dwoje? W tym jedna dziewczyna? To ona cię uderzyła?” I tak dalej, i temu podobne, z sarkazmem i pogardą. Ze swojego miejsca widziałem twarz żywego faceta, który wydawał się coraz bardziej żalony. I przerażony. Tak jakby wiedział, co go czeka.

I po chwili się doczekał.

Jak na kogoś tak dużego olbrzym zareagował ze zdumiewającą szybkością. Jego prawa dłoń zacisnęła się w pięść wielkości kuli do kręgli i wyprowadził potężny cios prosto w zmasakrowaną twarz żywego faceta, który poleciał na lewe drzwi furgonetki, odbił się od nich i runął twarzą na beton.

— Czarujące — mruknąłem. — Nie takiego rodzaju przywództwa uczą nas w West Point.

Facet w ogóle się nie poruszał. Chłopak z naželowanymi włosami patrzył na niego z szeroko otwartymi ustami. Casey Nice też otworzyła szeroko usta. I w tym momencie jej komórka ponownie zaświergotała. Kolejny SMS. Nice oderwała wzrok od okna.

— Generał O’Day przesyła nam e-mailem dane z MI5 — powiedziała. — Powinniśmy je dostać za minutę. — Zmieniła stronę na wyświetlaczu i czekała.

Olbrzym pod nami przez sekundę stał bez ruchu, a potem swoją wielką głową wskazał bentleya i szofer pospieszył, by przytrzymać przed nim drzwi. Wielki facet stanął przy nich i zaczął się z powrotem składać. Wojownik ponownie zmienił się w wywrotkę. Podkurczył kolana, zgiął się w pasie, przygarbił ramiona, pochylił głowę i zaparkował tyłek na siedzeniu. Szofer zatrzasnął za nim drzwi i obiegił samochód, by zająć swoje miejsce. Bentley cofnął się, zawrócił i odjechał.

Dwaj faceci wsiedli z powrotem do jaguara i ruszyli w ślad za bentleyem, a dwaj inni obrócili żywego faceta na plecy, złapali go pod pachy i za kolana i wrzucili z powrotem do furgonetki. Zatrzasnęli drzwi, zaciągnęli klamkę i wyjęli klucz. Jeden z nich wyciągnął pokaznej wielkości różowy banknot, chyba pięćdziesiąt brytyjskich funtów, i wręczył go chłopakowi. Następnie wsiedli do furgonetki, cofnęli się, zawrócili i pojechali w ślad za jaguarem. Chłopak został sam w kręgu żółtego światła. Trzymał w ręku pieniądze i wyglądał, jakby liczył na coś więcej, może na klepięcie po ramieniu i obietnicę werbunku. Robił wrażenie rozczarowanego, jakby to wszystko zakończyło się niezgodnie z jego oczekiwaniami, jakby pomyślał: te marne pięćdziesiąt funtów mogłem zdobyć, napadając staruszkę.

Telefon Casey Nice wydał inny dźwięk, ciche stłumione brzdęknięcie.

— E-mail od generała O’Daya — powiedziała.

Który był pusty poza linkiem do załącznika. Dotknęła go i na wyświetlaczu pojawił się zapisany gęstym drukiem dokument. Usiedliśmy razem na łóżku, udo przy udzie, Nice przytrzymała między nami komórkę i zaczęliśmy czytać. Nagłówek informował w suchym akademickim żargonie, że rzecz dotyczy zorganizowanej przestępczości w Romford, w hrabstwie Essex, a także na jego obrzeżach, i, moim zdaniem, znakomicie odzwierciedlał styl brytyjskich tajnych służb. Bardzo typowy dla Cambridge. Podobny do stylu Yale, choć trochę inny. Nie było w nim nic, co przypominałoby West Point. I nic, co przypominałoby realny świat.

Pierwszy akapit zaczynał się od zastrzeżenia, a kończył zapewnieniem. Choć nic nie zostało udowodnione i nie zapadł żaden wyrok, wszystkie zawarte dalej informacje oparte były na solidnych podstawach. Brak dowodów, a w następstwie tego wyroków skazujących wynikał, jak uważano, z faktu permanentnego zastraszania świadków, a także z innych niesprecyzowanych

bliżej powodów, do których, moim zdaniem, można było zaliczyć korupcję miejscowych stróżów ładu i porządku.

Drugi akapit zaczynał się od śmiałego stwierdzenia, że zorganizowana przestępczość w Romford w hrabstwie Essex jest całkowicie zdominowana przez stowarzyszenie miejscowych obywateli noszące od dawien dawna nazwę Romford Boys. Ton tej informacji był lekko apologetyczny, jakby faceci z Cambridge wstydzieli się przytaczać nazwę wywodzącą się w sposób tak oczywisty z ulicy, a nie z sali wykładowej. Następnie przedstawiono w skrócie działalność stowarzyszenia, które, jak poinformował nas już wcześniej O'Day, zajmowało się handlem i importem nielegalnych narkotyków oraz nielegalnej broni palnej, kontrolowaniem prostytucji i handlu żywym towarem, wymuszaniem haraczy, które, jak uważano, płaciła większość miejscowych firm, a także ściąganiem długów udzielanych na astronomiczny procent. Dochody z całej tej działalności obliczane były na dziesiątki milionów brytyjskich funtów rocznie.

W trzecim akapicie przedstawiono biogramy.

Szefem był niejaki Charles Albert White, o ksywce Charlie. Siedemdziesięciosiedmiolatek, urodzony w tej dzielnicy, kształcący się na koszt państwa do piętnastego roku życia i posiadający na własność dom nieobciążony hipoteką ani żadnymi innymi długami. Żonaty, ojciec czworga dzieci, które wszystkie mieszkały w innych częściach Londynu i nie były podobno zaangażowane w jego przestępczą działalność.

Na dołączonym do akt, zrobionym z ukrycia zdjęciu widać było masywnego starszego faceta z przerzedzającymi się siwymi włosami i nieciekawym obliczem zdominowanym przez bulwiasty nos.

Charliemu podlegało coś w rodzaju egzekutywy składającej się z trzech mężczyzn: po pierwsze Thomasa Millera, ksywka Tommy, wiek sześćdziesiąt pięć lat, po drugie Williama Thompsona, ksywka Billy, wiek sześćdziesiąt cztery lata, i na koniec o wiele młodszego, liczącego sobie zaledwie trzydzieści osiem wiosen Josepha Greena, ksywka Mały Joey.

Mały Joey bez wątpienia był olbrzymem. Jego zdjęcie było o dwa centymetry dłuższe od innych. Napisano, że ma dwa metry trzynaście centymetrów wzrostu i waży dwadzieścia dwa kamienie, co jeśli dobrze się znałem na cudzoziemskich jednostkach wagi, oznaczało sto czterdzieści kilo. Był ich egzekutorem. MI5 ponownie skrupulatnie zastrzegło, że nic nie zostało udowodnione i nie zapadły wyroki skazujące, ale szybki awans Małego Joeya na stanowisko zajmowane przez mężczyzn, którzy mogli być jego ojcami, można by wytłumaczyć wyłącznie jego wyjątkową skutecznością. Według MI5 miał na sumieniu jedenaście pewnych zabójstw i niezliczoną liczbę pobić. Użyto prawniczego określenia *ciężkie uszkodzenia ciała*, które wydawało się oddawać istotę rzeczy.

— Dlaczego nazywają go „Mały”? — zdziwiła się Casey Nice.

— Bo to Brytyjczycy — odparłem. — Lubią ironię. Gdyby był karłem, nazwaliby go Dużym Joeyem.

Próbowała przewinać dokument dalej, ale okazało się, że to wszystko. Biogram Małego Joeya był ostatnim punktem.

— Potrzebujemy czegoś więcej — powiedziałem. — Potrzebujemy biogramów postaci drugoplanowych i adresów. Skontaktuj się znowu z O'Dayem.

— Teraz?

— Im szybciej, tym lepiej. Informacja jest złotem. I zdobądź wszystko, co wiedzą na temat Serbów w zachodniej części Londynu.

— Po co?

— Potrzebujemy broni palnej. Po tym, jak widzieliśmy Małego Joeya w akcji, najlepiej

sztucerów na słonie. I wątpię, czy Romford Boys będą nam je chcieli teraz sprzedać. Musimy nawiązać kontakt z kimś innym.

— Nie mamy teraz czasu na to wszystko. Ten hotel prawie na pewno płaci im haracz za ochronę. I możemy mieć pewność, że Romford Boys zaczynają dzwonić, żeby zdobyć jakieś informacje.

Pokiwałem głową.

— W porządku, skończ swoją pizzę i będziemy się stąd zmywać.

— Straciłam apetyt. Powinniśmy natychmiast wyjść.

Casey Nice zamknęła dokument i wróciła do ekranu głównego, jakby chciała podkreślić wagę swoich słów.

— Dokąd chcesz jechać? — zapytałem.

— Nie możemy wrócić do naszego hotelu. Już tam byli. To pierwsze miejsce, które sprawdzają.

— Masz tam swoje rzeczy.

Nie odpowiedziała.

— Możemy zaryzykować i wrócić tam na pięć minut — powiedziałem. — Wejść i zaraz wyjść, naprawdę szybko, tylko po to, żeby zabrać rzeczy.

— Nie — odparła.

— Możesz bez nich żyć?

— Ty nie masz żadnych rzeczy.

— Ja do tego przywykłem.

— Może ja też mogłabym przywyknąć. Do metody Sherlocka Homelessa. I właściwie co w tym jest takiego strasznego? Moglibyśmy gdzieś wstąpić i kupić szczoteczkę do zębów.

— Nie będziesz mogła rano włożyć czystych ubrań — oświeciłem ją. — To jest chyba najgorsze.

— W tym momencie wydaje się lepsze od tej drugiej możliwości.

— I nie będziesz miała piżamy.

— Przeżyję.

— W porządku — rzuciłem. — Pojedziemy do śródmieścia. Do centrum Londynu. Może do Ritzu. Albo do Savoya. Mamy dzięki nim masę forsy. A oni nie mają tam swoich informatorów.

— Jak się tam dostaniemy? Nie możemy wezwać taksówki.

— Pojedziemy autobusem — odparłem. — Nie sądzę, żeby londyńskie zakłady komunikacyjne płaciły haracz gangsterom.

Opuściliśmy zatem bez żadnego bagażu pokój, zostawiliśmy klucz w recepcji i wyszliśmy w ciemną noc.

Ulicą jeździły w obie strony duże czerwone autobusy i postanowiliśmy pojechać na południe, wysiąść na następnym dużym skrzyżowaniu i skierować się na zachód. Wszystkie pieniądze mieliśmy w dużych nominałach, których, jak się spodziewaliśmy, nie powitano by raczej miło w autobusie, zjrzelśmy zatem do sklepu i kupiliśmy karty miejskie, których nazwa, jak się okazało, oznaczała rodzaj małży<sup>2</sup>. Następnie zlokalizowaliśmy najbliższy przystanek i skryci w mroku, czekaliśmy, żeby wsiąść do pierwszego podjeżdżającego autobusu. Była siódma wieczór i czułem się zmęczony, a Nice wyglądała na kompletnie wykończoną. Nie zmrużyła oka od półtorej doby.

Obrzeża Londynu były rozległe, a autobus powolny, zaryzykowaliśmy więc i wysiedliśmy w Barking, gdzie — z tego, co wiedzieliśmy — mogliśmy skorzystać z metra, które, naszym zdaniem, było zdecydowanie szybszym środkiem transportu. Po przestudiowaniu mapy na stacji wybraliśmy linię District. Jej pociągi zatrzymywały się przy St James Park, skąd, jak nam się zdawało, powinno być blisko do różnych wytwornych miejsc. I nie myliliśmy się. Po wyjściu na powierzchnię zobaczyliśmy drogowskazy do opactwa westminsterskiego po jednej i do pałacu Buckingham po drugiej stronie. A naprzeciwko stacji stał duży hotel. Pięciogwiazdkowy. Nie Ritz i nie Savoy, ale należący do znanej międzynarodowej sieci i sprawiający pod każdym względem odpowiednie wrażenie.

Weszliśmy do środka i facet, który siedział w recepcji, wykorzystał fakt, że byliśmy zmęczeni, oznajmiając, że wolne są tylko pokoje na najwyższych piętrach, w cenie, za którą w okolicach Pope Field moglibyśmy wynająć na miesiąc dom z basenem. Ponieważ za wszystko płacili Romford Boys, nie bardzo się tym przejąłem. Odliczyłem pokaźną sumkę z jednego z zatłuszczonych rulonów i dostaliśmy w zamian elektroniczne klucze oraz najprzeróżniejsze informacje na temat obsługi hotelowej, kilku restauracji, piętér klubowych, centrów biznesowych oraz haseł do internetu. Casey Nice kupiła w hotelowym sklepiku szczoteczkę do zębów i pojechaliśmy windą na górę. Odprowadziłem ją do drzwi i zaczekałem, aż zamknie je za sobą, następnie zaś udałem się do własnego pokoju, którego kategoria cenowa nie wynikała z tego, że był szczególnie duży, lecz z liczby wielkich perkalowych poduszek, które prawie całkowicie zasłaniały łóżko. Zrzuciłem je wszystkie na podłogę razem z moimi ciuchami, po czym natychmiast zasnąłem.

• • •

Jedenaście godzin później obudziła mnie Casey Nice, dzwoniąc na hotelowy telefon. Głos miała rześki i radosny. Nie wiedziałem, czy zawdzięcza to jedenastu godzinom snu, czy chemicznemu poprawiaczowi nastroju.

— Chcesz zejść na śniadanie? — zapytała.

Zegarek w mojej głowie wskazywał kilka minut po ósmej, za oknem widziałem jasny dzień.

— Pewnie, zapukaj do moich drzwi, kiedy będziesz gotowa — odparłem.

Co zrobiła, mniej więcej dziesięć minut po tym, jak wziąłem prysznic i ubrałem się. Była oczywiście w tym samym stroju co poprzedniego dnia, ale chyba się tym szczególnie nie przejmowała. Zjechaliśmy do restauracji i zajęliśmy stolik daleko w rogu. Na sali sporo było gładkich typków omawiających różne sprawy i robiących interesy, niektórzy twarzą w twarz, inni przez telefon. Zamówiłem bogate w tłuszcze i cukier brytyjskie jedzenie oraz kawę — nie

herbatę. Casey Nice wybrała coś lżejszego i położyła komórkę przy swojej serwetce, żeby mieć ją pod ręką.

— Według generała O'Daya do dzisiejszego ranka ani MI5, ani miejscowa policja nie zostały powiadomione o ofiarach śmiertelnych wśród Romford Boys — powiedziała. — Wygląda na to, że Charlie White załatwił rzecz na własnym podwórku.

Pokiwałem głową. Normalka. Standardowa procedura. Kiedy ja kładłem się do snu, martwy facet trafił już prawdopodobnie pod zgniatacz karoserii albo do świńskiego koryta na pobliskiej farmie w Essex.

— Generał O'Day poinformował mnie również — dodała Nice — że do chwili obecnej przedstawiciele sześciu z ośmiu państw starali się potajemnie skontaktować z zewnętrznym kordonem i nikomu się to nie udało.

Pokiwałem ponownie głową. To było do przewidzenia. Romfordczycy dmuchali na zimne. Woleli przegapić autentyczną okazję, niż narazić na szwank swoją misję.

— Dostaniemy dzisiaj pełną listę nazwisk — podjęła Nice. — Oraz lokalizacji, ale ich skompletowanie będzie trudniejsze. Jest wiele potencjalnych adresów, w tym także w odległych rejonach wiejskich. Poza tym musimy zakładać, że wykorzystują już infrastrukturę Karela Libora. Co daje im jeszcze więcej możliwości.

Pokiwałem głową po raz trzeci. Kott i Carson byli igłami w jednym ze stu nieznanych stogów siana i przez jakiś czas nie powinno to ulec zmianie.

— Natomiast z Serbami najlepiej jest się skontaktować poprzez lombard w miejscowości o nazwie Ealing. To dzielnica na zachodnich obrzeżach miasta. Leży w połowie drogi na lotnisko. Sprawdziłam to na mapie.

— Sporo już rano zrobiłaś. Mam nadzieję, że się wyspałaś.

— Owszem — odparła. — Czuję się świetnie.

Nie zapytałem o tabletki.

— Wiedziałeś, że firma taksówkarska jest infiltrowana. Prawda? Od samego początku — powiedziała.

— Mogłem się domyślić.

— Wykorzystałeś ich, żeby zwrócić na siebie uwagę. Zamawiając taksówkę do hotelu i każąc się zawieźć do Wallace Court. Taki plan ułożyłeś sobie w samolocie. Uznałeś, że lepiej będzie, jeśli zewnętrzny kordon skontaktuje się z nami, a nie my z nimi — stwierdziła.

Mówiąc to, przypisywała mi większe zasługi, niż powinna. Głównie z powodu użycia słowa „plan”.

— Nie byłem pewien, czego się spodziewać — odparłem. — Nikt nigdy nie jest pewien. Wszystko polega na odpowiednim reagowaniu.

Przez chwilę milczała.

— Chcesz powiedzieć, że nie masz żadnego planu?

— Mam ogólny cel strategiczny.

— To znaczy?

— Wynieść się stąd, zanim zaczną oglądać taśmy.

— Jedźmy do Ealing — powiedziała.

• • •

Wróciliśmy na tę samą stację metra St James Park. Z mapy wynikało, że linia District, którą tu dojechaliśmy, prowadzi dalej na zachód, do stacji o nazwie Ealing Broadway, będącej według smartfona Nice dokładnie tą, o którą nam chodziło, co uznaliśmy za wyjątkowo korzystny zbieg okoliczności. Zaczekaliśmy więc na peronie, który zgodnie z miejscową nazwą



metra, Tube, miał rzeczywiście kształt rury, po czym wsiedliśmy do pociągu i nastawiliśmy się na dłuższą podróż.

— Mów coś do mnie — poprosiłem.

— Co mam powiedzieć?

— Gdzie się urodziłaś. Gdzie dorastałaś. Jak się nazywał twój kucyk.

— Nie miałam kuczka.

— A psa?

— Na ogół tak. Czasami więcej niż jednego.

— Miały imiona?

— Po co chcesz to wiedzieć?

— Chcę usłyszeć, jak mówisz.

— Urodziłam się na południu Illinois. Dorastałam na południu Illinois. Na farmie. Psom nadawali mi na ogół nazwiska prezydentów z Partii Demokratycznej.

— A gdzie ja się urodziłem? — zapytałem.

— W Berlinie Zachodnim. Powiedziałeś to temu facetowi w Arkansas.

— Gdzie dorastałem?

— Zgodnie z tym, co jest w twoich aktach, w bazach wojskowych na całym świecie.

— Czy to słychać w moim głosie?

— Twój głos brzmi, jakbyś nie pochodził z żadnego konkretnego miejsca.

— Dlatego to ty będziesz trzymała gadkę w lombardzie. Twój akcent jest lepszy od mojego. Ci Serbowie obawiają się pewnie jakiejś prowokacji, więc brytyjski akcent będzie dla nich dzwonkiem alarmowym. Klient może być tajniakiem. Bycie cudzoziemcem jest lepsze. A ty brzmisz jak prawdziwa Amerykanka. Zakładając, że to jest do wychwycenia dla serbskiego ucha.

— W porządku — odparła pogodnym tonem. Z tabletkami czy bez nich, radziła sobie na razie całkiem dobrze.

Jechaliśmy z turkotem, lekko się kołysząc, a potem pociąg wynurzył się spod ziemi i telepał się dalej w świetle dnia, powoli i statecznie, jak wszystkie podmiejskie środki transportu. Wsiedliśmy na stacji Ealing Broadway, wyglądającej jak każdy inny normalny dworzec kolejowy, i wyszliśmy na ulicę. Ealing było podobne do miejscowości, które widzieliśmy już wcześniej na wschodzie: niegdyś odległa wiejska osada, połknięta teraz przez rozrastające się miasto i w związku z tym wyglądająca nieszczególnie. Było tam jedno długie centrum handlowe, kilka publicznych gmachów i parada prowadzonych przez mamę z tatą rodzinnych firm, z których jedna miała pomalowaną na biało witrynę i szyld z napisem *Ealing Minicabs*. Tuż obok był lokal, w którym mama z tatą prowadzili biznes polegający na pożyczaniu pieniędzy pod zastaw niedużych i wartościowych fantów. Domyśliłem się tego, bo miał kraty w oknach i szyld z napisem *Pożyczki gotówkowe Ealing*. Spodziewałem się zobaczyć wiszące na szubienicy trzy złote kule, które, jak mi się zdawało, stanowią tradycyjny brytyjski symbol lombardu, musiałem się jednak zadowolić ich małą neonową repliką zawieszoną na wystawie, wypełnionej poza tym masą nieodebranych fantów, z których część była nieduża, część wartościowa, część taka i taka, a część nie należała do żadnej z powyższych kategorii.

— Gotowa? — zapytałem.

— Bardziej już nie będę — odparła.

Otworzyłem zatem drzwi, puściłem ją przodem i weszliśmy do lokalu, który wyglądał zupełnie inaczej niż w filmach. W nijakim, utrzymanym w brudnym białym kolorze wnętrzu dominowały laminaty i wiszące pod sufitem jarzeniówki. W gablotach ustawionej w kształcie podkowy długiej lady widać było rzucone byle jak kolejne nieodebrane fanty.

Za ladą, na pozycji godziny jedenastej stał średniego wzrostu facet, w wieku między

czterdziestką i pięćdziesiątką, bardzo śniady i nieogolony, ubrany w rdzawego koloru sweter, który musiał być zrobiony na grubych drewnianych drutach. Pochylony nad czymś małym, być może bransoletką, polerował ją trzymaną między dwoma kciukami szmatką. Obrócił głowę na bok niczym pływak i popatrzył na nas w sposób, który nie był ani wrogi, ani świadczący o jakimś szczególnym zaciekawieniu. Po długiej minucie zdaliśmy sobie sprawę, że to spojrzenie będzie wszystkim, co nas czeka w charakterze powitania, w związku z czym cofnąłem się, a Casey Nice zrobiła krok do przodu.

— Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli sobie pooglądam? — zapytała.

Ponieważ użyła liczby pojedynczej, skupiło to uwagę faceta wyłącznie na niej. „Poglądam”, nie „poglądamy”. Najwyraźniej ja nie byłem potencjalnym oglądaczem. Byłem nikim. Być może jej kierowcą. Facet za ladą nie odezwał się ani słowem, kiwnął tylko głową, co z powodu jego pozycji wyglądało, jakby nią pokręcił, i wydawało się jednocześnie zachęcające, jakby chciał powiedzieć „Niech pani ogląda, ile pani chce”, i zniechęcające, jakby dodawał „Ale to, co widać, to wszystko, co mamy”.

Pozostałem na swoim miejscu, a Nice zaczęła się przechadzać wzdłuż lady. Przyglądała się eksponatom, co jakiś czas kładła palec na szybie, jakby znalazła coś, nad czym warto się zastanowić, a potem, jednak nieusatisfakcjonowana, ruszyła dalej. Przeszła tak wzdłuż całej lady od lewej do prawej, a potem zawróciła, i w końcu podniosła głowę.

— Nie widzę tutaj rzeczy, której szukam — oświadczyła.

Facet w swetrze nie odpowiedział.

— Moja przyjaciółka z Chicago powiedziała mi, że przyszła właśnie tutaj — podjęła Nice.

— Po co? — zapytał facet w swetrze.

Nie był Anglikiem. To nie ulegało wątpliwości. Nie był również Francuzem, Holendrem ani Niemcem. A także Rosjaninem, Ukraińcem czy Polakiem. Było całkiem prawdopodobne, że to Serb.

— Moja przyjaciółka obawiała się o swoje osobiste bezpieczeństwo — powiedziała. — Rozumie pan, pierwszy raz w obcym mieście. Bez możliwości obrony, do której ma prawo we własnym kraju.

— Jest pani z Ameryki? — zapytał facet w swetrze.

— Tak, z Chicago.

— To nie jest siłownia, proszę pani. Nie uczymy tutaj technik samoobrony.

— Moja przyjaciółka mówiła, że można u was kupić pewne rzeczy.

— Chce pani złoty zegarek? Niech pani weźmie dwa albo trzy. Będzie pani mogła prehandlować je za własne życie.

— Moja przyjaciółka nie kupiła zegarka.

— A co kupiła?

Casey Nice opuściła rękę, schowała ją za plecy i pstryknęła palcami. Domyśliłem się, że teraz kolej na mnie. Na jej kierowcę. Albo służącego. Albo tragarza. Zbliżyłem się do lady, wyjąłem z kieszeni należący do nieboszczyka rulon z gotówką, postukałem nim lekko w szklaną gablotę i postawiłem go w pionie — gruby, zatłuszczony cylinder wielkości szklaneczki do whisky, wypełniony bez reszty papierowymi pieniędzmi. Facet przyglądał mu się długo i uważnie, popatrzył na mnie i odwrócił się z powrotem do Casey Nice.

— Co to za jeden? — zapytał.

— Mój ochroniarz — odparła. — Ale nie mógł przemycić swojego gnata przez kontrolę bezpieczeństwa.

— Obowiązują tutaj jakieś prawa.

— Prawa obowiązują wszędzie. Ale ta sama rzecz pozwala je wszędzie obejść.

Facet zerknął ponownie na pieniądze.

— Idźcie i zaczekajcie w korporacji taksówkarskiej — powiedział. — Następne drzwi. Ktoś was stamtąd zawiezie.

— Zawiezie dokąd?

— Nie trzymamy tutaj tych rzeczy. Za dużo policji. Stale nas sprawdzają. Obowiązują jakieś prawa.

— Gdzie je trzymacie?

Nie odpowiedział. Wyjął telefon, wybrał jakiś numer i powiedział coś szybko półgłosem w obcym języku. Nie po francusku, nie po holendersku i nie po niemiecku. Nie po rosyjsku, nie po ukraińsku i nie po polsku. Serbski nadal był na szczycie listy. Facet rozłączył się i pokazał nam drzwi.

— Idźcie — rzucił. — Zawiozą was tam.

Poszliśmy i nas zawieźli. Kiedy zajrzeliśmy do biura korporacji taksówkarskiej, pracujący tam facet wychodził już zza lady. Był trochę inną wersją tego z lombardu — nieco młodszy, nieco bardziej wyprostowany i nieco cięższy, ale tak samo śniady i nieogolony. Możliwe, że kuzyn albo po prostu sąsiad z tej samej wioski w starym kraju. Zaprowadził nas do stojącej przy krawężniku skody. Kolejna taksówka. My wsiedliśmy z tyłu, on z przodu, za kierownicą. Uruchomił silnik, wcisnął gaz i kiedy przekraczaliśmy pewną ustaloną wcześniej prędkość, usłyszeliśmy kliknięcie blokady drzwi.

Nie było sensu pytać, dokąd jedziemy. W życiu nie otrzymalibyśmy odpowiedzi. Kierowca milczek stanowił część spektaklu. Nie miało to zresztą większego znaczenia. Nie wiedzieliśmy konkretnie dokąd, ale wiedzieliśmy w przybliżeniu. Jechaliśmy na północ. Nie musieliśmy znać dokładnej nazwy leżącego tam następnego wywłaszczonego dworu, skoro mogliśmy sobie wyobrazić jego najważniejszą część. To musiał być jakiś stary magazyn w opuszczonej dzielnicy przemysłowej, na obrzeżach zubożałej części miasta, ewentualnie podobny do stodoły budynek stojący nieopodal gęstej plątaniny uliczek lub też autentyczna stodoła gdzieś na wsi, godzinę drogi od Londynu. Może czekała nas długa podróż. Sądząc po dźwięku silnika, skoda była na ropę. Co świadczyło o ekonomicznym podejściu. Pochyliłem się do przodu i sprawdziłem wskaźnik paliwa. Samochód miał pełny bak.

Za oknami ruch był niewielki i bardzo długo mijaliśmy typowe przedmieścia, a potem zobaczyłem łuk wielkiego stadionu piłki nożnej, co oznaczało, że dotarliśmy do miejsca o nazwie Wembley. Nadal zmierzaliśmy na północ. Ale nie czekała nas długa przejażdżka za miasto, bo dość szybko skręciliśmy i zobaczyłem drogowskaz do Wormwood Scrubs. Gdzie mieściło się chyba słynne londyńskie więzienie, dzięki czemu mogłem się z grubsza zorientować, dokąd jedziemy.

Nie dojechaliśmy jednak do samego więzienia. Zaułki, które mijaliśmy, stały się nieco mroczniejsze i bardziej ponure, ale nim zupełnie zeszyły na psy, zjechaliśmy z głównej ulicy. Skręciliśmy ostro raz i drugi w lewo i wjechaliśmy najpierw przez bramę w ceglanym murze, a potem do środka dużego ceglanego budynku, który sto lat wcześniej, w czasach, kiedy ludzie w miastach zajmowali się czymś innym poza robieniem hałasu i pieniędzy, mógł być zajezdnią tramwajową albo fabryką. Teraz urządzono tu warsztat samochodowy, sądząc z wyglądu, specjalizujący się w szybkiej i partackiej naprawie pojazdów użytkowanych jako taksówki. W kątach leżały stosy zużytych opon, szarych i brudnych, i wszystkie poobijane samochody, które zobaczyłem, były podobne do naszej skody. Jedna z nich stała na podnośniku, inne miały wycięte zniszczone części karoserii i wszystkie najwyraźniej były przywracane do stanu, jakiego wymaga się od taksówek na telefon. *Moglibyśmy stracić licencję*, powiedział facet w Barking i domyślałem się, że można było ją stracić, nie tylko przyjmując w niewłaściwy sposób zamówienie.

Wjechaliśmy na puste stanowisko serwisowe, zupełnie jakbyśmy chcieli, żeby wymienili nam olej albo sprawdzili zbieżność kół. Warkot diesla odbijał się od ścian głośnym echem. Jakiś facet wyłonił się za nami z cienia, przeszedł przez środek warsztatu, wcisnął duży zielony przycisk i wyposażona w mechanizm łańcuchowy brama, przez którą wjechaliśmy, zaczęła opadać z terkotem. Rąbek dziennego światła stawał się coraz cieńszy i w końcu kompletnie zniknął. Jedyne oświetlenie dawały teraz słabe elektryczne żarówki w oprawkach zawieszonych wysoko na dźwigarach nad naszymi głowami.

Facet, który nas przywiózł, wyłączył silnik, wysiadł i otworzył drzwi przed Casey Nice, albo zobligowany do tego przez jakąś staroświecką bałkańską uprzejmość, albo ponieważ był niecierpliwy. Nice wysiadła, a ja zrobiłem to samo ze swojej strony i ominąwszy leżące na posadzce narzędzia i węże ze sprężonym powietrzem, stanąłem za samochodem. Facet, który zamknął bramę, wrócił, a z odgradzonego kantoru wyszło dwóch kolejnych facetów i stanęliśmy w luźnym kręgu. Mieli nad nami przewagę liczebną, nas dwoje, ich czterech. Wszyscy byli do siebie podobni, nie za młodzi, nie za starzy, wszyscy ciemni i nieogoleni, wszyscy w użytecznych rozmiarach, wszyscy milczący i czujni. W warsztacie nie pracował żaden mechanik. Ani jednego faceta z kluczem w ręku, ani jednego robota w poplamionym smarem kombinezonie. Domyślałem się, że na czas załatwiania szemranych interesów zostali odprawieni.

Jeden z dwóch, którzy wyszli z kantoru, wyglądał na szefa.

— Musimy wiedzieć, kim jesteście — oświadczył, przyglądając się nam od stóp do głów.

— Jesteśmy Amerykanami, którzy mają pieniądze i chcą od was coś kupić —

powiedziała Casey Nice.

— Ile macie pieniędzy?

— Na pewno dosyć.

— Jesteście bardzo ufni — stwierdził facet. — Mam na myśli to, że tu przyjechaliście.

Moglibyśmy zabrać wam pieniądze, nie dając nic w zamian.

— Moglibyście spróbować.

— Macie podsłuch?

— Nie.

— Możecie to udowodnić?

— Chce pan, żebym zdjęła bluzkę? Jeśli tak, może pan o tym zapomnieć.

Facet nic na to nie odpowiedział, ale jego usta zrobiły się nagle wilgotne i lekko zadrżały, jakby uznał, że zmuszenie jej do zdjęcia bluzki byłoby świetnym pomysłem.

— Możecie obejrzeć nasze paszporty — odezwałem się — i zastanowić się, czy jest prawdopodobne, żeby brytyjskie władze zatrudniły cudzoziemców do tajnej akcji. Potem możecie przyrzeć się pieniądzom, a my przyjrzymy się towarowi. Tak to się odbędzie.

— Naprawdę? — zapytał facet.

— Mniej więcej — odparłem.

Spojrzał na mnie ostro, a ja na niego. Była to dla niego pewnie pierwsza od dłuższego czasu bitwa na spojrzenia, ale musiał ją przegrać. Mierzenie kogoś wzrokiem nie jest trudne. Mogę to robić przez cały dzień. Jeśli chcę, bez jednego mrugnienia, co jest czasami bolesne, ale zawsze skuteczne. Sztuczka polega na tym, żeby tak naprawdę wcale na nich nie patrzeć, tylko skupić wzrok dziesięć metrów dalej, na niczym — to stwarza szklisty efekt, bardzo dla nich niepokojący, bo zaczynają się zastanawiać, co kryje się za tymi pustymi oczami.

— Dobrze, pokażcie mi paszporty — powiedział.

Ja spełniłem jego prośbę pierwszy, podając mu sztywną niebieską książeczkę, nową jak spod igły, ale bezsprzecznie autentyczną. Facet przekartkował ją w jedną i drugą stronę, pomacał papier i sprawdził fotografię. A także, jak się okazało, moje dane, bo posłał mi pytające spojrzenie.

— Nie urodził się pan w Ameryce — stwierdził.

— Tylko formalnie rzecz biorąc — odparłem. — Dzieci żołnierzy odbywających służbę za granicą są pod względem prawnym i konstytucyjnym traktowane tak, jakby urodziły się w Ameryce.

— Żołnierzy odbywających służbę?

— Na pewno nas pamiętacie. Skopaliśmy wam dupę w Kosowie.

Facetowi odebrało na chwilę mowę.

— A teraz jest pan ochroniarzem? — zapytał w końcu.

Pokiwałem głową.

— I radzę w to uwierzyć — rzuciłem.

Facet oddał mi paszport. Nie spojrzął na ten należący do Casey Nice. Jeden wystarczył.

— Wejdźcie do kantoru, to pogadamy — powiedział.

• • •

Kantor był dość ciasnym pomieszczeniem o rozmiarach pięć na pięć metrów, wydzielonym z warsztatu przed kilkadziesiąt laty w dość arbitralnie wybranym miejscu, najprawdopodobniej ze względu na przebieg kabli elektrycznych. Ściany wyglądały na zbudowane z jednej warstwy cegieł, gładko otynkowanych i pomalowanych standardową farbą w zgniłozielonym kolorze. Było tam okno w metalowej ramie, biurko i trzy fotele. Żadnych szafek z bronią. Żadnych regałów. Po prostu miejsce do załatwiania interesów podobne do biura sprzedaży przy komisie z dziesięcioletnimi autami.

— Siadajcie, proszę — powiedział facet, a że tego nie zrobiliśmy, sam usiadł pierwszy, żeby dać nam przykład albo uspokoić nasze obawy.

Usiedliśmy.

— Czego szukacie? — zapytał.

— A co macie? — odparłem.

— Broń krótką?

— Dwie sztuki. Zwykle jesteśmy uzbrojeni oboje. Ludzie się tego nie spodziewają.

— Co wam pasuje?

— Wszystko, co działa. I do czego macie amunicję.

— W większości mamy kaliber dziewięć milimetrów. Łatwo go dostać w Europie.

— Może być.

— Lubicie glocka?

— To właśnie macie?

— Tego mamy najwięcej. Dwa glocki siedemnaście, fabrycznie nowe, jeśli chcecie mieć taką samą broń.

— I sto sztuk amunicji do każdego.

Facet przez chwilę milczał, a potem pokiwał głową.

— Pójdę uzgodnić cenę — powiedział, wstał z krzesła i wyszedł z kantoru.

Po czym zatrzasnął za sobą drzwi.

I zamknął je na klucz.

W pierwszej sekundzie uznałem zgrzyt klucza w zamku za coś normalnego, w jakiś sposób pasującego do całej tej głównianej konwencji płaszcza i szpady, w jakiej spektakl rozgrywał się od samego początku, poczynając od gнома za ladą lombardu. Przesadne środki bezpieczeństwa i zamykanie drzwi na klucz mogły na pewnych kontrahentach sprawiać wrażenie autentycznych, a nawet ekscytujących, mogły sugerować kolejne zamykane na trzy spusty drzwi, prowadzące być może do całych składów wypełnionych skrzyniami ze świeżo naoliwioną bronią.

Lecz już w następnej sekundzie odrzuciłem tę teorię, ponieważ ten zamek był o jednym zamkiem za dużo. W tym momencie byliśmy w dalszym ciągu równoprawnymi stronami transakcji, starającymi się poprawnie zachowywać — oczywiście ostrożnymi i sceptycznymi, jak przy kupnie używanego samochodu, ale przynajmniej grzecznymi.

Nikt nie zamyka klienta na klucz. Nie na tak wczesnym etapie.

W trzeciej sekundzie zrozumiałem więc, że coś poszło zdecydowanie źle, i poczułem znajomy chłód na twarzy, karku i piersi, następnie zaś spojrzałem na Casey Nice, która podbiła stawkę, bo odpowiedziała takim samym spojrzeniem, i dlatego wyłącznie na autopilocie zacząłem sporządzać listę rzeczy, z którymi trzeba się będzie uporać — ściany, drzwi, okno, czterech facetów na zewnątrz — a potem w czwartej sekundzie dotarło do mnie, kto i dlaczego, i cała sytuacja zrobiła się jeszcze bardziej poważna.

Ponieważ z punktu widzenia Serbów byliśmy klientami, nikim więcej. Istniała co prawda możliwość jakiegoś dziwnego programu wymiany studenckiej polegającej na tym, że agenci FBI dorabiali sobie na boku w Londynie, a londyńscy gliniarze robili to samo w Nowym Jorku. Ale trudno w to było uwierzyć. Więc byliśmy klientami nieróżniącymi się od ćpuna kupującego działkę od jednego z ich dilerów albo faceta korzystającego z usług ich dziwki. A klienci są obsługiwani, a nie zamykani na klucz. W przeciwnym razie firma cholernie szybko wypada z rynku.

Więc dlaczego? Tylko dwie możliwości. Z których pierwszą przeanalizowałem w piątej sekundzie. Może Romford Boys byli w takiej desperacji, że zarządzili generalny alarm, z rysopisami i cenami za nasze głowy, i ogłosili to wszem wobec. Może na biurku Charliego White'a, zupełnie jak w Gabinetcie Ovalnym, stał czerwony telefon służący do rozmów między szefami, którzy chowali czasami dumę do kieszeni. Może w tej sprawie gotów był przyjąć pomoc od każdego, kto udzieli jej za pieniądze.

Albo druga możliwość, którą przeanalizowałem w szóstej sekundzie. Jej przesłanki zawarte były w tym, co O'Day powiedział w trakcie konferencji po naszej przerwanej kolacji z grilla. *Serbska organizacja w zachodniej części Londynu i staroświecki angielski gang we wschodniej. Według MI5 Karel Libor był zadrą w boku jednych i drugich.*

W boku jednych i drugich. Co mogło wskazywać, że cała ta sprawa jest koprodukcją. Wspólnym przedsięwzięciem. Na jej czas zawarto sojusz. Jednorazowe zawieszenie broni. Wspólne cele, wspólne korzyści, wspólne zadanie, wspólny dostęp do informacji. Kott i Carson całkowicie bezpieczni, cały Londyn obstawiony, od wschodu do zachodu, jakby się jechało linią District. Co było do tego potrzebne? Oczywiście pewna ręka, pewne oko i pocisk kalibru .50, ale prawdopodobnie również pieniądze. Dużo pieniędzy. Znowu przypomniałem sobie słowa O'Daya. *Ci ludzie szastają pieniędzmi. Nie zależy im na racjonalizacji kosztów. Szukają łatwych rozwiązań i mają budżet, który je zapewnia.*

Lecz bez względu na to, czy byli wynajętymi wykonawcami, czy równoprawnymi

partnerami, nie zamknęli nas bez powodu. A tym powodem był zamiar zatrzymania nas tutaj do momentu, gdy nastąpi jakieś ustalone wcześniej wydarzenie. Którym był prawie na pewno przyjazd trzeciej strony. Roszczeniobiorcy. Tego, który był nami żywotnie zainteresowany. Z całą pewnością Małego Joeya z liczną eskortą. Przyjedzie swoim bentleyem, a razem z nim inne samochody, być może kolejne jaguary i przynajmniej jedna zwykła czarna furgonetka.

Po nas.

Niedobrze.

— Wpadliśmy jak śliwka w kompot, prawda? — powiedziała Nice.

— Mamy jeszcze trochę czasu — odparłem.

— Ile?

— Nie jestem pewien. Ale Londyn to duże miasto, jeździ się tu powoli i z drugiego końca mają do nas kawał drogi. Będą musieli sformować mały konwój. To co najmniej dziesięć minut, nawet jeśli są w pogotowiu. Potem muszą zatoczyć wielki krąg od północy albo przejechać przez śródmieście. East End, Westminster, Paddington. Możliwe, że mamy całą godzinę. Albo ponad godzinę. Możliwe, że półtorej.

— Na co?

— Żeby zrobić to, czego wymaga sytuacja.

— Możesz wyważyć drzwi kopniakiem?

Były drewniane, stare i masywne, dobrze dopasowane do futryny.

— Mógłbym to zrobić z zewnątrz — odparłem. — Prawdopodobnie. Ale nie od środka.

— Możemy wybić okno?

Nie było oryginalne, nie pochodziło z epoki wiktoriańskiej. Wymieniono je, moim zdaniem, na model z lat trzydziestych, udoskonalony technologicznie. Nie wymagało częstej konserwacji, bo zrobiono je z aluminium albo jakiegoś galwanizowanego innego metalu, wystarczająco mocnego, by utrzymać duże szyby, dające dodatkowe dzienne światło. Okno było dość duże, by średniej wielkości osoba mogła wyjść na zewnątrz. Szkło wydawało się zupełnie normalne.

— Tak, wydaje mi się, że będziemy musieli je wybić — powiedziałem.

— Na co ono wychodzi? — zapytała i poszukała odpowiedzi na własne pytanie, podchodząc bliżej, przystawiając nos do szyby i zerkając w prawo i w lewo. Za oknem nie było nic oprócz pustej ceglanej ściany. — Biegnie za nim alejka — stwierdziła. — Dosyć długa i wąska. Myślę, że po obu stronach jest zamknięta. Będziemy w niej uwięzieni. Chyba że uda nam się wejść przez okno do jakiegoś budynku. I wyjść z niego frontowymi drzwiami.

— Nie martw się tym teraz — powiedziałem.

— To kiedy mam się zacząć martwić?

— Najpierw zaczekamy. Pięć minut. Może się mylimy. Może to tylko przesadny entuzjazm. Może ten facet zaraz wróci i poda nam cenę.

• • •

Czekaliśmy. Całe pięć minut. Facet nie wrócił i nie podał nam ceny. W warsztacie za drzwiami panowała cisza. Nie naprawiano w nim samochodów. Co zinterpretowałem całkowicie błędnie. Uważałem, że robole zostali odesłani, byśmy mogli dyskretnie sfinalizować zakup broni. Tymczasem chodziło o to, by nas dyskretnie uwięzić.

Pominięte sygnały, pominięte powiązania, niepotrzebne ryzyko.

Moje porażki.

*Dominique Kohl.*

— Musimy sporządzić pełny inwentarz tego, co znajduje się w tym pomieszczeniu —



powiedziałem.

— Czego szukamy? — zapytała Casey Nice.

— Wszystkiego. Kiedy będziemy wiedzieli, co mamy, zdecydujemy, czego i jak użyć.

Nie było tego zbyt wiele. Jeśli chodzi o widoczne na pierwszy rzut oka duże przedmioty, mieliśmy trzy fotele, biurko i stojące przy nim krzesło. Fotele przypominały meble, które przed trzydziestu laty można było zobaczyć w sekretariatach dużych korporacji. Produkcji duńskiej albo szwedzkiej. Krótkie drewniane nóżki, proste tapicerowane siedzisko i oparcie, wężlasta tkanina przybrudzona i wytarta od długiego używania. Biurko było jeszcze starsze. Dębowe, wykonane w tradycyjnym kształcie i stylu, miało jedną centralną szufladę i po trzy mniejsze z każdej strony, najniższe wystarczająco wysokie, by zmieściły się w nich segregatory. Krzesło przy biurku wyglądało na pożyczone z jadalni albo z kuchni. Nie miało żadnych kółek, żadnych podłokietników ani regulacji oparcia. Żadnych podpórek lędźwiowych, żadnej ergonomii. Po prostu cztery kanciaste nogi, twarde siedzisko z płytkim zagłębieniem na pośladki oraz proste oparcie.

Żadnego telefonu, żadnej lampy na biurku, nic na ścianach. Żadnych noży i widelców pozostawionych po pośpiesznie zjedzonym posiłku. Żadnych kabli elektrycznych, telefonicznych ładowarek, otwieraczy do listów i przycisków do papieru. W centralnej szufladzie były trzy zmatowiałe ze starości, zapomniane spinacze, pojedyncza strużyna z zatemperowanego ołówka i trochę kurzu i brudu, który utkwiał w rogach. Pięć z sześciu pozostałych szuflad było tak samo pustych, tylko w najniższej po lewej znalazłem sweter, śmierdzący stary ciuch, wciśnięty tam któregoś ciepłego dnia i nigdy nie zabrany. Był wełniany, w kolorze złamanej bieli, z dżinsowymi wstawkami na ramionach i łokciach, wyprodukowany w firmie, o której nigdy nie słyszałem.

— Co miałeś nadzieję znaleźć? — zapytała Casey Nice.

— Najlepsza byłaby dywizja pancerna — odpowiedziałem. — Z jej braku dwa pistolety maszynowe Heckler and Koch z tuzinem magazynków. Użyteczne byłoby nawet pudełko zapalek.

— Nie mamy niczego.

— Mamy to, co mamy.

— Co teraz zrobimy? — zapytała, a ja powiedziałem jej co. Przeciwiczyliśmy to starannie kilka razy, a potem przystąpiliśmy do dzieła.

Złapałem jeden z foteli, wbijając mocno palce w miękką tapicerkę, podniosłem go przed sobą, trzymając pod kątem czterdziestu pięciu stopni, drewnianymi krótkimi nóżkami do przodu, po czym zrobiłem dwa długie kroki i cisnąłem go w okno. Nóżki rozbiły szybę, a cały fotel odbił się od środkowego szprosu, poleciał na biurko, spadł z niego i wylądował bokiem na podłodze. Wszystko to z głośnym, bardzo głośnym łomotem i brzękiem.

Casey Nice podeszła do okna, a ja złapałem krzesło i stanąłem przy drzwiach.

*Nie ma sensu, żebyśmy wychodzili przez okno, powiedziałem wcześniej. Ta alejka donikąd nie prowadzi. Musimy zwać czterech facetów do środka pokoju.*

I dali się zwać. Taka już jest ludzka natura. Nagły głośny łomot, odgłos wybijanego okna... Cóż innego mogli zrobić? Mieli wpaść do kantoru, podbiec do okna, wystawić głowy na zewnątrz i zerknąć na prawo i lewo.

Klucz zazgrzytał w zamku, drzwi szybko się otworzyły i pierwszy facet zajrzał do środka. To był szef, ten, który trzymał gadkę. Złapałem go prawą ręką za kark i pomogłem mu wejść, popychając energicznie w stronę czekającej przy oknie Nice. *Poradzę sobie z numerem drugim, trzecim i czwartym, powiedziałem. Ale numer pierwszy jest twój. Owiń rękę starym swetrem, weź najostrzejszy odłamek szkła, jaki zdołasz znaleźć, i wbij mu go w oko.*

I miałem szczerą nadzieję, że to właśnie robi, ale nie patrzyłem w tamtą stronę, bo w tym samym momencie trzasnąłem krzesłem w głowę drugiego faceta. W głowę, nie po głowie. Nie tak, jak to się dzieje podczas barowej rozróby w starym westernie, ale tak, jak to robi pogromca lwów w cyrku. Bo dźgnięcie jest lepsze, dźgnięcie jest niczym cios, cała masa twojego będącego w ruchu ciała skupia się na pięciu centymetrach kwadratowych końcówki nogi krzesła. Masa i przyspieszenie, dokładnie tak samo jak w baseballu, dokładnie tak jak wszędzie. Mój program minimum to było pęknięcie czaszki, program maksimum natychmiastowa śmierć mózgu. Miałem nadzieję, że dwucentymetrowy odłamek kości wbije się w miękką tkankę pod spodem. Co być może mi się udało. Nie mogłem tego stwierdzić od razu. To mieli ustalić podczas sekcji. Ale tak czy inaczej, zabity, a może tylko ogłuszony facet zwałił się jak kłoda. To właśnie on przywiózł nas skodą. Rzuciłem krzesło i przeskoczyłem przez niego, żeby dorwać pozostałych dwóch.

*Dwóch na jednego to dla mnie żaden problem, powiedziałem wcześniej. Nie martw się o mnie. Po prostu zajmij się pierwszym facetem. Jeśli odłamek szyby nie zakończy sprawy, walnij go szufladą biurka, najlepiej krawędzią w grzbiet nosa, i wal go tak długo, aż przestanie się odzywać.*

Widząc na własne oczy, co spotkało jego dwóch kolegów, trzeci facet dramatycznie zwolnił, a czwarty wpadł na niego z tyłu, ale na tym skończyła się komedia. Zaskoczenie minęło, a oni nie byli idiotami. Natychmiast zmienili kierunek, cofając się i przegrupowując tak, jak powinni. Żaden nie miał w ręku pistoletu — ryzyko, że będą uzbrojeni, na szczęście się nie spełniło. Londyn to jednak co innego. Broń palna jest tu zarezerwowana na specjalne okazje, nie korzysta się z niej rutynowo. Bardziej obawiałem się o noże, bo niezbyt je lubię, a londyńczycy chyba wprost przeciwnie, ale żaden nie miał noża w ręce. Przynajmniej na razie. Trudno było zgadnąć, co trzymają w kieszeniach.

Wnętrze warsztatu było nieco większe od boiska koszykówki, zagracone narzędziami i gumowymi wężami, zastawione przez samochody i podnośniki. Oświetlenie nadal zapewniały wyłącznie słabe żarówki, brama wciąż była zamknięta. Dwaj faceci odbiegli jakieś sześć metrów ode mnie, po czym odwrócili się i rozejrzeli. Trzeci facet pochylił się, sięgnął w prawo i podniósł

z posadzki łyżkę do opon, czwarty również się pochylił, sięgnął w lewo i złapał leżący na ławce klucz. Był jednym z tych dwóch, którzy wyszli z kantoru. Jego kolega tym, który wyszedł z cienia i zamknął bramę. Podeszli krok bliżej, obaj jednocześnie, balansując lekko na palcach stóp, rozkładając szeroko ręce i nie spuszczać ze mnie nieruchomego wzroku. Nie byli najslabsi z tych, których w życiu widziałem. Twarde życie, ustawiczny konflikt wpisany w DNA ich praprzodków, być może służba wojskowa, być może udział w partyzantce i z pewnością dość jaj, by stawić czoło ludziom takim jak Charlie White i Karel Libor i funkcjonować w przestępczym podziemiu w obcej stolicy. Wiedziałem, że nie przewrócą się i nie zemdleją, jeśli głośniej krzyknę.

Oczywiście wyobraźni widziałem bentleya z Małym Joeyem, sunącego zatłoczonymi ulicami, uznałem jednak, że nadal mamy mnóstwo czasu. I nie było sensu się spieszyć. Zawsze lepiej pozwolić im rzucić się na ciebie. Niech się zaangażują. Niech pokażą, co potrafią, to zawsze odsłania ich słabości.

Staliśmy tak prawie przez minutę, która wydawała się bardzo długa, ustawieni w cichym, niezmiennym kształcie trójkącie, wszyscy zwarci i gotowi, wszyscy lekko się kołyszący, rozluźnieni i giętki — oni wpatrywali się we mnie, ja patrzyłem między nimi i polegałem głównie na widzeniu peryferyjnym, a jednocześnie uczyłem się terenu, oceniałem kąty, wyznaczałem kierunki. Po mojej lewej stała skoda, którą przyjechaliśmy, za nią był samochód na podnośniku, za nim puste stanowisko, a w samym rogu zakurzony sedan ze sflaczałymi oponami i brakującym przednim błotnikiem. Po drugiej stronie stały regały z częściami przechowywanymi w brudnych kartonach, opony, niektóre nowe, jeszcze z nalepkami, większość nie, a także maszyna do wyważania kół, lejki do oleju, beczki ze starymi szmatami oraz smutna sterta czekających na wyrzucenie skorodowanych tłumików. Za plecami miałem mniej więcej to samo oraz wydzielony kantor, z którego dobiegł mnie nagle cichy jęk. Nie potrafiłem zgadnąć, kobiecy czy męski. Nie oglądałem się za siebie.

Czwarty facet ruszył do przodu. Jego klucz był dużym porządnym narzędziem z matowej stali, długim na jakieś pięćdziesiąt centymetrów, z szerokimi na pięć centymetrów szczękami z każdej strony. Domyślałem się, że służy do przykręcania jakiejś dużej ważnej części. Być może tulei zawieszenia silnika. Czymkolwiek była. Zupełnie nie miałem pojęcia o budowie samochodów. Znałem niektóre słowa, ale nie wiedziałem, co znaczą. Facet, który trzymał klucz niczym młotek, podniósł go i zrobił kolejny krok w moją stronę. W tym momencie, korzystając z tego, że moja uwaga była odwrócona, drugi facet powinien mnie zaatakować, lecz tego nie zrobił. Może nie byli entuzjastami pracy zespołowej. Każdy odpowiadał za siebie. Mnie to pasowało. Dwóch napastników nigdy nie przysporzyło mi kłopotów, ale nikt nie lubi się przepracowywać.

Facet dał kolejny krok do przodu. Jego klucz nadal był wysoko podniesiony. W odpowiedzi ja też ruszyłem do przodu, ponieważ chciałem wiedzieć, co znajduje się za mną, a miejsce, które właśnie opuściłem, musiało być puste. A także dlatego, że ruch do przodu jest zawsze lepszy niż cofanie się. Stropiło to trochę czwartego faceta. Miał w ręku klucz, trzymał go niczym młotek i szedł z nim na mnie, więc dlaczego się nie cofałem?

Podejdź bliżej i przekonaj się dlaczego, pomyślałem.

Dalej się zbliżał, ze śladem niepewności na twarzy, a jego stojący po przekątnej partner też się poruszył, tylko o krok. Kurtyna w górę. Obserwowałem faceta z kluczem, obserwowałem jego biodra i korpus, czekając na znak sygnalizujący przejście do akcji, i w końcu go zobaczyłem: zaparł się mocniej nogami, jego łokieć uniósł się kilka centymetrów. Intencje faceta były jasne jak słońce. Miał zamiar rzucić się na mnie z podniesionym wysoko kluczem, a następnie opuścić go niczym tomahawk, uderzając mnie najlepiej w czubek głowy, choć nic by

się nie stało, gdyby chybił, bo nadal miał do trafienia duży i szeroki cel: moje lewe ramię, głowę, prawe ramię. W tym momencie zadowoliliby go również strzaskany obojczyk.

W związku z czym ja ruszyłem na niego pierwszy, długim, szybkim, sprężystym krokiem, niczym bokser, który chce wykończyć ledwo trzymającego się na nogach przeciwnika, i w ciągu ułamka sekundy cała jego wcześniejsza pewność siebie wyparowała i przeszedł z trybu ofensywnego na defensywny, wpadając w panikę, odchylając się lekko do tyłu i podnosząc łokieć jeszcze wyżej, jakby doszedł do wniosku, że musi uderzyć mnie jeszcze silniej. I to był błąd. Żeby zadać cios tępym narzędziem, trzeba wziąć zamach, a to jest czystą stratą czasu. W krytycznym momencie jego broń poruszała się w całkowicie złym kierunku.

Chwyciłem go lewą dłonią pod łokieć i pchnąłem mocno do tyłu, wykorzystując jego własny ruch i go wzmacniając, tak że przedramię faceta znalazło się niemal w pozycji pionowej, a klucz przesunął się za jego plecami i lada chwila mógł go uderzyć w tyłek. Właśnie w tym momencie złapałem go, wykręciłem i wyrwałem mu z ręki. Mój ruch nie poszedł na marne. Wyrывая mu klucz, wziąłem własny zamach. I natychmiast odmachnąłem się z powrotem — wysoko, mocno i płasko — i trafiłem go w bok szczęki, tuż nad kością policzkową, co musiało mu roztrzaskać górne trzonowce, jeśli jakiegokolwiek miał, oraz zawiąsy szczęki, a to z kolei musiało sprawić, że jego mózg zatrzęsł się w czaszce niczym meduza w słoju.

Padł na bok jak ścięte drzewo, na prawe ramię, i usłyszałem, jak z jego płuc ucieka oddech, „umpff”, a potem jak prawa skroń uderza o posadzkę. Ale w tym momencie obracałem się już w stronę jego kolegi, licząc, że ten nie zrobi jedynej rzeczy, która mogła go uratować. I nie zrobił tego.

Nie rzucił we mnie łyżką do opon. Ścisnął ją mocniej w nagłym ataku paniki i dokładnie tak samo jak jego kumpel cofnął się i odchylił do tyłu.

W tym momencie gra była skończona. Jeden na jednego, ja przeciwko niemu. Przesunąłem klucz w rękę i ściskając w dłoni jego końcówkę, dźgnąłem go nim mocno niczym szpadą. Technicznie rzecz biorąc, moje ramię miało teraz półtora metra długości. Moglibyście przeszukać wszystkie lasy deszczowe na świecie i znaleźć pawiana albo orangutana z najdłuższymi kończynami, a i tak miałby mniejszy zasięg ramienia ode mnie. Facet mógł, ile tylko chciał, wymachiwać swoją łyżką do opon, a i tak by mnie nie dosięgnął.

— Gdzie są Kott i Carson? — zapytałem.

Wciąż milczał.

— Dwaj faceci, których ukrywają Romford Boys — dodałem. — Gdzie oni są?

Nie odpowiedział.

Dźgnąłem go kluczem w pierś, naprawdę szybko i mocno. Szczęki były najwyraźniej ostre. Facet jęknął i cofnął się o metr. Ruszyłem za nim.

— Gdzie oni są? — powtórzyłem.

Nie wiedział, o czym mówię. To było jasne. W jego oczach nie było widać chęci zatajenia czegokolwiek. Być może dwie organizacje współpracowały ze sobą w pewnym ograniczonym stopniu, ale ważne informacje zachowywały dla siebie.

— Gdzie jest broń? — zapytałem.

Nie odpowiedział. Ale w jego oczach pojawiła się chytryść. I determinacja. Wiedział, ale nie miał zamiaru mi powiedzieć.

Za sobą usłyszałem kolejny cichy jęk.

— Pospiesz się, Reacher! — zawołała Casey Nice.

Więc się pospieszyłem. Dźgnąłem ponownie kluczem, facet machnął łyżką do opon i z głośnym brzękiem sparował uderzenie, na co ja wykonałem kolejny sztych, a on znowu się obronił, skupiony w tym momencie wyłącznie na tym, co robiliśmy obaj powyżej pasa, czyli

dokładnie na tym, czego chciałem, bo dzięki temu mogłem bez żadnych przeszkód kopnąć go w jaja.

I to był celny kopniak. Masa i przyspieszenie, tak samo jak w baseballu, tak samo jak wszędzie. Facet upuścił łyżkę do opon, zgiął się wpół, padł na kolana, charcząc, rżąc i chowając głowę w ramiona. Miałem dużo czasu, żeby wybrać odpowiednie miejsce. Stuknąłem go mocno kluczem w bok głowy, na serio, lecz nie aż tak, by zabić, niczym dopiero się rozgrzewający tenisista, a on przewrócił się na bok i legł bez ruchu.

A ja pobiegłem do kantoru, żeby zobaczyć, jak sobie radzi Casey Nice.

Pierwszy facet leżał na plecach z długim na trzydzieści centymetrów odłamkiem szkła w oku. Martwy, na sto procent. Poznałem to po bezwładnym ułożeniu ciała. Bezspornym. Świadczącym, że odszedł z tego świata. Nie było dużo krwi. Tylko wąska strużka, która przestała już płynąć i zwisała z jego policzka niczym gruby czerwony robak. Plus gęsta przezroczysta ciecz, która mogła pochodzić z wnętrza jego gałki ocznej.

Jęczał drugi facet. Ten, którego uderzyłem krzesłem. Leżał na podłodze przy wejściu do kantoru. Miał zamknięte oczy i włosy sklezione krwią, której było dość sporo pod jego głową. Nie wydawało się, by mógł wstać i przysporzyć nam jakichś kłopotów.

Casey Nice opierała się o biurko, sprawiając wrażenie jednocześnie roztrzęsionej i zdeterminowanej. *Brała wcześniej udział w jakiejś akcji za granicą?* — zapytałem jakiś czas temu Shoemakera. *Brała udział w jakiegokolwiek akcji?*

Teraz już tak.

— Dobrze się czujesz? — zwróciłem się do niej.

— Chyba tak — odparła.

— Świetnie sobie poradziłaś — oświadczyłem.

Nie odpowiedziała.

— Musimy przeszukać to miejsce — dodałem.

— Musimy wezwać karetkę — mruknęła.

— Wezwiemy. Po tym, jak przeszukamy to miejsce. Potrzebujemy broni. Po to tu przyjechaliśmy.

— Nie ma tutaj żadnej broni. To była zmyłka.

— Ile mogą mieć tajnych melin? Moim zdaniem broń tu jest. Zapytałem o nią ostatniego faceta i wyraźnie się stropił.

— Nie mamy czasu.

Pomyślałem o Małym Joeyu i jego bentleyu sunącym zatłoczonymi ulicami.

Wstrzymywanym przez korki i czerwone światła. A może niewstrzymywanym.

— To nie potrwa długo — zapewniłem ją.

— Mam nadzieję — odparła.

• • •

Zaczęliśmy od przeszukania kieszeni najważniejszego faceta. Uznałem, że jeśli ma w nich jakiś klucz, będziemy mogli ustalić, do jakiego rodzaju zamka pasuje, i znaleźć ten zamek. Klucz do sejfu będzie wyglądał inaczej niż do drzwi, a ten inaczej niż klucz do szafki. I tak dalej. Ale facet miał w kieszeni tylko klucz do samochodu. Brudny i stary, z popękany skórzanym breloczkiem, na którym widniał łuszczący się złoty napis *Ealing Taxis*. Prawdopodobnie pasował do jednego ze stojących w warsztacie poobijanych sedanów. Facet miał również trochę gotówki, którą dołączyłem do naszych łupów. A także komórkę, którą schowałem do kieszeni. Poza tym jednak nie znalazłem nic ciekawego.

Przeszukaliśmy już wcześniej kantor, w związku z czym przenieśliśmy się teraz do głównej hali. W toalecie w rogu nie było nic poza podstawowymi sanitariatami i mniej więcej trylionem bakterii. Miejsce przypominało wielką trójwymiarową szalkę Petriego, ale nie kryło w sobie nic poza zakaźnymi chorobami. Nie było tam żadnych ukrytych paneli, schowków w ścianie albo klapy w podłodze.

Główna hala warsztatu wypełniona była samochodami i różnymi gratami, tak jak już to wcześniej widzieliśmy. Kompletny wizualny chaos, w widoczny sposób pozbawiony jednak oczywistych kryjówek. Nie było żadnych drzwi w ścianach, żadnych szafek, żadnych dużych kwadratowych skrzyń, żadnych zamkniętych pojemników. Nie było nic wewnątrz ułożonych w stopy opon.

— Broni tu nie ma — stwierdziła Nice. — To warsztat samochodowy. Masz to, co widzisz.

Nie odpowiedziałem.

— Musimy już iść — dodała.

Pomyślałem o jadącym bentleyem Małym Joeyu. W tym momencie minęli już pewnie śródmieście i jechali szybko szeroką arterią prowadzącą na zachód.

— Musimy już iść — powtórzyła.

*Jadącym bentleyem.*

— Zaczekaj — rzuciłem.

— Na co?

*Żadnych dużych kwadratowych skrzyń, żadnych zamkniętych pojemników.*

Gówno prawda.

— Szef nie jeździłby takim rzęchem — powiedziałem. — Dlaczego miałby to robić? Karel Libor jeździł range roverem. Romford Boys korzystają z najlepszych marek. Serbowie chyba też powinni. Inaczej wyszliby na nędzarzy.

— I co z tego?

— Dlaczego facet miał w kieszeni klucz do rzęcha?

— Bo naprawiają tu rzęchy. Na tym polega ich praca. Albo przykrywka.

— Do obowiązków szefa nie należy pilnowanie kluczy — odparłem, po czym wróciłem do kantoru i zabrałem klucz z jego kieszeni. Miał metalowy trzonek i plastikową główkę, ale nie grubą i cebulastą, jak w kluczach dzisiejszych samochodów. Nie było w niej baterii, nadajnika i urządzenia kodującego. To był zwykły klucz.

Rozejrzałem się i zacząłem od zakurzonego sedana stojącego w rogu, tego ze sflaczałymi oponami i brakującym przednim błotnikiem. Bo dlaczego samochód miałby stać w warsztacie tak długo, aż powietrze zjeździe mu z opon? W ten sposób nie prowadzi się interesów. Samochód powinien jeździć, powinien na siebie zarabiać. Jeśli nie da się go naprawić, trzeba go odholować i zełomować. Bo warsztat też musi na siebie zarabiać. Każdy jego metr kwadratowy powinien przynosić dochód.

Spojrzałem na bagażnik zakurzonego sedana. Miałem przed sobą dużą kwadratową skrzynię i zamknięty pojemnik. Schowany na widoku.

Wsadziłem klucz do zamka.

Nie pasował.

— Musimy już iść, Reacher — ponagliła mnie Nice.

Spróbowałem otworzyć bagażnik następnego auta, a potem kolejnego. Klucz nie pasował. Spróbowałem otworzyć bagażnik skody, którą przyjechaliśmy, choć wiedziałem, że to nie ma sensu. I nie miało. Chodziłem od samochodu do samochodu. Klucz nigdzie nie pasował.

— Kończy nam się czas — poinformowała mnie Nice.

Rozejrzałem się i dałem za wygraną.

— W porządku — mruknąłem.

Podszedłem do drzwi prowadzących do kantoru i ukląknąłem przy leżącym tam facecie. Przestał jęczeć, ale nadal żył. Musiał mieć czaszkę zrobioną z betonu. Znalazłem w jego kieszeni klucz do skody i cisnąłem go Nice.

— Uruchom samochód — powiedziałem. — Ja otworzę bramę.

Przy bramie był przycisk wielkości dłoni, tkwiący w skrzynce przełącznikowej podłączonej długą wygiętą metalową rurką do mechanizmu łańcuchowego. Wcisnąłem go mocno i silnik zbudził się do życia. Łańcuch napiął się, a drzwi szczęknęły i zaczęły się z hurgotem podnosić. Centymetr po centymetrze wracało dzienne światło. Najpierw rozlało się po podłodze, potem oświetliło przeciwległą ścianę. Zobaczyłem Casey Nice siedzącą za kierownicą skody. Zobaczyłem, jak przygląda się tablicy rozdzielczej. Zobaczyłem obłoczek czarnego dymu, kiedy zapaliła silnik.

Zobaczyłem również kolejny przycisk tkwiący w kolejnej skrzynce przełącznikowej. I zaraz potem następne. Na podnośnikach. Hydraulicznych mechanizmach, które podnosiły i opuszczały samochód. I wszystkie były puste z wyjątkiem jednego. Samochód na tym jednym był podniesiony. Jego podwozie było czarne i brudne, bagażnik znajdował się wysoko nad naszymi głowami. Co z oczu, to z myśli. Niezły był ze mnie policjant.

Ruszyłem szybko z powrotem i pokazałem Nice, żeby zaczekała. Wcisnąłem przycisk przy podnośniku. Mechanizm zazgrzytał i podnośnik zaczął się obniżać, powoli, niespiesznie, schodząc na wysokość moich oczu i niżej. Stojący na nim samochód był kanciasty, stary, pokryty kurzem i miał sflaczałe opony. Podnośnik zwolnił i stanął, samochód zakołysał się i znieruchomiał. Zgrzytanie ucichło i w tym samym momencie przesuwana brama wjazdowa dotarła do kresu swojej wędrówki i też przestała hałasować. Słysząc było tylko głuchy warkot diesla skody.

Podszedłem do bagażnika zakurzonego auta, który był mniej zakurzony niż pozostałe części karoserii. Przy zamku pełno było odcisków palców, a przy krawędzi klapy pełno odcisków dłoni. Auto było podnoszone i opuszczane co najmniej sto razy od momentu, kiedy po raz ostatni otwarto drzwi do kabiny.

Klucz pasował.

Kłapa podniosła się ze skrzypieniem.

Samochód był pokaźnych rozmiarów, a jego bagażnik całkiem głęboki, długi i szeroki, wystarczająco duży, by zmieścić w nim kilka walizek, dwie lub trzy torby golfowe czy cokolwiek jeszcze człowiek chciałby przewieźć. I był pełny.

Nie było w nim jednak walizek ani torb golfowych.

Wypełniały go pistolety i pudełka z amunicją.

Na pierwszy rzut oka wszystkie pistolety były marki Glock, wszystkie fabrycznie nowe, zapakowane w folię i elegancko poukładane. W większości klasyczny oryginalny model 17s, trochę 17L z dłuższą lufą i trochę 19s, z krótszą. Wszystkie kalibru dziewięć milimetrów, do którego pasowała leżąca obok amunicja Parabellum w pudełkach po sto sztuk.

Casey Nice wysiadła ze skody i zerknęła do bagażnika.

— Sherlock Homeless — powiedziała.

— Dziewiętnastka będzie ci lepiej pasowała do ręki. Nie przeszkadza ci krótka lufa?

— Nie, skądże — odparła po krótkiej chwili.

Odwinąłem więc z folii dziewiętnastkę i regularną siedemnastkę dla siebie, załadowałem ją amunicją z pudełka i zabrałem dwa kolejne nieruszone pudełka. Zostawiliśmy otwarty bagażnik i podnośnik na dole i wsiedliśmy do skody, Nice na miejscu kierowcy. Cofnęliśmy się, zawróciliśmy i podjechaliśmy do bramy.

— Zaczekaj chwilę — powiedziałem.

Wcisnęła hamulec i zatrzymaliśmy się w smudze światła padającego na maskę.

— Gdzie jesteście? — zapytałem.

— W Wormwood Scrubs — odparła.



— Które można porównać z jaką dzielnicą?  
— Powiedzmy, że z południowym Bronxem.  
— Ale w wersji brytyjskiej. Gdzie nie słycać codziennie strzelaniny.  
— Chyba nie słycać.  
— Co oznacza, że kiedy ją słycają, dzwonią na policję. Która pojawia się z antyterrorystami, pojazdami opancerzonymi i mniej więcej setką detektywów.  
— Być może.  
— A ja nigdy nie ufam broni, której nie sprawdziłem.  
— Co takiego?  
— Musimy sprawdzić, jak sprawują się glocki.  
— Gdzie?  
— Jeśli zrobimy to tutaj, przyjadą gliniarze i wezwą karetki dla tych, którzy ich potrzebują, a potem zbiorą dosyć dowodów rzeczowych, by poważnie ograniczyć działalność tego serbskiego syndykatu. Co w sumie można będzie uznać za przysługę oddaną społeczeństwu.  
— Zwariowałeś?  
— Celuj w samochody. Zawsze chciałem to zrobić. Każde z nas odda dwa strzały, a potem spadamy.

I tak właśnie zrobiliśmy. Opuściliśmy szyby, wystawiliśmy na zewnątrz ręce, wycelowaliśmy do tyłu i oddaliśmy cztery ogłuszająco głośne strzały, rozwalając cztery przednie szyby. I zanim przebrzmiało ich echo, ruszyliśmy z miejsca, wolno i dostojnie, jak jedna z wielu miejscowych taksówek, należycie zamówiona przez telefon.

Znaleźliśmy główną, biegnącą z zachodu na wschód arterię i skręciliśmy w nią w stronę śródmieścia. Mniej więcej półtora kilometra dalej minął nas jadący szybko w przeciwnym kierunku mały konwój, prowadzony przez dużego czarnego bentleya, za którym sunęły cztery czarne jaguary i niewielka czarna furgonetka.

Zatrzymaliśmy się w strefie zakazu parkowania w bocznej uliczce niedaleko dworca kolejowego Paddington. Mieliśmy zamiar zamknąć samochód i odejść. Miejsce tętniło życiem. Jeśli idzie o dalszą podróż, mogliśmy skorzystać z wielu opcji. Do dyspozycji były autobusy, czarne taksówki, dwie stacje metra oraz regularne pociągi. Pieszko mogliśmy udać się na południe do Hyde Parku albo na północ, przez Maida Vale do St John's Wood. Wiedzieliśmy, że po drodze zostaniemy oczywiście wielokrotnie sfilmowani przez kamery, ale dopiero po setkach godzin cierpliwego przeglądania taśm uda się dociec, kim jesteśmy, skąd przyjechaliliśmy oraz dokąd i po co zmierzamy.

Sprawdziłem swój strój, żeby zobaczyć, jak się prezentuję publicznie. Kurtka była uszyta z cienkiego, rozciągliwego materiału, który bez wątplenia świetnie wyglądał na polu golfowym, ale przylegał ściśle do wszystkich przedmiotów, które miałem w kieszeniach. Co nie powinno stanowić problemu w przypadku piłeczek golfowych, ale stanowiło w przypadku glocka. Chciałem go mieć w kieszeni po prawej, ale ledwie się mieścił. Głównie dlatego, że coś już w niej miałem.

To była komórka głównego faceta. Kupiony w drogerii telefon na kartę, nieróżniący się zbytnio od tych, które znaleźliśmy w schowku furgonetki Romford Boys.

— Zobacz, czy uda ci się znaleźć listę połączeń — poprosiłem, podając go Casey Nice, która zrobiła coś ze strzałkami i menu i zaczęła przewijać obraz w górę i w dół.

— Zadzwoił pod numer, który należy chyba do miejscowej sieci komórkowej, i rozmawiał przez trzydzieści sekund. Trzy minuty później oddzwoniono do niego z tego samego numeru i rozmowa trwała minutę — powiedziała. — Na tym kończą się połączenia.

— Najprawdopodobniej wysłano za nami list gończy w środku nocy — odparłem, kiwając głową — i wszyscy londyńscy zbóje zostali poinstruowani z samego rana, w związku z czym facet od Serbów zadzwonił do Romford i powiedział: słuchajcie, jeśli chodzi o tych ludzi, których szukacie, to trzymam ich pod kluczem. Ale może rozmawiał w tym momencie z jakimś przybocznym, a ten powiedział mu, że się odezwie, i natychmiast skontaktował się z Charliem White'em, który osobiście oddzwonił i wszystko omówił.

— Minuta wystarczyłaby, żeby wszystko omówić?

— Potrzebowali w zasadzie tylko adresu. Bentleye mają na pewno GPS-y. Nawet nasz pick-up w Arkansas miał nawigację satelitarną.

— Rozumiem.

— Nie słyszałem jednak żadnego dzwonka telefonu.

Casey Nice znowu zrobiła coś ze strzałkami i menu.

— Dzwonek jest wyłączony — powiedziała.

— A więc tak właśnie to wyglądało. — Pokiwałem głową.

— Powinam przekazać numer Romford Boys generałowi O'Dayowi. Nie sądzisz? MI5 mogłoby ich namierzyć.

— I ustalić, że kupiono go za gotówkę w Boots the Chemist. Nic nam to nie da.

— Co to jest Boots the Chemist?

— To ich sieć drogerii. Coś w rodzaju Rossmanna. Założył ją John Boot w połowie dziewiętnastego wieku. Wyglądał chyba dokładnie tak samo jak facet, który wzniósł mur dokoła Wallace Court. Wszystko zaczęło się od sklepu z lekarstwami ziołowymi w mieście o nazwie Nottingham, daleko na północy.

— MI5 mogłoby namierzyć, gdzie fizycznie znajduje się komórka.  
— Pod warunkiem że jest włączona. Co jest mało prawdopodobne. Wyrzucą ją zaraz po otrzymaniu wiadomości z Wormwood Scrubs. Domyślą się, że numer jest spalony.  
— Pewnie już wiedzą.  
— Przekonajmy się — powiedziałem, biorąc od niej telefon.  
Przyjrzałem się przyciskom, znalazłem ten oznaczony napisem REDIAL, wcisnąłem go i kiedy numer pojawił się na wyświetlaczu, wcisnąłem kolejny, zielony przycisk.  
Usłyszałem sygnał dzwonka. Klasyczne brytyjskie dwutaktowe terkotanie. Bardziej nagłace niż leniwy amerykański dzwonek. Czekałem. Trzy, cztery, pięć, sześć sygnałów.  
I w tym momencie ktoś odebrał. Ktoś, kto wykorzystał tych sześć sygnałów, by zidentyfikować numer, z którego dzwoniono, bo miał już na końcu języka pytanie, które mi zadał.  
— Co się tam u was, do diabła, dzieje? — odezwał się niski głos z londyńskim akcentem.  
— Właśnie minęło nas ze stu smutnych.  
— Gdzie? — zapytałem.  
— Zaparkowaliśmy trzy ulice dalej.  
— Mały Joey? — zapytałem.  
— Kto mówi?  
— Facet, który załatwił twojego faceta. Zeszłej nocy, w furgonetce. Widziałem, jak wpadłeś w szal.  
— Gdzie jesteś?  
— Tuż za tobą.  
Usłyszałem, jak się porusza.  
— Żartowałem — uspokoiłem go.  
— Kim jesteś?  
— Nazwałbym się tym, który rzuca wyzwanie, ale to za mało powiedziane.  
— Nie, jesteś już trupem.  
— Na razie jeszcze nie. Mylisz mnie ze swoimi pomagierami. Albo z Serbami. Ponieśli straty w ludziach. To nie ulega kwestii.  
— Mówili mi, że was zamknęli.  
— Nic nie trwa wiecznie.  
— Czego chcesz?  
— Johna Kotta — odparłem. — I Williama Carsona. I ich dopadnę. A dla ciebie będzie lepiej, jeśli usuniesz się z drogi. Bo inaczej zetrę cię na miazgę.  
— Nie masz pojęcia...  
— O czym?  
— Nie masz pojęcia, w jakie wdepnąłeś gównem.  
— Co ty powiesz?! Prawda jest taka, że czuję się teraz całkiem dobrze. To nie ja tracę ludzi na lewo i prawo. A o tobie można to powiedzieć, Joey. Więc nadeszła pora, żeby okazać zdrowy rozsądek i ocenić na trzeźwo sytuację. Nie sądzisz? Odetnij się od Kotta i Carsona, to zostawię cię w spokoju. Skasowali już dla ciebie Libora i podejrzewam, że dostałeś swoją forszę. Więc dlaczego miałoby ci zależeć?  
— Nikt nie będzie wchodził mi w drogę.  
— To chyba nie do końca jest prawda. Ja wchodzę ci w drogę. I będę wchodził dopóty, dopóki nie odetniesz się od Kotta i Carsona. Twój wybór, chłopie.  
— Jesteś trupem.  
— Już to mówiłeś. Pobożne życzenia nie wystarczą.

Nie doczekałem się odpowiedzi. W słuchawce zapadła cisza, rozmowa była skończona. Wyobraziłem sobie kroki poczynione teraz przez Małego Joeya. Przyboczny odesłany z komórką. Bateria ładuje w jednym pojemniku na śmieci, telefon w drugim, połamana karta SIM w trzecim.

Ja wytarłem komórkę koszulą i rzuciłem ją na tylne siedzenie.

— Posłucha cię? — zapytała Casey Nice. — Odetnie się od nich?

— Wątpię. Przywykł chyba, żeby stawiać na swoim. Gdyby się z czegoś wycofał, mogłaby mu pęknąć głowa.

Wsunąłem glocka głębiej do kieszeni. Pozbawiony konkurencji mieścił się w niej całkiem dobrze. Nice popatrzyła na mnie i zrobiła to samo. Usłyszałem, jak krótka lufa jej pistoletu uderza o fiolkę z tabletkami.

— Trzymaj tabletki w drugiej kieszeni — powiedziałem. — Nie będziesz miała kłopotów z wyjęciem glocka.

Przez chwilę się zastanawiała. Nie chciała wyjmować fiolki. Nie chciała, żebym zobaczył.

— Ile ci zostało? — zapytałem.

— Dwie.

— Wzięłaś jedną dziś rano?

Pokiwała bez słowa głową.

— A teraz chcesz wziąć kolejną?

Ten sam ruch.

— Nie rób tego — powiedziałem.

— Dlaczego?

— To nieodpowiednie tabletki. Nie masz powodu się denerwować. Radzisz sobie bardzo dobrze. Jesteś do tego stworzona. Dziś rano byłaś wspaniała. W lombardzie i później. Aż do odłamka szyby.

To ostatnie zdanie było chyba niepotrzebne. Zobaczyłem, jak jej ręka bezwiednie się porusza, jakby zaciskała palce na brudnym swetrze, którym owinięte było ostre szkło. Przeżywała to na nowo. I wcale jej się nie podobało. Zamknęła oczy, zaczęła szybciej oddychać i nagle wybuchła płaczem. Napięcie, szok, przerażenie, wszystko to z niej wyszło. Zatrzęsła się i zaszlochała, a potem otworzyła zapłakane oczy i rozejrzała się na wszystkie strony. Odwróciłem się do niej, a ona padła mi w ramiona i przez dłuższą chwilę tkwiliśmy w dziwnym niewinnym uścisku, wciąż siedząc w oddzielnych fotelach, nachyleni ku sobie od pasa w górę. Przytuliła mi głowę do ramienia i jej łzy zmoczyły moją kurtkę dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wcześniej znajdował się mózg Jewgienija Kienkina.

W końcu zaczęła oddychać trochę wolniej.

— Przepraszam — mruknęła stłumionym przez kurtkę głosem.

— Nie ma za co.

— Zabiłam człowieka.

— Niezupełnie — powiedziałem. — Ocaliłaś życie. Sobie i mnie. Pomyśl o tym w ten sposób.

— Mimo to był człowiekiem.

— Niezupełnie — powtórzyłem. — Mój dziadek opowiedział mi kiedyś pewną historię. Mieszkał w Paryżu, gdzie zarabiał na życie, robiąc drewniane nogi, ale wyjechał kiedyś na wakacje na południe Francji. Urządził sobie piknik na wzgórzu niedaleko winnicy i miał w ręku scyzoryk, bo chciał otworzyć skorupę orzecha. I nagle zobaczył pełznącego ku niemu naprawdę szybko węża i dźgnął go scyzorykiem prosto w łeb, przygważdżając do ziemi niecałe dwadzieścia centymetrów od swojej kostki. Zrobił to samo co ty. Ten facet był wężem. A nawet

czymś gorszym od węża. Wąż nie wie, że jest wężem. Nie może na to nic poradzić. Ale ten facet wiedział, co wybiera. Tak samo jak ten drugi, wczoraj, który nie pomagał starszkom przechodzić przez ulicę, nie pracował jako wolontariusz w bibliotece i nie zbierał pieniędzy na dzieci w Afryce.

Pokiwała głową wciśniętą w moje ramię. Być może zgadzała się ze mną. A może nie. Może tylko ocierała oczy.

— Nie czuję się przez to wcale lepiej — powiedziała.

— Shoemaker mówił mi, że wiesz, na co się piszesz.

— Wiedziałam, teoretycznie. Ale w praktyce to wygląda inaczej.

— Na wszystko jest pierwszy raz.

— Chcesz powiedzieć, że później będzie łatwiej?

Nie odpowiedziałem.

— Zachowaj tabletki na inną okazję — mruknąłem. — Nie potrzebujesz ich. A nawet jeśli potrzebujesz, i tak je zachowaj. To dopiero początek. Później będzie trudniej.

— To mało pocieszające.

— Nie masz się czym przejmować. Radzisz sobie dobrze. Oboje dobrze sobie radzimy.

Wygramy.

Milczała z głową przyciśniętą do mojego ramienia, a potem odsunęła się i oboje wróciliśmy na swoje miejsca i wyprostowaliśmy się. Casey Nice westchnęła, pociągnęła nosem i otarła twarz skórzanym rękawem kurtki.

— Możemy wrócić do hotelu? — zapytała. — Chcę wziąć prysznic.

— Znajdziemy nowy hotel — odparłem.

— Dlaczego?

— Zasada pierwsza: codziennie zmieniaj miejsce pobytu.

— Została tam moja nowa szczoteczka do zębów.

— Zasada druga: szczotczkę do zębów zawsze trzymaj w kieszeni.

— Będę musiała kupić następną.

— Może ja też kupię sobie nową.

— I chcę kupić ubranie.

— Nic nie stoi na przeszkodzie.

— Nie mam już torby.

— To żaden problem. Ja nigdy nie mam torby. To część całej przygody. Przebierzesz się w sklepie.

— Nie, chodzi mi o to, gdzie wsadzimy pudełka z amunicją.

— Do kieszeni.

— Nie zmieszczą się.

Miała rację. Sprawdziłem. Połowa pudełka wystawała na zewnątrz. W dodatku jej kieszeń była mniejsza od mojej.

— Przecież to Londyn — powiedziałem. — Kto się domyśli, co to jest?

— Może jedna osoba na tysiąc — odparła. — Ale co się stanie, jeśli tą jedną osobą okaże się gliniarz taki sam jak ten przy Wallace Court, w kamizelce kuloodpornej i z pistoletem maszynowym? Nie możemy chodzić po mieście z pudełkami ostrej amunicji.

Pokiwałem głową.

— W porządku, sprawimy sobie tymczasową torbę. — Rozejrzałem się na wszystkie strony, w lewo, w prawo, do przodu i do tyłu. — Ale nie widzę tutaj żadnego sklepu z torbami.

Casey Nice wskazała ręką w lewo.

— Na rogu jest sklep. Coś w rodzaju miniaturowego supermarketu. Należy chyba do

jednej z tutejszych sieci. Idź coś kupić. Gumę albo cukierki.

— Mają torby z cienkiego plastiku. Widziałem je. Wczoraj wieczorem schowałam do takiej cołą. Była praktycznie przezroczysta. Nie nadaje się tak samo jak nasze kieszenie.

— Mają również duże grube torby.

— Nie dadzą mi dużej grubej torby do gumy albo cukierków.

— Nie dadzą ci żadnej torby. Tutaj trzeba je kupować. To znaczy, że możesz sobie wybrać torbę dowolnego rodzaju.

— Musisz kupować towar i torbę, do której go pakują?

— Czytałam o tym w jakimś magazynie.

— Co to za kraj!

— Przyjazny środowisku. Chodzi im o to, żebyś kupował trwałe torby i wielokrotnie ich używał.

Nie odpowiedział na to, wysiadłem z samochodu i ruszyłem w stronę skrzyżowania. Sklep był minimalistyczną wersją dużego supermarketu. Artykuły pierwszej potrzeby, kanapki, sześciopaki i napoje chłodzące. A także zgodnie z tym, co powiedziała Nice, torby. Przy kasach był ich cały asortyment. Wybrałem jedną z nich. Była brązowa i wydawała się maksymalnie przyjazna środowisku. Jakby utkały ją z pochodzących z recyklingu konopi jednookie dziewczice w Gwatemali. Miała z boku nazwę supermarketu, wydrukowaną niezbyt wyraźnie, prawdopodobnie z wykorzystaniem różnego rodzaju warzywnych barwników. Moim zdaniem wyekstrahowanych głównie z marchewki. Wskutek czego napis mógł z niej zejść przy pierwszym ulewnym deszczu. Ale sama torba była w porządku. Miała sznurkowe uchwyty i szerokie płaskie dno.

Tak naprawdę nie chciałem gumy ani cukierków, w związku z czym zapytałem kasjerkę, czy mogę kupić samą torbę. Nie odpowiedziała na to bezpośrednio, spojrzała tylko na mnie jak na idiotę i przesunęła kod torby przez czytnik, który wydał elektroniczne miauknięcie.

— Dwa funty — powiedziała.

Co, moim zdaniem, było godziwą ceną. W butik na Zachodnim Wybrzeżu coś takiego kosztowałoby mnie pewnie pięćdziesiąt dolców. Za torbę zapłacili Romford Boys, a ja schowałem ich resztę do kieszeni i ruszyłem w stronę zaparkowanej skody.

Której nie było przy krawężniku.

Dotknąłem palcami tkwiącego w kieszeni glocka i tylna część mojego mózgu poinformowała przednią: siedemnaście nabojów w magazynku plus jeden w komorze minus dwa wystrzelone w serbskim warsztacie równa się szesnaście. Ta sama część mózgu kazała mi się oprzeć plecami o witrynę biura nieruchomości, dzięki czemu ograniczyłem kąt rażenia z trzystu sześćdziesięciu do stu osiemdziesięciu stopni. Przede wszystkim jednak wrzeszczała wniebogłosy: Dominique Kohl.

Wzięłem głęboki oddech i spojrzałem w prawo i w lewo. W polu widzenia nie było żadnego gliniarza z drogówki. Co było całkiem logiczne. Widząc jakiegoś, Casey Nice natychmiast by odjechała. Cyfrowe dane z systemu monitoringu można skasować jednym dotknięciem przycisku, ale zarejestrowanych w tym samym czasie w ludzkiej pamięci twarzy Nice i numerów rejestracyjnych skody nie dałoby się tak łatwo usunąć. Niejeden wielki plan wziął w łeb z bardziej banalnych powodów. Ale nigdzie nie było widać żadnego gliniarza. Żadnego umundurowanego osobnika przechadzającego się ulicą z notesem w ręku.

I żadnych obywateli wpatrujących się z rozdziawionymi ustami w miejsce, gdzie przed chwilą doszło do jakiegoś poważnego zajścia. Bo Nice nie sprzedabyła tanio swojej skóry, ani romfordczykom, ani Serbom, ani nikomu. Miała drzwi, które mogła zablokować, i miała w kieszeni naładowany pistolet. Z szesnastoma nabojami, tak samo jak ja. Na ulicy nie było cicho i spokojnie, ale tętniła normalnym miejskim życiem. Nie wydarzył się żaden poważny incydent. To było jasne.

Opierając się plecami o witrynę biura nieruchomości, przesunąłem się w bok i stanąłem w wejściu, ograniczając kąt rażenia do dziewięćdziesięciu stopni — tak jakbym miał przed sobą boisko baseballowe. Ulica była jednokierunkowa, samochody przemieszczały się z prawej do lewej. Powoli. Małe hatchbacki, czarne taksówki, co jakiś czas jakiś większy sedan, furgonetki dostawcze. Żaden kierowca nie rozglądał się w lewo i w prawo, żaden siedzący obok niego pasażer nie sprawdzał twarzy. Nikt mnie nie szukał. Dałem krok do przodu i zerknąłem w stronę najbliższych skrzyżowań. Nikt na mnie nie czekał.

*Wie, na co się pisala. I jest twardsza, niż na to wygląda.*

*Została uprowadzona, okaleczona i zabita. Powinienem był sam się tym zająć.*

*Będę trzymała się z tyłu. To się już nie powtórzy.*

Ruszyłem w kierunku przeciwnym do ruchu pojazdów. Chodnikami szli w obu kierunkach ludzie, ubrani w tanie garnitury i cienkie płaszcze przeciwdeszczowe, niosący na wszelki wypadek, jak to mają w zwyczaju Brytyjczycy, małe zwinięte parasole, a także teczki, torby z zakupami i plecaki. Wszyscy zajmowali się po prostu swoimi sprawami. Nikt nie zachowywał się podejrzanie. Żadna czarna furgonetka nie stała z zapalonym silnikiem przy krawężniku, żadne osiłki nie rozglądały się dokoła, nie było żadnych radiowozów.

Wyjąłem komórkę, którą dała mi Scarangelo, znalazłem Casey Nice w spisie kontaktów i wybrałem jej numer. W słuchawce przez dłuższą chwilę słyszałem tylko trzaski. Rozmowa czekała być może na dostęp do sieci albo włączenie się protokołu kodującego. W końcu odezwał się sygnał, długi cichy amerykański terkot w samym sercu Londynu, a potem kolejne, w łącznej liczbie sześciu.

Bez odpowiedzi.

Rozłączyłem się.

*Licz na najlepsze, szykuj się na najgorsze.* Może prowadziła i nie mogła rozmawiać. Może coś ją spłoszyło i objeżdżała całą przecnicę. Z jakiegoś niewinnego powodu. W lewo i znowu w lewo, tyle razy, ile zajmie mi załatwienie sprawy w sklepie. W końcu zobaczy, że stoję na chodniku, podjedzie i mnie zabierze.

Patrzyłem na róg przede mną.

Nie pojawiła się.

W najgorszym razie jej komórkę trzymał w dłoni jakiś inny facet, który widząc na wyświetlaczu moje nazwisko, zaczął ostro kombinować. Może zatrzyma się i będzie próbować mnie zwabić. Od razu, tu i teraz. Spróbuje coś zaimprovizować. Zastawić na mnie pułapkę. Z Casey Nice jako przynętą.

Obserwowałem własny wyświetlacz.

Nikt do mnie nie oddzwaniał.

*Szykuj się na najgorsze.* Jedyne inne numer na liście kontaktów należał do O'Daya. *W naszych komórkach są GPS-y, więc będą śledzili każdy nasz krok.* Mógł mnie do niej doprowadzić. Dosłownie krok po kroku. Pod warunkiem że nie zabrali jej komórki. Wybrałem numer i usłyszałem znowu przerywaną trzaskami ciszę.

A potem rozłączyłem się, bo zza rogu wyjechała skoda.

• • •

Casey Nice siedziała za kierownicą, ale nie była sama. Za nią siedział ktoś jeszcze, postawny, ale niezbyt dobrze widoczny w półmroku, pochylony do przodu, jakby obserwował ulicę zza jej ramienia. Po chwili samochód zbliżył się i rozpoznałem faceta. Czterdziesto- albo czterdziestopięcioletni, lekko opalony, z przyszyżonymi krótko jasnymi włosami i nijaką kwadratową twarzą. Ubrany w sweter i krótką brezentową kurtkę. Na nogach miał pewnie dzinsy i brązowe zamszowe buty z pustynnych sortów brytyjskiej armii.

Bennett, Walijczyk z niedającym się wymówić imieniem. Ostatnio widziany w Paryżu. Agent MI6. Albo MI5. Albo tajnej służby sytuującej się gdzieś pomiędzy tymi dwiema instytucjami. Albo czegoś zupełnie innego. *W tym momencie wszystko jest dość płynne,* powiedział ze swoim śpiewnym akcentem.

Skoda podjechała do krawężnika i ostro zahamowała na mojej wysokości. Casey Nice i Bennett spojrzeli na mnie oboje przez przednią szybę, wykręcając szyje i wytrzeszczając oczy, jakby o coś apelowali, Nice bardziej niż Bennett, jakby mówiła: *Udawaj, że nic się nie stało.*

Otworzyłem drzwi od strony pasażera, usiadłem na fotelu, wsunąłem do środka nogi i zamknąłem za sobą drzwi. Przyjazną środowisku torbę położyłem na kolanach. Nice dodała gazu, odbiła kierownicą i ruszyliśmy dalej.

— Ten pan nazywa się Bennett — oznajmiła.

— Pamiętam — odparłem.

— Już się spotkaliśmy — powiedział do niej, nie do mnie. — W Paryżu, gdzie podmuch wiatru ocalił mu życie.

— Teraz przyznajesz, że tam byłeś — mruknąłem.

— Nie na piśmie.

— Dlaczego porwałś moją brykę? Przez chwilę się martwiłem.

— Dwie ulice dalej patrolował teren kontroler parkingowy. Wystawiają teraz mandaty na podstawie zdjęć. Lepiej, żebyście nie narażali się na tego rodzaju komplikacje.

— Czego chcesz?



— Zatrzymajcie się — powiedział Bennett. — Gdzie tylko chcecie. Jeśli kogoś zobaczymy, odjedziemy.

Nice zwolniła i w końcu zatrzymała się tuż przy przystanku autobusowym. Formalnie rzecz biorąc, w niedozwolonym miejscu, ale Bennett zbytnio się tym nie przejął.

— Czego chcesz? — zapytałem go ponownie.

— Chcę pojeździć z wami przez dzień albo dwa — odparł.

— Pojeździć z nami?

— No właśnie.

— Po co?

— W tym momencie kazali mi pracować w terenie. Oznacza to, jak mi się wydaje, że powinienem mieć oko na wszystkich innych trzydziestu sześciu tajnych agentów w Londynie i dołączyć do tego, który poczynił największe postępy.

— My nie poczyniliśmy dużych postępów.

— Muszę z przykrością stwierdzić, że nikt ich nie poczynił. Ale wy przynajmniej najlepiej się bawicie.

— Na razie nieszczęśliwie.

— Ale robicie jakieś postępy.

— Naprawdę?

— Nie bądź taki skromny.

— Masz mikrofon?

— Chcesz mnie przeszukać?

— Ja to zrobię — rzuciła przez ramię Nice. — Jeśli będę musiała. Obowiązują pewne zasady.

— I to mówi nieujawniona agentka, operująca na sojusznicznym terytorium i mająca na sumieniu dwa świeże zabójstwa.

— Oba możesz przypisać mnie — powiedziałem.

— Mało prawdopodobne — mruknął Bennett. — Jak wyjaśnicie Wormwood Scrubs? Ty załatwiłeś jednego, a ona trzech? Nie wydaje mi się. Powinniście poprzesuwać trochę zwłoki. To, co zobaczyliśmy, było zbyt oczywiste. Moim zdaniem cios zadany odłamkiem szkła można przypisać wyłącznie pani Nice. Natomiast tobie jestem skłonny przypisać wczorajszy śmiertelny uraz szyi.

— Czego chcesz? — zapytałem po raz trzeci.

— Nie martwcie się — odparł. — Nie interesują nas w jakiś szczególny sposób sprawy, w których ucierpieli gangsterzy. Ale oni są nimi zainteresowani. I na tym polega problem. Macie teraz na pieńku z dwoma gangami.

— Co oznacza nieszczęśliwe zainteresowanie?

— Z naszej strony? Robimy notatki, ale nie wszczynamy żadnych działań.

— Zachowujecie dokumentację na piśmie?

— Tego, niestety, nie da się uniknąć.

— W takim razie nas tam nie było.

— Gdzie? — zapytał.

— Nigdzie — odparłem.

— Technologia twierdzi inaczej. Sęk w tym, że widzimy, dokąd się udajecie. GPS to wspomniała rzecz. Jak inaczej mógłbym was odnaleźć, na przykład teraz, w ciągu kilku minut, w kradzionym samochodzie zaparkowanym wiele kilometrów od miejsca przestępstwa?

— Nasze połączenia są zaszyfrowane — powiedziałem.

Bennett tylko się uśmiechnął.

— Och, proszę cię... — mruknął.  
— Proszę co?  
— Pomyśl, dlaczego wasi ludzie nas tolerują. To znaczy dlaczego akurat nas, a nie Niemców. Co kładziemy na stół?  
— GCHQ — odparłem.  
Bennett pokiwał głową.  
— Centralę Łączności Rządowej. Naszą wersję NSA. Nasz nasłuch. Tak bardzo przewyższający NSA, że to aż krępujące. Potrzebujecie nas. Dlatego nas tolerujecie.  
— Podsluchujecie nas?  
— Nie, po prostu ułatwiamy obieg informacji. Gromadzimy dane i je przekazujemy. Czasami możemy losowo sprawdzać, czy dadzą się odczytać. Na czysto technicznym poziomie.  
— Transmisje CIA są z całą pewnością nie do rozszyfrowania.  
— CIA z całą pewnością tak uważa.  
— Złamaliście ich szyfr?  
— Sprzedaliśmy im chyba ich szyfr. Oczywiście nie bezpośrednio. Jestem pewien, że to był dość skomplikowany manewr.  
— Jestem pewien, że nie powinniście robić tego rodzaju rzeczy.  
— A ja jestem pewien, że to było dawno temu.  
— Więc oddaliśmy wam przysługę? Z Serbami?  
— Zadaliście im straty, ale ich nie zlikwidowaliście. To tak, jakby odciąć jedną mackę ośmiornicy. Co nie znaczy, że nie jesteśmy wdzięczni. Z siedmioma mackami łatwiej walczyć niż z ośmioma. Nawet jeśli różnica jest niewielka.  
— Chcecie więcej tego samego.  
— Jedni i drudzy chcą was dorwać. Co stwarza wiele sposobności. Moim zdaniem w pewnych kręgach kilka kolejnych ofiar w ludziach nie wzbudziłoby szczególnego oburzenia.  
— Dlatego chcesz się dosiąść?  
— Wyłącznie w roli obserwatora. Niektórzy z tych ludzi mają brytyjskie obywatelstwo. Jak zauważyła pani Nice, obowiązują jednak pewne zasady.  
— Udzielicie nam pomocy?  
— A potrzebujecie jakiejś?  
— Poprosiliśmy o listę adresów.  
— Zarejestrowaliśmy tę transmisję.  
— Nie dostaliśmy odpowiedzi.  
— Zdobycie adresów jest trudne. Obecnie w większym stopniu niż wcześniej, bo musimy ustalić aktywa Karela Libora, a także Serbów według stanu z dzisiejszego ranka. Bo jeśli Serbowie naprawdę współpracują z Romford Boys, to logika podpowiada, że mogli umieścić Kotta w jednym, a Carsona w innym miejscu, daleko od siebie. I że korzystają z jakichś odległych lokalizacji. A tereny wokół Londynu są dość płaskie. W najlepszym razie lekko pofałdowane. To nie jest najlepsze ukształtowanie terenu, kiedy trzeba się zbliżyć do leżącej na uboczu farmy, w której może się ukrywać jeden albo dwóch z czwórki najlepszych snajperów na świecie.  
— Mimo to zależałoby mi na tej liście — upierałem się.  
— W porządku, wyślemy ją już dzisiaj. Dostaniecie ją, kiedy tylko dotrze do O'Daya.  
— Waszym zdaniem to będą jakieś odległe farmy? Jedna daleko od drugiej?  
— Niekoniecznie. Są też inne możliwości.  
— Na przykład jakie?  
— Mają zakonspirowane lokale i jest wiele domów, które wynajmują, i w związku z tym

wielu lokatorów, którzy z radością wyjadą na tydzień albo dwa z miasta. A także wiele osób, które są im winne pieniądze i chętnie zgodzą się na zmniejszenie spłaty w zamian za przenocowanie i nakarmienie trzy razy dziennie nieznanego, o czym nikomu nie pisną ani słowa.

— Ale uważasz, że lepsze byłoby umieszczenie ich gdzieś daleko od wścibskich oczu?

— Na pierwszy rzut oka o wiele lepsze. W ostatecznym rozrachunku zawsze są jednak pewne minusy. Muszą zakładać, że mamy plany zamknięcia dostępu do centrum. Takie same jak te, które sporządzono po jedenastym września. Na pewno ma je każde duże miasto. W związku z tym nie będą chcieli znaleźć się nagle na zewnątrz. W sytuacji, kiedy muszą przetransportować przez kordon wielki karabin. Uważam więc, że postarają się dość wcześnie znaleźć się w centrum. Już mogą tu być.

— Widzieliśmy kilkaset dogodnych miejsc, z których widać Wallace Court.

— Wszystkie bardzo dokładnie sprawdzamy. Ale co będzie, jeśli zamelinowali się w dogodnym miejscu, którego nie dostrzeżliśmy?

— Macie plany zamknięcia dostępu do centrum miasta?

— Oczywiście.

— Więc dlaczego tego nie zrobicie?

— Bo pozostajemy optymistami.

— Teraz mówisz jak polityk.

— Celem jest szybkie zamknięcie tej sprawy.

— To też jest polityczne gadanie.

— Politycy podpisują nasze czeki.

— Więc jakiego rodzaju pomocy nam udzielicie?

— Pokażemy wam, gdzie mieszka Mały Joey. Bez jego zgody nic się nie dzieje. Możecie obserwować, kto do niego wchodzi i kto wychodzi, i zorientować się, czy coś z tego wynika.

— Chcesz powiedzieć, że wy tego nie potraficie?

— Działania, które zaobserwowaliśmy do tej pory, nie pozwalają na wysnucie koherentnych wniosków.

— W takim razie może Mały Joey nie jest tym, od którego wszystko zależy.

— Charlie White jest o wiele za stary i o wiele za dostojny, żeby załatwiać bieżące sprawy, a Tommy Miller i Billy Thompson są od niego tylko dziesięć lat młodszy i obecnie nie różnią się od biurokratów. Do czego w dzisiejszych czasach sprowadza się w przeważającym stopniu działalność gangów. Strategie podatkowe, legalne inwestycje, tego rodzaju sprawy. Mały Joey Green jest jedynym, który w ogóle coś robi. Możecie mi wierzyć. Jeśli zmieniają strażę albo wysyłają jedzenie i kobiety, wszystko to przechodzi przez próg Joeya.

— Tyle że wy tego nie zaobserwowaliście.

— Jeszcze nie.

— Ile mamy czasu, zanim politycy wpadną w panikę?

— Niedużo.

— Czy mają plan B?

— Pomogłoby mi, gdybyśmy nie musieli go realizować.

— To teraz mamy pomagać tobie?

— Pomagamy sobie wzajemnie. Tak to chyba powinno funkcjonować, nieprawdaż?

— Czy podsłuchujecie gorącą linię między Downing Street i Gabinetem Ovalnym?

— Dlaczego chcesz wiedzieć?

— Z czystej ciekawości.

— Tradycyjnie tego nie ruszamy.

— Dobrze wiedzieć.  
— Poszukajmy wam jakiegoś nowego hotelu — zaproponował Bennett. — Powinniście trochę odsapnąć. Prześlę wam SMS-a, kiedy będziemy gotowi pokazać wam dom Małego Joeja.  
— Masz numery naszych telefonów? — zapytałem.  
Nie odpowiedział.  
— Głupie pytanie — mruknąłem.

• • •

Bennett zamienił się miejscami z Casey Nice i zawiózł nas na południe, do Bayswater Road, która biegnie wzdłuż północnej granicy Hyde Parku, następnie na wschód, do Marble Arch, ponownie na południe wzdłuż Park Lane aż do Mayfair, okolicy wystarczająco zamożnej, by stać się neutralnym terytorium. Nie działały tu żadne gangi, w każdym razie żadne takie, które byłbym w stanie rozpoznać. Minęliśmy Grosvenor House Hotel, potem Dorchester i zatrzymaliśmy się przy Hiltonie.

— Nie będą was tu szukać — oznajmił Bennett. — Biorąc pod uwagę, ile zgarnęliście forsy, uznają, że wybraliście coś bardziej wykwintnego. Coś, co nosi ładniejszą nazwę, na przykład Brown's, Claridge, Ritz albo Savoy.

— Skąd wiecie o zgarniętych przez nas pieniądzach?  
— Z raportu pani Nice dla O'Daya.  
— Który losowo sprawdziliście, czy da się odczytać.  
— Wybór próbki jest czysto przypadkowy. To coś w rodzaju loterii. Dokonywanej automatycznie. To ma coś wspólnego ze średnim czasem bezawaryjnej pracy.  
— Powinniśmy wyrzucić nasze telefony.  
— Nie możemy tego zrobić — mruknęła Casey Nice.  
— Zgadzam się — powiedział Bennett. — Nie możecie. Musicie regularnie meldować się O'Dayowi. Taką zawarł umowę ze Scarangelo. Jeśli ogłosicie teraz ciszę radiową, umowa przestanie obowiązywać i wyrzekną się was wszyscy zainteresowani, a w takiej sytuacji powinniście opuścić ten kraj w ciągu godziny, bo będziecie ścigani jak zwykli kryminaliści.  
— Wiesz również o Scarangelo.  
— Spróbuj pamiętać, że wszystko, co ląduje w stanie Maryland, przechodzi najpierw przez Gloucestershire. I na odwrót.  
— Podśłuchujecie chyba cały świat.  
— Mniej więcej.  
— Więc kto to finansuje? Zdążyliście to już ustalić?  
— Nie do końca.  
— I to wy macie być drużyną A? Tymi, którzy wszystko obmyślili? O wiele lepszymi od buraków z Fort Meade?  
— Zwykle radzimy sobie dość dobrze.  
— Najwyraźniej jednak nie tym razem. Teraz chcecie zwalić wszystko na nas. Chcecie, żebyśmy komunikowali się dalej z O'Dayem, dzięki czemu będziecie mogli nas podsłuchiwać. A my weźmiemy całe ryzyko na siebie.  
— Nie dlatego rządziłyśmy światem, że byliśmy mili.  
— Walijczycy rządzą światem?  
— Brytyjczycy rządzą światem. A Walijczycy są Brytyjczykami. Tak samo jak Szkoci. Tak samo nawet jak Anglicy.

Nie odpowiedziałem. Casey Nice podała mi pudełka z amunicją, a ja włożyłem je do ekologicznej torby, po czym wysiedliśmy z samochodu i weszliśmy do hotelowego lobby.



Hilton zaspokajał z nawiązką wszystkie nasze potrzeby. Sieć dość pospolita, ale ze względu na sąsiedztwo Park Lane postarali się, żeby było trochę wykwintniej. I drożej. I ekskluzywniej. Pewne wątpliwości wzbudził z początku nasz brak bagaży. Mieliśmy wyłącznie torbę z nabojami. Kręcili również nosem, gdy wyraziłem chęć zapłaty gotówką, ale potem zobaczyli grube rulony banknotów i awansowaliśmy w ich oczach z tanich turystów na ekscentrycznych oligarchów. Może nie rosyjskich, z racji akcentu, ale w takim razie teksańskich. Tak czy inaczej, zaczęli być uprzedzająco grzeczni. Najbardziej rozczarowani brakiem bagaży byli chłopcy hotelowi. Koło nosa przeszły im pięćdziesięciofuntowe napiwki.

Nasze pokoje znajdowały się na różnych piętrach, ale najpierw udaliśmy się do Casey Nice, żeby sprawdzić, czy jest tam bezpiecznie, i ponieważ czułem, że powinna mieć u siebie pudełko z amunicją. Bój na śmierć i życie w pokoju hotelowym był mało prawdopodobny, ale mało prawdopodobne rzeczy czasami się zdarzają i w takim wypadku liczba sto szesnaście była o wiele bardziej interesująca od szesnastu.

Jej pokój był pusty i sprawiał wrażenie bezpiecznego. Architektonicznie nie różnił się od tysiąca pokoiów motelowych, jakie wcześniej widziałem, ale miał znacznie podniesiony standard, także dosłownie, w tym sensie, że znajdował się na dwudziestym piętrze, z widokiem na park. Zostawiłem pudełko ze stoma nabojami Parabellum na jej nocnej szafce, jeszcze raz się rozejrzałem i ruszyłem w stronę drzwi.

— Nadal mam jeszcze dwie — powiedziała. — Czuję się teraz dobrze.

— Opowiedz, jak Bennett wsiadł do samochodu — poprosiłem.

— Po prostu wsiadł. Zobaczyłam, jak po drugiej stronie ulicy łączy się z kimś przez komórkę i przystawia ją do ucha, tak jak to może zrobić każdy, i do tego momentu był po prostu jednym z wielu facetów na chodniku, ale potem zadzwonił mój telefon, odebrałam i to był on. Przeszedł przez ulicę i usiadł za mną z tyłu. Powiedział, że generał O'Day dał mu mój numer, że potwierdził go generał Shoemaker i że powinniśmy stamtąd odjechać, bo jesteśmy w strefie zakazu parkowania i ulicę za nami patroluje gliniarz z drogówki.

— Więc odjechałaś?

— Wydawał się działać w sposób uprawniony. Uznałam, że skoro zna nazwiska obu generałów, musi być po naszej stronie.

— Jakiego zdania jesteś teraz?

— Działa nie do końca w uprawniony sposób, ale nadal jest po naszej stronie.

Pokiwałem głową.

— Ja też tak uważam. Wierzysz w te rzeczy, o których mówił?

— Wydaje mi się, że jest w tym sporo przesady. Chyba że z samobójczą szczerością wypowiadał się o programie, który musi być bardzo głęboko utajniony. Naturalnie przez Brytyjczyków. Którzy z całą pewnością by zareagowali, gdyby mówiono otwarcie o ich największych sekretach.

— Niektórzy potrafią być czasem samobójczo szczerzy. Mają w końcu po dziurki w nosie całego tego mydlenia oczu. Nie ma żadnej reakcji, bo tak naprawdę to mało ważne. Ludzie tacy jak on nie stwarzają zagrożenia. Dostęp do wszystkiego równa się dostępowi do niczego. Brytyjczycy złamali nasze zabezpieczenia. Brytyjczycy nie złamali naszych zabezpieczeń. Jedno i drugie stwierdzenie może budzić szalone emocje, a to wcale nie pomaga nam ustalić, które jest prawdziwe.

— Więc w końcu złamali nasze zabezpieczenia czy nie?

— Pomyśl raczej o sprawach, w których nie przesadzał.

— To znaczy o czym?

— Przyszedł do nas i powiedział bez ogródek, że nie udało im się dojść do żadnych wniosków w kwestii tego, co dzieje się w domu Małego Joeya. I nie udało im się namierzyć w sieci mocodawców Kotta.

— I co z tego? — spytała Casey Nice.

— Słabo im idzie.

— Nikt nie trafia za każdym razem w dziesiątkę.

— Ale Brytole są w tym bardzo dobrzy — powiedziałem. — To oni wymyślili większość sztuczek. Nie przekonuje mnie gadka o tym, jak bardzo biją na głowę NSA, ale są co najmniej tak samo dobrzy. Trzeba im to przyznać. Może trochę lepsi. W głębi duszy to subtelni ludzie. W najlepszym znaczeniu tego słowa. Na ogół dobrze grają w karty. I kiedy trzeba, są twardzi. W sumie zawsze robią to, co należy. Ale tutaj do niczego nie doszli.

— To trudna sprawa.

— Tak trudna, że ani NSA, ani GCHQ nie są w stanie wstawić stopy w drzwi?

— Na to wygląda — przytaknęła Nice.

— Więc jakie są szanse, że niedoświadczona analityczka i emerytowany wojskowy gliniarz dokonają istotnego przełomu? Co takiego mamy dostrzec, czego oni nie zdołali?

— Może być coś takiego.

— Nie ma nic. Ponieważ Bennett rozumuje teraz w taki sam sposób jak O'Day kilka dni wcześniej. Był w Paryżu. Wie, że Kott celował we mnie. Teraz wie, że Kott jest w Londynie. Uważa, że może coś osiągnąć, ustawiając nas na głównej scenie. W charakterze celów. To rozpaczliwe czepianie się ostatniej szansy. I chodzi wyłącznie o niego. Ma w nosie, co się z nami stanie. Czeką na płomień wylotowy. Tego tylko pragnie. Zanim politycy wpadną w panikę.

— Jestem pewna, że od początku planowałeś wejście na główną scenę.

— Nie jako cel.

— Czy to ważne, jak ktoś cię nazwie?

— No właśnie. Musimy to zrobić tak czy owak. Nie mamy wyboru. Tak samo jak z komórkami. Musimy trzymać je dalej i meldować się O'Dayowi. Bennett i tak dostanie to, czego chce.

— Tylko dlatego, że my też dostaniemy to, czego chcemy. I to pierwsi. Więc tak naprawdę nie ma to znaczenia.

— W tym układzie oba rządy uważają nas wyłącznie za przynętę. A to o jeden rząd za dużo. Jesteśmy od nich zależni pod wieloma względami. To, co nam przekazują, zależy od tego, co o nas myślą. To znaczy podświadomie. Mogą nie być obiektywni. Powinniśmy to odpowiednio wcześniej rozpoznać.

— I co zrobić?

— Musimy myśleć tylko za siebie. Być może otrzymamy rozkazy, które powinniśmy zignorować.

Casey Nice odwróciła głowę i przez chwilę nic nie mówiła, a potem pokiwała głową w sposób, który mógł wyrażać głęboki namysł, smutną determinację albo coś pośredniego. Trudno było powiedzieć.

— Nadal dobrze się czujesz? — zapytałem.

— Musimy to zrobić tak czy owak — powiedziała.

— Nie o to pytałem.

— Czy powinnam nadal czuć się dobrze?

— Nie ma powodu do niepokoju. O to, która agencja cię zdradzi, a która nie. Bo wcześniej czy później wszystkie cię zdradzą.

— To naprawdę bardzo pocieszające.

— Nie próbuję cię pocieszyć. Chcę, żebyśmy nadawali na tych samych falach. Bo to naprawdę potrzebne.

— Nikt nas nie zdradzi.

— Ręczyłabyś za nich własną głową?

— Za niektórych ludzi, których znam, tak.

— Ale nie za wszystkich?

— Nie.

— Więc na jedno wychodzi.

— I to cię martwi — stwierdziła.

— Ale ciebie martwi bardziej — odparłem.

— A nie powinno?

— Wiesz, jaki był twój największy błąd? — spytałem.

— Na pewno zaraz mi powiesz.

— Powinnaś była wstąpić do wojska, nie do CIA.

— Dlaczego?

— Bo ten cały stres, którego doświadczasz, wynika z przekonania, że bezpieczeństwo narodowe spoczywa wyłącznie na twoich barkach. Co jest niedorzecznym brzemieniem. Ale doszłaś do takiej konkluzji, bo nie ufasz swoim kolegom. W każdym razie nie wszystkim. Nie wierzysz w nich. Wskutek czego czujesz się wyizolowana. Wszystko zależy od ciebie. Tymczasem w wojsku jest inaczej. Bez względu na jego liczne wady, zawsze możesz liczyć na towarzyszy broni. Wierzyć w nich. To jedno jest pewne. Byłabyś tam o wiele szczęśliwsza.

Przez chwilę milczała.

— Studiowałam w Yale — mruknęła w końcu.

— Możesz to w jednej chwili odmienić. Zabiorę cię do biura werbunkowego.

— Teraz jesteśmy w Londynie. I czekamy na SMS-a od pana Bennetta.

— Więc po powrocie. Powinnaś się nad tym zastanowić.

— Może to zrobię — odparła.

• • •

SMS od Bennetta przyszedł dwie godziny później. Byłem sam w moim pokoju, który różnił się od pokoju Casey Nice tylko tym, że znajdował się na wyższym piętrze i wychodził na drugą stronę. Z okna widziałem zamożne dachy Mayfair, szare łupki, czerwone dachówki i zdobione kominy. Gdzieś w pobliżu, na północ ode mnie, była amerykańska ambasada, ale jej nie widziałem. Leżałem na łóżku, a moja komórka ładowała się na nocnej szafce. Zabrzęczała raz i na wyświetlaczu ukazał się tekst: *W lobby za 10 minut*. Zadzwoiłem do Nice przez hotelowy telefon i usłyszałem od niej, że dostała taką samą wiadomość, w związku z czym leżałem jeszcze pięć minut, a potem schowałem naładowanego glocka do kieszeni kurtki i udałem się w stronę windy.

Nice czekała już w holu, a Bennett w samochodzie przy drzwiach. Samochód był miejscowej produkcji, marki Vauxhall, nowy, umyty, w kolorze granatowym, tak kompletnie anonimowy, że mogli nim jeździć tylko stróże ładu i porządku. Domyśliłem się, że skoda została już skasowana i oddana na złom, a być może nawet spalona. Był wczesny wieczór, słońce wisiało bardzo nisko nad parkiem.

Usiadłem z tyłu, a Nice obok Bennetta, który wcisnął gaz i włączył się do ruchu.



— Dokąd jedziemy? — zapytałem go.

Przez dłuższy moment nie odpowiadał, bo musiał zjechać z pasa Park Lane prowadzącego na południe i wjechać na pas prowadzący na północ, a ruch zorganizowano w tym miejscu tak, że musiał objechać całe rondo na Hyde Park Corner, które było tak samo porąbane jak to na Place de la Bastille.

— Do Chigwell — mruknął w końcu.

— Co to za miejsce?

— Graniczy od północnego zachodu z Romford. Przeprowadzasz się tam, kiedy zarobisz trochę więcej forsy. Część Chigwell jest bardzo elegancka. Duże domy, mnóstwo luzu między nimi. Mury, bramy, tego rodzaju rzeczy. Dużo drzew i otwartej przestrzeni.

— I mieszka tam Mały Joey?

— W domu, który sam zaprojektował.

• • •

Zanim dane nam było zobaczyć dom Joeya, obejrzeliliśmy wiele różnie zaprojektowanych domów. Jazda trwała długo. Ulice były zatłoczone, bo wyjeżdżaliśmy właściwie z miasta wraz z milionem innych ludzi, którzy usiłowali wrócić do domu. Na każdym światłach i przed każdym skrzyżowaniem tworzyły się korki. Choć Bennett specjalnie się tym nie przejmował. Był chyba zadowolony, że dotrzemy tam już po zachodzie słońca.

Minęliśmy kilka historycznych dzielnic, a potem oddaliliśmy się od centrum, przez cały czas zmierzając na północny wschód. Pokonaliśmy krótki odcinek autostradą, od jednego do następnego zjazdu, a potem znaleźliśmy się w Chigwell i wkrótce ujrzeliliśmy ulice, na widok których zmiękłoby najtwardsze serce, ze słońcem zachodzącym za majestatycznymi domami z czerwonej cegły, czasami z żelaznymi parkanami, czasami z murami niczym miniaturowe Wallace Court, dość często ze szpalerami drzew i krzewów, zawsze ze stojącymi na podjazdach najnowszymi modelami drogich samochodów, których chromowania migotały w złotych promieniach.

— Czy podjedziemy prosto do jego drzwi? — zapytałem.

— Nie, to znacznie bardziej skomplikowane — odparł Bennett.

I rzeczywiście było, przynajmniej geograficznie. Zaparkowaliśmy na wysypanym szutrem placu za pubem, ale do niego nie weszliśmy. Przeszliśmy obok. Może z właścicielem zawarto jakiś układ. Żadnych wyjaśnień, żadnych pytań, żadnych propozycji, lecz mimo to pełne wzajemne zrozumienie. „Nie wzywajcie lawety i o nic nie pytajcie”. Następnie skręciliśmy w jedną, a potem drugą wysadzaną drzewami uliczkę, z pewnością obserwowani zza koronkowych firanek, ale Brytyjczycy to ostrożni ludzie, a my nie powinniśmy budzić większych podejrzeń. Byliśmy trzema przypadkowymi osobami, które wybrały się na przechadzkę. Słońce w końcu zaszło i niebo pociemniało, a my dotarliśmy do miejsca, w którym jeden drewniany płot kończył się, a drugi zaczynał dopiero metr dalej, między nimi zaś wiodła jakiegoś rodzaju publiczna ścieżka, długa, prosta i wąska, zarośnięta zdeptanym zielskiem, posypana niewielką ilością czarnego żużlu i ogrodzona po obu stronach oddalonymi od siebie dokładnie o metr wysokimi parkanami. Ruszyliśmy nią gęsiego, Bennett, Nice i na końcu ja, i po stu pięćdziesięciu krokach wyszliśmy na wysypany żwirem plac, na którym stała zielona ogrodowa szopa, niedawno odmalowana, z widniejącym nad drzwiami białym napisem *Bowling Club*. Za nią był nieskazitelnie utrzymany kwadratowy trawnik.

— To inny rodzaj bowlingu — zauważyła Nice.

— Bardzo popularny — podkreślił Bennett.

— Stąd ten olbrzymi budynek klubowy — powiedziałem. — Ale domyślam się, że muszą

się tu pomieścić wszyscy. Dzięki temu mecze są bardziej zaciekle.

— Jest wiele innych klubów — wyjaśnił Bennett. — Wszystkie większe od tego.

Pochylił się i wyjął spod kamienia klucz, który wyglądał na świeżo dorobiony. Wsadził go do zamka, przez chwilę się z nim zmagając, ale w końcu udało mu się otworzyć drzwi.

Z mrocznego wnętrza uderzył mnie stęchły zapach drewna, wełny i skóry, które zbyt długo trzymano w wilgoci. Bennett przytrzymał drzwi rozpostartą dłonią i drugą zaprosił nas do środka.

— Co tu jest? — zapytałem.

— Sami zobaczcie — odparł.

W środku była cała masa klubowego sprzętu do bowlingu, ale wszystko to odsunięto pod ścianę, zostawiając wolne przejście przy oknach, które wychodziły na nieskazitelnie utrzymany trawnik. W przejściu stały w równej odległości od siebie trzy kuchenne stołki, każdy przed dużą noktowizyjną lornetką zamontowaną na kanciastym trójnogu.

— Mieliśmy tu w zimie silne huragany — wyjaśnił Bennett. — Tak naprawdę nic poważnego, ale jeden z mieszkańców stracił fragment płotu, a inny sześciometrowe iglaste drzewo. Co zupełnie przypadkowo otworzyło z tej szopy widok na dom Małego Joeya. A to oznacza, że uśmiechnęło się do nas szczęście, bo trudno nam do niego podejść bliżej. Zakładamy, że wszyscy bliżsi sąsiedzi albo dla niego pracują, albo są wobec niego lojalni, albo się go boją.

— Więc ta mała szopa stanowi centrum inwigilacji Joeya?

— Trzeba się cieszyć z tego, co się ma.

— Siedzicie tu godzinami, odwróceniem plecami do drzwi?

— Miej pretensje do cieśli, który zmarł przed pięćdziesięciu laty.

— I trzymacie klucz pod kamieniem?

— To kwestia oszczędności. Takie rzeczy nam się teraz proponuje. Dlaczego zamiast dziesięciu nie dorobić tylko jednego klucza? Dzięki temu będą mogli sobie kupić jeszcze jeden komputer.

— A nie wideo?

— Akurat na takie rzeczy lubią wydawać pieniądze. Obraz nagrywany jest bezpośrednio z lornetek za pomocą łączności bezprzewodowej. Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

W wysokiej rozdzielczości, ale bez koloru.

— Czy władze klubu wiedzą o waszej obecności?

— Niezupełnie.

— To dobrze — mruknąłem. Podejrzewałem, że próba zobowiązania wścibskiego prezesa klubu do zachowania dyskrecji dałaby ten sam skutek co ogłoszenie w gazecie.

— A jeśli przyjdą tu rozegrać partyjkę kręgli? — zapytała Nice.

— Zmieniliśmy zamek. Ten jest nasz, nie ich. Pomyślą, że coś jest nie tak z ich kluczami. Zwołają zebranie. Będą głosować, czy wydać klubowe pieniądze na ślusarza. Będą wygłaszali przemówienia za i przeciw. Zanim rzecz się rozstrzygnie, albo nie będzie to już miało większego znaczenia, albo zmienimy z powrotem zamek i zabierzemy swoje zabawki.

— Jak dobrze stąd widać? — zapytałem.

— Sam zobacz — odparł Bennett.

Ruszyłem więc przejściem, usiadłem na środkowym stołku i spojrzałem.

Lornetkę najwyraźniej wyposażono w jakąś fantastyczną najnowszą technologię, bo obraz był niesamowity. Nie zielony i ziarnisty, do czego przywykłem, lecz płynny, srebrzysty i niewiarygodnie precyzyjny. Patrzyłem na dom oddalony o mniej więcej czterysta metrów, pod kątem około czterdziestu pięciu stopni. Widziałem ścianę frontową i całą boczną. Poprzez wykusze w żelaznym ogrodzeniu wzniesionym na półmetrowej podmurówce i podzielonym na sekcje przez ceglane słupy. Efekt był stosunkowo okazały, a nakłady z pewnością rozsądniejsze od tych, które poniesiono przy budowie murów okalających Wallace Court.

Sam budynek był duży i solidny, zbudowany tak, by udawał styl georgiański, palladiański czy jakikolwiek inny rodzaj symetrycznego kanonu, który był akurat na topie. Wydawał się w każdym szczególe konwencjonalny. Miał dach, okna i drzwi, wszystko w odpowiedniej liczbie i w odpowiednich miejscach. Tak jakby dano dziecku papier i kredki i kazano narysować dom. „Dobrze, a teraz dodaj więcej okien”. Miał podjazd, na który wjeżdżało się przez jedną i z którego wyjeżdżało się przez drugą elektryczną bramę. Kostka, którą był wyłożony, wydawała się srebrna, ale mogła mieć ceglany kolor. Blisko drzwi wejściowych stał mały czarny sportowy samochód, zaparkowany ukośnie, tak jakby ktoś się bardzo spieszył.

Odchyliłem się do tyłu.

— To jest dom Małego Joeya? — zapytałem.

— Tak, to jego dom — odparł Bennett.

— Wspaniały widok.

— Dopisało nam szczęście.

— Sam go zaprojektował?

— To jeden z jego licznych talentów.

— Wygląda jak pierwszy lepszy dom.

— Zgaduj dalej — zachęcił mnie Bennett.

Pochyliłem się do przodu. Dachówki, cegły, okna, drzwi, rynny, wszystko to w prostokątnym, klockowatym budynku zajmującym większą część działki.

— Czego mam szukać? — zapytałem.

— Zaczynaj od bentleya — poradził mi.

— Nie widzę go.

— Stoi tuż przy drzwiach.

— Nie, to coś innego. To auto jest o wiele mniejsze od bentleya.

— Nie, to dom jest o wiele większy.

— Od samochodu?

— Od normalnego domu. Mały Joey ma dwa metry piętnaście centymetrów wzrostu.

Sufit na wysokości dwóch i pół metra zbytnio mu się nie podoba. Wchodząc przez zwyczajne drzwi, musi się pochylać. Ten dom różni się od normalnych domów wyłącznie tym, że wszystkie rozmiary na każdym planie zostały powiększone o pięćdziesiąt procent. Wszystko w idealnej proporcji. Tak jakby równomiernie urósł. Przeciwnieństwo domku dla lalek. Dokładna replika, tyle że większa, nie mniejsza. Drzwi mają ponad dwa metry siedemdziesiąt wysokości. Sufity o wiele więcej.

Skupiłem wzrok na samochodzie. Postarałem się go zobaczyć we właściwych rozmiarach i z domem stało się w tym momencie to, co powiedział Bennett. W idealnej proporcji urósł. Dokładna replika, tyle że większa.

Nie domek dla lalek. Domek dla olbrzyma.

Odchyliłem się do tyłu.

— Jak wyglądają normalni ludzie, kiedy tam wchodzi i stamtąd wychodzi? — zapytałem.

— Jak lalki — odparł Bennett.

Casey Nice precyzyjnie się obok mnie, usiadła na stolku i sama spojrzała przez lornetkę.

— Powiedz, co do tej chwili zauważyliście — poprosiłem Bennetta.

— Przede wszystkim nie zapominajcie, gdzie jesteśmy. Tuż obok biegnie autostrada do Anglii Wschodniej, a także M dwadzieścia pięć, którą możemy pojechać na wschód lub na zachód, albo w ciągu dziesięciu minut zniknąć na East Endzie. To bardzo dobre miejsce na centrum operacyjne. Z tego powodu jego ludzie się tu meldują. Nie tylko dlatego, że Joey ma obsesję, żeby wszystko kontrolować. On do nich dołączył. Jestem pewien, że dlatego zbudował dom właśnie tutaj. Uważa, że dobry szef powinien zawsze trzymać rękę na pulsie.

— Kogo widzieliście, jak się melduje?

— Sporo osób. Ale obecność wszystkich da się wyjaśnić.

— Omówmy to szczegółowo.

— Zdawaliśmy sobie sprawę, że coś się wydarzy, bo Joey podwoił nagle swoją osobistą ochronę. Na początku nie wiedzieliśmy dlaczego, ale teraz domyślamy się, że stało się to po pierwszym nawiązaniu kontaktu przez Kotta i Carsona, jeszcze przed robotą w Paryżu. A teraz zgodnie z obietnicą są tutaj i potrzebują własnej ochrony, a także jedzenia i rozrywki. Wszystko to musi przechodzić przez ten dom.

— Nawet jeśli zamelinowali się gdzieś daleko?

— Dla Joeya Greena „gdzieś daleko” znaczy po drugiej stronie M dwadzieścia pięć. Nie mówimy o szkockich wyżynach. Trzydzieści minut stąd to najodleglejsze miejsce, o którym słyszał.

— Ale nie odkryliście, gdzie to jest?

Bennett pokręcił głową.

— Spodziewalibyśmy się jakiegoś wyraźnego wzorca, czegoś, co przekracza ich normalną działalność, ale niczego takiego nie udało się zaobserwować. Pojawiają się czasami nadprogramowe pojazdy i śledzimy je tak daleko, jak to możliwe. Wykonaliśmy nawet symulacje komputerowe oparte na tym, dokąd zmierzają, ale nigdy nie okazały się pomocne.

— Może Kott i Carson wrócili do Francji, żeby tam się zaszyć — odezwała się obok mnie Casey Nice. — Nie pomyśleliście, że są tam o wiele mniej zagrożeni? Ponieważ szukamy ich tutaj. Może dojadą w ostatniej chwili. A to wyjaśniałoby to, co widzicie. Czy raczej, czego nie widzicie. Ludzie, których tu nie ma, nie muszą być karmieni.

— Dlaczego mieliby ryzykować, że nie przedrą się przez blokadę? — odparł Bennett. — To byłoby nieprofesjonalne.

— A Carson jest profesjonalistą, prawda? — zapytałem.

— Kott nim nie jest?

— Kott potraktowałby blokadę tak, jak traktuje wszystko inne. Odległość, wiatr, wysokość. Wszystkie dane. Nie zaryzykowałby przedarcia się przez blokadę, bo nie może jej przewidzieć. Blokada to emocje, nie chłodna kalkulacja. Moim zdaniem Kott jest tu, na miejscu, od wielu dni.

— My też tak uważamy. Ale nie ma wyraźnego wzorca. Wyłącznie normalne przyjazdy i wyjazdy.

— Czy Joey jest teraz w domu? — zapytałem.

— Oczywiście, że tak. Stoi tam jego samochód.

Pochyliłem się i ponownie spojrzełem przez lornetkę. Olbrzymie drzwi, przy których samochód wydawał się mniejszy. Okna niczym stoły bilardowe.

— Może Kott i Carson są w miejscu, gdzie ludzie Joeya nie muszą im dowozić jedzenia — powiedziałem. — Może zamawiają na wynos. Pizzę, kurczaki, cheeseburgery albo kebaby. W tej części miasta wybór jest bardzo duży. Może obaj są na diecie. I nie potrzebują dziwek.

— Kott siedział piętnaście lat za kratkami. Ma dużo do nadrobienia.

— Może medytacje wyprostowały go i sprawiły, że ma czyste serce.

— Tak czy inaczej, potrzebują ochrony. Częściowo dlatego, że muszą czasami odpocząć i się przespać, a częściowo dlatego, że Joey lubi się popisywać. Minimum czterech facetów w każdym momencie, co oznacza dwunastu dziennie. Zmienialiby się tutaj. Inaczej nie da się tego przeprowadzić, jeśli Joey ma wydać instrukcje i otrzymać raport. Ma obsesję na punkcie raportów. Im więcej wie, tym lepiej się czuje. Informacja jest złotem. Będzie chciał znać wszystkie sekrety. Mogą mu się przydać w przyszłości. Ta historia z Karelem Liborem to początek nowej mody. Niedługo wszyscy będą chcieli mieć swojego osobistego snajpera.

— Jak Joey załatwia sprawę jedzenia? — zapytałem.

— Dostawy odbywają się normalnym trybem.

— Dużo jada?

— Dwa razy tyle co ja. Jest dwa razy większy. Furgonetka zajeżdża od tyłu, do kuchni. Czasami dwa razy dziennie. Boże broń, żeby gangster miał robić sam zakupy w supermarkecie.

— Sprowadza tu swoje dziwki?

— Wiadomo, że czasami testuje świeży towar. Ale niezbyt często. Lubi ostry seks. Jest niekorzystne, jeśli świeżo sprowadzone do Londynu panienki noszą ślady przez kilka pierwszych tygodni. Więc Joey nastawia się na ogół na drugi koniec taśmociągu. Wykańcza te zużyte.

— Ostatnio dzieje się to częściej?

— Zawsze są jakieś wahania.

— Dlaczego go nie aresztowaliście? — zapytała Casey Nice.

— Ostatnie zeznanie obciążające Romford Boys zostało złożone jeszcze przed pani urodzeniem.

Dalej patrzyłem przez lornetkę. Nic się nie działo. Obraz był statyczny.

— Więc jakie macie teorie? — zapytałem.

— Część z nas uważa, że ta współpraca z Serbami może już trwać od miesiąca. Może Kott i Carson nawiązali kontakt z dwiema organizacjami. W takim przypadku sensowniejšie byłoby, gdyby to Serbowie udzielili im gościny. Tak byłoby bezpieczniej. Wszyscy pilnujemy z oczywistych powodów wschodniego Londynu, a tymczasem oni zamelinowali się na zachodzie. Klasyczna zmyłka.

— Joey nie dostawałby wtedy swoich raportów.

— To główna słabość tej teorii. Uważamy, że mogłby od biedy przeżyć to, że nie zna ich sekretów, bo nie pragnie się tego, czego się nigdy nie miało. Ale nie mogłby przeżyć, że trafili nie do niego, lecz do Serbów. Który sentyment przeważy? Obraduje nad tym nasza podkomisja psychologii behawioralnej.

— Wasze co?

— Podkomisja psychologii behawioralnej.

— Coś jeszcze?

— Doświadczenie podpowiada nam, że muszą gdzieś mieć zakamuflowany lokal i że problem się rozwiąże, kiedy go znajdziemy. W Londynie jest mnóstwo kamer i sprzętu śledzącego, dociera do nas cała masa danych w czasie rzeczywistym i pracują nad tym usilnie nasi programiści. A jeszcze usilniej analitycy.

— Którzy wszyscy są bardzo bystrzy, tak?

— Bardzo bystrzy.

— Dlatego są lepsi od NSA?

— I tańsi.

Odchyliłem się nieco.

— Zastanawiam się, po co nas tu przywiozłeś — powiedziałem. — Mogłeś nas o tym po prostu poinformować. Powiedzieć: Joey ma dom i nic tam się nie dzieje.

— Dzielimy się informacjami.

— Komplikujecie informacje. Albo puszczacie zasłonę dymną.

— Jak to?

— Żeby ci to wyjaśnić, musiałbym uwierzyć w to, co mówisz.

— Dlaczego miałbyś mi nie wierzyć?

— To prosty łańcuch przyczynowo-skutkowy, ale muszę wierzyć we wszystkie poszczególne elementy.

— Dlaczego miałbyś nie wierzyć? — powtórzył Bennett.

— Z powodu tego, co powiedziałeś nam wcześniej. Macie specjalne procedury, kiedy w jakimś zajściu nie ucierpieli cywile. Przez cały czas nas podsłuchujecie, telefony poszczególnych osób. Podsłuchujecie również generalnie całą łączność CIA. Gdybyście chcieli, moglibyście podsłuchiwać gorącą linię łączącą Downing Street z Gabinetem Ovalnym, ale nie robicie tego, bo nie pozwalają wam dobre maniere. Jeśli to wszystko prawda, to musi być ściśle tajne. Ujawniając to, trafiasz do Tower i ścinają ci głowę. Czy jaki tam jest współczesny odpowiednik. Wyrok dożywocia za zdradę stanu.

— Nie trafię do Tower.

— Dlaczego?

— Nie powiedziałem wam niczego, czego dowiedziałbym się wewnątrz budynku.

— Jakiego budynku?

— Jakiegokolwiek.

— Więc co nam opowiadasz?

— Wiesz, jak to jest. Krąży milion opowieści i milion plotek. Większość z nich to bzdury. Jednak zawsze są trzy albo cztery, które mogą być prawdziwe. Ale są ze sobą sprzeczne. Więc opierając się na doświadczeniu i nabytych z trudem kwalifikacjach, decydujesz, w jakie plotki wierzysz.

— Dlaczego miałbym wierzyć w jakiegokolwiek?

— Bo jedna z nich musi być prawdziwa.

— Podsłuchiwanie naszych telefonów nie jest opowieścią ani plotką, lecz faktem.

— To drobny fakt. A drobne fakty, o których wiemy, mogą wskazywać na bardziej ogólne fakty, o których nie wiemy. Na tym polega proces rozumowania. Jeśli atakujemy amerykańskie cele niskiego szczebla, dlaczego nie miałibyśmy zaatakować amerykańskich celów wyższego szczebla? To przecież ta sama elektryczność i te same kable. A jeśli atakujemy cele wyższego szczebla, dlaczego nie miałibyśmy podsłuchiwać Gabinetu Ovalnego?

— A zatem to, co nam opowiadałeś, to są po prostu teorie, którym dajesz wiarę.

— Nie mogę udowodnić, że są prawdziwe.

— Ale?

— Wiem, że są prawdziwe.

— Dlaczego?

— To kwestia ludzkiej natury. Wiesz, jak to jest. Bez względu na to, jakie masz intencje, jeśli jesteś w stanie coś zrobić, wcześniej czy później to zrobisz. Zawsze odczuwasz pokusę i nie

możesz jej się bez końca opierać. Nie mów, że uważasz inaczej.

— A te inne rzeczy, o których mówiłeś?

— Jakie rzeczy?

— Że, twoim zdaniem, Kott i Carson są na pewno w Londynie.

— Na sto procent.

— Twierdzisz tak, opierając się na doświadczeniu i kwalifikacjach?

— Cała moja wiedza podpowiada mi, że tu są.

— I że są strzeżeni, karmieni i zabawiani przez Romford Boys.

— Tak właśnie załatwia się te rzeczy. Gospodarze traktują gości z nadzwyczajną kurtuazją.

— Na sto procent?

— Więcej niż na sto — odparł.

— I ochrona, jedzenie oraz rozrywka są dostarczane przez Joeya?

— Nie ma co do tego wątpliwości. Na sto procent.

— Ale nikt nie kursuje między domem Joeya i jakimś innym miejscem.

— I to nie jest jakieś moje domniemanie. To fakt.

— Pani Nice i ja wcześniej o tym rozmawialiśmy — powiedziałem. — Cały brytyjski rząd do niczego nie doszedł. Więc jakie są szanse, że nieopierzona analityczka i emerytowany wojskowy gliniarz dokonają zasadniczego przełomu?

Bennett nie odezwał się.

— Ale domyślam się, że chcesz, żeby tak to właśnie wyglądało. Chcesz, żeby to wyszło od nas i żebyśmy albo ja, albo pani Nice powiedzieli to na głos. Żebyś mógł udawać zaskoczonego. Żeby nie doskwierały ci tak bardzo wyrzuty sumienia.

Dalej milczał.

— To prosty łańcuch przyczynowo-skutkowy — powtórzyłem. — Kott i Carson są w Londynie, zamelinowali się u Romford Boys, ale żadne pojazdy nie krążą między domem Małego Joeya i miejscem, gdzie się ukryli.

— To wszystko prawda — mruknął Bennett.

— A zatem Kott i Carson są w domu Małego Joeya.

Bennett nie odezwał się.

— Joey podwoił swoją ochronę nie bez przyczyny — podjąłem. — Spodziewał się gości, którzy zostaną na dłużej. Gdzie indziej mogliby się czuć tak bezpieczni? Gliniarze nie mogą się tam zbyt zbliżyć, a żaden cywil się nie ośmieli. A jeśli Joey chce mieć tych facetów blisko siebie, mając na oku jakieś korzyści w przyszłości, własny dom jest w tym układzie najlepszy. Pozwoli im się tam zamelinować tak długo, jak chcą. Opuszczą jego dom, kiedy nadejdzie odpowiednia pora. Jeśli będą musieli, mogą dojść do Wallace Court na piechotę. Przyjechali tam jednym z tych nadprogramowych pojazdów, które widzieliście. Być może wysadzono ich z tyłu. Nie było sensu śledzić później tego pojazdu, bo nigdzie go nie wysłano. Nie wywoził towaru, ale go przywiózł. Abstrahując od tego wszystkiego, widzicie dokładnie to, co spodziewaliście się zobaczyć. Dwie zmieniające się ekipy ochroniarzy i masę dowożonego żarcia. Dosyć, żeby nakarmić trzy osoby.

Bennett nie odezwał się.

— Teraz możesz powiedzieć: niech mnie kule biją, musicie mieć rację, nie mieliśmy pojęcia i tak nam przykro, że przypadkowo zabraliśmy was w miejsce oddalone o czterysta metrów od okna, przez które wyglądają dwaj najlepsi na świecie snajperzy.

— Tak mi przykro — powiedział.

— Ale są i pewne plusy tej sytuacji, prawda? Zawsze są. Jeśli zobaczycie, że ktoś strzela

z tego okna, możecie tam posłać całą armię antyterrorystów i pojazdy opancerzone. I sprawa będzie od razu załatwiona. Jeśli zobaczycie, że ktoś stamtąd strzela. Co nie jest wcale przesądzone. Ale może się to stać bardziej prawdopodobne, jeśli ci panowie będą mieli do czego strzelać.

— To nie był mój pomysł — mruknął Bennett.

— W takim razie czyj?

— Mówiłem już. Nie dlatego rządzą światem, że byli mili.

— Oni?

— My. Ale nie ja. Nie osobiście.

— Nie przeprasza — rzuciłem. — Jestem dokładnie tam, gdzie chciałem się znaleźć.



Zostałem tam, gdzie chciałem się znaleźć, jeszcze przez mniej więcej trzydzieści minut, obserwując wraz z siedzącą przy drugim noktowizorze Casey Nice statyczną scenę i próbując wyciągnąć jakieś wnioski z tego, co widzieliśmy. Bennett stał za nami, relacjonując, co zdarzyło się do tej pory, i odpowiadając na nieliczne pytania, które mu zadaliśmy.

— Co mogłoby spowodować, że tam wejdziecie? — zapytałem.

— Poza ogniem wylotowym? — dopytał się.

— Miejmy nadzieję, że sprawy nie zajdą tak daleko.

— Mogłaby wystarczyć pozytywna identyfikacja wizualna któregoś z nich.

— Do której jeszcze nie doszło.

— Jeszcze nie.

W kilku oknach, zarówno na parterze, jak i na piętrze, za półprzezroczystymi firankami paliły się światła. Nie widać było jednak żadnych cieni, żadnych postaci, żadnego ruchu. Ani niebieskiej poświaty od telewizora. Prawdopodobnie cała aktywność koncentrowała się w innej części domu, tej, której nie widzieliśmy. W kuchni lub w salonie, a także w sypialniach dla gości na górze. Albo w samodzielnym apartamencie. Przypominającym garsonierę, tyle że o pięćdziesiąt procent większym. Przeznaczonym dla celów bieżących albo dla olbrzymich i zniedołężniałych rodziców za dwadzieścia lat od teraz.

— Domyślcie się, kiedy dokładnie zajmą pozycję naprzeciwko Wallace Court? — zapytałem.

— To najważniejsze pytanie, nieprawdaż? — mruknął Bennett.

— A jak brzmi najważniejsza odpowiedź?

— Zablokujemy ulice na dzień lub dwa przed początkiem szczytu. Na pewno mają tego świadomość. I na pewno wiedzą, że dzień lub dwa oznacza czasami trzy lub cztery dni. Więc podejrzewam, że zajmą pozycje pięć dni wcześniej.

— Będą musieli długo czekać.

— Snajperzy uwielbiają tę ściemę o długim czajeniu się i czekaniu. To część całej mistyki.

— Możecie ich zgarnąć podczas transferu?

— Moglibyśmy, gdybyśmy wiedzieli, którego dnia i o której godzinie zamierzają wyruszyć. Moglibyśmy zaaranżować zatrzymanie pojazdu. Rozbite światła stopu czy coś w tym rodzaju. Ale nie wiemy. Więc chcąc się odpowiednio zabezpieczyć, musielibyśmy zatrzymać wszystkie będące w ruchu, należące do nich pojazdy. Po trzecim albo czwartym takim zatrzymaniu stary Charlie White zacząłby pukać do odpowiednich drzwi. Uważamy, że ma w kieszeni kilku miejscowych polityków i parę osób z miejscowej policji. Może mu się to opłacać, choćby ze względu na walory rozrywkowe. Wkrótce interweniowałyby u nas kilkunastu przyzwoitych obywateli, powtarzających, że oczywiście, stary Charlie może i jest alfonsem, złodziejem i handlarzem broni, ale z całą pewnością nie terrorystą.

— Kim są ci „my”? — zapytałem. — Kiedy mówisz „my moglibyśmy”, „my musielibyśmy”, „my uważamy”, „my mamy”?

— W tym momencie wszystko jest dość płynne — odparł Bennett.

— Dlaczego?

— Mamy zamiar szybko się z tym uporać.

— Tak mówi polityk.

— Który nie tylko bierze, ale i daje. Usuwa pewne bariery jednym pociągnięciem pióra. Łagodzi pewne przepisy. Właściwie uwielbia to robić. Jest gotów uchylić wszystko, co się da, łącznie z Magna Carta. Tego rodzaju atak na brytyjskiej ziemi byłby czymś gorszym od katastrofy. Byłby czymś godnym pożałowania.

— Nie mogą tego odwołać?

— To byłoby jeszcze bardziej godne pożałowania.

— Ile możliwych lokalizacji naliczyliście w pobliżu Wallace Court? — zapytałem.

— To, co ci się przytrafiło w Paryżu, zmieniło trochę nasze myślenie. Strzał padł z tysiąca czterystu metrów i gdyby nie podmuch wiatru, trafiłby idealnie. Więc jeśli mówimy o tylnym tarasie, tylnym trawniku i promieniu tysiąca czterystu metrów, w grę wchodzi jakieś sześćset lokalizacji.

— Co oznacza, że musielibyście przeszukać sto dwadzieścia dziennie, żeby ich na pewno znaleźć — powiedziała Nice. — Jesteście w stanie to zrobić?

— Nie ma najmniejszej możliwości — odparł Bennett. — Poza tym mamy kłopot z autostradą M dwadzieścia pięć. To byłoby coś w rodzaju idealnego wstrzelenia się w moment. Wyobraźcie sobie zatrzymującego się na pasie awaryjnym wysokiego tira ze zbudowaną w środku wysoką platformą strzelecką i nierzucającym się w oczy otworem z boku. Oraz potężne lunety na karabinach. Mieliby stamtąd widok na cały taras i cały trawnik.

— Nie możecie zamknąć autostrady? — zapytałem.

— M dwadzieścia pięć? Niemożliwe. Zablokowalibyśmy kompletnie całą południowo-wschodnią Anglię. Możemy dyskutować o zamknięciu pasa awaryjnego i jednego pasa ruchu pod pretekstem robót drogowych, ale i to stoi pod wielkim znakiem zapytania. Ta droga charakteryzuje się bardzo dziwną dynamiką ruchu. Można do niej śmiało zastosować teorię chaosu. Wystarczy, że motyl zatrzepocze skrzydełkami w Dartford, i dwieście osób spóźnia się na swój lot z Heathrow sześćdziesiąt kilometrów dalej.

Odsunąłem się od noktowizora.

— Więc generalnie sugerujesz, że powinniśmy ich przyskrzynić, zanim opuszczą dom Joeya — powiedziałem.

— To byłoby bardzo pożądane rozwiązanie.

— I zgodnie z twoim głębokim przekonaniem powinni tu zostać przynajmniej przez kilka następnych dni.

— To tylko najbardziej prawdopodobna hipoteza. Zawsze lepiej kuć żelazo, póki gorące. Usłyszałem, jak siedząca obok mnie Casey Nice wciąga w płuca powietrze.

— Nie dziś w nocy — oświadczyłem.

— Za szybko? — zapytał Bennett.

— Trzeba to zrobić raz a dobrze.

— W takim razie kiedy?

— Dostaniesz od nas SMS-a. Mamy twój numer.

• • •

Bennett zamknął klub, schował klucz z powrotem pod kamień i ruszyliśmy tą samą drogą, którą tam dotarliśmy, przez wyspany żwirem placyk, a potem długą wąską alejką i cichymi ulicami aż do pubu, przy którym czekał cierpliwie vauxhall, dokładnie tam, gdzie go zostawiliśmy, nietknięty i nawet niezastawiony.

— Dokąd teraz? — zapytał nas.

— Do nocnej apteki — odpowiedziałem.

— Po co?

— Chcemy sobie kupić szczoteczki do zębów.  
— A potem?  
— Do hotelu.  
— Wydawało mi się, że Amerykanie słyną z etyki pracy.  
— O pierwszym brzasku — powiedziałem. — Bądź zwarty i gotowy. Zawieziesz nas.  
— Dokąd?  
— Do Wallace Court.  
— Po co?  
— Chcę stanąć na tylnym tarasie.  
— Wallace Court się nie liczy — stwierdził Bennett. — Jeżeli mamy ich przyskrzynić, zanim opuszczą dom.

— Licz na najlepsze, szykuj się na najgorsze. Możliwe, że do ostatecznej rozgrywki dojdzie w ciągu ostatnich pięciu minut, tuż zanim pociągną za spust. Musimy poznać ukształtowanie terenu. Musimy zlokalizować te sześćset miejsc. A przynajmniej pięćdziesiąt najważniejszych.

— Na ulicach roi się tam od Romford Boys.  
— Właśnie na to liczę. Chcę, żeby mnie zobaczyli, wiedzieli, że wciąż się tam kręcę. Chcę, żeby ta wiadomość natychmiast dotarła do Johna Kotta.  
— Czy nie byłoby lepiej załatwić to inaczej? Mógłbyś ich zaskoczyć.  
— Działanie z zaskoczenia jest dobre — powiedziałem. — Ale czasami lepiej jest wyprowadzić przeciwnika z równowagi.  
— To nie są ludzie, których łatwo wyprowadzić z równowagi.  
— Nie trzeba wiele, żeby chybić z odległości tysiąca czterystu metrów. Wystarczą dwa uderzenia serca na minutę więcej. Facet nienawidzi mnie, bo posłałem go za kratki. Nienawidzi samego siebie, bo dał się podejść. Każda z tych rzeczy to dwa uderzenia serca więcej. Razem dają cztery uderzenia. Chcę, by wiedział, że nadchodzę, bo tylko w ten sposób przetrwam wystarczająco długo, by tam dotrzeć.

• • •

Bennett wysadził nas na kolistym podjeździe przed Hiltonem i odjechał, a ja i Casey Nice umówiliśmy się, że za dwadzieścia minut spotkamy się w słynnej restauracji na najwyższym piętrze. Późna kolacja, tylko we dwoje. Wiedziałem, że Nice chce wziąć prysznic, więc ja też go wziąłem i podeszliśmy do kierownika sali niemal równocześnie. Wyglądała bardzo dobrze, co jak się domyśliłem, wynikało po części z jej determinacji, a po części z tego, że miała dwadzieścia osiem lat i dlatego była nadal pełna energii, wytrwałości i być może nawet optymizmu.

Dostaliśmy kwadratowy stolik przy oknie, z którego roztaczał się wspaniały widok na światła wielkiego miasta okalające czarną plamę parku. Szyba była w wystarczającym stopniu refleksyjna, byśmy widzieli również większą część sali za sobą. Spektakularna panorama i bezpieczeństwo, wszystko w jednym pakiecie. Zamówiliśmy coś do picia, ona wodę, ja czarną kawę. Paliły się świece, migotały kryształ, gdzieś w pobliżu słychać było dźwięki fortepianu.

— Jak tu wykwintnie — powiedziała Nice. — Zupełnie jak na filmach.  
— Chyba tak — odparłem.  
— Teraz nastąpi scena, w której będziesz próbował się mnie pozbyć, prawda?  
— Dlaczego miałbym to zrobić?  
— Bo robi się niebezpiecznie.  
— To powód, żeby mobilizować siły, a nie je redukować.

— Ale będziesz się o mnie martwił. Będziesz na mnie patrzył i widział Dominique Kohl. To dwa uderzenia serca więcej.

— Przypuśćmy, że powiem, że nie będę się o ciebie martwił.

— Wtedy powiem, że powinieneś. Jedynym sposobem, żeby to załatwić, jest uporanie się najpierw z Małym Joeyem. Z którym trudno się będzie uporać. Który lubi ostry seks z nowymi prostytutkami. Jeśli złapią ciebie, dostaniesz kulkę w łeb. Jeśli złapią mnie, będę o nią błagała.

— Przypuśćmy, że nie złapią ani mnie, ani ciebie. To bardziej prawdopodobny wariant. A z Joeyem niekoniecznie trudno będzie się uporać. To duży cel. Trudno chybić.

— Ale przemieszcza się wszędzie z kierowcą i czterema ochroniarzami w jaguarze.

— Tak będzie do chwili, kiedy zrobimy z nich bezrobotnych. Wtedy znikną. Nie będą walczyć za friko.

— Naprawdę chcesz, żebym tam z tobą była?

Nie odpowiedziałem. *Pozwolisz mi go aresztować?* — zapytała Dominique Kohl i żałowałem, że nie odpowiedziałem inaczej na to pytanie. Podszedł do nas kelner i odebrał zamówienie. Ja wziąłem antrykot, Casey Nice kaczkę.

— Naprawdę chcesz, żebym tam z tobą była? — powtórzyła, kiedy odszedł.

— Decyzja nie należy do mnie — odparłem. — To ty jesteś szefem. Tak mi powiedziała Joan Scarangelo.

— Moim zdaniem strategia jest słuszna.

— Moim też.

— Ale jej wdrożenie może się okazać skomplikowane — zauważyła.

— Potrzebuję każdej pomocy, na jaką mogę liczyć.

— Przypuśćmy, że w ogóle nie podniosłbyś tej gazety. Gdzie byłbyś teraz?

— Pewnie w Seattle. Albo w jakimś następnym miejscu.

— I wszystko to rozegrałoby się bez ciebie. Zastanawiałeś się nad tym?

— Niespecjalnie. Bo podniosłem tę gazetę.

— Dlaczego zadzwoniłeś? Bo byłeś ciekaw?

— Niespecjalnie — odparłem znowu. — Wiedziałem, że jest w to zaangażowany O'Day.

A wolę nie wiedzieć, czym on się zajmuje.

— Więc dlaczego zadzwoniłeś?

— Shoemaker wyświadczył mi kiedyś przysługę.

— Kiedy?

— Przed dwudziestu laty.

— Co to za przysługa?

— Nie puścił pary z gęby w pewnej sprawie.

— Chcesz mi o tym opowiedzieć?

— Wolałbym nie — odparłem.

— Ale?

— Można uznać, że charakter tamtego incydentu ma pewne znaczenie dla naszej misji.

I dlatego masz prawo wiedzieć, o co chodziło.

— To znaczy?

— Mówiąc w skrócie, zastrzeliłem faceta, który próbował uciec.

— To źle?

— Próbę ucieczki wymyślono na użytek oficjalny. To była zwykła egzekucja.

Bezpieczeństwo narodowe to śliska sprawa. Bardzo ważne jest to, co dociera do opinii publicznej. Dlatego czasami karę wymierza się jawnie, a innym razem nie. Pewnych zdrajców się aresztuje i sądzi, a innych nie. Niektórzy padają ofiarą tragicznych wypadków, śmiertelnie

postrzeleni przez bandziorów na rogach ulic w nieciekawych rejonach miasta.

— I generał Shoemaker wiedział?

— Był przypadkowym świadkiem.

— Sprzeciwiał się?

— W zasadzie nie. Rozumiał, o co chodzi. Pracował w wywiadzie wojskowym. Popytaj się. CIA była taka sama. To był pragmatyczny okres.

— Więc jak to się stało, że jesteś mu winien przysługę?

— Zastrzeliłem również kumpla tamtego faceta.

— Dlaczego?

— Miałem złe przeczucia. I mój instynkt mnie nie zawiódł, bo gość miał w kieszeni pistolet, a jego mieszkanie okazało się prawdziwą kopalnią złota. To był łącznik mojego faceta. W kategoriach kontrwywiadowczych upiekli dwie pieczenie na jednym ogniu. Aresztowali członków całej siatki. Jednak komisja śledcza chciała mieć absolutną pewność, że widziałem wcześniej pistolet. Chodziło o jakąś prawniczą subtelność. A ja, prawdę mówiąc, go nie widziałem. Ale Shoemaker mnie nie wydał.

— I teraz musisz stoczyć za niego bitwę. To cholernie wysoka spleta długu.

Nieproporcjonalnie wysoka.

— Tak to bywa z przysługami. Zupełnie jak na filmach gangsterskich. Jakiś facet mówi: Któregoś dnia poproszę, żebyś odwzajemnił mi przysługę. Nie można kręcić nosem i przebierać. A poza tym na początku może to i była bitwa Shoemakera, ale teraz jest moja. Bo O'Day ma rację. Świat jest wielki, ale nie mogę przez cały czas oglądać się przez ramię. Więc Kott doczeka się rewanzu.

— Chcesz, żebym tam z tobą była?

— Tylko jeżeli ty tego chcesz. Przede wszystkim na poziomie etycznym. W prośbie o przysługę jest zawarta wskazówka. To coś w rodzaju scenariusza, który mam wykonać. O'Day chce, żebym stał się katem. Nie chce aresztowania i procesu.

— Czy chcesz, żebym tam z tobą była? Na jakimkolwiek poziomie?

— A gdzie chcesz być?

— Chcę w tym uczestniczyć.

— Uczestniczysz w tym.

— Wchodząc w fazę, która niekoniecznie jest dostosowana do moich kwalifikacji.

— Co jest nie tak z twoimi kwalifikacjami?

— Jestem przeciętnym strzelcem, bez szczególnych predyspozycji do walki wręcz.

— To nie ma znaczenia. Będziemy się wzajemnie uzupełniali. Bo kwalifikacje fizyczne są najmniej ważne. W tej grze wygrywa ten, kto najszybciej myśli. A w tym jesteś dobra. Zresztą co dwie głowy, to nie jedna.

Casey Nice nie odpowiedziała.

— Zaczynamy o siódmej rano — powiedziałem. — Przez pozostałą część nocy możesz odpocząć.

• • •

Zjechaliśmy razem windą, ale ja wysiadłem pierwszy, dwa piętra wyżej od niej, bo tam był mój pokój. Odwiedziła go wcześniej sprzątaczką. Odsunąłem z powrotem zasłony i spojrzałem na dachy domów. Domyślałem się, że większość tego, na co patrzyłem, znajduje się w odległości mniej więcej stu metrów. Wygodny dla oka średni dystans, w zatłoczonym mieście. Wygodny kąt patrzenia, coś w rodzaju standardowej akomodacji. Podniosłem nieco wzrok i spróbowałem popatrzeć dwa razy dalej, najpierw na odległość dwustu, potem czterystu, potem

ośmiuset i na koniec na odległość tysiąca czterystu metrów.

Sięgałem wzrokiem bardzo, bardzo daleko. Gdyby do zamachu miało nie dojść w Romford, ale w Mayfair, musielibyśmy przeszukać dziesięć tysięcy lokalizacji.

*Pozwolisz mi go aresztować?* — zapytała Dominique Kohl.

*Chcę, żebyś to zrobiła,* odparłem.

Uważając to tak naprawdę za nagrodę. Albo dowód uznania. Albo komplement. Coś w rodzaju odznaczenia na polu bitwy. Zasłużony przywilej. To ona wykonała całą robotę. To ona miała pomysły, dzięki którym dokonaliśmy przełomu. Stąd ta nagroda. Która w niepisanym wojskowym kodeksie była nie byle jaka. Ponieważ mieliśmy potężnego wroga. Nie pod względem fizycznym. O ile dobrze zapamiętałem. Wiele lat później wbiłem mu dłuto w mózg i wcale nie wydawał mi się potężny. Jednakże posiadana władza, prestiż i wpływy dawały mu potęgę. Naprawdę trudno było mu się dobrać do skóry. Zwłaszcza kobiecie. Co też było istotne. Działo się to dość dawno. Musiała zasłużyć na jego uznanie — i udało jej się to. Wykonała całą robotę, miała pomysły i dokonała przełomu. Była bardzo skrupulatna i bardzo sprytna.

To jej nie uratowało.

Rozebrałem się i położyłem do łóżka, zostawiając niezasunięte zasłony. Uznałem, że światła miasta dadzą mi otuchy, a świt pomoże się obudzić.

• • •

Minutę po siódmej rano byliśmy w drodze do Wallace Court, w samochodzie Bennetta, który nie był już anonimowym granatowym vauxhallem, lecz anonimowym srebrzystym vauxhallem. Poza tym identycznym. Jak auta z wypożyczalni. Jechaliśmy w większości tą samą trasą, lecz szybciej, ponieważ poranny ruch odbywał się głównie w przeciwnym kierunku. Do miasta, a nie z miasta. Godzina szczytu, lecz nie dla nas. Bennett wydawał się zmęczony. Casey Nice wyglądała dobrze. Nie rozmawialiśmy. Nie mieliśmy nic do powiedzenia. Bennett bez wątpienia uważał, że marnuje jego czas. Co było możliwe. Nawet prawdopodobne. Istniała jednak zawsze szansa, że uda się coś odkryć. Że nie będę musiał powtarzać: gdybym wiedział wtedy to, co wiem teraz.

*Co wiem teraz,* niczym uderzenia w bęben. Znaczące i trochę złowróźbne niczym kotły na początku posępnej symfonii. Na przykład Szostakowicza.

*Co wiem teraz.*

Wiedziałem to już po dwudziestu minutach przebywania w Wallace Court.

W miarę jak się zbliżaliśmy, zacząłem rozpoznawać to, co widziałem z taksówki, tej drugiej, zamówionej — jak trzeba — przez telefon. Widziałem już wcześniej te ulice, podmiejskie, ale w jakiś sposób skondensowane, trochę węższe, szybsze i bardziej zatłoczone, niżby chciały. Zapamiętałem nawet niektóre witryny. Sklepu z dywanami, sklepu z komórkami, barów z kurczakami, cheeseburgerami i kebabami. A potem nagle zobaczyliśmy tereny zielone, elegancki stary pałac i zwariowany mur, który po wszystkich tych latach nadal dawał odpór Londynowi.

Przy bramie pełnił wartę ten sam uzbrojony w pistolet maszynowy krępy twardziel w keklarowej kamizelce. Bennett skinął mu głową i facet cofnął się, ale potem popatrzył na mnie i znów zbliżył się o krok.

— To pan jest tym gościem z przewodnikiem — powiedział. — Sześć pensów za wstęp do ogrodów. Witamy z powrotem, proszę pana.

Następnie ponownie się cofnął i otworzył bramę. Żadnego sprawdzania papierów i łączenia się przez radio. Żadnego okazywania odznaki. Wystarczyło skinienie głowy i mrugnięcie okiem. Facet był w zasadzie w rynsztunku bojowym, ale miał na sobie granatowy mundur z napisem *Metropolitan Police*, który wyszyto czarną nitką na taśmach i wydrukowano stonowanym czarnym tuszem na keklarze razem z monochromatycznymi wersjami tarczy herbowej z ich spiczastych hełmów, nie miałem zatem wątpliwości, że jest gliniarzem, podobnie jak nie miałem wątpliwości, że Bennett nim nie jest, lecz mimo to Bennett kiwał głową i mrugał, a facet reagował tak jak trzeba.

*W tym momencie wszystko jest dość płynne.*

Przejechaliśmy całą aleję i zaparkowaliśmy na grysie niedaleko frontowych drzwi, przy których pełnił wartę kolejny uzbrojony policjant. Budynek był miejscami wcięty, a miejscami — tam gdzie po namyśle zdecydowano się coś dobudować — wystający, generalnie jednak wzniesiono go na planie prostokąta o znacznie większej długości niż szerokości. Chociaż w poprzek nie sprawiał wrażenie wąskiego. W żadnym wypadku. Byłem przekonany, że okaże się nader przestronny. Ale proporcje nadawała mu długa rozciągnięta fasada. Nie było co do tego wątpliwości. Wyglądał jak cztery dostawione do siebie końcami pudełka do butów. Może w czasach królowej Elżbiety trudno było znaleźć wystarczająco długie pnie dębów na belki łączące przednie i tylne ściany. Jej tato dopiero co zbudował królewską marynarkę wojenną. Dużo dębowych okrętów. Wycięto wówczas całe lasy.

Wysiedliśmy z samochodu, po czym Bennett skinął głową drugiemu gliniarzowi i wprowadził nas do środka, nieco niecierpliwie, jakby nie chciał się z nami pokazywać publicznie. A może niepokoiły go snajperskie lunety. Może nie chciał stać obok mnie na otwartym terenie. Udało mu się przeżyć Paryż i nie chciał oberwać kulka w Londynie.

Drzwi zrobione były z prawie pięćsetletniego drewna, opasanego żelaznymi obręczami i nabijanego ćwiekami wielkości piłeczek golfowych. Wewnątrz zobaczyłem nawoskowane, prawie czarne ze starości, lśniące boazerie, podniszczoną kamienną podłogę i wielki marmurowy kominek. Były tam dębowe ławy, tapicerowane fotele i elektryczne żarówki w żelaznych kandelabrach. Na ścianach wisiały portrety olejne posepnych mężczyzn w strojach z epoki Tudorów. Bennett skręcił w korytarz po prawej stronie i weszliśmy wraz z nim do sali, którą zmodernizowano, malując ściany na biało i podwieszając akustyczny sufit. Za nią było kolejne pomieszczenie, podobne, ale mniejsze, z wielkimi drzwiami w przeciwległej ścianie.

— To boczne wejście — oznajmił Bennett. — Tam będzie stał namiot waszego prezydenta. Przewidujemy, że będą z niego korzystać wszyscy. Mogą z niego wejść do tego pomieszczenia, a stąd dostać się bezpiecznie wszędzie, gdzie powinni się znaleźć. Każda sala ma naturalne oświetlenie, ale wszystkie są duże i wszyscy siedzą pośrodku, więc nie ma potrzeby, by ktokolwiek podchodził do któregoś z okien, tak że można by go było zobaczyć z zewnątrz. Z zagrożeniem mamy do czynienia jedynie podczas zaimprovizowanych przechadzek po trawniku i pozowania do zbiorowej fotografii.

Wróciliśmy tą samą drogą, którą tam dotarliśmy, ale jeszcze przed głównym holem skręciliśmy w prawo, w kolejny korytarz, tym razem z podłogą ze skrzypiących klepek, i weszliśmy z niego do wąskiej długiej sali z przeszklonymi od góry do dołu drzwiami zupełnie niepasującymi do stylu epoki. Za nimi widać było patio.

— To coś w rodzaju przedsionka — powiedział Bennett. — Wchodzą tutaj, ustawiają się w szyku, sprawdzają, czy nikt nie zatrzasnął się w łazience, i wychodzą na zewnątrz.

Zatrzymałem się na sekundę tam, gdzie mieli stanąć, zupełnie jakbym był jednym z nich, i spojrzałem przez przeszklone drzwi na zewnątrz. Znajdowaliśmy się trochę na prawo od środka budynku, a patio miało owalny kształt, co oznaczało, że politycy wyjdą na nie tam, gdzie nie było najszerze. Miało to swoje plusy. Dzięki temu grupa mogła się wydać geometrycznie autentyczna, a nie politycznie zdesperowana. Oznaczało również, że schodki prowadzące na trawnik będą nieco bliżej budynku, co da niższym facetom mniej miejsca na przepychanki z wyższymi. Fotoreporterzy zostaną pewnie ustawieni po prawej stronie, dzięki czemu budynek będzie widać pod kątem. Lepsze to od fotografowania na wprost ściany jak na policyjnych zdjęciach.

Dotykając dłonią klamki, zastanawiałem się, czy nie oceniłem ich przypadkiem zbyt surowo, wyobrażając sobie udawane chichoty i fałszywe zdziwienie spowodowane tym, że muszą się tak szybko przestawić. Może to nie było wcale udawane. W namiocie, wchodząc przez bezpieczne boczne drzwi, nigdy nie zbliżając się do okien, ci faceci w każdej minucie swojego życia znajdowali się pod ścisłą ochroną. I tak bardzo do tego przywykli, że znalezienie się na otwartym patio było może rzeczywiście czymś bulwersującym. Wyjście na zewnątrz i przejście kilkunastu kroków, z wysoko podniesioną głową i wzrokiem, który mogli utkwic wyłącznie w jakimś innym, tak samo wylęknionym facecie, a potem ustawienie się w szeregu, z uśmiechem na twarzy, wypiętą piersią i w kompletnym bezruchu, z wysokim niebem nad głową i nie wiadomo jakim zagrożeniem kryjącym się w oddali.

*Wygląda to inaczej, kiedy gdzieś tam czai się snajper.*

Otworzyłem drzwi, wyszedłem na zewnątrz i stanąłem bez ruchu.

•••

Ranek był chłodny i trochę wilgotny. Patio wyłożone było szarymi kamiennymi płytami, wygładzonymi przez deszcz i upływ czasu. Stanąłem w jego centralnym miejscu, wyprostowałem się i spojrzałem prosto przed siebie. Obróciłem się trochę w lewo i spojrzałem w tamtą stronę, po czym obróciłem się w prawo i też tam spojrzałem. Na koniec podszedłem do skraju stopni prowadzących na trawnik, niczym pływak zbliżający się do skraju trampoliny, i stanąłem z rękoma złożonymi z tyłu, wypiętą piersią i podniesioną głową, jakbym pozował do fotografii albo stał przed plutonem egzekucyjnym.

Przed sobą miałem szerokie trawniki, za nimi mur okalający posiadłość, dalej porośnięte chaszczami tereny gminne i ogrodzenie z siatki, a jeszcze dalej autostradę M25, mogącą mieć w tym miejscu nawet osiem pasów, po których w jedną i drugą stronę śmigają bez przerwy najprzeróżniejsze pojazdy. I dokładnie w tym momencie odrzuciłem teorię Bennetta na temat



austostrady. Nie było mowy o idealnym wstrzeleniu się w moment. Nie było odpowiedniego miejsca. Ruch był szybki i ciężki. Ciężki w sensie ilości pojazdów i ciężki w sensie dosłownym. Niektóre ciężarówki były ogromne, a największe pędziły wewnętrznym pasem i wszystkie jechały szybko, wielkie, sunące tuż nad ziemią rakiety. Gałęzie drzew rosnących daleko od pobocza ani przez moment nie były nieruchome. W zaparkowaną ciężarówkę co chwila uderzałby pęd powietrza. Nie mogło to pozostać bez wpływu na zbudowaną w środku platformę, która kołysałaby się i trzęsła prawie bezustannie, w niemożliwym do przewidzenia rytmie. Odległość do celu wynosiła mniej więcej tysiąc dwieście metrów, co oznaczało, że wstrząs, skutek którego celownik optyczny przesunąłby się o grubość dziesięciocentówki, mógł spowodować, że pocisk w ogóle nie trafi w okolice pałacu. Nikt rozsądny nie wybrałby tego miejsca. Skreślamy.

Ale może dwaj faceci wyskoczą z zaparkowanej ciężarówki i podbiegną do przodu?

To też nie miało sensu. Między pałacem i autostradą nie było żadnych dogodnych stanowisk strzeleckich. Absolutnie żadnych, chyba że ktoś wspiałby się na mur po drabinie i celował stamtąd. Co powinni mu chyba wyperswadować krępi faceci w kevlarowych kamizelkach.

Zatem strefa na wprost była bezpieczna.

I dlatego fakt, że posiadłość przypominała kształtem kawałek pizzy, był korzystny. Oznaczał, że bezpieczni byliśmy nie tylko od samego frontu. Bezpieczna strefa rozciągała się na boki, w obu kierunkach, po mojej prawej i po lewej stronie, od mniej więcej godziny dziesiątej do godziny drugiej na cyferblacie.

Kształt kawałka pizzy powodował również, że ulice po bokach nie były równoległe. Oddalały się od nas niczym skrzydła wiatraka. Co na pierwszy rzut oka było korzystne. Oznaczało, że im dalej stał dany dom, tym bardziej ukośna była linia widzenia, do tego stopnia, że niektóre budynki można było całkowicie wyeliminować. Trudno było sobie wyobrazić, że snajper wychyli się z okna i będzie celował równoległe do szyby.

Jednak na drugi rzut oka nie było to już takie korzystne, bo miejsce było widoczne z takiej samej liczby bocznych co frontowych okien. Coś się zyskuje i coś się traci. Sprawdziłem wszystko, co mogłem zobaczyć, najpierw od strony północnej, potem od południowej, w odległości od siedmiuset do tysiąca czterystu metrów, co dawało łącznie tysiące okien, w których w większości odbijało się wschodzące słońce, mrugając różem w poszarpanej stałej sekwencji, najpierw na jednej, potem na następnej ulicy, jakby całą dzielnicę zbudowali uprawiający kult solarny antycyjni astronomowie.

Ostatecznie uznałem, że strona południowa jest gorsza od północnej. Była gęściej zabudowana i znajdowało się tam więcej wysokich budynków. Wybrałem na chybił trafił jeden z nich, stojący w odległości tysiąca czterystu metrów, prawie półtora kilometra, wąski i wysoki, zbudowany z czerwonej cegły i kryty spadzistym dachem. Wyglądało na to, że na górze ma sporo pokoi mansardowych. I być może regularny strych. Przesunięta dachówka mogła pełnić funkcję okna. Wyobraziłem sobie Johna Kotta, leżącego płasko na rozłożonej macie, na desce, którą oparł o belki ponad sufitem najwyższego piętra, wpatzonego w rąbek światła tam, gdzie została przesunięta dachówka, niewidoczna z zewnątrz, znajdująca się zbyt wysoko, po prostu jedna z wielu. *Mieliśmy tu w zimie silne huragany*, powiedział swoim śpiewnym głosem Bennett.

Wyobraziłem sobie oko Kotta, cierpliwe i zastygłe za szkłem lunety, i kilkucentymetrową szparę w dachu, dzięki której miał szerokie na dwadzieścia metrów pole strzału. Wyobraziłem sobie jego palec na spuście, rozluźniony, lecz gotów w każdej chwili się zgiąć, pokonujący luz, zatrzymujący się i zginający się dalej, zupełnie jakby naciskał mały pstryczek, a potem ciche kliknięcie precyzyjnego suwaka, potężną eksplozję chemiczną, odrzut kolby i pocisk, który

wyrusza w długą drogę. Więcej niż całe trzy sekundy w powietrzu — jeden tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące — gruby na jakieś trzynaście milimetrów, podobnie jak ludzki kciuk, sunący prosto i równo niczym pocisk balistyczny, poddający się wyłącznie działaniu grawitacji, wysokości, temperatury, wilgotności, wiatru i krzywizny ziemi. Spojrzałem na stojący w oddali dom, odliczyłem w myśli trzy długie sekundy i próbowałem wyobrazić sobie lot pocisku. Wydawało mi się, że powinienem zobaczyć, jak się zbliża. Prosto na mnie. Jak malutka, zbliżająca się kropka.

Błysk — jeden tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące — gra skończona.

I w tym momencie już wiedziałem.

Więcej niż całe trzy sekundy w powietrzu.

Wróciłem do przedsionka o wiele szybciej, niż z niego wyszedłem. Bennett nie spuszczał ze mnie wzroku.

— Ta szyba kuloodporna w Paryżu to jakaś nowa konstrukcja, prawda? — zapytałem.

— Tak — odparł. — W każdym razie ulepszona.

— Wiesz o niej coś więcej?

— Nic. Poza tym, że to szyba i że jest kuloodporna.

— Chcę o niej wiedzieć wszystko. Kto ją zaprojektował, kto prowadził badania, kto je finansował, kto ją wyprodukował, przetestował i kto zatwierdził.

— Już o tym pomyśleliśmy.

— Pomyśleliście o czym?

— O tym, żeby wypożyczyć te szyby, przywieźć je z Paryża i ustawić po obu stronach. Nie są zbyt szerokie, ale biorąc pod uwagę układ ulic, powinny zredukować pole rażenia mniej więcej o dziesięć procent każda. Ostatecznie jednak z tego zrezygnowaliśmy. Politycy to cywile. Będą się kulić za osłonami. Może nawet podświadomie, ale nie będzie to dobrze wyglądało. I nie będą mogli się za nimi ciągle chować. Więc zamachowcy i tak z łatwością wezmą ich na cel. Zatem generalnie uznaliśmy, że rzecz się nie opłaca.

— Nie to miałem na myśli. Potrzebuję tylko informacji. Zasięgnij dyskretnie języka, jeśli zdołasz. Nie trzeba robić z tego wielkiej afery. Udaj, że to sprawa wyłącznie między nami. Prywatne zapytanie, poza głównym nurtem. Coś w rodzaju hobby. Ale szybko.

— Jak szybko?

— Jak tylko zdołasz.

— Co ma wspólnego z czymkolwiek szyba kuloodporna? Nie zamierzamy jej użyć. Już ci powiedziałem.

— Może sam chcę jej użyć. Może chcę zapytać, czy sprzedają je na wolnym rynku.

— Mówisz serio?

— To uboczna sprawa, panie Bennett. Zwyczajne pomocnicze pytanie. Z niczym niezwiązane. Ale załatw to szybko, dobrze? I przekaz mi w cztery oczy. Niczego nie zapisuj. Nic nie powinno dostać się wyżej. Rozumiesz? Takie hobby.

Bennett pokiwał głową i zerknął w stronę korytarza, który prawdopodobnie prowadził do innych korytarzy, klatek schodowych i sal.

— Chcesz zobaczyć coś jeszcze? — zapytał.

— Nie, tu już skończyliśmy — odparłem. — Opuzczamy to miejsce i nigdy tu nie wrócimy. Podobnie jak po wszystkich tych latach rodzina Darbych, kiedy zbudowano autostradę. Wallace Court już dla nas nie istnieje.

— Dlaczego?

— Bo ta sprawa nigdy nie zajdzie tak daleko.

— Na pewno?

— Na sto procent.

Bennett nie odpowiedział.

— Sam powiedziałeś, że to byłoby najbardziej pożądane rozwiązanie — przypomniałem mu. — I że powinniśmy sobie pomagać. Powiedziałeś, że tak to powinno funkcjonować.

— Zgadza się — mruknął.

— Więc się odpręż. Zaufaj mi. Uśmiechnij się. Ta sprawa nigdy nie zajdzie tak daleko —

powtórzyłem, ale on się nie uśmiechnął.

•••

Jechaliśmy z powrotem do hotelu, posuwając się cały czas w żółwym tempie, być może w kulminacyjnym momencie porannego szczytu, mniej więcej godzinę po wschodzie słońca, a może już po szczycie, ale i tak tragicznie powoli. Olbrzymie rozległe miasto wciąż wsysało przyjezdnych, ale robiło to bardzo niespiesznie. Dotarliśmy z powrotem do Hiltona dwie godziny po tym, jak stamtąd wyjechaliśmy, z czego półtorej spędziliśmy w samochodzie. Gorzej niż w LA.

Bennett dał swoje kluczyki parkingowemu, zupełnie jak regularny gość, i pojechaliśmy wszyscy troje do restauracji na najwyższym piętrze, gdzie, jak sądziliśmy, wciąż powinni podawać śniadanie. Dostaliśmy stół w łoży za słupem nośnym. Gorszy widok, ale bardziej kameralne miejsce. Bennett przez dłuższy czas wstukiwiał coś na smartfonie. Oznajmił, że zamawia dla nas materiały, w tym mapy geodezyjne w dużej skali, plany architektoniczne wciąż przechowywane w wydziale budownictwa oraz trzy zestawy fotografii — pierwsze zrobione przez satelitę, drugie z pokładu wycieczkowego helikoptera, który przypadkowo zszedł w określonym celu z kursu, oraz trzecie pochodzące z niewiadomego źródła, co jak stwierdził, musi oznaczać amerykańskiego drona, tyle że oficjalnie w Wielkiej Brytanii nie latają amerykańskie drony i dlatego źródło określono jako niewiadome. Powiedział, że jego ludzie wprowadzą to, czego potrzebujemy, do zabezpieczonego tabletu i przywiozą go nam do hotelu.

— Nie możemy sobie pozwolić na postronne ofiary — dodał na koniec. — Niektórzy mieszkańcy tamtej ulicy to niewinni obywatele. Niewielu z nich, ale jednak. Co jest bardzo przykre. Powinniśmy się z tym uporać już dawno temu. Powinniśmy podłożyć bombę i powiedzieć, że to wyciek gazu.

Następnie wyszedł, a ja i Casey Nice posiedzieliśmy jeszcze chwilę, ja nad kawą, a ona nad małymi kawałkami grzanki.

— Dlaczego zainteresowała cię nagle szyba kuloodporna? — zapytała.

— To tylko taka teoria — odparłem.

— Może powinnam się z nią zapoznać?

— Jeszcze nie teraz. To nie zmienia tego, co musimy zrobić w następnej kolejności.

— Czy Bennett dostarczy ci tych informacji?

— Tak mi się zdaje.

— Dlaczego? Teraz to on jest ci winien przysługę? Może coś przeoczyłam?

— Tu chodzi o braterstwo broni. Sama też powinnaś tego spróbować. Byłabyś szczęśliwsza.

— Facet służy w brytyjskiej armii?

— Pamiętaj o tej płynności, o której bez przerwy gada. Może to oznaczać, że łączą ze sobą specjalne jednostki. Najlepsi z najlepszych. Z różnych agencji, zupełnie jak w drużynie gwiazd. Kto mógłby dowodzić takim oddziałem?

— Wszyscy by chcieli.

— Otóż to. Tak bardzo, że eksplodowałyby im głowy, gdyby nie mogli tego robić. Ale czyja głowa eksplodowałaby pierwsza? Kto nie zawahałby się przed niczym, żeby tylko postawić na swoim?

— Nie wiem.

— SAS. Żołnierze SAS nie lubią nawet własnych oficerów. Na pewno nie zgodziliby się podlegać komuś innemu. Najłatwiej byłoby postawić ich na czele. I tak najwyraźniej zrobiono. Co było słusznym posunięciem. Bo znają się najlepiej na swojej robocie. Poza tym są przekonani,

że w tej grze bierze udział ktoś, na kim im bardzo zależy. Renegat, Carson. Bennett chce go dorwać tak samo, jak ja chcę dorwać Kotta.

— Bennett służy w SAS?

— Bez wątpienia.

— Co musimy teraz zrobić?

— Dostać się do domu Joeya.

— Do środka?

— Wolalbym, żeby to oni wyszli na zewnątrz. Ale trudno ich będzie do tego zmusić. To problem taktyczny, który tak naprawdę nigdy nie został rozwiązany. Studiowaliśmy go na zajęciach. Dość łatwo jest sprawić, żeby nigdy już nie wyszli na zewnątrz, ale nie o to nam chodzi. Jak sprawić, żeby wyszli dobrowolnie? Nikt tego nie wie. Nikt nigdy nie wiedział. Pamiętam, że mój tato studiował ten problem, kiedy byliśmy dziećmi. Miał zwyczaj wciągać nas w tego rodzaju sprawy. Zadawał później pytania. Mój brat Joe wymyślił wielką maszynę, coś w rodzaju gigantycznego subwoofera, emitującego infradźwięki naprawdę bardzo głośno i na naprawdę niskiej częstotliwości. Jak twierdził, zdaniem niektórych naukowców współcześni ludzie są na to słabo odporni.

— A co ty odpowiedziałeś?

— Pamiętaj, że byłem od niego młodszy.

— Co zaproponowałeś?

— Żeby podpalić dom. Bo byłem cholernie pewien, że współcześni ludzie są na to słabo odporni. Przewidywałem, że wyjdą, wcześniej czy później.

— Masz zamiar podpalić dom Joeya?

— To oczywiście jedna z możliwości.

— A jakie są inne?

— Wszystkie zakładają wyciągnięcie pod jakimś pozorem Joeya z domu i załatwienie go oddzielnie. Wcześniej. Zanim zrobimy cokolwiek innego. Bo w tej sytuacji w forcie zabraknie dowódcy. I możemy to wykorzystać.

— Bo będziemy mieli przeciwko sobie mniej skutecznego przeciwnika.

— Otóż to.

— Ale z kimś będziemy jednak walczyć.

— Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa.

— Mówiłeś wcześniej, że nie będą walczyli za friko. Bo będą bezrobotni. Mówiłeś, że się ulotnią.

— Licz na najlepsze, szykuj się na najgorsze.

— A czego możemy się spodziewać?

— Tego co zawsze.

— To znaczy?

— Czegoś pośredniego.

• • •

Tablet dostaliśmy godzinę później. Przywieźli go podwładni Bennetta, mężczyzna i kobieta. Tablet wyglądał bardzo nowoczesnie, a podwładni — tak jak zawsze wyglądają tacy ludzie, czyli zaskakująco zwyczajnie, ale nie do końca. Oboje mieli już dawno za sobą okres terminowania w zawodzie, oboje byli spokojni, zrównoważeni i kompetentni i nie okazywali śladu niezadowolenia z powodu przydzielonej im niewdzięcznej kurierskiej misji. Najwyraźniej dobrzy gracze zespołowi. Oświadczyli, że normalnie poprosiliby nas o pokwitowanie przesyłki, lecz tym razem pan Bennett uchylił ten wymóg. Powiedzieli, że tablet będzie potrzebował dwóch

hasła. Pierwsze jest numerem ubezpieczenia społecznego matki pani Nice, a drugie to więzień, którego pan Reacher zastrzelił podczas próby ucieczki. Hasła uwzględniają wielkość liter i można je wprowadzić tylko raz. Brytyjskie oprogramowanie nie dopuszcza trzech nieudanych prób.

Następnie wyszli.

Zabraliśmy tablet do pokoju Nice. Wyglądał jak połówka laptopa. Sam ekran, bez klawiatury.

— Pamiętasz to nazwisko, prawda? — zapytała.

— Pamiętam nazwiska obu — odparłem.

— Ale zakładam, że hasłem jest nazwisko pierwszego. Tego najważniejszego.

— Tego, który był celem.

— Tak, jego — rzuciła. — Czy może ten drugi też próbował uciec?

— Właściwie był jedynym, który próbował uciec. Cel był już martwy. Nie widział, jak podchodzę.

— W sprawie którego cię przesłuchiowano?

— Formalnie rzecz biorąc, drugiego.

— Czy ludzie rozmawiali na temat tej sprawy?

— Nie, jeśli chcieli przeżyć. Chodziło o zabójstwo amerykańskiego obywatela na amerykańskiej ziemi.

— Ale gdyby o niej rozmawiali, jak by ją nazwali? — spytała. — Czyjego użyliby nazwiska?

— Zdecydowanie pierwszego faceta.

— Który był celem. A pan Bennett jest Brytyjczykiem i w związku z tym lubi ironię.

Dlatego możemy uznać, że wzmianka o ucieczce była sarkastyczna. I chodzi o pierwszego faceta. To jego nazwiska powinniśmy użyć.

— Nazwiska czy imienia?

— Zdecydowanie nazwiska. Rzecz dotyczyła amerykańskich sił zbrojnych, tak?

— A może kryptonimu? — wypytywałem dalej.

— Miał kryptonim?

— Nawet dwa. Jeden nadany przez nas, drugi przez Irakijczyków.

— Czy przez to wszystko budzisz się czasami złany potem? — zainteresowała się Casey

Nice.

— Przez co?

— Przez tę operację.

— Niekoniecznie — odparłem.

— Ale gdybyś budził się złany potem, jak byś go nazywał? Myśląc na przykład: Nie powinienem był w ten sposób postąpić wobec takiego to a takiego.

— Twoim zdaniem postąpiłem źle?

— To nie było pomaganie staruszkom w przejściu na drugą stronę ulicy do biblioteki w Afryce.

— Jesteś tak samo upierdliwa jak Scarangelo. Musimy cię stamtąd wyciągnąć i zapisać do armii, zanim będzie za późno.

— Jak on się nazywał?

— Opowiedz mi o swojej matce — poprosiłem.

— Co takiego chcesz o niej wiedzieć?

— Znasz numer jej ubezpieczenia społecznego?

— Pomagam jej wypełniać papiery. Jest teraz chora.

— Przykro mi.

— Ma guza mózgu. Już się nie cofnie. Nie jest w stanie jasno myśleć. Zajmuję się jej ubezpieczeniem, niepełnosprawnością i podobnymi rzeczami. Znam chyba jej dane lepiej od swoich własnych.

— Przykro mi — powtórzyłem. — Musi być młoda.

— Za młoda na to, co ją spotkało.

— Masz rodzeństwo?

— Nie — odparła. — Jestem tylko ja.

— Czy zwykły człowiek mógłby znać numer ubezpieczenia społecznego swojej matki?

— Nie wiem. Znałeś numer swojej?

— Nie sądzę. Odwiedzasz ją?

— Tak często, jak to możliwe.

— Na południu Illinois? Musisz dużo latać.

— Mam się czym zająć.

— A poza tym na pewno się martwisz, kiedy nie możesz jej odwiedzić. Tak jak teraz.

— Nic na to nie poradzę.

— Kiedy ją zdiagnozowali?

— Dwa lata temu.

— Przykro mi — powiedziałem po raz trzeci.

— Takie jest życie.

— Kiedy Tony Moon zaczął chodzić do lekarza?

— To nie ma z tym nic wspólnego.

— Jesteś tego absolutnie pewna?

— Mojej matki tu nie ma.

— Ale o niej myślisz.

— Trochę.

— I z tego powodu jesteś trochę niespokojna.

— Nie niepokoję się o nią. To jest zupełnie z nią niezwiązane.

Nie odezwałem się.

— Została mi jeszcze jedna tabletką — powiedziała.

— Wzięłaś jedną?

— Wczoraj wieczorem. Musiałam zasnąć.

— Czy twoi zwierzchnicy wiedzą o twojej matce? — zapytałem.

Casey Nice pokiwała głową.

— Takie są wymogi. Trzeba informować o trudnych sytuacjach rodzinnych. Są bardzo pomocni. Kiedy to tylko możliwe, starają się zapewnić mi wolne weekendy.

— Więc gdzieś w Langley, w dziale zasobów ludzkich, jest informacja o tym, że twoja matka jest chora i że załatwiasz za nią sprawy urzędowe. Ta informacja powinna być ściśle tajna. Ponieważ wszystko w CIA jest ściśle tajne. A w jakichś innych aktach w Pentagonie jest nazwisko faceta, którego postrzeliłem w głowę dwadzieścia lat temu. Ta informacja, o czym wiem cholernie dobrze, też powinna być ściśle tajna. Ale MI5 uzyskała w jakiś sposób dostęp do obu teczek i wykorzystała ich zawartość, żeby utworzyć dla nas hasła, które są praktycznie nie do złamania. Są jak DNA albo odciski palców.

Ponownie pokiwała głową.

— Teorie pana Bennetta o włamywaniu się do baz danych mogą być prawdziwe. W takim razie po prostu się przechwała.

— Chyba że to O'Day udostępnił mu zawartość naszych teczek.

- Po co miałby to robić?
- To jest pytanie, które zadamy Bennettowi.
- Jak się nazywał twój facet?
- Archibald.
- Nieczęsto się słyszy to nazwisko.
- Popularne w szkockich Lowlands. Pochodzi ze starofrancuskiego

i staro-wysoko-niemieckiego. Trzeci earl Douglas nazywał się Archibald Ponury. W przypadku mojego faceta nie ma mowy o takich romantycznych skojarzeniach. Nazywał się Archibald Plugawy.

Nice wcisnęła przycisk na tablecie i na ekranie ukazało się okno dialogowe. Przystawiła do niego palec i na linijce zaczął migać kursor, a pod spodem pojawił się obrazek klawiatury. Wstukała słowo *Archibald*, dziewięć liter, pierwsza duża, pozostałe małe. Sprawdziła pisownię *A-r-c-h-i-b-a-l-d*, po czym podniosła pytająco brwi i kiedy pokiwałem głową, wcisnęła *Wyślij* i po krótkiej pauzie za wpisanym nazwiskiem pojawił się zielony ptaszek, okno dialogowe zniknęło i zostało zastąpione przez następne, wyglądające dokładnie tak samo. Nice dotknęła przycisk, który zmieniał na klawiaturze litery na cyfry, wpisała trzy cyfry, następnie kreseczkę, kolejne dwie, kolejną kreseczkę i jeszcze cztery cyfry. Sprawdziła, czy są poprawne, wcisnęła *Wyślij*, za hasłem ukazał się ponownie zielony ptaszek, okno dialogowe zniknęło i na jego miejscu pojawił się szereg miniaturek.



Mapy geodezyjne bardzo by nam się przydały, gdybyśmy chcieli naprawić kanalizację albo położyć kabel światłowodowy. Przedstawiały mnóstwo podziemnych instalacji biegnących pod chodnikami i pod jezdniami. Na filmie powinniśmy odnaleźć kanał burzowy, który byłby tak szeroki jak moje ramiona i przebiegał dokładnie pod kuchnią Joeya. Zszedłbym do niego dwie ulice dalej i pełzł pod ziemią, dopóki nagła burza nie zalałaby mnie potokami wody, zanim dotarłbym do celu. Taka sekwencja z pewnością trzymałaby w napięciu, w rzeczywistości jednak nie było żadnego kanału burzowego. Nie było nic szerszego od mojej ręki. Rury gazowe, linie telefoniczne, przewody elektryczne, wodociągi i kanalizacja. Sam dom przedstawiony był wyłącznie jako wdzięczny odbiorca tych wszystkich mediów. Symbolizował go duży pusty prostokąt bez żadnych szczegółów dotyczących wnętrza.

Lepsze były plany architektoniczne z wydziału budownictwa. Szczegóły trudno było odcyfrować, ale Nice pogładziła opuszkami palców ekran tabletu i je powiększyła, a potem obróciła tak, żebyśmy mogli się dokładnie zapoznać z każdym wnętrzem. Mogliśmy też udać, że to my się przemieszczamy, i w ten sposób przejść się po domu, z pokoju do pokoju i na górę albo na dół po schodach. Na planie sporo było odręcznych dopisków architekta. Może na studiach architektury trzeba ukończyć kurs kaligrafii. Ale słowa, które zapisał facet, były proste i zrozumiałe. Dotyczyły szczegółów strukturalnych i użytych materiałów. Drewno, metal, cegła, tynk, szkło. Dobrze to było wiedzieć. Prawie każdy element był wykonywany na zamówienie. Co było logiczne. Jeśli potrzebujesz drzwi o szerokości dziewięćdziesięciu centymetrów, idziesz do sklepu. Jeśli potrzebne ci półtorametrowe, szukasz starych fachmanów, którzy jeszcze ostali się w branży. Powiększenie rozmiarów o pięćdziesiąt procent dało o tysiąc procent wyższy rachunek.

Dom miał tylko dwie kondygnacje. Nie było w nim strychu ani piwnic do zaadaptowania. Na górze mieściły się sypialnie i łazienki, a także samodzielny apartament dla gości, który miał własne sypialnie i łazienki oraz salon. Na dole była kuchnia, pokój śniadaniowy, jadalnia i wiele innych pomieszczeń, określanych jako pokoje dzienne, wnęki, saloniki, biblioteki, gabinety i pracownie. Na pierwszy rzut oka wnętrza mogły wydać się kameralne, a nawet przytulne, ale potem człowiek uświadamiał sobie, jakie to wszystko jest wielkie. Wnęki były takie jak u innych ludzi salony. I prawdopodobnie o połowę wyższe. Niczym muzealne sale w środku nocy. Nie przestronne, ale też nie dostosowane do ludzkiej skali, słabo oświetlone i rozbrzmiewające echem.

— Widzisz, jak dostać się do środka? — zapytała Casey Nice.

— Nie mamy pojazdu opancerzonego, więc pozostają nam wyłącznie drzwi i okna — odparłem.

— Wszystkie będą podłączone do alarmów.

— Co może wydać się zbędne. Nie będą potrzebowali dzwonu na dachu, żeby zorientować się, że tam weszliśmy.

— To znaczy gdzie dokładnie? Do domu, w którym stacjonują czterej ochroniarze i dwaj światowej klasy zabójcy? Mający trzykrotną przewagę liczebną. Do budynku, który o wiele łatwiej jest bronić, niż zaatakować?

— Jeśli to pytania retoryczne, wydaje mi się, że dobrze oddają istotę rzeczy.

— Ile czasu zajęłoby zbudowanie gigantycznego subwoofera?

— Powinienem był kupić parę zapalniczek, kiedy wybrałem się po tę torbę na zakupy.

— Mówię serio — oznajmiła. — Spędziłam trochę czasu w Fort Benning. Powiedzieliby nam, że musimy to wszystko przemyśleć od początku.

— Kto by tak powiedział?

— Instruktorzy.

— Którzy żyli dość długo, by zostać instruktorami, dlatego że na każdym etapie improwizowali. Wiedzą, że plany do niczego się nie przydają.

— Reacher, musimy mieć jakiś plan.

— Rzućmy okiem na fotografie lotnicze.

• • •

Fotografie lotnicze były z jednej strony wspaniałe, ponieważ bez względu na to, czy zrobiono je z wiszącego kilkaset kilometrów nad ziemią satelity, z drona lecącego zbyt wysoko, by go dostrzec, czy z helikoptera sunącego na wysokości trzystu metrów, wszystkie były kolorowe, ostre jak brzytwa i odznaczały się wysoką rozdzielczością. Z drugiej strony nie mieliśmy z nich żadnego pożytku, ponieważ przedstawiały to samo, co widzieliśmy już przez noktowizyjne lornetki, tyle że z innej perspektywy. Do zdjęć z helikoptera dołączono informację, że budynek nie był pierwotnym celem misji. Pierwotnym celem było uwiecznienie spotkania odbywającego się przy drinkach w ogrodzie. Dołączono te zdjęcia dla porównania i nie pokazywały nic poza trzema facetami podnoszącymi ręce. Przypadkowo jednak fotografie domu okazały się najlepsze w całym tym zestawie. Widzieliśmy na nich całkiem dobrze wszystkie cztery ściany. Drzwi, okna, mocne i słabe punkty. Przy czym tych pierwszych było, ogólnie rzecz biorąc, więcej niż drugich. To nie był łatwy cel, nawet kiedy zapomniano się o tym, kto i co znajduje się w środku.

— Coś wymyślimy — powiedziałem. — Mamy sporo czasu. Tak czy owak, najpierw musimy uporać się z Joeyem.

— Masz jakiś plan, przynajmniej w tej kwestii? — zapytała.

— To, co zrobiłem ostatnim razem, było całkiem skuteczne. Pomyśl, jak by to wyglądało, gdybyśmy byli na tamtym parkingu. Schowani za rogiem supermarketu. W cieniu. Nie moglibyśmy chybić.

— Chcesz to znowu zrobić?

— Nie chodzi o to, że chcę. Możesz w każdej chwili zaproponować alternatywne pomysły.

— Czy za drugim razem to w ogóle okaże się skuteczne?

— Trafna uwaga. Prawdopodobnie nie z facetem na tak niskim szczeblu. Joey może wyczuć pismo nosem. Musimy skłonić go do tego, by okazał nadzwyczajną kurtuazję. Musimy znaleźć kogoś, kogo nie będzie mógł zignorować.

— Na przykład kogo?

— Starego Charliego. To najlepszy kandydat. Ale wyobrażam sobie, że stosuje szczególne środki ostrożności. Więc będziemy chyba musieli rozejrzeć się za Tommym Millerem albo Billym Thompsonem. Co może stać się zarzewiem bratobójczej walki. O to, kto ma zagarnąć łupy. W takim przypadku nie możemy wykluczyć, że na miejscu pojawią się wszyscy trzej, żeby mieć się wzajemnie na oku. Moglibyśmy wówczas doprowadzić do powstania naprawdę poważnej próżni w kierownictwie Romford Boys.

— Priorytetem musi być Joey.

— I będzie. Ale jeśli po jego wyeliminowaniu nadarzy się okazja do unieszkodliwienia kolejnych celów, musimy być na to przygotowani.

— Powinam to skonsultować z generałem O'Dayem.

— Proszę bardzo. Ale najpierw skontaktuj się z Bennettem i zapytaj, jakie środki bezpieczeństwa stosują Miller i Thompson. To znaczy, czy takie same jak Joey, większe, czy mniejsze. I wyjaśnij, dlaczego o to pytamy.

Nice znalazła komórkę i jej palce zaczęły wstukować tekst. Usłyszałem dźwięk sygnalizujący wysłanie pierwszego SMS-a, komiczny odgłos przypominający poślizgnięcie się komiksowego bohatera na skórcie od banana, a potem zaczęła znowu pisać i robiła to bardzo długo. Zdawała raport O'Dayowi, byłem tego pewien. Całkowite i pełne podporządkowanie. O'Day działał tak na ludzi. Zacząłem znowu myśleć o szybkiej kuloodpornej.

— Czy poinformowałaś O'Daya, że pojechaliśmy dzisiaj do Wallace Court? — zapytałem.

— Zrobiłam to w pierwszym akapicie.

— Nie, chodzi mi o to, czy poinformowałaś go wcześniej, że się tam wybieramy?

Palce, którymi stukała w klawiaturę, zwolniły tempo.

— Nie, nie zrobiłam tego wcześniej — odpowiedziała powoli, nadal pisząc. — Nie byłam pewna, czy rzeczywiście się tam wybierzemy. Bo nie bardzo wiedziałam, po co mielibyśmy to robić. W związku z tym uznałam, że lepszy będzie raport po fakcie.

— W porządku — odparłem.

Nice znowu zaczęła pisać szybciej i przez chwilę ją obserwowałem. W końcu przestała, przeczytała tekst i wysłała go z tym samym odgłosem przypominającym poślizgnięcie się na skórcie od banana.

— Mamy adresy Millera i Thompsona? — zapytałem.

— Nie było ich w biogramach.

— Więc poproś o nie Bennetta. Na pewno je zna.

•••

Następna godzina upłynęła w większości na SMS-owej korespondencji z Bennettem i O'Dayem, zadawaniu pytań i gromadzeniu danych. Miller i Thompson także mieszkali w Chigwell, cztery ulice jeden od drugiego i cztery ulice od Joeya. Nie było to spowodowane względami operacyjnymi. Do Chigwell przenosili się po prostu ludzie, którzy zarobili większe pieniądze w Romford. Środki bezpieczeństwa, jakie zachowywali, były takie same jak te stosowane przez Joeya, przynajmniej na papierze. Każdy miał kierowcę i czterech ochroniarzy. Ci ostatni zmieniali się trzy razy dziennie. Miller miał nowy model range rovera, czarny, Thompson — nowy model range rovera sport, również czarny.auta, które, zdaniem wielu, w niczym nie ustępowały bentleyowi. Trzej kapitanowie, jak w mafii, wszyscy traktowani z taką samą atencją. Przynajmniej na papierze. Chociaż Bennett stwierdził, że ludzie przydzieleni Millerowi i Thompsonowi są drugiej kategorii. Najlepszycy wybrał sobie Mały Joey. Częściowo dlatego, że był Małym Joeyem, częściowo dlatego, że Miller i Thompson byli biurokratami. Ważnymi, ale nie walczącymi na pierwszej linii frontu. Stąd zupełnie inna dynamika. Między nimi dwoma nie było specjalnej różnicy. Obaj stanowili równie łatwe cele.

— Względnie łatwe — mruknęła Nice.

— Potrzebny nam jakiś pojazd — stwierdziłem.

— Generał Shoemaker dał nam karty kredytowe. Moglibyśmy coś wynająć.

— To nie jest dobry pomysł. Za dużo papierkowej roboty.

— Może Bennett pożyczylby nam coś.

— Jestem pewien, że wszystkie jego samochody mają wbudowane GPS-y, a w takim razie będzie się obawiał ciągnięcia po sądach.

— Więc co zrobimy?

— W najgorszym razie coś ukradniemy. Najlepiej byłoby znaleźć kolejnych dwóch szeregowych członków mafii i zabrać im furgonetkę. Dzięki temu zyskalibyśmy kilka sekund, zasadzając się na Millera albo Thompsona. Nie zdawaliby sobie sprawy z zagrożenia. Wzięliby nas za swoich ludzi. Przynajmniej w pierwszym momencie.

— W ten sposób będziemy musieli stoczyć nie jedną, lecz dwie potyczki.

— I będą nas czekały dwie kolejne — odparłem. — Atak na szeregowych członków mafii, atak na Millera lub Thompsona, atak na Małego Joeya Greena i w końcu na tych, którzy zamelinowali się w jego domu.

— Więc musimy przeżyć cztery kolejne bitwy. Jakie jest prawdopodobieństwo, że damy radę?

— Takie samo jak w World Series w baseballu. To nie lada sztuka, ale co rok się komuś udaje.

— Będziemy musieli stawić czoło osiemnastu ludziom.

— Dwudziestu. Zapomniałaś o kierowcach. Miller i Thompson mają po jednym i Joey też ma jednego. Ale dobra wiadomość jest taka, że nie będziemy walczyć z dwudziestoma jednocześnie. Kiedy dojdziemy do grubych szych, maksymalnie z sześcioma naraz, łącznie z kierowcą i czterema ochroniarzami.

— W tym co najmniej kilku to najlepsi z najlepszych, stojący przed facetem mającym prawie dwa metry piętnaście centymetrów wzrostu.

— Możemy celować nad ich głowami — powiedziałem.

— Mam wrażenie, że to czyste szaleństwo.

— Bo nie bardzo wiesz, czego oczekiwać. A co ja mówię na to?

Nice sięgnęła pamięcią wstecz i od razu to wyrecytowała. Miała dobrą pamięć do słów.

— Mówisz, że nikt tego nigdy nie wie — oświadczyła. — Po żadnej ze stron. I to dobrze. To znaczy, że w tej grze wygrywa ten, kto najszybciej myśli. To wszystko, czego się ode mnie wymaga.

— Zgadza się. Będą się działy dziwne rzeczy, sytuacja będzie się stale zmieniać i ziemia usunie nam się spod nóg, ale jeśli będziemy szybko kombinować, nic nam się nie stanie.

— Na pewno?

— Jak przed chwilą powiedziałaś, wszystko jest względne. Rzecz sprowadza się do tego, żeby myśleć szybciej od Joeya Greena. A dane na ten temat zebrano już dawno temu.

Współcześni ludzie przeżyli neandertalczyków.

— Co miałeś na myśli, mówiąc, że będą się działy dziwne rzeczy?

— Tylko to, że nic nie potoczy się tak, jak się tego spodziewasz.

— Odniosłam wrażenie, że chodziło ci o coś bardziej konkretnego. Czy wiesz o czymś, o czym mi nie mówisz?

Nic na to nie odpowiedziałem.

•••

A potem pojawił się Bennett we własnej osobie i podniósł stawkę. Siedząc w pokoju Casey Nice, dostaliśmy telefon, że jest na dole. Poprosił, żebyśmy spotkali się z nim w restauracji. Obiecał, że postawi nam lunch. Nice wyłączyła tablet, który ukrył swoje średnio pomocne zdjęcia za naszymi hasłami, po czym pojechaliśmy na górę windą i znaleźliśmy Bennetta przy stoliku pod oknem, z zamówionymi już dla nas napojami, wodą dla Nice i czarną kawą dla mnie, co mogło świadczyć tylko o tym, że ma zamiar poprosić nas o jakąś naprawdę dużą przysługę.

I rzeczywiście to zrobił.

Oznajmił, że podkomisja psychologii behawioralnej zebrała się ponownie, by ocenić raport, który przedstawił tego ranka. I najwyraźniej przekroczyła swoje kompetencje, wyciągając samodzielne wnioski. Doszli do takiego samego przekonania co ja w kwestii bratobójczej walki. Jeśli Miller albo Thompson zostaną wyeliminowani, wówczas w zależności od dokładnego podziału tortu pomiędzy Charliem White'em i jego kapitanami do zgarnięcia będzie od piętnastu do dwudziestu procent osiąganego przez Romford Boys zysku netto. Co powinno być interesujące.

Ale nie tak interesujące, jak mogłoby być, gdybyśmy podnieśli stawkę. Załóżmy, że nasz pierwszy atak przypuścilibyśmy na samego Charliego White'a. Ośmiornica straciłaby w ten sposób głowę, a nie tylko jedną z macek. I na miejscu powinni się pojawić wszyscy trzej kapitanowie, a nawet gdyby nie udało nam się ich wszystkich ściągnąć, mogliby powykańczać się wzajemnie później, bo z pewnością wybuchłaby natychmiast wojna sukcesyjna. Dwaj starzy wyjadacze walczyliby przeciwko młodemu uzurpatorowi o cały tort. Starzy wyjadacze znali ten biznes od podszewki, a młody uzurpator miał grubo ponad dwa metry wzrostu, przez co ich pierwsze potyczki mogłyby się stać bardzo zacięte. W ferworze walki mogliby wszyscy zapomnieć, że stary Charlie płaci swoim gliniarzom i prawnikom co tydzień, a to mogłoby nas na krótko uwolnić od zmory korupcji i umożliwić aresztowanie pewnych osób oraz postawienie im zarzutów.

I co o tym myślimy?

— Co z moją informacją na temat kuloodpornej szyby? — zapytałem.

— Wkrótce ją otrzymam — odparł Bennett.

— Kiedy?

— Jak bardzo pilna jest ta sprawa?

— Chcę mieć tę informację zaraz po tym, jak ty ją dostaniesz. I chcę, żebyś ją dostał bardzo szybko.

Bennett pokiwał głową.

— Więc co robimy z Charliem White'em?

— My?

— No dobrze, wy.

— Gdzie on mieszka?

— Nadal w Romford. Tam się urodził i wychował. Uważa się za autentycznego reprezentanta ludu.

— W domku jednorodzinny?

— Co to znaczy?

— Dom wolno stojący — wyjaśniła Casey Nice niczym tłumacz.

— Oczywiście — odparł Bennett. — Budynek jest normalnej wielkości, ale ma parkan taki sam jak dom Joeya. To znaczy ogrodzenie czy jak tam jeszcze je nazywacie. Z cegły i kutego żelaza. Żeby trzymać na dystans wdzięczny proletariat.

— Ochrona?

— Sześciu strażników i kierowca.

— Najlepsi z najlepszych?

— Na pewno ambitni.

— White często opuszcza dom?

— Tak się składa, że wyjeżdża dziś wieczorem — odparł Bennett.

— Dokąd?

— Żeby się spotkać z Serbami. Przekazać im swoje kondolencje.

— To jeden z przejawów nadzwyczajnej kurtuazji?

— Jeden z najbardziej podstawowych. Działają w tej samej branży, a Serbowie ponieśli straty w ludziach. To samo zdarzyło się wczoraj wieczorem, ale na odwrót, w związku z facetem, którego uderzyłeś w szyję.

— Czy podkomisja psychologii behawioralnej przekaże nam za godzinę sugestię, że powinniśmy wyeliminować również Serbów?

— Niczego nie pragnęlibyśmy bardziej, ale realistycznie rzecz biorąc, nie powinniście stawiać czoła wszystkim jednocześnie.

— Nie uzgodniliśmy jeszcze, że w ogóle stawimy im czoło — zauważyłem.

— Podkomisja prosiła, by zaznaczyć, że mogliśmy nie docenić jakości ochroniarzy pozostających w dyspozycji Millera i Thompsona. Są lepsi, niż twierdziliśmy. Chodzi o to, że między nimi i ochroną White'a nie ma tak dużej różnicy.

— To prawda?

— Nie. Dzieli ich duża różnica.

— Ale podkomisja musi zastosować podejście psychologiczne.

— Dobrze jest wszystko, co pozwala osiągnąć lepsze efekty — rzekł Bennett.

— Lepsze efekty można osiągnąć, kiedy ma się odpowiednią wiedzę. Widziałeś nasze teczki osobowe?

— Zrozumieliście moją mało subtelną aluzję? — zapytał z uśmiechem. — Z hasłami? O'Day dostarczył nam wasze dane.

— Dlaczego?

— Bo o nie poprosiliśmy.

— Dawniej powiedziałyby, żebyście spadali na drzewo.

— To już nie ten sam O'Day co kiedyś. Dopiero stara się wrócić do formy. Przez kilka lat jego gwiazda wyraźnie gasła.

— Kienkin mówił to samo w Paryżu.

— Jeśli chcecie, możemy wam pomóc. Czterech ochroniarzy Charliego będzie oczywiście w drugim samochodzie. Możemy ich zatrzymać. Blokada drogowa czy coś w tym rodzaju. Wtedy będziecie mieli przeciwko sobie tylko dwóch, plus kierowcę i samego Charliego.

— Jeden ochroniarz z przodu obok kierowcy, a drugi z tyłu obok Charliego?

— Tak to na ogół wygląda.

— Jaki samochód?

— Rolls-royce.

— Czarny?

— Oczywiście.

— Opancerzony tak jak range rover Karela Libora?

— Opancerzone są tylko tylne drzwi i tylna szyba. I chronią wyłącznie przed strzałami z broni krótkiej. Nazywają to, zdaje się, ochroną przed przypadkowym zamachem. Dla klientów, którzy mają wrogów chodzących po ulicach.

— A ochroniarze będą jechali jaguarem?

— Mają ich dziesiątki.

Nie odezwałem się.

— Blokad drogowe są kosztowne — ciągnął Bennett. — Nie tylko w sensie finansowym. Wiąza się z dużym ryzykiem i odpowiedzialnością. Przypuśćmy, że jakaś kobieta w ciąży nie zdąży dotrzeć do szpitala. Że starszy pan dostanie zawału, bo tak się zdenerwuje. Zaczną padać pytania. To taktyka, którą może usprawiedliwiać tylko perspektywa osiągnięcia znacznych korzyści.

Teraz ja z kolei się uśmiechnąłem.

— Nie dlatego rządziście światem, że byliście mili, prawda? — zapytałem. — Chcesz powiedzieć, że jeśli zdecydujemy się na Charliego White’a, wy zajmiecie się samochodem ochrony. Ale nie zrobicie tego, jeśli zdecydujemy się na Tommy’ego Millera albo Billy’ego Thompsona. Więc mamy do wyboru albo walkę z dwoma ochroniarzami Charliego albo z czterema Tommy’ego lub Billy’ego. Ludzie Charliego są lepsi, ale chyba nie aż dwukrotnie. Zatem mamy do czynienia z rodzajem zachęty. Zaproponowanej i rekomendowanej przez podkomisję psychologii behawioralnej. Zgadza się?

— Mamy sobie wzajemnie pomagać. Tak to powinno funkcjonować.

— Kiedy dostanę informację na temat kuloodpornej szyby?

— Minutę po tym, jak ja ją otrzymam.

— Czyli kiedy?

— Bardzo szybko.

— O której godzinie Charlie wybierze się z kondolencyjną wizytą?

— Późno. Na pewno po zachodzie słońca. To jakiś etniczny przesąd. Oni też mają swoje rytuały. Dysponujemy pewnymi danymi, w tym także na temat domniemanej trasy. I chyba znaleźliśmy odpowiednie miejsce, żeby zatrzymać samochód ochrony. Prześlę wszystko, co mamy, na kolejnym tablecie — obiecał Bennett i wyszedł.

— Czy to jest jedna z tych dziwnych rzeczy, które miały się wydarzyć? — zapytała Casey Nice.

— Nie, to akurat było łatwe do przewidzenia.

Nowy tablet przywieźli ci sami ludzie co poprzednio. Oświadczyli, że w przypadku Casey Nice nowym hasłem jest numer telefonu działu obsługi klienta w firmie ubezpieczeniowej jej matki. W moim przypadku hasłem było nazwisko drugiego faceta, którego Shoemaker widział, jak zabiłem. Następnie wyszli, a my tak jak wcześniej zanieśliśmy tablet do pokoju Nice, wpisaliśmy nasze prywatne dane do okienka i na ekranie pojawiła się długa lista plików i folderów.

Większość materiałów stanowiły ogólne i przypadkowe informacje, zbierane mozolnie przez długie lata, a następnie przepuszczone w tę i we w tę przez komputer w nadziei, że z przeszłości da się wyczytać przyszłość. Jak na przykład fakt, że jeżdżąc ze wschodu na zachód Londynu, Charlie White nigdy nie skorzystał z autostrady M25, preferując North Circular Road, która razem z South Circular Road stanowiła część wcześniejszego projektu obwodnicy, biegnącej niegdyś dalekimi obrzeżami Londynu, a obecnie przez beznadziejnie gęstą zabudowę. 85,7 procent wypadów starego Charliego na zachód wiodło właśnie tą trasą. Pozostałe 14,3 procent wiodło prosto przez śródmieście. Zdaniem analityków świadczyło to o silnej preferencji. Moim zdaniem świadczyło o tym, że niedziela jest tylko raz w tygodniu. Kiedy centrum nie było zatłoczone, wybór wydawał się oczywisty. W dni powszednie lepiej było omijać je szerokim łukiem. W tygodniu jest siedem dni, a sto podzielone przez siedem daje czternaście przecinek trzy. Tyle że we współczesnym świecie nie ma tak naprawdę dużej różnicy między niedzielą i dniem powszednim. Lecz Charlie był człowiekiem starej daty. A stare zwyczaje trudno wykorzenić. Może w jego pamięci Londyn był w niedzielę wymarłym miastem, a na miejscu M25 pały się krowy.

— Jaki mamy dziś dzień? — zapytałem.

— Piątek — odparła Nice.

Bennett zabezpieczył się na obie ewentualności, określając przejazd przez śródmieście jako opcję drugą, a przejazd North Circular Road jako opcję pierwszą. Choć w gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia. Bo w którymś miejscu łuk spotykał się z cięciwą, w tym przypadku daleko na zachodzie, mniej więcej w okolicy godziny dziewiątej na cyferblacie. Co stanowiło najlepsze miejsce na blokadę, w której zatrzymano by samochód z ochroną. Można było upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. I tak właśnie zrobił Bennett. Wśród materiałów było lotnicze zdjęcie miejsca, gdzie przecinały się dwie drogi, z surrealistycznie wielkimi połaciami asfaltu, tak jakby normalne skrzyżowanie urosło niespodziewanie do olbrzymich rozmiarów, zupełnie jak dom Joeya.

Dom White'a oznaczony był na mapie ikonką pineski, a miejsce, do którego zmierzał, kolejną pineską wpiętą w Ealing, tam gdzie stał dom jego serbskiego odpowiednika. Spotkanie na szczycie. Dołączono również fotografię domu White'a, który był duży, całkiem elegancki, z czerwonej cegły, niekoniecznie w podmiejskim stylu, i nie różnił się wiele od tych w Chigwell. Ulica była może trzydzieści lat starsza od ulicy Joeya, ale pełniła taką samą funkcję. Ludzie sukcesu muszą gdzieś mieszkać.

Osobny plik z fotografiami poświęcony był najnowszemu rolls-royce'owi Charliego. Wielki i brzydki, z otwieranymi do przodu tylnymi drzwiami, robił jednak imponujące wrażenie. Nie było co do tego wątpliwości. W trakcie 93,2 procent przejażdżek Charlie zajmował miejsce za swoim kierowcą, z jednym ochroniarzem siedzącym obok niego z tyłu i drugim z przodu obok kierowcy. W trakcie pozostałych 6,8 procent przejażdżek to tylny ochroniarz siadał za kierowcą.



Nie odkryto, od czego może to zależeć. Co, moim zdaniem, było normalne, kiedy ludzie zdają się na komputery, którym brakuje zdrowego rozsądku. Najwyraźniej stały kierowca Charliego był niski. Kierownica znajdowała się po prawej stronie, samochód jeździł lewą stroną ulicy i być może kiedy zatrzymywali się na światłach albo zwalniali w korkach, Charlie czuł się nieswojo tuż przy chodniku, w związku z czym siedział bliżej środka jezdni, za swoim kierowcą, co nikomu nie przeszkadzało, bo facet był niski, tyle że czasami chciał wziąć sobie wolne i wtedy Charlie nie mógł siedzieć za jego wyższym zmiennikiem. Coś takiego mogło się zdarzać przez dwadzieścia pięć dni w ciągu dwunastu miesięcy, czyli przez 6,8 procent roku i tyle mógł wynosić prawnie zagwarantowany minimalny urlop.

— Muszę iść kupić bardzo ostry nóż — powiedziałem.

— Nie ma sprawy — mruknęła Casey Nice.

• • •

Przeszliśmy jednaście przecznic Piccadilly i całą Bond Street i obejrzelśmy masę noży. Niektóre były z litego srebra i służyły do jedzenia ryb, inne miały wysadzane perłami piękne rękojeści i służyły do czyszczenia wrzoścowych fajek, ale żaden nie wydawał mi się dobry. Do momentu gdy weszliśmy do bardzo ekskluzywnego sklepu żelaznego. Pełno w nim było solidnych narzędzi, w większości z ciemnymi drewnianymi uchwyty, wśród których zobaczyłem nóż do linoleum z paskudnie zakrzywionym ostrzem. Kupiłem dwa oraz rolkę srebrnej taśmy klejącej, a ekspedient włożył wszystkie trzy artykuły do brązowej papierowej torby, którą dał mi za darmo.

Następnie Nice zapragnęła kupić ubranie, skręciliśmy więc w Oxford Street i wybrała sobie sklep, a w nim nową garderobę. Przed przymierzalnią dała mi do potrzymania swoją kurtkę.

— Nie musisz sprawdzać — powiedziała. — Nadal mam jedną tabletkę.

Pięć minut później wyszła w nowych rzeczach, włożyła z powrotem kurtkę i ruszyliśmy do wyjścia, ale najpierw przeszliśmy obok ruchomych schodów prowadzących do działu męskiego, a ja pojąłem w lot aluzję i pojechałem na górę. Sprawilem sobie wszystko nowe, z wyjątkiem spodni, bo żadne na mnie nie pasowały. Ale kurtka była lepsza od tej golfowej, którą kupiłem w Arkansas. Miała większe kieszenie i glock nie był z zewnątrz tak widoczny. Podniosłem sobie wyraźnie standard, ale żał mi było pozbywać się starej. Miałem wrażenie, że porzucam przyjaciela. Były na niej mózg Kienkina i łyż Casey Nice.

Następnie przeszliśmy przez Grosvenor Square, mijając po drodze naszą ambasadę, i ruszyliśmy z powrotem w stronę hotelu.

— Domyślam się, że Bennett zaproponuje nam dzisiaj rządowy samochód — powiedziałem. — Jeśli to zrobi, przyjmiemy go, ale zaraz potem gdzieś porzucimy.

— Dlaczego?

— Nie chcę, żeby mnie namierzali.

— Robiliby to?

— Oczywiście. Muszą kryć własne tyłki. I muszą napisać jutro swój raport. W którym poinformują, że przez dwadzieścia przecinek dwa procent czasu drapałem się w głowę.

— Do czego potrzebujesz dwóch noży do linoleum?

— Nie potrzebuję dwóch. Ja potrzebuję jednego i ty potrzebujesz jednego.

— Do czego?

— Jak już mówiłem, musimy teraz myśleć za siebie i być może dostaniemy rozkazy, które trzeba będzie zignorować.

Nie odezwała się.

— To najlepsze, co oba światy mają do zaoferowania — stwierdziłem. — Wykonujemy naszą robotę, ale robimy to po swojemu.

— W porządku — mruknęła.

— Co oznacza również, że dziś wieczorem zostawimy komórki w hotelu.

Bennett pojawił się ponownie o czwartej po południu. Dał nam kluczyki do swojego srebrnego vauxhalla i powiedział, że wpisał wybrane przez nich skrzyżowanie do systemu nawigacji. Zasugerował, żebyśmy zaczęli się nieco na zachód od tego miejsca i byli gotowi do przechwycenia rolls-royce'a natychmiast po zatrzymaniu samochodu z ochroną. Jego zdaniem Charlie White nie będzie na nich czekał, nie będzie interweniował i nie spróbuje im w żaden sposób pomóc. Etykieta była zbyt ważna. Nie mógł się spóźnić do Ealing. To byłoby niegrzeczne, mogło świadczyć o braku szacunku. Tego rodzaju rzeczy miały dla londyńskich gangsterów kolosalne znaczenie.

Charlie spodziewany był w domu przywódcy Serbów o dziesiątej wieczorem, w związku z czym istniało osiemdziesięcioczwartoprocentowe prawdopodobieństwo, że wyjedzie z domu dokładnie godzinę wcześniej. To dawało mu dwadzieścia minut zapasu, na wypadek gdyby zatrzymały go korki lub coś innego. Jeśli będzie trzeba, zaparkuje przecnicę dalej i zaczeka. Tak się na ogół zachowywał, jeżdżąc w ważne miejsca. Etykieta była szalenie ważna. Dziesiąta oznaczała dziesiątą. Jadąc ze wschodu na zachód North Circular Road, nie powinien jednak napotkać żadnych przeszkód, a zatem pojawi się najprawdopodobniej w miejscu zasadzki przed wpół do dziesiątej. Bennett poinformował nas, że jego ekipa będzie tam czekać w pełnym pogotowiu już od dziewiątej, i radził nam zrobić to samo.

— Co z moją informacją na temat szyby kuloodpornej? — zapytałem.

— Dostaniesz ją, kiedy tylko do mnie dotrze — odparł.

— Wiem o tym. Ale kiedy to będzie?

— Najpóźniej dziś wieczorem. Mam nadzieję, że przed początkiem akcji o dziewiątej.

Jeśli nie, otrzymam ją zaraz potem.

— Skąd uzyskasz tę informację?

— Wiesz, że ci tego nie powiem.

— Z kim jeszcze rozmawiałeś i jakiego rodzaju notatki zrobiłeś?

— Z nikim i nie robiłem żadnych notatek. Sprawa jest załatwiana w maksymalnej dyskrecji. Prawdopodobnie dlatego tak długo trwa.

— W porządku — rzuciłem. — Odpręż się. Zrób sobie przerwę. My mamy taki zamiar. Zobaczymy się z tobą wieczorem, po wszystkim. Ty możesz nas nie zobaczyć, ale pamiętaj, że gdzieś tam jesteśmy i liczymy na ciebie.

Bennett spojrzał na mnie, ale nic nie powiedział.

A potem wyszedł.

• • •

Zjedliśmy o wpół do szóstej, bo chcieliśmy być pełni energii i dobrze odżywieni trzy i pół godziny później, a człowiek, który jest w stresie, nie trawi szybciej, lecz wolniej. Następnie położyliśmy telefony na okiennym parapecie, dwadzieścia pięter nad Hyde Parkiem.

— Mam zamiar powiedzieć generałowi O'Dayowi, że podejrzewaliśmy penetrację ze strony brytyjskiego wywiadu — oświadczyła Nice. — To jedyna możliwa linia obrony. W tym momencie łamię ściśle rozkazy.

— Rozumiem — odparłem.

— I ten numer uda się tylko raz. Dobiją jakiegoś nowego targu i penetracja stanie się legalna w zamian za coś innego. Więc później nie będziemy już mogli użyć tego pretekstu, bo

oszustwo stanie się zbyt oczywiste. Możemy to zrobić tylko raz. Czy gra jest warta świeczki, ze względu na Brytyjczyków?

- Zrobimy to tylko raz. Drugiego nie będzie.
- Ale dlaczego akurat w tej chwili?
- Ta chwila jest tak samo dobra jak każda inna.
- Co to znaczy?
- Wyruszamy stąd o wpół do ósmej — powiedziałem.

•••

O wpół do ósmej staliśmy przy srebrnym vauxhallu przed wejściem do Hiltona, sumując nasze wrażenia na temat lokalnej geografii i dochodząc do niewesołych wniosków. Które sprowadzały się do tego, że jeśli chcemy dotrzeć tam, gdzie chcemy, musimy albo kluczyć bocznymi uliczkami, albo próbować objechać Hyde Park Corner, kierując się w stronę pałacu Buckingham. Casey Nice uważała, że boczne uliczki zwiększają ryzyko, że zabłądzimy i nie zdążymy na czas z najbanalniejszych możliwych powodów. Przyznałem jej rację. Zaraz potem jednak stwierdziła, że Hyde Park Corner to prawdziwy tor wyścigowy i że równie banalne mogą się okazać stłuczki albo mandaty. Tu też przyznałem jej rację. Wówczas dodała, że, jej zdaniem, ryzyko stłuczki albo mandatu jest równie duże podczas jazdy bocznymi uliczkami. Wąska przestrzeń, zaparkowane samochody, zakaz skrętu w lewo, zakaz skrętu w prawo, znaki stopu i inne ograniczenia. Być może ryzyko było jeszcze większe. Więc zdecydowaliśmy się jednak na Hyde Park Corner. Zaproponowałem, że poprowadzę, ale nie chciała o tym słyszeć. Całe szczęście. Była w tym lepsza.

To było jak skok do spienionego potoku, płynięcie przez chwilę z prądem, a potem wynurzenie się w precyzyjnie wybranym momencie, czyli generalnie rzecz biorąc, dwa śmiałe manewry przedzielone wstrzymaniem oddechu. Ale Nice dała sobie radę za pierwszym i za drugim razem i dotarliśmy zdrowi i cali do Grosvenor Place, tuż przy murze pałacu Buckingham, który wyglądał prawie tak samo jak mur Wallace Court. Może oba zbudował ten sam wykonawca. Może w tamtej epoce miał długą listę potencjalnych klientów, wszystkich bojących się tego samego.

Porzuciliśmy samochód w strefie zakazu parkowania, sto metrów od stacji metra St James's Park. Uznaliśmy, że sto metrów wystarczy, by zasiać wątpliwości, dokąd dalej zmierzamy. Mogliśmy się udać gdzie indziej. W okolicy było dużo innych rzeczy. A sama stacja obsługiwała dwie różne linie, w tym Circle Line, która, jak wskazywała nazwa, biegła pod ziemią dookoła miasta nie tak szerokim łukiem jak naziemne obwodnice, bardziej jak śródmiejski Loop w Chicago. Drugą była District Line, nasza stara znajoma, ta, z której chcieliśmy skorzystać i która wiodła przez cały Londyn, ze wschodu na zachód.

Po drodze wstąpiliśmy do jasnego białego sklepu sieci Boots the Chemist i kupiliśmy za gotówkę dwie jednorazowe komórki. Następnie weszliśmy do metra, skorzystaliśmy z naszych kupionych za gotówkę kart miejskich, zjechaliśmy na dół i zczekaliśmy na peronie na pociąg, który jechał na wschód, z każdą stacją oddalając się od Ealing, od gigantycznego skrzyżowania i od Bennetta.

Wysiedliśmy z metra w Barking i pofatygowaliśmy się do biura Barking Minicabs, gdzie Nice włączyła swoją nową komórkę i stojąc na chodniku przed wejściem, zamówiła u nich taksówkę. Przy krawężniku stały obskurne stare fordys, volkswageny, seaty i skody, modele, których nie znaleźliśmy, ale które nadawały się najwyraźniej do tego rodzaju działalności, podobnie jak fordys crown victoria w Stanach i mercedesy w Niemczech. Po minucie z biura wyszedł facet, szukając w kieszeni kluczyka. Był w średnim wieku, trochę zaspany i wyglądał na miejscowego. Zobaczył nas i w żaden sposób nie zareagował. Może pracował na niepełnym etacie i nie znał najnowszych mafijnych listów gończych.

— Dokąd, kochani? — zapytał.

— Do Purfleet — odparłem, bo podobało mi się brzmienie tej nazwy.

Widziałem ją na drogowskazie i domyślałem się, że dzielnica leży na południowy wschód od Barking. Facet wskazał poobijanego fordę mondeo w kolorze pomyj.

— Wskakujcie — powiedział.

Co też zrobiliśmy, siadając obok siebie na tylnym siedzeniu. Facet wślizgnął się za kierownicę i ruszył szybko i kompetentnie. Skręcał w lewo i w prawo w boczne ulice, zmieniając biegi i nie zwiększając zbytnio obrotów diesla. Domyśliłem się, że nie chce utknąć w korkach i ma zamiar jak najpóźniej wjechać na główną drogę do Purfleet, co mi pasowało. Zaczekałem chwilę i kiedy trafił się nam mało ciekawy odcinek ulicy, z zarośniętym chwastami chodnikiem, zabitymi deskami oknami i rzędem pozamykanych małych warsztatów, wyciągnąłem pistolet, pomachałem nim w lusterku dość długo, by facet go zobaczył, i przytknąłem mu lufę do karku.

— Niech pan tu zjedzie — poleciłem.

Natychmiast mnie posłuchał, oblewając się rześystym potem i wpadając w panikę.

— Nie mam przy sobie pieniędzy — oznajmił.

— Napadli już pana kiedyś? — zapytałem.

— Wiele razy.

— Tym razem to będzie wyglądało inaczej. Nie okradniemy pana. Mamy zamiar zapłacić za pański czas. Za każdą minutę. Damy panu nawet napiwek. Ale to my teraz będziemy prowadzić, a pan pojedzie z tyłu. W porządku?

Facet nie odpowiedział.

— Niech pan wystawi ręce do tyłu — powiedziałem i kiedy to zrobił, obwiązałem mu nadgarstki i łokcie taśmą. Co nie było dla niego zbyt wygodne, ale konieczne, jeśli chciałem wyeliminować go z akcji.

— Dobrze pan oddycha przez nos? — zapytałem go.

— Że co?

— Nie ma pan nieżyty nosa, skrzywienia przegrody nosowej, chorych migdałków albo objawów grypy?

— Nie — odparł facet.

Obwiązałem mu zatem głowę kolejnymi metrami taśmy, zakrywając wielokrotnie usta, a potem wysiadłem z samochodu i otworzyłem drzwi z jego strony. Znalazłem dźwignię pochylenia fotela, po czym położyłem go na plecach i skrępowąłem mu nogi w kolanach i kostkach. Następnie podniosłem jego stopy i zsunąłem go głową w dół do tyłu. Casey Nice złapała go za ramiona i wspólnie ułożyliśmy go na podłodze za przednimi fotelami, w trochę niewygodnej, ale znośnej pozycji. Wyjąłem z kieszeni jego spodni komórkę i zostawiłem ją na

chodniku, a potem wsunąłem mu do kieszonki koszuli dwa należące do Romford Boys pięćdziesięciofuntowe banknoty. Uznaliśmy, że to całkiem przyzwoity napiwek. Nice siadła na miejscu pasażera, ja za kierownicą i ruszyliśmy dalej. Była ósma dwadzieścia trzy wieczorem i znajdowaliśmy się pięć kilometrów od miejsca, w którym chcieliśmy się znaleźć, czyli od Romford.

• • •

Próbując tam trafić, opieraliśmy się częściowo na wyczuciu, częściowo na tym, co zapamiętaliśmy z poprzednich przejazdów oraz z map z drugiego tabletu Bennetta, i ostatecznie udało nam się dotrzeć do Romford bez przeszkód, z dwudziestominutowym zapasem. W tym momencie uznaliśmy jednak, że potrzebujemy więcej szczegółów, zatrzymałem się więc przy krawężniku i Nice skoczyła do kiosku po londyński plan ulic. Siedząc w samochodzie i słysząc za sobą pomruki leżącego na podłodze, związanego taśmami faceta, odnaleźliśmy na planie adres Charliego White'a i oceniliśmy, że dojazd tam powinien nam zająć pięć minut. Godziny szczytu już się skończyły i ruch był w miarę płynny. Ale wolniejszy, niż nam się zdawało, bo minęło siedem, nie pięć minut, nim dotarliśmy do wylotu jego uliczki.

Która była bardziej surową i prząsną wersją uliczki Małego Joeya. Domy były o jedną generację starsze, ich kominy trochę wyższe, a cegły bardziej matowe, ale zasadniczo chodziło o to samo. Dużo murów, dużo parkanów i bram i dużo najnowszych modeli samochodów.

Wśród nich czarny rolls-royce i czarny jaguar, stojące zderzak przy zderzaku dwa domy dalej po lewej stronie, za ogrodzeniem takim samym jak u Joeya. Zbudowanym częściowo z czerwonej cegły, z której wzniesiono sięgający kolan murek i wysokie słupki, a częściowo z kutego żelaza, pomalowanego na czarno i powyginanego tak, że przypominało pędy lukrecji. Z tego samego kutego żelaza zrobione były dwie zamknięte elektryczne bramy, z których jedna służyła do wjazdu, druga do wyjazdu. Rolls-royce stał przed jaguarem.

*Istniało osiemdziesięcioczworoprocentowe prawdopodobieństwo, że wyjedzie z domu dokładnie godzinę wcześniej.*

Pięć minut.

— Pojadą North Circular Road — powiedziałem, zerkając na mapę. — A zatem po wyjeździe z domu skreć w lewo. Będą się od nas oddalać. Musimy się zacząć przy drugim końcu ulicy.

— Chcesz zaryzykować i przejechać obok nich, czy objedziemy przecnicę dookoła? — zapytała Nice.

— Wzięliśmy taksówkę nie bez powodu. Nie wzbudzimy podejrzeń, przejeżdżając powoli obok domu. Niczym kierowca szukający podanego adresu, a potem zawracający i parkujący, żeby zaczekać na pasażera.

— Ludzie, którzy tu mieszkają, mają własnych kierowców.

— Nie wszyscy. Wyłącznie idole klasy robotniczej.

Cofnąłem się trochę, zakręciłem i przejechałem dokładnie tak, jak to robi facet szukający adresu, powoli, w oczywisty sposób, zerkając przez cały czas przez boczną szybę. Dom Charliego był solidną starą chałupą, dosyć reprezentacyjną, zbudowaną w czasach, gdy murarze byli tańsi od cegieł. Ogródek od frontu zastąpiony został już dawno przez półkolisty podjazd, zaczynający się przy jednej, a kończący przy drugiej bramie i biegnący miejscami po kamiennych płytach, miejscami po żwirze, między betonowymi wazami i betonowymi aniołami, z których niektóre trzymały wysoko nad głowami misy do pojenia ptaków.

Dwa domy dalej zawróciłem, zatrzymałem się przy krawężniku i czekałem.

• • •

Etykieta była szalenie ważna. Dziesiąta to dziesiąta. Dlatego wyjazd dokładnie godzinę wcześniej oznaczał wyjazd o dziewiątej. I punktualnie o ósmej pięćdziesiąt dziewięć drzwi domu otworzyły się i Charlie wyszedł na zewnątrz. Wyglądał dokładnie jak na fotografii.

Siedemdziesięciosiedmioletni, nabity, barczysty, z przerzedzającymi się siwymi włosami, pospolitą twarzą i nosem jak kartofel. Miał na sobie czarny garnitur, czarny krawat i czarny płaszcz przeciwdeszczowy. Z domu wyszedł za nim niższy starszy facet, jak się domyślałem, kierowca, a za nim sześciu młodszych mężczyzn — wszyscy skromnie ubrani, wszyscy z ogolonymi głowami, wszyscy w użytecznym rozmiarze. Czterech ruszyło w stronę jaguara, dwóch w stronę rolls-royce'a, drepcząc teraz tuż za starym Charliem, a kierowca przyspieszył, by otworzyć przed nim drzwi.

Co nie było takie proste, bo tylne drzwi otwierały się do tyłu i ich klamka znajdowała się z przodu, tuż obok drzwi kierowcy, które otwierały się normalnie, a Charlie podchodził z tyłu, co wszystko razem sprawiało, że musiał obejść kierowcę, przystanąć, poczekać, aż ten mu otworzy, a następnie zawrócić i wsiąść do środka. Ostatecznie udało im się to jakoś zsynchronizować. Charlie usadowił się z tyłu, kierowca zamknął jego drzwi, otworzył swoje, siadł za kierownicą, a dwaj ochroniarze wsiedli z drugiej strony, jeden z przodu, drugi z tyłu.

Dokładnie o dziewiątej brama zaczęła się przesuwac.

Mój plan opierał się na dwóch kluczowych założeniach. Po pierwsze, uznałem, że niski starszy kierowca rolls-royce'a uważa się za kogoś w rodzaju artysty. Może był weteranem kierownicy z dawnych czasów, starym zawodowcem sprawdzającym się w każdych okolicznościach — czy trzeba szybko ewakuować ekipę po skoku na bank, czy dyskretnie wozić grube szchy — a przy tym kimś, kto w głębi serca podziela obsesję szefa, na przykład tę dotyczącą punktualnego stawiania się na ważne spotkania. Dlatego też oczekiwałem, że facet wciśnie gaz, kiedy brama otworzy się na pewną określoną szerokość, pozwalającą wyjechać na zewnątrz szybko, płynnie i elegancko, ale z zapasem tylko kilku centymetrów po obu stronach, zupełnie jakby mechaniczna precyzja faceta była rodzajem hołdu czy uznania wobec chronologicznej precyzji jego szefa. Domyślałem się, że tak właśnie rozegrałby to prawdziwy artysta.

Oznaczało to, że muszę się domyślić, w którym momencie facet wciśnie gaz, i zrobić to samo mniej więcej trzy sekundy wcześniej, ponieważ nadal miałem do pokonania pewien dystans do bramy. Nie mogłem tam się jednak pojawić ani za wcześnie, ani za późno, w związku z czym ruszyłem bardzo powoli, co, moim zdaniem, było do przyjęcia, bo kierowca taksówki, zanim podniesie wzrok i naprawdę skoncentruje się na jeździe, musi być może jeszcze coś zanotować, a potem odłożyć długopis. Zobaczyłem, że rolls-royce rusza, kiedy brama była otwarta w dwóch trzecich. Sunął powoli, dostojnie i gładko, jakby kierowca miał zamiar wyjechać na ulicę, w ogóle się nie zatrzymując, jednym płynnym ruchem.

Obserwując szybkość, z jaką otwierała się brama, szybkość, z jaką sunął rolls-royce, to, jak szeroki był chodnik oraz jaka była odległość między miejscem, gdzie się znajdowałem i gdzie powinienem się znaleźć, pozwoliłem, by tylna część mojego mózgu podjęła szybką i intuicyjną decyzję, i kiedy kazała mi wpednąć pedał gazu, zrobiłem to. Brudny stary ford skoczył do przodu, przejechał najpierw dziesięć, a potem dwadzieścia metrów i wtedy wcisnąłem hamulec i zatrzymałem się dokładnie tam, gdzie chciał skrócić rolls-royce, w związku z czym jego kierowca też wpednął hamulec i majestatyczna kratka chłodnicy rolls-royce'a znalazła się pół metra od drzwi Nice, a samochód ochrony pół metra za jego tylnym zderzakiem.

W następnym ułamku sekundy wszystko zależało od Casey Nice, która wyslizgnęła się z forda i skoczyła w lewo, wyciągając w biegu pistolet, dokładnie tak, jak to robi agent federalny, którym była, podczas gdy ja, również z wyciągniętym pistoletem, okrążyłem zdyszany maskę z drugiej flanki, zmierzając ku tej stronie rollsa, gdzie siedzieli ochroniarze, do dwóch bliźniaczych klamek, znajdujących się tuż obok siebie, pośrodku samochodu, tak że można je było równocześnie złapać i otworzyć w tym samym momencie przednie i tylne drzwi.

Drugie kluczowe założenie, którego się trzymałem, było takie, że nowoczesne samochody mają automatyczną blokadę drzwi, ale włącza się ona dopiero po osiągnięciu pewnej ustalonej wcześniej prędkości. Ta prędkość z pewnością nie została jeszcze osiągnięta. Nie w tym przypadku. Nie tym razem.

Zawiesiwszy glocka na palcu, złapałem obiema dłońmi klamki i pociągnąłem je do siebie. Przednie i tylne drzwi jednocześnie się otworzyły.

Przednie i tylne drzwi otworzyły się również od strony Casey Nice, co sprawiło, że znaleźliśmy się dokładnie tam, gdzie chcieliśmy się znaleźć, to znaczy w miejscu osłoniętym kuloodporną blachą i kuloodpornymi szybami przed samochodem ochrony. *Tylne drzwi i tylna szyba*, powiedział swoim śpiewnym głosem Bennett. A tylne drzwi miały zawiasy z tyłu,



otworzyły się pod pełnym kątem prostym i sterczały na boki niczym odstające uszy Małego Joeeya, osłaniając nas, gdy zajęliśmy się tym, co mieliśmy do załatwienia. *Chronią tylko przed strzałami z broni krótkiej*, dodał Bennett, ale uznałem, że to wystarczy, bo faceci w jaguarze na pewno nie dysponowali niczym większym. Co prawda nie spodziewałem się, że w ogóle zaczną strzelać. Zbyt wielkie było ryzyko, że trafią Charliego. Wiedzieli, że tylna szyba jest kuloodporna, ale Bennett nie wspominał o niczym innym, więc nie ryzykowaliby przypadkowego rykoszetu, który mógł przebić miękkie części — takie jak bagażnik albo jeden z tylnych błotników — przejść przez tapicerkę i trafić siedzącego z tyłu pasażera gdzieś między tyłkiem i karkiem. Spodziewałem się więc, że na chwilę zastygną w bezruchu, potem zareagują, później zmienią zdanie i na koniec zrobią to, co powinni zrobić na samym początku, to znaczy wyskoczą wszyscy z jaguara i rzucą się na nas. Ale zrobią to nie w pierwszej, lecz czwartej kolejności, co da mi trzy pełne sekundy, żeby załatwić to, co miałem do załatwienia. *Jeden tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące*, tyle samo, ile trwał długi samotny lot kuli Johna Kotta w chłodnym paryskim powietrzu.

To, co miałem do załatwienia, polegało na tym, by z groźną miną wziąć na muszkę Charliego White'a, przecinając jednocześnie nożem do linoleum pasy siedzącego obok niego ochroniarza, w dwóch miejscach — ciach, ciach — następnie pochylić się i uderzyć go łokciem w bok głowy tak, żeby wypadł na zewnątrz, po czym się przesunąć, zrobić to samo z drugim ochroniarzem — ciach, ciach — cios łokciem, facet wypada, potem obrócić się, kopnąć pierwszego ochroniarza w głowę i zrobić to samo z drugim, ażeby wyeliminować obu z akcji, następnie podbiec do forda, odjechać nim kilka metrów, żeby nie tarasował drogi, i podbiec z powrotem do rolls-royce'a. W tym momencie zaczynała się czwarta sekunda i czterej faceci wyskoczyli z jaguara.

Lecz i tak musiałem strzelić. Wszystko zgodnie z planem. Jednak nie w ich opony. Strzelałbym pod nieodpowiednim kątem. Kula mogła się odbić, opony mogły być specjalnie wzmacniane. Najlepszym sposobem unieruchomienia nowoczesnego samochodu jest strzał w kratkę chłodnicy. Są tam najróżniejszego rodzaju przewody, komputerowe chipy i sensory.

I tak właśnie zrobiłem. Cztery strzały oddane szybko, jeden obok drugiego, z półprzysiadu zza opancerzonych drzwi — bang-bang-bang-bang — co sprawiło, że czterej faceci zatrzymali się w pół kroku, a mnie dało czas na zatrzaśnięcie przednich drzwi, przeskoczenie leżących na ziemi dwóch ochroniarzy, usadowienie się z tyłu obok Charliego i zamknięcie za sobą drzwi, podczas gdy siedząca z przodu Casey Nice, która już wcześniej załatwiła za pomocą własnego glocka i noża niskiego kierowcę, wcisnęła gaz do dechy. Rolls-royce ruszył niczym fala przyływu do przodu i pomknął ulicą. Czterej faceci gonili nas, dokładnie jak na filmie, a potem w połowie drogi do następnej przecznicy stanęli i patrzyli, jak odjeżdżamy.

Rolls-royce'em jechało się dokładnie tak, jak powinno się jechać, biorąc pod uwagę, co mówią o nim ludzie. Był bardzo wyciszony i bardzo wygodny. Tylne kanapy przypominały fotel w klubie oficerskim. Wnętrze było przestronne, szerokie i miękkie. Siedzący obok mnie Charlie White miał nadal zapięte pasy. Ciałem był zwrócony do przodu, ale przekręcił głowę w bok i patrzył prosto na mnie. Na czoło opadł mu kosmyk włosów. Z bliska jego nos przypominał bardziej owoc awokado. Generalnie jednak wyglądał dokładnie tak, jak wygląda szef mafii. Emanowały z niego władza, siła i pewność siebie.

— Jesteś uzbrojony, Charlie? — zapytałem.

— Wiesz chyba, że podpisałeś na siebie wyrok śmierci, chłopcze? — odparł. — Powiedz mi, proszę, że zdajesz sobie z tego sprawę. Nikt nie robi tego, co przed chwilą zrobiłeś.

— Ale?

— Nie ma żadnego ale.

— Zawsze jest jakieś ale, Charlie — powiedziałem.

— Masz pojęcie, jakiej napytałeś sobie biedy?

— Tak wielkiej, że chcąc ograniczyć straty, powinienem strzelić ci w łeb i dać nogę, póki to jeszcze możliwe?

— Mógłbyś to zrobić — odparł. — Możesz też uzyskać odroczenie egzekucji, tak żebyś zdążył wynieść się z miasta. To właśnie ci proponuję. Ale zrobię to tylko raz i liczy się twoja pierwsza odpowiedź, więc lepiej dobrze się zastanów, chłopcze. Pomyśl, co będzie dalej, jaka cię czeka udreka, jaką udreka będzie dla ciebie każdy dzień aż do końca życia.

— Co mamy zrobić w zamian za to odroczenie?

— Wsiąść z mojego samochodu.

— Zła odpowiedź, Charlie. Pytałem, czy jesteś uzbrojony.

— Jestem w drodze na nabożeństwo pogrzebowe. Oczywiście, że nie jestem uzbrojony.

— To jeden z przejawów nadzwyczajnej kurtuazji?

— Że co?

— Masz w kieszeni telefon?

— Czy ja wyglądam na człowieka, który sam gdzieś dzwoni?

— Dokładnie rzecz biorąc, byłeś w drodze na nabożeństwo pogrzebowe. Teraz jesteś w drodze zupełnie gdzie indziej. Obwiążę ci taśmą nadgarstki. Nie da się tego uniknąć. I lepiej dla mnie będzie, jeśli obwiążę ci również usta. Ale szczerze mówiąc, Charlie, martwię się, czy dasz radę oddychać przez nos.

— Martwisz się o co?

— Czy się nie udusisz, jeśli zakleję ci usta.

— Z moim nosem jest wszystko w porządku.

— Dobrze wiedzieć. W takim razie sprawa załatwiona.

— Właściwie co chcecie przez to osiągnąć? — zapytał.

— Nie przejmuj się tym — odparłem. — Jesteś po prostu postronną ofiarą.

— Ofiarą czego? Mam prawo wiedzieć.

— Nie, panie White, nie ma pan prawa — odezwała się z przedniego siedzenia Casey Nice. — Tak się składa, że nie ma pan w ogóle żadnych praw. Ustawodawstwo panu nie sprzyja. Pański wspólnik Joseph Green ukrywa mężczyzn, których każdy sąd na świecie określiłby mianem terrorystów.

- Nie wiem nic o tym, żeby Joey kogoś ukrywał.
- Ma gości.
- Rozumiem, że to jego przyjaciele.
- Jest pan za niego odpowiedzialny.
- Niczego złego nie zrobił.
- Ale zrobi — powiedziałem, a Nice zwolniła i skręciła w stronę Chigwell.

• • •

Minęliśmy pub, który oboje zapamiętaliśmy, a potem postaraliśmy się jechać tą samą trasą, którą pokonaliśmy wcześniej pieszo — wielki samochód pasował do tej okolicy zdecydowanie bardziej niż do Romford — i w końcu dotarliśmy do miejsca, w którym jeden drewniany płot się kończył, a drugi zaczynał dopiero metr dalej. Casey Nice zatrzymała się przy krawężniku, a ja pomogłem Charliemu White'owi rozpiąć pasy i obrócić się do mnie plecami, obwiązałem kilka razy taśmą jego nadgarstki, łokcie i usta, po czym otworzyłem drzwi z jego strony, wypchnąłem go na zewnątrz i zaciągnąłem do wylotu ścieżki.

Nice pojechała dalej i zaparkowała w równej odległości od pięciu eleganckich domów, w porównaniu z którymi odległa o sto metrów luka w płocie była całkowicie niegodna zainteresowania, po czym szybko nas dogoniła, przecisnęła się obok mnie i Charliego i ruszyła przodem, cały czas mając się na baczności, w ogóle niezrelaksowana. Idąc ostatni, popychałem przed sobą Charliego, który sapał i dyszał, nie wiadomo, czy z oburzenia, czy z powodu braku kondycji, ale tak czy owak okazało się, że mówił prawdę, twierdząc, że z jego nosem jest wszystko w porządku.

Po chwili wyszliśmy na wysypany żwirem placyk: pierwsza Casey Nice, zerkając w lewo i w prawo, następny Charlie, potykając się i trzepocząc nogawkami swoich najlepszych spodni, i na koniec ja, rozglądając się na wszystkie strony i sprawdzając drewnianą szopę z napisem *Bowling Club* nad drzwiami. Nice przykucnęła, odsunęła kamień i z powrotem się wyprostowała.

— Nie ma klucza — powiedziała.

Charlie White przystanął, z trudem oddychając.

Nie odezwałem się.

— Tak, jestem pewna, że to ten kamień — dodała.

— Zmienili z powrotem zamek na stary? — zapytałem.

— Dlaczego mieliby to zrobić?

Nie odpowiedziałem. Drewnianą szopę zbudowano dawno przed moim urodzeniem. *Miej pretensje do cieśli, który zmarł przed pięćdziesięciu laty*, powiedział Bennett. To był pewnie dobry fachman, ale miał do dyspozycji liche powojenne materiały, poza tym minęło już ponad sześćdziesiąt wiosen i sześćdziesiąt zim, a to oznaczało, że szopa powinna być solidna, ale bez przesady. Dałem trzy długie kroki, rozwaliłem obcasem zamek i złapałem drzwi, zanim odbiły się od ściany.

Lornetki zniknęły.

Zniknęły również kuchenne stołki i trójnogi. Niezawalone gratami przejście przy oknach było kompletnie puste.

— Czy to jedna z tych dziwnych rzeczy, które miały się, twoim zdaniem, wydarzyć? — zapytała Casey Nice.

— Nie, moim zdaniem to coś jeszcze dziwniejszego — odparłem. — Ale jak ktoś powiedział, mamy to, co mamy.

Zaprowadziłem Charliego White'a do kąta, pomogłem mu usiąść przy worku z klubowym sprzętem, po czym włączyłem swoją komórkę, wpisałem numer Bennetta, który zapamiętałem

z SMS-ów, i wysłałem mu wiadomość.

*Mamy Charliego White'a.*

Następnie wyobraziłem sobie zasuważące na wysokich obrotach komputery w Gloucestershire i natychmiast wyłączyłem komórkę.

— Czy to zadziała? — zapytała Nice.

— Nie mam pojęcia. Ale na pewno coś się wydarzy — odparłem.

Charlie White nas obserwował. Jeśli idzie o cechy charakterystyczne, jego oczy nigdy nie miały szans dorównać nosowi, ale były całkiem ładne i ruchliwe. Zerkał nimi to na mnie, to na Nice, rozważając dwie możliwe interpretacje tarapatów, w jakie wpadł. Pierwsza mogła wynikać z oceny mojej osoby: wielkiego amerykańskiego oprycha, który znalazł się daleko od domu, w wyraźnie przerastającej go sytuacji, dość głupiego, by połakomić się na duży zysk, nasuwał się więc wniosek, że to ja będę wkrótce gryzł ziemię, a on na pewno przeżyje. To tylko kwestia czasu. Po drodze czekały go drobne niewygody, lecz rezultat wydawał się z góry przesądzony. Charlie był zbyt wiele wart, by spisać na straty. A dla romfordczyka drobne niewygody to coś niewarte wzmianki. Przetrwali gorsze rzeczy.

Ale druga możliwa interpretacja była związana z osobą Casey Nice, z rozsadzającą ją energią i młodością oraz akcentem z południowego Illinois, skażonym tylko lekko przez Yale i Langley i przepojonym tą dźwięczną jasnością, którą można nabyć, gdy dorasta się na farmie z więcej niż jednym psem. Reprezentowała określony typ, była produktem współczesnego świata, rozpoznawalnym chyba i w Londynie. Musiała być agentką federalną. A w takim razie prawdziwa mogła się okazać drwiąca uwaga, że stał się postronną ofiarą, innymi słowy, pionkiem w grze. I chociaż Charlie White nigdy w życiu nie określiłby się mianem pionka, w grze poświęca się czasem nawet wieże i laufry. Bo królem są tu światowe rządy, ze wszystkimi swoimi trzyliterowymi agencjami i tajnymi jednostkami, do jednej z których musiała należeć ta dziewczyna. Bo kim innym mogłaby być? Z pewnością brała udział w jakiejś wielkiej międzynarodowej operacji, w której choć raz nie chodziło wcale o Londyn i o Charliego, a to poważnie ograniczało jego szanse przetrwania. Pionek nie był wiele wart.

Charlie White nie wiedział, co o tym myśleć.

— Sprawdź — powiedziała Nice. — Bennett musiał już odpowiedzieć.

Włączyłem zatem ponownie komórkę i patrzyłem, jak szuka sygnału, a potem jak go znajduje i pokazuje mi wszystko, co ominęło mnie w ciągu ostatniej godziny, to znaczy jedyną wiadomość tekstową od Bennetta, która brzmiała: GDZIE JESTEŚCIE PILNA NOWA WIADOMOŚĆ POWTARZAM ARCYWAŻNA NOWA WIADOMOŚĆ MUSIMY TO NATYCHMIAST PRZEDYSKUTOWAĆ.

Bez żadnych znaków przestankowych, bez niczego.

Przedsięwzięliśmy wszelkie kroki, by uniknąć elektronicznej inwigilacji, a teraz proszono nas, byśmy sami się zgłosili i powiedzieli Brytyjczykom, gdzie jesteśmy.

— Chyba musimy — mruknęła Casey Nice.

Nie odezwałem się.

— Wierciłeś mu dziurę w brzuchu o te informacje — powiedziała. — W sprawie szyby. A teraz je zdobył. Musisz wysłuchać, co ma do powiedzenia. To może być ważne. Właściwie musi być ważne. Zobacz, jakiego używa języka.

— Może udaje. Może jest wkurzony, że zniknęliśmy z mapy. Dowodzi operacją. Powinien wiedzieć, gdzie jesteśmy. Może uznał to za wyzwanie.

— Jest twoim towarzyszem broni. Zobacz, co napisał. Czy mógłby cię tak wrednie okłamywać?

— Nie dlatego rządzą światem, że byli mili.

— Decyzja należy do ciebie — stwierdziła.

Dotknąłem palcem wyłącznika komórki, ale go nie wcisnąłem, a potem zmieniłem zdanie i oddałem ją Nice. Jej kciuki były szybsze. I mniejsze.

— Napisz, żeby przyszedł sam — powiedziałem.

•••

Nie wiedziałem, na jak długo Bennett utknął przy gigantycznym skrzyżowaniu na zachodzie Londynu, ale najprawdopodobniej zorientował się dość wcześnie, że rzeczy nie idą zgodnie z planem, i nie można było wykluczyć, że zabrał już swoje zabawki i udał się do domu. W takim razie mógł zjawić się w Chigwell nawet za dwadzieścia minut. Albo za czterdzieści, jeśli został na miejscu do końca. Nie sposób było tego przewidzieć.

Na piechotę do klubu bowlingu można było praktycznie dotrzeć tylko jedną drogą, to znaczy szeroką na metr ścieżką. Bez wątplenia istniały również wywodzące się z dawnych czasów prawa do przejazdu przez przyległe posiadłości — dla kosiarek, ciężkich walców ogrodowych, czy co tam jeszcze pozwalało utrzymać murawę w tak idealnym stanie — a gdyby chciano zaangażować w to antyterrorystów, ich helikopter mógł wylądować na samym trawniku, jeśli jednak Bennett miał zamiar przyjść sam, pozostawała mu tylko ścieżka.

Charlie White nadal nas obserwował. Nadal nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Ja przez większość czasu wyglądałem przez okno, ale bez noktowizyjnych lornetek niewiele mogłem zobaczyć. Wyłącznie ciemną przestrzeń, zarysy drzew i poświatę z oddalonej o czterysta metrów ulicy Joeya. Żadnych szczegółów. Choć jego dom był tak duży, z trudem udawało mi się go dostrzec. Nice siedziała na powybrzuszonym brezentowym worku, trzymając obie dłonie w kieszeniach kurtki, jedną bez wątplenia zaciśniętą na rękojeści glocka, a drugą być może na fiolce z tabletkami. Miałem ochotę powiedzieć: „To nie jest chyba dobra noc na odstawienie zolofu”, lecz nie zrobiłem tego, bo wolałaby pewnie, żebym traktował rzecz poważnie. A może w ogóle nie myślała o tabletkach i w takim razie z całą pewnością nie miałem ochoty jej o nich przypominać. Może nie chciała po prostu, żeby zmarzły jej ręce. Zrobiło się chłodno. Dzień był przyjemny, ale po zachodzie słońca temperatura znacząco spadła.

Po piętnastu minutach wyszedłem, przymknąłem za sobą wyważone drzwi i ruszyłem po żwirze w najdalszy róg placu, skąd mogłem obserwować z boku wylot ścieżki i budynek klubu. Co było najlepszym rozwiązaniem. Nie chciałem czekać na samej ścieżce. Nie chciałem

czekać na ulicy. Chciałem mieć otwartą drogę ucieczki, najlepiej przez otaczające nas ogrody i błonia, a nie publicznymi alejkami i ulicami, na których czyhały liczne niebezpieczeństwa.

I chciałem być przynajmniej trochę aktywny. Jeśli Casey Nice musiałyby zacząć się bronić, ostrzeliwałyby się sprzed budynku klubu, więc było logiczne, że ja powinienem strzelać pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Przemawiały za tym podstawowe zasady triangulacji i wiele innych słusznych powodów. Tyle że widoczność była bardzo ograniczona. Członkowie klubu nie życzyli sobie najwyraźniej jakiegokolwiek zewnętrznego oświetlenia. W pokojach domów, których tylne ściany wychodziły na placyk, paliło się gdzieś światło i niebo rozjaśniała typowa brudnożółta miejska poświata, ale poza tym miałem przed sobą kompletną czerń. Tylna część mojego mózgu podpowiadała mi, że Bennett jest mężczyzną średnich rozmiarów i że środek jego klatki piersiowej będzie się znajdował mniej więcej metr za płomieniem wylotowym.

Czekałem.

•••

Spędziłem tam na chłodzie siedem kolejnych minut, co dodane do pierwszego kwadransu dawało wynik dwudziestu dwóch minut i wskazywało, że Bennett rzeczywiście opuścił wcześniej miejsce zasadzki i zaszły się gdzieś w śródmieściu, by czekać na rozwój wydarzeń. Słyszałem jego kroki od momentu, kiedy skręcił w ścieżkę: cichy szeleszczący dźwięk, wzmocniony, ale również trochę zmodyfikowany przez dwa równoległe parkany. A kiedy się zbliżył, usłyszałem stłumione skrzywienie podeszew na żwirze i w pewnym momencie krótki chrobot, jakby zatoczył się na nierównej ziemi i coś, co trzymał w ręku, zaczepiło o deski parkanu. Dźwięk mógł wskazywać, że to coś ze skóry.

W końcu wyszedł na placyk i stanął. Widziałem bardzo niewyraźnie jego twarz. Błada plama i nic poza tym. Nie widziałem jego rąk.

Czekałem.

I w tym momencie się odezwał, swoim normalnym śpiewnym głosem, jakbyśmy siedzieli razem w pokoju, dwa metry od siebie.

— Reacher? Domyślam się, że stoisz pod kątem dziewięćdziesięciu stopni po mojej lewej albo prawej stronie. Mam ze sobą latarkę. Nie zaświecę nią w twoim kierunku. Oświetlę nią samego siebie, a potem zaświecę w głąb alejki, żebyś zobaczył, że przyszedłem sam.

Nie odezwałem się.

Zobaczyłem, jak latarka zapala się i jej promień tańczy przez chwilę po ziemi, a potem Bennett odwrócił ją w dłoń i oświetlił samego siebie, szybko, jakby płonął, a światło było pianą z gaśnicy. Był w swoim normalnym ubraniu. W ręku trzymał teczkę. Na koniec promień latarki oświetlił jego głowę, padając prosto z góry, niczym z prysznica.

— W porządku, wierzę ci — powiedziałem.

Spojrzał ku mnie ze swojego stożka światła, a potem skierował latarkę w dół i ruszył ku drzwiom klubu. Kiedy wszedłem za nim do środka, postawił latarkę na podłodze, żebyśmy znaleźli się wszyscy w odbitym od sufitu świetle. Zmierzył długim twardym spojrzeniem Charliego White'a i ponownie popatrzył na mnie.

— Co się stało z lornetkami? — zapytałem.

— Kazałem je zabrać — odparł.

— Dlaczego?

— To nie były zwykłe lornetki. Pamiętasz? To były kamery wideo. Sięgnij pamięcią wstecz. Kto ma mniej kłopotów? Facet, którego widać na taśmie, czy facet, którego nie widać, bo nie było w ogóle żadnych taśm?

- Byłeś ostrożny ze względu na nas?
- Jesteśmy tu, żeby sobie pomagać.
- Dziękuję bardzo.
- Spodziewałem się dzisiaj pewnych działań.
- Masz dla mnie informacje?
- Mam pewne informacje — odparł po krótkiej chwili.
- Ale nie te, o które mi chodziło?
- Uważam, że w pewien sposób się z tobą wiążą. Nie powinieneś się tego wypierać.

Sporo teorii było twoich.

- Jakich teorii?
- Błędnych — odparł.

Przykucnął i otworzył teczkę, a ja zobaczyłem w środku czarno-białą fotografię, którą podniósł i podał nam obojgu ceremonialnym gestem, w związku z czym ja wziąłem ją z lewej, a Nice z prawej strony i przytrzymał ją między sobą. To nie była normalna odbitka, ale wydruk z komputera. Papier był cienki, obraz matowy. Prawdopodobnie załącznik do e-maila.

Zdjęcie przedstawiało martwego faceta leżącego na czymś, co wyglądało jak szpitalne łóżko. W szpitalu, który musiał znajdować się gdzieś za granicą. Farba na ścianach wyglądała inaczej. To było gdzieś, gdzie jest gorąco. Gdzie w szpitalach kładą żółtą terakotę na podłodze. Łóżko było wąskie, zrobione z pomalowanych na biało żelaznych rurek, prześcieradło gładko naciągnięte, koc jasny i niezabrudzony. Być może świadczyło to o wysokich standardach pielęgniarstwach. Albo o popisywaniu się przed kamerą. Bo zdjęcie stanowiło w oczywisty sposób część oficjalnej dokumentacji. Ktoś stanął w nogach łóżka i pstryknął fotografię, która miała trafić do akt. Świadczył o tym kąt, pod którym została zrobiona, i ramki. Podobne do tych, które widać na zdjęciach z miejsca przestępstwa. Z boku wpisana była data i godzina. W zależności od tego, w jakiej części świata to było, zdjęcie zrobiono albo niedawno, albo bardzo niedawno.

Mężczyzna leżący na łóżku nie miał lekkiej śmierci. Na jego czole było coś, co wyglądało na ranę postrzałową, ze zdartą skórą. To nie była rana wlotowa, ani wylotowa, ale coś w rodzaju bruzdy. Niecelny strzał, który naruszył kość, ale jej nie przebił. Może niefortunny rykoszet.

Rana nie była świeża. W żadnym wypadku. Patrząc na zdjęcie, czułem, jak śmierdzi. Widziałem już podobne rany. Mogła mieć od dwunastu do dwudziestu dni. Tak to oceniałem. I wcale się nie zagoiła. Nawet nie zaczęła się goić. Wyglądało na to, że zaczęła się jątrzyć dość wcześnie, infekcja wywołała wysoką gorączkę i facet cierpiał i oblewał się potem, wstrząsały nim konwulsje, tracił wagę, posiniał i w końcu została z niego tylko lśniąca skóra i kości, które sfotografował znudzony urzędnik. Trudno było stwierdzić, jak wyglądał trzy tygodnie wcześniej, poza tym, że był biały i miał czaszkę normalnej wielkości.

— Tak? — zapytałem.

— To jeden ze snajperów, którzy przeszli na emeryturę i których mieliśmy na oku — powiedział Bennett.

— Tak?

— Wynajęto go do roboty w Wenezueli. Ale coś tam poszło nie tak. Wiesz, jak to jest. Wszyscy kablują na wszystkich. Nasz chłopak wdał się w strzelaninę z policją i zwiął, ale przedtem oberwał w głowę. I nikt nie opatrzył mu tej rany, bo był ścigany. Zamelinował się w jakimś kurniku i próbował to jakoś przetrwać. Jadł surowe jajka i popijał je nocą wodą z węża. Ale infekcja się rozwinęła. Jakaś kobieta znalazła go nieprzytomnego i zawiozła do szpitala swoim pick-upem. W tym momencie jego krew była niczym toksyczne odpady. Dzień później zmarł. Nie znali jego nazwiska i nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Wyglądał na cudzoziemca, więc wrzucili jego odciski palców do Interpolu.

— I co?

— To William Carson.



— Kott jest w tej chwili jedyną osobą, której nie możemy zlokalizować — powiedział Bennett. — A to oznacza dwie możliwości. Co wprawia ich oczywiście w panikę. Bo muszą wybrać. Albo ty się myliłeś i ten sam facet może oddać dwa strzały, albo mylili się oni i na świecie jest więcej snajperów, niż im się wydaje.

— W którą stronę się skłaniają? — zapytałem.

— Na pewno chcą obarczyć winą ciebie, ale powinni kierować się zdrowym rozsądkiem. Prawda jest taka, że po prostu nie wiedzą.

— Nawet podkomisja psychologii behawioralnej?

— Nawet oni.

— Prawdziwa jest opcja pierwsza — powiedziałem. — Kott jest sam.

— Co skłania cię do takiej opinii?

— Szczerbaty burak z Arkansas.

— Przyznajesz, że nie miałeś racji?

— Przyznaję, że wprowadzono mnie w błąd.

— W jaki sposób?

— To nie ma znaczenia. Nie zmienia tego, co musimy teraz zrobić.

— To znaczy?

— Musimy wywabić z domu Małego Joeya.

— Jak?

— Będziemy z nim negocjować. Twarzą w twarz, bo sprawa ma zasadnicze znaczenie.

— To znaczy?

— Sprzedamy mu Charliego.

— Będziemy negocjować okup?

Pokręciłem głową.

— Będziemy negocjować cenę sprzedaży. W tym momencie wiadomo tylko tyle, że Charlie został porwany przez nieznane osoby, więc możemy go sprzedać nieoficjalnie. Joey może wyciągnąć z niego wszystkie informacje, które są mu potrzebne, i nikt mu nie podskoczy. Bo będzie teraz znał wszystkie numery kont, wszystkie hasła i miejsca, gdzie zostały zakopane zwłoki. Zostanie automatycznie nowym szefem.

— Myślisz, że na to pójdziesz?

— Chyba żartujesz?

— Chodzi mi o to, czy zrozumie logikę?

— Ma to wpisane w DNA. Jak szczury. Przybiegnie w te pędy. I tego właśnie chcemy.

— Dlaczego nie zdziwiło cię bardziej to, co przytrafiło się Carsonowi?

— Coś mi nie pasowało.

— To znaczy?

— Joey podwoił swoją ochronę. Ale jej nie potroił. Mimo że tak bardzo lubi się popisywać. Z tego wynikało, że w domu są tylko dwie osoby. Joey i Kott.

— Dlaczego nie Joey i Carson?

— Pocisk w Paryżu został wystrzelony przez Kotta. Potwierdza to analiza chemiczna. Możesz mi wierzyć. Cała sprawa dotyczy Johna Kotta.

— Nie, cała sprawa dotyczy G Osiem.

— Spotkanie G Osiem nie jest zagrożone. Tu także możesz mi zaufać.

— Jest zagrożone, dopóki go nie dorwiemy. Jest ostatni.  
— G Osiem nigdy nie było celem — powiedziałem.  
— Więc co nim było?  
— Potrzebne mi są informacje na temat szyby.  
— Dostaniesz je. Co było celem?  
— Coś, co nie zmieni tego, co musimy zrobić w następnej kolejności.  
— Niczego nie zrobimy w następnej kolejności. Nadal dyskutują.  
— Kto dyskutuje?  
— Podkomisje.  
— John Kott jest w domu Małego Joeya. To wszystko, co muszą wiedzieć. Przekaż im to ode mnie.  
— Twierdzą, że twoja wiarygodność została podważona.  
— W takim razie zrobię to, co kazała mi robić matka, kiedy byłem na coś wkurzony.

Policzę do trzech.

— Co to ma znaczyć?  
— Potrafisz policzyć do trzech?  
— Oczywiście, że potrafię.  
— Więc zrób to.  
— Raz, dwa, trzy.  
— Zrób to tak, jakbyś odmierzał czas.  
— Jedna sekunda, dwie sekundy, trzy sekundy.  
— Tak to robią w Walii?  
— Tak to robią wszędzie.  
— Nieprawda. My mówimy: jeden tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące.  
— To ma brzmieć jak tykanie zegara. I brzmi. Sekunda, sekunda, sekunda. Jak wahadło w saloniku twojej babci.

— To ci się udało — pochwaliłem go.

— Do czego zmierzałeś?

— John Kott jest w domu Małego Joeya.

Bennett przez chwilę milczał, a potem spojrział w kąt pomieszczenia.

— Powinniśmy zapytać o te niesprawdzone pogłoski pana White'a — stwierdził.

Stary Charlie cofnął się lekko, słysząc te słowa. Romfordczycy z całą pewnością zadawali od czasu do czasu pytania opornym świadkom i z całą pewnością stosowali metody, które obejmowały całą gamę, od brutalnych do zabójczych. Najwyraźniej nie spodziewał się, by agent rządowy był w porównaniu z nimi mniej stanowczy.

Bennett podszedł do niego i przez dłuższą chwilę mu się przypatrywał. Następnie wyjął z kieszeni nóż sprężynowy, wcisnął przycisk i wyskoczyło z niego z głośnym trzaskiem ostrze. Prawdopodobnie antyk. Majchry były nielegalne od tak dawna, że znalezienie dobrego stało się całkiem trudne. Bennett przytrzymał rękojeść kciukiem, oparł cztery palce na górnej krawędzi i przysunął ostrze do policzka Charliego, jakby był fryzjerem mającym zamiar ogolić go staroświecką brzytwą.

Charlie odsunął się do tyłu tak daleko, że jego głowa uderzyła o drewnianą ścianę.

— To oficjalne przesłuchanie? — zapytała Casey Nice.

— Nie martw się — odparł Bennett, po czym wsunął ostrze pod taśmę, którą obwiązałem usta Charliego. Odkleił kawałek, odsunął go paznokciem od skóry, zrobił centymetrowe nacięcie i zaczął od początku, odklejając, odsuwając i tnąc, aż w końcu, przeciąwszy całe pięć centymetrów taśmy, złapał ją palcami lewej ręki i ściągnął z ust Charliego nie za szybko i nie za

wolnym ruchem, niczym zmieniająca opatrunek pielęgniarka. Charlie odkaslnął i przytknął usta do ramienia, żeby je otrzeć.

— Kto mieszka u Joeya? — zapytał go Bennett.

— Nie wiem — odparł Charlie.

Bennett nadal trzymał w dłoni otwarty sprężynowiec. Charlie nadal miał ręce związane za plecami. Wcisnął się w kąt najdalej, jak zdołał. Nie mógł się już bardziej cofnąć.

— Sprzedajesz broń obwiesiom w całym kraju — powiedział Bennett. — Handlujesz heroiną i kokainą. Pożyczasz pięćdziesiąt funtów człowiekowi, który ma dzieci do wyżywienia, ale musi ci oddać sto, bo inaczej połamiesz mu nogi. Sprowadzasz nastoletnie dziewczyny z Łotwy i Estonii i robisz z nich dziwki, a kiedy już do niczego się nie nadają, oddajesz je Joeyowi. Więc jakie są szanse, w skali od jednego do dziesięciu, że ktokolwiek na świecie przejmie się tym, co teraz z tobą zrobię?

Charlie milczał.

— Niech pan odpowie, panie White — naciskał Bennett. — Żebyśmy się dobrze zrozumieli. W skali od jednego do dziesięciu. Gdzie dziesięć oznacza bardzo duże szanse, a jeden bardzo małe. No dalej. Niech pan wybierze jakąś cyfrę.

Charlie nadal milczał.

— Rozumiem — mruknął Bennett. — Nie potrafisz znaleźć trafnej odpowiedzi. Bo to podchwytliwe pytanie. Liczby nie są dość niskie. Nikt na całym świecie się tym nie przejmie. Ani jedna osoba. A poza tym w ogóle nikt się nie dowie. Jutro znajdziesz się w Syrii, Egipcie albo nawet w Guantanamo. Załatwimy teraz te rzeczy inaczej. Twoja organizacja przygarnęła snajpera, który ma zamiar zabić brytyjskiego premiera i amerykańskiego prezydenta. Jesteś nowym Osamą bin Ladenem. Albo przynajmniej Chalidem Szajchem Muhammadem.

— To jakieś brednie — wychrypiął Charlie White.

— Która część?

— Wszystko. Nie kazałbym strzelać do brytyjskiego premiera.

— Dlaczego nie?

— Głosowałem na niego.

— Kto mieszka u Joeya?

— Nie wiem, co to za jeden.

— Ale wiesz, że ktoś u niego jest?

— Nigdy nie spotkałem się z facetem.

— Zabił dla ciebie Karela Libora — ciągnął Bennett. — Dał ci sporo forsy, nakłonił was, żebyście podali sobie ręce z Serbami, a ty przez dwadzieścia cztery godziny siedem dni w tygodniu zapewniasz mu schronienie i ochronę. I twierdzisz, że z kimś takim nie rozmawiałeś ani razu twarzą w twarz?

Charlie znów milczał.

— Wydaje mi się, że rozmawialiście ze sobą bardzo długo — rzekł Bennett. — Wydaje mi się, że znasz wszystkie szczegóły. Łącznie z celem.

— Chcę rozmawiać z adwokatem — oznajmił Charlie.

— Której części słowa „Guantanamo” nie rozumiesz? — warknął Bennett.

Charlie się nie odezwał.

— Rozważmy sprawę hipotetycznie. Na razie — mówił dalej Bennett. — Załóżmy, że hipotetyczny facet w twojej hipotetycznej sytuacji zawiera umowę tego rodzaju. Czy nie chciałby zaaprobować pewnych szczegółów?

— Oczywiście, że by chciał. Hipotetycznie.

— W tym także cel zamachu?

— Oczywiście.

— Dlaczego?

— To musiałyby być coś możliwego do zaakceptowania.

— Jaki cel byłby wykluczony?

— Oczywiście kobiety i dzieci. Oraz rodzina królewska.

— A premier?

— To byłoby wejście w zupełnie inną sferę. To znaczy hipotetycznie. Myślę, że ten hipotetyczny facet nie angażował się wcześniej w wielką politykę.

— Wyłącznie w lokalną?

— Hipotetycznie.

— A zatem wiesz, jaki jest cel. Bo go zaaprobowałeś.

Bez odpowiedzi.

— To przypomina jedno z tych wielkich filozoficznych pytań, na temat których ludzie debatują w gazetach — stwierdził Bennett. — Przypuśćmy, że przed wschodem słońca musiałybyś odnaleźć tykającą bombę. Jak daleko byś się posunął, w sensie prawnym i etycznym?

Bez odpowiedzi.

— Jaki jest cel, panie White?

Charlie się nie odzywał. Patrzył to na mnie, to na Bennetta z błagalnym wyrazem twarzy, tak jakby chciał udzielić każdemu z nas innej odpowiedzi.

— Zostaw to na razie, Bennett — wtrąciłem się. — To nie zmienia tego, co musimy zrobić w następnej kolejności.

Bennett spojrzał na mnie, na Charliego i na Casey Nice, po czym wzruszył ramionami i cofnął się do okna. I kiedy to zrobił, wyważone wcześniej drzwi otworzyły się z trzaskiem na oścież i do środka wpadł facet z pistoletem, a za nim następny, i w szopie, w której było nas teraz sześcioro, zrobiło się nagle gorąco i ciasno. A potem jeszcze goręcej i ciaśniej. Nisko pod nadprożem, tam gdzie po drugiej stronie widniał napis *Bowling Club*, pojawiła się zgięta w kolanie noga wielkości kłody, masywny bark i zgarbione plecy i po chwili stanął przed nami we własnej osobie Mały Joey, wyprostowany, mający prawie dwa metry piętnaście centymetrów wzrostu, z potężną głową i ramionami ledwo mieszczącymi się pod spadzistym dachem.

Joey zabierał tyle miejsca, że jego dwaj faceci musieli przesunąć się do przodu, a my nie mieliśmy gdzie się cofnąć, wskutek czego staliśmy wszyscy ściśnięci niczym w wagonie metra, co oznaczało, że dość wcześnie nawiązaliśmy między sobą fizyczny kontakt: jeden z facetów Joeya napierał na Casey Nice, trzymając ją pod łokieć i wbijając prawdopodobnie lufę pistoletu w jej plecy, a drugi robił to samo z Bennettem. Nie miałem żadnej możliwości manewru. Glock pozostał w mojej kieszeni. Nie mogłem absolutnie nic zrobić, co najwyżej dostać skurczu w karku.

Z bliska i w bezpośrednim kontakcie Joey był paskudniejszy, niż się obawiałem. Nie przypominał w ogóle zawodników futbolu i koszykarzy, których widywałem dawno temu, gdy odwiedzali campus West Point. Tamci faceci byli olbrzymi, ale spokojni, skupieni i przede wszystkim zrównoważeni, widać było, że ich płyty czołowe sprawowały kontrolę nad tym, co się działo. Joey nie robił takiego wrażenia. Trudno go było porównać do małego nerwowego faceta, ale wstrząsały nim podobne drgawki i tiki. Wyglądał na nieźle stukniętego. Oczy miał głęboko osadzone, a dolna warga zwisała nad ledwo widocznym podbródkiem, odsłaniając wilgotne zęby. Prawą stopą przytupywał w podłogę, lewą dłoń zacisnął w pięść, a prawa była szeroko rozczapierzona i kompletnie sztywna.

Spojrzał najpierw na Charliego White'a, po czym odwrócił wzrok. Przyjrzał się Casey Nice, dokładnie, od stóp do głów, potem tak samo mnie i wreszcie Bennettowi, patrząc mu prosto w oczy.

— Myślicie, że nie zauważyłem zniszczonego ogrodzenia? — warknął. — I złamanego drzewa? Macie mnie za głupka? Myślicie, że tylko was stać na noktowizyjne lornetki? Myśleliśmy, że się stąd zwinęliście. Ale i tak postanowiliśmy to sprawdzić. I patrzcie, co znaleźliśmy.

Bennett nie odpowiedział. Rozpoznałem obu facetów Joeya. Widziałem ich na parkingu przy supermarkecie. To oni wysiedli z czarnego jaguara i ochraniali szefa. Dwóch z czterech. Najlepsi z najlepszych. Przy nim wyglądali jak miniaturowe ludziki. Zakładałem, że pozostali dwaj stoją na zewnątrz. W ciemności i na chłodzie. Zakładałem, że kierowca nadal siedzi w bentleyu przy wylocie szerokiej na metr ścieżki. Włożyłem ręce do kieszeni. W prawej miałem glocka, w lewej nóż do linoleum. Zerknąłem przez okno na niewyraźne zarysy oddalonej o czterysta metrów ulicy. Miałem nadzieję, że Kott nie ma noktowizyjnej lunety na swoim karabinie. Mógł wybrać oko, które chciał mi przestrzelić.

— Zabierz mnie stąd, Joey, dobrze? — odezwał się za moimi plecami Charlie White.

Ale Joey nie odpowiedział mu od razu, co dało mi promyk nadziei. Może wstępował na ścieżkę, która mogła nas doprowadzić do korzystnego rozwiązania. *Ma to wpisane w DNA. Tak jak szczury.*

— Oni są uzbrojeni, Joey — dodał Charlie. — Mają pistolety i noże.

Joey pokiwał głową, dwa centymetry w dół, dwa centymetry w górę, co przy jego masie było prawie niezauważalne. Facet stojący przy Bennecie puścił jego łokieć i zaczął mu obmacywać kieszenie. Znalazł sprężynowy nóż, teraz ze schowanym z powrotem ostrzem, oraz samopowtarzalnego sig sauera, model P226, który, moim zdaniem, preferują siły specjalne na całym świecie. Następnie facet stojący przy Casey Nice zrewidował ją w podobny sposób i znalazł kolejno jej glocka, nóż do linoleum oraz fiolkę, w której grzechotała samotna tabletka. Joey wyciągnął dłoń, wielkości pokrywy kosza do śmieci, i facet położył na niej fiolkę. Joey

wziął ją w swoje olbrzymie paluchy i przysunął do twarzy.

— Kto to jest Antonio Luna? — zapytał.

Casey Nice dwa razy otworzyła usta i je zamknęła.

— To mój przyjaciel — powiedziała w końcu.

— Jesteś uzależniona?

— Staram się nie być — odparła po chwili.

Joey podważył paznokciem wielkości piłeczki golfowej wieczko, które poleciało na podłogę, po czym odwrócił fiolkę do góry dnem i samotna tabletką wylądowała na jego dłoni. Wydawała się na niej bardzo malutka.

— Chcesz ją łyknąć? — zapytał.

Casey Nice nie odpowiedziała.

— Chcesz?

Bez odpowiedzi.

— Na pewno chcesz.

Cisza.

Joey przystawił dłoń do ust, połknął tabletkę i rzucił fiolkę na podłogę.

— Pospiesz się, Joey — powiedział Charlie White.

Joey wyciągnął rękę wielkości konara drzewa i odepchnął swoich facetów, wskutek czego ten, który trzymał Nice od tyłu za szyję, musiał stanąć wraz z nią przy samej ścianie, a drugi, trzymający tak samo Bennetta, przy samym oknie, obaj z widoczną teraz bronią, browningami high power z Belgii, wycelowanymi wprost we mnie.

Wyjąłem rękę z kieszeni.

Joey obrócił się bokiem, pokonał jednym gigantycznym krokiem lukę między swoimi facetami i stanął twarzą w twarz ze mną.

A raczej twarzą w obojczyk. Był ode mnie dwadzieścia centymetrów wyższy.

I dwadzieścia centymetrów szerszy. Same kości i mięśnie. Nie wyglądał jak kulturysta. Wyglądał jak normalny facet, tyle że cholernie silny i równomiernie przerośnięty, podobnie jak jego dom. Śmierdział ostrym i kwaśnym potem, na szyi pulsowała mu żyłka. To wszystko pobudziło pierwotne instynkty w tylnej części mojego mózgu, zwłaszcza ten najbardziej pierwotny, który pomagał nam przeżyć przez siedem milionów lat: instynkt ucieczki. Mój wrzeszczał, żebym spieprzał stamtąd w podskokach. Ale nie zrobiłem tego. Nie miałem dokąd uciec. Za sobą, a także po lewej i po prawej stronie miałem ściany, przed sobą Joeya. Spojrzałem w jego głęboko osadzone mroczne oczy i zobaczyłem, że jedna źrenica jest wielkości dziesięciocentówki, a druga lepka od szpilki.

— Co jeszcze zażywasz, Joey? — zapytałem.

— Zamknij się — warknął i podniósł rękę.

Miał długie i grube palce. Nie jak serdelki. Nietrafne porównanie. Były od nich szersze i twardsze. Bardziej przypominały zginające się w stawach puszek z coca-colą, z dwa razy większymi od moich opuszkami i dwa razy większymi paznokciami.

Wcisnął te palce w kieszenie mojej kurtki i wsunął je głębiej, może na dziesięć centymetrów, zbliżając się i dysząc, a potem szarpnął mocno i oderwał kieszenie od kurtki. Mój pistolet i nóż potoczyły się z brzękiem po podłodze, a on odsunął je stopą, kopnął za siebie, po czym odwrócił się i dając taki sam gigantyczny krok do tyłu, cofnął się do drzwi.

— Nie odchodź ode mnie, Joey — powiedział Charlie White.

Joey przestąpił z nogi na nogę. Podłoga zaskrzypiała i stojąca na sztorc latarka przewróciła się, omiatając nasze kostki promieniem światła. Charlie White zaczął się niecierpliwić; wiercił się i szarpał taśmy na nadgarstkach. Oceniałem, że Joey ma mniej więcej

półtorej sekundy na podjęcie decyzji. Jeśli będzie wahać się dłużej, więzy zaufania zostaną bezpowrotnie zerwane. Charlie nigdy już nie pozbędzie się podejrzeń. Na zawsze zapamięta, że jego podwładnemu przeszło przez myśl to, o czym wspomniałem Bennettowi.

Półtorej sekundy.

Joey podjął niewłaściwą decyzję.

— Chodźcie tutaj i zabierzcie pana White'a do domu! — zawołał przez drzwi, obracając swoją wielką głowę.

Było to jednak niemożliwe, dopóki tarasował wejście. W związku z czym znowu pochylił głowę, ugiął kolana, przecisnął się bokiem przez drzwi, prawa noga, skłon, lewa noga, i zniknął nam z oczu.

• • •

Faceci pilnujący Casey Nice i Bennetta nadal byli czujni i gotowi. Trzymali ich mocno za szyje i celowali z pistoletów częściowo w nich, częściowo we mnie.

— Jak się nazywają te nowe jednostki, do których cię wcielono? — zapytałem, spoglądając na Bennetta.

— Zamknij się — warknął facet, który go trzymał.

— Zmusz mnie — powiedziałem.

Nie zrobił tego. Domyśliłem się, że nie jest upoważniony do interwencji, chyba że będzie bezpośrednio zagrożony. W innym wypadku decyzja o naszym losie i o tym, jak zostaniemy potraktowani, miała zapaść na wyższym szczeblu, w późniejszym czasie.

— Tak naprawdę nie mamy żadnej nazwy — odparł Bennett. — Jeszcze nie. W tym momencie wszystko jest dość płynne.

— Czy współpracują z wami wasze siły powietrzne?

Bennett pokiwał głową.

— Mamy teraz całkowicie zintegrowane podejście.

— Możesz nam załatwić transport lotniczy?

— Do domu?

— Do Fort Bragg.

— Kiedy?

— Najlepiej byłoby już teraz. Ale powiedzmy, że za parę godzin.

— Jesteś optymistą.

— Staram się nie tracić pogody ducha, bez względu na okoliczności.

— O'Day nie przyśle po was samolotu?

— Wolałbym RAF. W zamian za to nie będę się domagał spotkania z królową.

W tym momencie do środka weszli faceci z zewnątrz, przecisnęli się między nami i pomogli Charliemu White'owi wstać. Przecięli własnymi nożami taśmę, którą miał skrepowane ręce w łokciach i nadgarstkach, a on rozmasował dłonie i poruszył ramionami, żeby przywrócić w nich prawidłowe krążenie, a potem wyprostował się, już nie zakładnik, ale ponownie przywódca gangu, emanujący władzą, siłą i pewnością siebie.

— Przegrałeś, chłopcze — powiedział, patrząc na mnie. — Wielka szkoda. Bo teraz czeka cię wyrok śmierci.

Spojrzałem na murawę, na której grano w kręgle, i na pogrążoną w mroku ulicę czterysta metrów dalej. Czy Kott nas obserwował? Wyobraziłem sobie okno w holu, półtora raza wyższe i półtora raza szersze niż okno w jakimkolwiek innym holu, z ustawionym za nim trójnogiem i noktowizyjną lornetką, kupioną być może przez internet, a być może skradzioną i przeszmuglowaną z wojskowych magazynów gdzieś w Wielkiej Brytanii albo na kontynencie,

i przykucniętego za nim Kotta, z oczyma przytkniętymi do gumowych pierścieni, patrzącego tam, gdzie kiedyś był fragment płotu i zwalone drzewo, ogarniającego wszystkie te srebrzyste szczegóły. Ale pole widzenia było wąskie. My mogliśmy zobaczyć dom, on mógł zobaczyć szopę, lecz ani on, ani my nie mogliśmy zobaczyć dużo więcej.

I bardzo dobrze.

Co mógł usłyszeć z odległości czterystu metrów? Browning high power był bronią kalibru dziewięć milimetrów, dobrze dopasowaną i niezawodną podobnie jak wszystkie inne produkty Fabrique Nationale, w związku z czym nie robił więcej hałasu niż to konieczne. Ale Kott powinien go usłyszeć. Późnym wieczorem na przedmieściach strzał z pistoletu będzie słychać z odległości czterystu metrów.

Z pewnością.

Być może.

Czy na karabinie miał zamontowaną noktowizyjną lunetę?

— Zaczekaj, Charlie — powiedziałem.

Charlie zatrzymał się i odwrócił, a ja uderzyłem go w twarz, potężnym prawym prostym, wyprowadzonym z mocno opartej stopy, najmocniej, jak mogłem, częściowo dlatego, że go nie lubiłem, a częściowo dlatego, że chciałem bez zbędnej zwłoki przywalić facetowi, który trzymał Casey Nice. I tak to mniej więcej wyglądało. Trafiłem Charliego prosto w nos, który, trzeba przyznać, był całkiem dużym celem, i poczułem, jak moja pięść miażdży go i sunie dalej, a potem Charlie upadł i jego głowa zeszła z toru uderzenia, a moment pędu poniósł mnie dalej w stronę Nice i stojącego za nią faceta.

W tym momencie było nas tam osiem osób i korzyść z walki w małej ciasnej szopie, z toczącą się po podłodze latarką, polegała na tym, że wszystko sprowadzało się do wzajemnego popychania się, szarpania i potykania, co nie pozwalało na oddanie celnego strzału, zważywszy, że gdzieś pomiędzy nami pałętał się główny mafioso, który tylko czekał, by stać się postronną ofiarą, i że Bennett atakował jednego, a ja drugiego z facetów. Casey Nice dokładnie wiedziała, co się kroi, i odsunęła się niczym duch, wykorzystując jednak wcześniej naszą wzajemną konfigurację i kopiąc faceta kolanem w jaja, gdy się obracała. Co znacznie mi pomogło, ponieważ w chwili, kiedy jego głowa powędrowała gwałtownie w dół, mój łokieć powędrował gwałtownie w górę, co podwoiło siłę uderzenia i pozwoliło mi zająć się natychmiast przybocznymi Charliego, którzy w tym momencie nadal mieli puste ręce i szli ku drzwiom, święcie przekonani, że Charlie podąży tuż za nimi, co było w zasadzie prawdą do chwili, gdy wylądował na podłodze.

Jeden z przybocznych podniósł ręce niczym bokser, całkiem wysoko, więc walnąłem go w brzuch, co tak czy owak lepiej pasowało do ciasnej przestrzeni: cios był zadany z bliska i nie wymagał wielkiego zamachu. Drugi facet skoczył, jakby miał zamiar wziąć mnie w niedźwiedzi uścisk. Nie było to nawet takie głupie, tyle że nie przebył całej drogi, bo bez względu na to, jak ciasne było wnętrze szopy, zawsze miałem dość miejsca na uderzenie bykiem, które trafiło prosto w cel. Facet padł, a ja odwróciłem się do tego, którego walnąłem w brzuch, i kopnąłem go kolanem w podbródek, również go nokautując. W tym momencie mijały już trzy sekundy od początku starcia i z całą pewnością narobiliśmy sporo hałasu, ale nie przejmowałem się tym, że Joey wbiegnie do środka, częściowo dlatego, że nie mógł wbiec przez jakiegokolwiek normalne drzwi, a częściowo dlatego, że nawet gdyby mu się to udało, nie musiałbym się nim od razu przejmować.

Ponieważ wiedziałem coś na jego temat.

Bennett dobrze sobie radził. Trzymał kciuk w oku swojego faceta, a drugą ręką miażdżył mu gardło. Miażdżył w dosłownym znaczeniu tego słowa. Jego palce były zaciśnięte na krtani



tamtego, wykręcały ją i rozrywały. Nie dlatego rządzą światem, że byli mili. Co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Podniosłem latarkę, zaczekałem, aż Bennett upora się ze swoim przeciwnikiem, następnie zaś przeszukałem podłogę i znalazłem trzy nasze pistolety, a także cztery należące do ludzi Joeya, identyczne browningi high power model 1935. Browningi były wszystkie nowe. Wszystkie z pełnymi magazynkami, ale bez naboju w komorze. Byliśmy bezpieczniejsi, niż nam się zdawało. Dałem po jednym browningu każdemu, po czym wyjąłem magazynki z czwartego i podałem Casey Nice, żeby schowała go do kieszeni.

— Chodźmy poszukać Joeya — powiedziałem i ruszyłem w stronę drzwi, ale Bennett złapał mnie za ramię.

— Nie możemy tak po prostu stąd wyjść — stwierdził. — Zwłaszcza z latarką. Będziemy jak kaczki na strzelnicy.

— Nie przekombinujmy tego wszystkiego — odparłem.

Bennett posłał błagalne spojrzenie Casey Nice, jakby uważał, że odebrało mi rozum.

— Na pewno nic nam się nie stanie — powiedziała.

Uśmiechnąłem się. Ona też zdała sobie z tego sprawę. Prawdopodobnie w trakcie sceny z tabletką.

— Joey nie jest uzbrojony — rzuciłem. — To jedyna rzecz, której możemy być pewni.

— Jakim cudem? — zapytał Bennett.

— Ponieważ wiemy, że w całym swoim dorosłym życiu nigdy nie oddał strzału z pistoletu, strzelby, karabinu, wiatrówki i w ogóle z żadnego rodzaju broni palnej.

— Skąd o tym wiemy?

— Bo żaden kabłąk przy spuście nie jest dostatecznie duży, by zmieścić się w nim jego palec. Po prostu go tam nie wsadzi. Żeby nie wiem jak się starał. Nie pociągnął za spust, odkąd skończył siedem lat. I nawet wcześniej musiał się nieźle nagimnastykować. Stoi tam na zewnątrz, nieuzbrojony, a my mamy sto cztery sztuki ostrej amunicji i latarkę.

Latarkę miała Casey Nice. Ja trzymałem w obu rękach pistolety, głównie dlatego, że nie miałem kieszeni. Bennett szedł za nami, oglądając się na lewo i prawo, zabezpieczając tyły i boki. Nice kierowała latarkę na wszystkie strony, robiąc to bardzo szybko, malując nocne niebo, oświetlając przedmioty stroboskopowym światłem, pozwalając, by powidoki wypełniały luki w tym, co zobaczyliśmy.

Ani śladu po Joeyu. W pierwszym momencie. Promień latarki oświetlił całkiem długi odcinek szerokiej na metr ścieżki i tam go nie było. A gdyby nią pobiegł, powinniśmy go zobaczyć. Bo właściwie nie pokonywałby jej biegiem. Musiałby przemieszczać się bokiem, a to powinno go znacznie spowolnić. Sprawdziliśmy miejsce, gdzie czekałem na Bennetta, ale i tam go nie było. Sprawdziliśmy miejsce po przeciwnej stronie. Bez skutku.

Zastygliśmy w bezruchu i nasłuchiwalismy. Żadnych odgłosów. Na niebie wciąż widać było żółtą poświatę, ale domy wokół nas spowijał mrok. W oknach gasły światła. Ludzie udawali się na spoczynek. Ich dzieci poszły spać już wcześniej. Wkrótce już wszyscy dookoła powinni smacznie spać. Tu i tam widziałem niebieski poblask telewizorów. Nocne marki oglądały być może filmy, mecze albo programy dokumentalne, które, miałem nadzieję, rzucały ciekawe światło w sensie edukacyjnym, ponieważ z całą pewnością nie robiły tego w sensie fizycznym. Polowaliśmy na olbrzyma w kompletnej ciemności.

I nie szło nam zbyt dobrze, dopóki w czwartej kolejności nie zrobiłem tego, co powinienem zrobić w pierwszej, to znaczy nie postawiłem się na jego miejscu, nie zacząłem myśleć tak jak on, nie stałem się nim choć na chwilę. Co bym zrobił? Nie mam broni, ochroniarze znokautowani, kierowca zbyt daleko, by go wezwać, rejterada bokiem w podskokach zbyt wolna. Nie żebym w ogóle musiał rejterować i nie żebym potrzebował wsparcia. Poradzę sobie świetnie sam. Jestem w końcu Małym Joeyem Greenem, byłem nim przez całe życie.

Ale lubiłem widownię.

Której w tym szczególnym momencie nie miałem. Na murawie klubu nie rozgrywano akurat World Series w bowlingu. Wszędzie dookoła ludzie zaciągali zasłony i udawali się na spoczynek. Było tylko jedno miejsce, gdzie Joey mógł znaleźć publiczność. Co prawda jednoosobową, lecz wierną. Publiczność w postaci sojusznika, być może nawet przyjaciela i jak chciałby sądzić Joey, równego mu profesjonalisty.

Mógł go obserwować John Kott, przez noktowizyjną lornetkę.

Albo przez noktowizyjną lunetę.

Dałem znak i Casey Nice zgasła latarkę, a my podeszliśmy do drugiego końca szopy i stanęliśmy tuż przy jej oknach, co oznaczało, że zobaczyliśmy to samo, co widzieliśmy już wcześniej przez lornetki, czyli kwadratowy, utrzymany w nieskazitelnym stanie trawnik. Ale tym razem na samym jego środku stał Joey, samotny olbrzym pod żółtawym nocnym niebem, tańczący, kołyszący biodrami, drepczący w miejscu, wymachujący ramionami i kręcący dziko głową.

•••

Zorientowałem się natychmiast, po co to robi i dlaczego. Jakiś rodzaj zwierzęcego sprytu. Szczurzej inteligencji. *Ma to wpisane w DNA*. Nie miał w ręku pistoletu. Jak mógł odebrać nam z rąk nasze pistolety? *Ludzie udawali się na spoczynek. Ich dzieci poszły spać już wcześniej.* Tańczył, żebyśmy chybili. Czego nie mieliśmy prawa zrobić. Nie w tym miejscu. Nie chodziło

o to, że prawdopodobieństwo chybienia było wysokie. Było jak jeden do stu. Albo jeszcze niższe. *To przypomina jedno z tych wielkich filozoficznych pytań, na temat których ludzie debatują w gazetach.* Jakiej pewności potrzebowałaby odpowiedzialna osoba? Ale nawet celny strzał mógł przejść na wylot. Na przykład przez miękką tkanę szyi. Co nie zmniejszyłoby szybkości pocisku. Następny przystanek: pomalowana na różowo albo niebiesko sypialnia. Pocisk mógł też odłupać kość i odbić się pod nieprzewidywalnym kątem. Mógł trafić nocnego marką, zanim mecz dobiegłby końca. Mogła paść wyrównująca bramka i zarządzono by dogrywkę. Nigdy nie dowiedziałby się, czym to się skończyło.

Czy mogłem do niego strzelić? Tak, do diabła. Mały Joey był dostatecznie duży. Czy powinienem strzelić? Skoro niedaleko za nim, po prawej i lewej spały za cienkimi szybami dzieci?

Schowaliśmy się z powrotem w cieniu i oparliśmy się o ścianę szopy. Niech potańczy jeszcze przez minutę, pomyślałem. Może się zmęczy. A to mogłoby nam pomóc. Taką miałem nadzieję.

•••

Nice i Bennett obeszli dookoła murawę i stanęli na czymś, co wyglądało jak wysypana żwirem stara bieżnia. Może biegali nią w tę i we w tę sędziowie. Albo jurorzy. Nie miałem pojęcia o regulaminie tej dyscypliny. Bennett odszedł trochę dalej i w końcu stanęli w odległości mniej więcej sześciu metrów od siebie, tak że gdyby któreś z nich musiało jednak strzelić do Joeya i chybiło, pocisk powinien utkwic w sześćdziesięcioletnim drewnie szopy. Albo w najgorszym razie znacznie zwolnić.

Nie miałem już z przodu kieszeni, w związku z tym wsadziłem oba pistolety w tylne kieszenie spodni i wszedłem na murawę. Trzymałem się lewej strony, żeby masywne ciało Joeya znajdowało się między mną i należącym do niego odległym domem, z jego licznymi oknami, z których każde mogło stanowić pozycję strzelecką. Czteryście metrów. Niecała sekunda. Jeden tysią... i gra skończona.

Powoli ruszyłem dalej. W stronę Joeya. Zobaczył, jak się zbliżam, wyłaniam z żółtego mroku, i dostrzegłem błysk jego zębów, kiedy uśmiechnął się i zaczął cofać, odpowiadając krokiem do tyłu na każdy mój krok do przodu, prowadząc mnie w stronę swojego odległego domu. Nie był głupi. Po trzech krokach znalazł się poza bezpieczną strefą Casey Nice, a po czterech poza strefą Bennetta. Wyczułem, jak opadły im ramiona, i usłyszałem w ciszy brzdąknięcie telefonu Bennetta, który odebrał wiadomość. Miałem nadzieję, że to jest informacja na temat szyby. Która mogła być interesująca. Jeśli zdołam przeżyć i ją przeczytać.

Joey obejrzał się przez ramię, sprawdził, jak jesteśmy ustawieni, zatrzymał się i znowu zaczął swój taniec, skacząc w prawo i w lewo i pochylając się na boki. Jego olbrzymie stopy wrywały z podłoża kawałki darni. Domyślałem się, że właściciele klubu będą niezłe wkurzeni. Miałem nadzieję, że kupili porządne ubezpieczenie. Albo wielki worek nasion.

— Posłuchaj, Joey — odezwałem się. — Powiem ci, o co chodzi. Muszę się dostać do twojego domu. Kiedy cię tam nie będzie. Opcja numer jeden jest taka, żebyś się od razu zgodził.

— Jaka jest opcja numer dwa? — zapytał.

— Radzę ci wybrać opcję numer jeden.

— Dom Anglika to jego twierdza.

— Rozumiem to, Joey. Naprawdę. Ale wyobraź mnie sobie jako wikinga. Albo marudera zbuntowanej armii. Albo jako najeźdźcę. Mam zamiar zdobyć twoją twierdzę. Będzie dla ciebie lepiej, jeśli nie ucierpisz podczas szturmów.

— Może to ty ucierpisz?

— Mógłbyś mi pomóc, Joey. Mógłbyś mi powiedzieć, gdzie chowa się Kott i jego ochroniarze, mógłbyś uprzedzić mnie o innych zagrożeniach. Masz jakieś śliskie dywaniki? Chybotliwe meble? Nie chciałbym się poślizgnąć i upaść.

— Jesteś już martwy.

— Jakim cudem, Joey? Masz jakąś broń?

Nie odpowiedział.

— Tak też sądziłem. Masz ze sobą jakichś ludzi poza tymi czterema, którzy leżą w szopie nieprzytomni i połamani?

Nie odpowiedział.

— Tak też sądziłem — mruknąłem.

Joey nadal tańczył, choć nie tak energicznie jak wcześniej. Przemieszczał się w lewo i w prawo, a ja przemieszczałem się razem z nim, dbając o to, by znajdował się zawsze między mną i domem. Przez cały czas miałem do niego dwa kroki, co oznaczało, że on miał do mnie jeden. Czyli był dość blisko, żebym miał się na baczności, biorąc pod uwagę, jak szybko się poruszał na parkingu przy supermarkecie.

Nagle wsunął dłoń do kieszeni. Prawej kieszeni marynarki. Dużą dłoń. Do dużej kieszeni. Wyjął z niej komórkę, zbliżył ją do ust, powiedział „Zadzwoń do Gary’ego” i przystawił do ucha jak ktoś normalny. Miał zbyt duże palce, żeby wybrać numer. Jego telefon przyjmował komendy głosowe. I robił to najwyraźniej skutecznie, bo ktoś odebrał.

— Gary, tu Joey — powiedział. — Oddzwoń do mnie za dziesięć minut, dobrze? Jeśli nie odbiorę, zejdź z pokładu. Każdy jest zdany tylko na siebie. Jasne?

I najwyraźniej było to jasne, bo Joey zakończył rozmowę i schował komórkę z powrotem do kieszeni. I stał dalej w miejscu.

Moja matka ustanowiła pewne zasady dotyczące bójek. Wychowywała dwóch synów w bazach piechoty morskiej, więc nie mogła ich całkowicie zakazać. Ale wprowadziła pewne ograniczenia. Pierwsza zasada była czysto praktyczna. *Nie wdawaj się w bójkę, kiedy masz nowe ubranie.* Które, jak na ironię, właśnie na sobie miałem. Drugą zasadę można było określić jako moralną albo etyczną, chociaż matka określała ją po prostu słowem *correct*, które po francusku znaczyło zupełnie co innego niż po angielsku. *Nigdy nie wszczynaj bójkę pierwszy*, brzmiała. Ale trzecia zasada głosiła, żeby jej nigdy nie przegrywać.

Z czym jako mały dzieciak nie mogłem się zgodzić. Czasami trzeba zadać pierwszy cios, w przeciwnym razie nigdy się nie wygra. Czulem, że te dwie zasady wzajemnie się wykluczają. Podpowiadało mi to doświadczenie. Przerodziło się to w wielki rodzinny spór. Bez przerwy o tym dyskutowaliśmy. Działo się to w latach sześćdziesiątych, a ona była Francuzką. W końcu zgodziliśmy się, że zasady są rzeczywiście niespójne. Może były po prostu czymś w rodzaju testu Rorschacha? Czy jesteś facetem kierującym się zasadą drugą, czy kierującym się zasadą trzecią? Mój brat Joe kierował się zasadą drugą. Ja kierowałem się zasadą trzecią. Moi rodzice po raz pierwszy w życiu spojrzeli na nas inaczej. Nie wiedzieliśmy, który z nas ma rację, a który nie. Wysyłali niejasne sygnały. Byli przyzwoitymi ludźmi, ale służyli w piechocie morskiej.

Ja kierowałem się zasadą trzecią. Nigdy nie przegrywaj. Jej stosowanie wyszło mi na dobre, nawet jeśli od czasu do czasu oznaczało naruszenie zasady drugiej. Czasami trzeba było zacząć bójkę. Tak jak na przykład teraz. To było jasne: musiałem uderzyć Joeya, zanim on uderzy mnie.

Ale w tym momencie znowu się odezwał.

— Jestem romfordczykiem — powiedział.

— Ktoś chyba musi nim być — odparłem.

— Dotrzymujemy słowa. Żeby dorwać pana Kotta, musisz najpierw mieć do czynienia ze

mną.

— To coś jak wizyta u dentysty. Zrobię to, jeśli będę musiał.

— Uważasz, że możesz mnie pokonać?

— Chyba tak.

— Nie lubię zbytnio pana Kotta — przyznał Joey.

— Ja też nie.

— Ale jestem romfordczykiem. Dotrzymuję słowa.

— Więc?

— Więc postarajmy się, żeby było ciekawie — powiedział i umilkł, jakby znalazł nagle sposób, by darować sobie przydługie wyjaśnienia. — Słyszałeś moją rozmowę telefoniczną? — zapytał, wskazując kieszeń.

— Tak — odparłem.

— Gary jest szefem dzisiejszej zmiany przydzielonej do ochrony pana Kotta. Słyszałeś, co mu powiedziałem. Jeśli odbiorę telefon, będzie to oznaczało, że zniknąłeś ze sceny i możemy prowadzić normalnie dalej nasze interesy. Jestem romfordczykiem i dotrzymałem słowa. Ale nie chcę, żeby moi ludzie mieli na głowie cały ten syf, jeśli nie będę mógł tego nadzorować. Więc jeżeli nie odbiorę telefonu, natychmiast się zwiną i będziesz miał pana Kotta na talerzu.

Gdybyśmy byli na zajęciach i zastosowali metodę sokratejską, być może udałoby się wydobyć ze słów Joeya jakieś głębsze znaczenia i uznać, że chodziło mu o wysoką stawkę tej gry, a także o wyimaginowane pojęcia lojalności, honoru i poświęcenia. Z drugiej strony może lubił się po prostu napażać i trudno było mu znaleźć przeciwników, jeśli ich czymś nie przekupił. Tak czy inaczej, długo się nad tym nie zastanawiałem, ponieważ Joey cofnął się o krok i przykucnął, jakby czekał na sygnał do walki. Który musiał chyba usłyszeć wcześniej ode mnie, bo wyłonił się nagle z ciemności niczym kula do burzenia budynków, dwa razy szybszy niż na parkingu przy supermarkecie, podnosząc prawy łokieć i kierując go w dół, co sprawiło, że przypomniałem sobie z zimnym dreszczem, jak potraktowałem faceta z furgonetki. Chciał mnie załatwić już na samym początku. *Jedynym sposobem, by poradzić sobie z nagłym ciosem łokciem, jest obrót, pochYLENIE SIĘ DO PRZODU I PRZYJĘCIE UDERZENIA RAMIENIEM.* I tak też zrobiłem. *Co jest zawsze bolesne i może spowodować utratę czucia.* Co było bolesne i doprowadziło do utraty czucia. *Ale pozwala na ogół utrzymać się na nogach.* Mnie pozwoliło.

Ale mało brakowało, żebym nie był. Sto pięćdziesiąt cztery kilogramy uderzające z całą siłą. Jediną odpowiedzią mogło być minięcie go i zajęcie pozycji z drugiej strony. W związku z czym stanąłem teraz odwrócony plecami do jego domu, więc zgodnie z tym, co ustaliliśmy, Casey Nice oświetliła mnie latarką, krótko, tylko na dwie sekundy, co, jak się spodziewaliśmy, powinno oślepić noktowizory i dało nam dodatkową korzyść, bo rozproszyło na chwilę Joeya, dzięki czemu uderzyłem go lewym sierpowym w gardło i krótkim prawym prostym w nerkę — mocniej, niż kiedykolwiek cokolwiek uderzyłem, z pełną koncentracją — a potem cofnąłem się szerokim łukiem na poprzednią pozycję, żeby Kott, gdyby jednak strzelił, trafił Joeya, nie mnie, i żebym mógł ocenić szkody, które wyrządziłem.

Niestety, nie okazały się one zbyt duże. I to nie zachęcało do dalszej walki. Problemem nie były rozmiary. Nie same w sobie. Tak naprawdę najbardziej trzeba uważać na facetów, którzy tak się napompowali, że przestali odczuwać ból. Ich ciało nie potrafi im powiedzieć, żeby sobie odpuścili. I wtedy rozmiary stają się problemem. To był przypadek Joeya. Uderzyłem go dwa razy i zrobiłem to mocno, lecz on nadal stał na nogach, wesoły jak skowronek, wciąż wyższy ode mnie o dwadzieścia centymetrów i o trzydzieści kilo cięższy.

— Dziesięć minut — powiedział. — Tyle ci zostało. Teraz chyba trochę mniej.

Na jego twarzy widniał wyraz rozmarzenia, niczym u dawnego zawodowego pięściarza, faceta z dziewiętnastego wieku, który zabłąkał się w dwudziesty pierwszy, londyńczyka żywcem wyjętego z filmu według Karola Dickensa. Człowieka młodego wiekiem, ale pochodzącego z dawnych czasów, lata temu wycofanego z obiegu, zwykłego obwiesia, nic więcej. Tymczasem tylna część mojego mózgu podpowiadała mi, żeby walić go dalej w nerkę, po prawej stronie. Miałem nadzieję, że uda mi się rozwalić komórkę, którą trzymał w kieszeni, dzięki czemu Gary za cholereę się do niego nie dodzwoni i Casey Nice z Bennettem będą mieli ułatwione zadanie.

Joey doskoczył bliżej. Zawodowy pięściarz, ale wcale nie pierwszorzędny. Wyprowadził prawy sierpowy, który zobaczyłem z odległości kilometra i uchyliłem się, jakbym robił przysiady w sali gimnastycznej. Jego pięść świsnęła nad moją głową, a moment pędu poniósł go dalej, co spowodowało, że prawa nerka znalazła się na mojej wysokości, więc huknąłem w nią ponownie, kolejnym krótkim prostym, herkulesowym ciosem, który mógł złamać młode drzewo albo zabić muła. I który należał do najmocniejszych w moim życiu, a to chyba coś znaczyło. Mechanicznie zareagował jak najbardziej prawidłowo. Wygiął się gwałtownie do tyłu pod wpływem siły

uderzenia, sapnął głośno, gdy wstrząs dosięgnął jego płuc, a potem zatoczył się i zeszywniała mu noga.

Ale nie runął na ziemię, skowycząc z bólu, co powinien zrobić. Normalny człowiek zapadłby w tym momencie w śpiączkę. Wszystkie wewnętrzne organy w ogniu, miliony noży wbijanych w plecy, brak tchu, by krzyknąć. Ale Joey westchnął tylko, zadygotał niczym jakiś kręglarz amator i przybrał z powrotem pozycję bojową. Może pomógł mu zolof. Odnotowałem w pamięci, żeby zapytać Casey Nice o fizyczne działanie.

Następnie zaś zmieniłem plan, na wojnę mobilną. Skoro nie mogę go znokautować, być może zdołam sprawić, że sam się wywróci. Bo w końcu musiał leć na trawie. Nic innego nie wchodziło w grę. Wiedziałem, gdzie nie ma dzieci. Zacząłem tańczyć wokół niego, doskakując, odskakując i zmieniając gwałtownie pozycje. Komuś postronnemu mogłem się wydać komicznie niezgrabny, ale w porównaniu z Joeyem po raz pierwszy w życiu byłem zwinnym małym facetem, który kluczy, manewruje i robi uniki.

Trawa była miękka, a on bardzo ciężki i trzy razy o mało się nie wywrócił. Nadal nie zwalniałem tempa, głównie z powodu Kotta, ale częściowo ze względu na nie do końca sprawdzoną teorię, że w każdych zawodach większy facet męczy się szybciej. Krążyliśmy wokół siebie i w pewnym momencie jego stopy na pół sekundy zostały w tyle za ciałem; trzasnąłem go łokciem, ale sparował uderzenie w podobny sposób, w jaki ja uczyniłem to wcześniej, po czym odskoczyliśmy od siebie i zaczęliśmy od nowa.

Zmieniłem plan po raz drugi. Wiedziałem, że sam się nie wywróci. Potrzebował do tego pomocy. Której chętnie mogłem mu udzielić. I coraz bardziej się do tego paliłem. *Uważasz, że możesz mnie pokonać?* Może Scarangelo miała rację. *Jest pan tak samo zły jak on. Nie mógł znieść, że ktoś rzuca mu wyzwanie.* Choć właściwie trochę się myliła. Nigdy nie chodziło o wyzwanie. Zawsze chodziło o tego drugiego faceta. Nie lubiłem Joeya Greena. Częściowo ze słusznych powodów, tych samych, dla których nie lubiły go nastolatki z Łotwy i Estonii oraz facet z dziećmi do wyżywienia, lecz w dużej części z powodów zamierzchłych i atawistycznych, ponieważ na każdy rok, odkąd ludzie są cywilizowani, przypada siedemset lat, kiedy byli prymitywni, i to pozostawiło pewne złogi, a w tym momencie rządziła nieodwołalnie tylna część mojego mózgu. Moje plemię chce, żeby cię nie było, chłopie. A poza tym jesteś szkaradny. I jesteś cipą.

Doskoczyłem do niego z prawej, doskoczyłem z lewej i wbiłem obcas w jego kolano pod tym samym kątem co przy wyważaniu drzwi, ale z siłą większą niż ta, której użyłem łącznie przy wyważaniu wszystkich drzwi w moim życiu. Być może miał spapraną reakcję na ból, ale kość to coś fizycznego i kiedy się łamie, to się łamie. I jego kość się złamała. Czulem, jak pęka pod moim butem. Ale rzepka kolanowa nie jest kością nośną. Facet nie upadł. Zamiast tego dał krok do przodu zdrową nogą i uderzył mnie w pierś, kolejnym prawym sierpowym, ale szybszym, zbyt szybkim, by go przewidzieć, a ja poleciałem do tyłu i padłem na ziemię, rżąc i charcząc, próbując złapać powietrze, odturlać się na bok i podnieść na czworaki, co w końcu zrobiłem i zdążyłem odpełznąć, zanim bez względu na to, czy miał złamane kolano, czy nie, zdołał zabić mnie kopniakiem.

Kiedy zobaczył mnie na ziemi, krew w nim zawrzała i ruszył w ślad za mną, być może trochę nierównym krokiem, lecz dostatecznie szybko, bym musiał się salwować rozpaczliwą ucieczką. Podniosłem się na nogi, odskoczyłem i zacząłem od nowa. Skończyły mi się pomysły i zostało mniej więcej sześć minut. Nadal zwawo się poruszałem, stale pamiętając o odległym domu i stale manewrując, a Joey, chcąc dotrzymać mi kroku, w pewnym momencie cały się wykręcił i wtedy kopnąłem go ponownie w rozwalone kolano, naprawdę mocno, z druzgoczącym efektem, lecz płacąc za to pewną cenę, bo zamachnął się na odlew, być może tylko z czystej furii,

a być może przewidując, że tam właśnie się znajdę, lecz tak czy inaczej wygrał. Wierch jego potężnej dłoni trafił mnie w czoło i poczułem się tak, jakbym wpadł z pełną szybkością na sznur od bielizny.

Runąłem na wznak na ziemię, ale moje wcześniejsze starania ocaliły mi życie. Joey nie mógł się obrócić. Nie bardzo wiedział, jak to zrobić. Jego kolano było zablokowane. Być może go nie bolało, ale inżynierii nie da się oszukać. Odpełzłem na plecach i ponownie podniosłem się na nogi. Przez chwilę stałem w miejscu, opierając ręce na kolanach, ciężko dysząc i nie mogąc wyjść ze zdumienia. Uderzyłem faceta pięć razy, jednym lewym, dwoma prawymi oraz dwoma kopniakami, lecz on nadal trzymał się na nogach. A drugi prawy powinien był położyć każdego człowieka. A także konia, goryla i słonia.

Miałem problem.

I nagle pomyślałem o piłce nożnej, której mecz oglądały być może nocne marki, i spojrzałem na trawę, gładką, płaską i równą, śliską od nocnej rosy. Joey stał bokiem do mnie. Cofnąłem się o krok, podbiegłem bliżej, po czym padłem na ziemię i przesunąłem się po niej tak, jakbym skręcał na nartach, dotykając trawy biodrem w tym samym momencie, kiedy moje zgięte golenie uderzyły z tyłu w jego łydki, co w piłce nożnej jest brutalnym faulem, zasługującym na żółtą, a może nawet czerwoną kartkę, jeśli sprawca zrobił to umyślnie, tak jak to miało miejsce w moim wypadku. Zmasakrowałem mu równo łydki, kostki i pięty, a on wzbil się w powietrze i wylądował na plecach tak samo teatralnie jak każdy rozpuszczony gwiazdor ligi europejskiej.

Potem wystarczyło już tylko podnieść się z powrotem na nogi, dać sprężyste dwa kroki do przodu, wyciągnąć glocka z tylnej kieszeni spodni i skoczyć w górę niczym dziecko, które z radością daje susa w zaspę śniegu, tyle że nie było w tym żadnej radości, zaspą była brzuchem Joeya, a ja opuściłem pistolet nisko, tak by wszystkie trzy punkty — moje lewe kolano, moje prawe kolano oraz lufa — utworzyły idealny trójkąt i wbiły się całą masą moich stu piętnastu kilogramów w jego splot słoneczny. I wtedy pociągnąłem za spust.

Byłem facetem, który kierował się zasadą numer trzy.

•••

Na zajęciach z patologii nazwaliby to gwiazdzistą raną wlotową. Lufa była mocno przyciśnięta do Joeya i naturalnie najpierw wyleciał z niej pocisk, robiąc w jego ciele elegancką dziewięćmilimetrową dziurę. Nie pozostawała ona jednak elegancka zbyt długo, bo eksplodujący gaz, nie mogąc się przedostać gdzie indziej niż tylko w dół, w głąb ciała Joeya, które nie było takie twarde jak lufa pistoletu, utworzył natychmiast gorący bąbel wielkości piłki do kosza, a ten rozerwał skórę przy ranie wlotowej, nadając jej kształt pięcioramiennej gwiazdy.

Pierwsza korzyść z tego była taka, że poniósł natychmiastową śmierć. Z tej odległości, praktycznie zerowej, zniszczeniu uległo wiele organów. Kręgosłup, serce, płuca, różnego rodzaju arterie. Druga korzyść polegała na tym, że pocisk, który przeszedł przez niego na wylot, bo nie dało się tego uniknąć, mógł zabić tylko żyjące w ziemi robaki. Na przykład pasożytnicze larwy muchówek, za co klub bowlingu powinien mi być wdzięczny.

Trzecia korzyść była taka, że wewnątrz klatki piersiowej Joeya zadziałało tłumiąco. Tak jakbym zamontował na lufie tłumik wielkości beczki na ropę. Sprawdził się całkiem dobrze. Strzału nie było prawie słychać. Mimo to Bennett wołał dmuchać na zimne.

— Słyszałem strzał — powiedział, podchodząc do mnie.

— To oczywiście, że musiałeś słyszeć — odparłem. — Stałeś tylko piętnaście metrów dalej.

— Jeśli usłyszałem go ja, sąsiedzi też go słyszeli — stwierdził, po czym wyjął komórkę i wysłał gdzieś krótkiego SMS-a.



— Co robisz? — zapytałem.  
— Dałem znać, że to nasi ludzie. Jeśli ktoś zadzwoni na posterunek, powiedzą mu, że to strzelec czyjś gaźnik i żeby się nie przejmował.  
— Możecie robić takie rzeczy?  
— Jak widzisz.  
— Od jak dawna?  
— Pewne utrudnienia zostały wyeliminowane na bardzo wczesnym etapie działań.  
Nie odezwałem się.  
W kieszeni Joeya zaczęła dzwonić komórka.  
Dzwoniła dość długo.  
Zaczekaliśmy, aż przestanie.  
— Trzeba ruszać — powiedziałem. — Musimy być pewni, że Kott nie zwieje razem ze swoimi ochroniarzami. Powinniśmy obserwować ten dom. Ale ze znacznie bliższej odległości.  
— Najkrótszą drogą między dwoma punktami jest linia prosta — wtrąciła się Casey Nice, po czym ruszyła tą samą trasą, którą wiał huragan, a my podążyliśmy w ślad za nią, po pniaku pozostałym po czymś zwalonym drzewie i przez wyrwę w płocie należącym do kogoś innego.

Po drodze naruszyliśmy chyba bezprawnie granice pięciu posiadłości i pozostaliśmy na terenie ostatniej z nich, za niskim zdobionym murem, biegnącym po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko domu Joeya. Który mogliśmy obejrzeć z bliska. Widok był lepszy niż przez jakąkolwiek lornetkę. Na podjeździe stał czarny jaguar. Bramy były zamknięte, podobnie jak gigantyczne drzwi. Miały mosiężny otwór na listy oraz klamkę, pod którą była pojedyncza dziurka od klucza. Kryjąca bez wątpienia jakiś wymyślny wieloryglowy wpuszczany zamek, zalecany przez firmy ubezpieczeniowe na całym świecie. Chociaż Joey Green nie potrzebował żadnego ubezpieczenia poza tym, które zapewniało mu jego nazwisko.

I nagle jak na zawołanie bramy odsunęły się na rolkach, gigantyczne drzwi się otworzyły i wybiegli przez nie czterej faceci — zupełnie jakby z samolotu wyskoczyli spadochroniarze. Sprawiali wrażenie skonsternowanych i zbitych z tropu. Potykali się, zerkali w lewo i w prawo, jeden z nich wkładał płaszcz, drugi przeczesywał palcami włosy. Wsiedli do jaguara, wyjechali przez bramę, dodali ostro gazu i po chwili zniknęli z pola widzenia.

Bramy zostawili otwarte.

John Kott nie wychodził.

Nie pojawił się po minucie, po pięciu minutach ani po dziesięciu.

Został w środku, żeby walczyć do końca.

— Masz informację na temat szyby? — zapytałem, spoglądając na Bennetta.

— Jest po francusku — odparł.

•••

Otworzył ją dla mnie w swoim smartfonie. To był skan albo faks skserowanego dokumentu. Bardzo długi. Musiałem przesuwając palcem po ekranie, żeby go przewinąć. W kilku różnych miejscach oznaczony był jako ściśle tajny.

— Czy po pięciu minutach ulegnie samospaleniu? — zapytałem.

— Nie, ale ja mogę to zrobić — mruknął Bennett.

— Dziękuję, że to dla mnie zdobyłeś.

— Nie ma o czym mówić. Mam nadzieję, że się do czegoś przyda.

Był po francusku, bo szkło to we Francji duża sprawa. Historia technologicznego sukcesu, wszędzie na świecie. Wszelkiego rodzaju kieliszki, sprzęt hotelowy, z naciskiem na przemysłową wydajność i wytrzymałość. Można cisnąć francuskim kieliszkiem do koniaku niczym piłeczką baseballową i prawdopodobnie nic mu się nie stanie. Kto jest bardziej predestynowany do tego, żeby rozwijać nowoczesną technologię szyb kuloodpornych? Pewne laboratorium badawcze w Paryżu podjęło się zadania. Jak zawsze chodziło o połączenie maksymalnej przejrzystości z optymalną wytrzymałością. Nie ma sensu chować prezydenta za czymś, co jest bezpieczne, ale mętne. Strona wizualna ma kolosalne znaczenie. Agencje bezpieczeństwa we wszystkich ważniejszych państwach NATO przekazały fundusze i ludzie we Francji zabrali się do roboty.

Pierwsza niespodzianka była taka, że nie nazwali tego szybą kuloodporną. Nazwali to przezroczystym pancerzem. Druga polegała na tym, że produkt finalny nie zawierał szkła. Ani śladu. Wcześniejsze panele kuloodporne wytwarzano metodą warstwową, ze szklanych tafli przedzielonych i oklejonych miękkimi termoplastycznymi poliwęglanami. Część szklanych tafli była bardziej, a część mniej twarda, co pozwalało na pewną elastyczność. Rezultaty były na ogół dobre, ale wyłaniały się dwa problemy. Po pierwsze, krawędzie gotowego produktu wyglądały

jak sklejka. Po drugie, współczynnik załamania światła był dla każdej warstwy inny, co sprawiało, że pod pewnymi kątami człowiek miał wrażenie, że patrzy na sześć różnych pływackich basenów. Niedoskonała strona wizualna. Słaby efekt w telewizji.

Dlatego naukowcy dali sobie spokój ze szkłem i zainteresowali się aluminium. Co mogło mi się wydać czymś osobliwym, ale jak to z chemią bywa, wiele rzeczy nie jest dokładnie tym, czym się wydaje. Substancja, o której mowa, była właściwie tlenoazotkiem glinu, czyli, jak twierdzili, przezroczystym polikrystalicznym materiałem ceramicznym o strukturze spinelowej, składającym się z glinu, tlenu i azotu. Podano wzór chemiczny, w którym pełno było dużych liter, małych cyferek i uroczych okrągłych nawiasów. Przedstawiono również obraz cząsteczki, która wyglądała jak żyrandol w jadalni mojej ciotecznej babki w New Hampshire.

Tlenoazotek glinu występował pierwotnie w formie proszku, który najpierw starannie mieszano, tak jak miesza się mąkę na ciasto, po czym sprasowywano w coś, co nazywało się suchą wypraską izostatyczną, następnie spiekano w bardzo wysokiej temperaturze, a na koniec toczono i polerowano, aż stawał się bardziej podobny do szkła niż samo szkło. Optycznie był bez zarzutu. Ważył bardzo dużo, ale dało się go udźwignąć.

I był bardzo wytrzymały. W zamierzeniu miał przetrwać trafienie pociskiem przeciwpancernym kalibru .50 i poddano go skrupulatnym i drobiazgowym testom. Przeczytałem ich opis bardzo uważnie. Potrafiłem zrozumieć większą część terminologii, mimo że miejscami była bardzo specjalistyczna i z tego względu obca. Ale liczby są takie same na całym świecie i wiedziałem, co znaczy sto, kiedy je widziałem. Panele testowe okazały się w stu procentach skuteczne w przypadku pistoletu kalibru dziewięć milimetrów, magnum .357 oraz magnum .44, od strzału z odległości piętnastu metrów aż do oddanego z przyłożenia, jak w przypadku Joeya.

W następnej kolejności przewieziono zatem panele do miejscowości o nazwie Draguignan, na południu Francji, niedaleko miejsca, gdzie mój dziadek przebił nożem węża. Znajduje się tam duży wojskowy poligon z wieloma strzelnicami. Strzelali do paneli z odległości czterdziestu metrów i okazały się skuteczne w przypadku naboju kalibru .223 Remington oraz naboju NATO kalibru 7,62 mm. W tym momencie naukowcy podwoili stawkę. Musieli być z siebie bardzo zadowoleni. Skrócili odległość do sześćdziesięciu metrów, darowali sobie takich poważnych zawodników, jak kaliber .308 Winchester oraz brytyjski kalibru .303, i przeszli od razu do kalibru .44 Remington Magnum. Z sześćdziesięciu metrów. To tak jakby krążownik dał salwę w nabrzeże portu.

Panele okazały się w stu procentach skuteczne.

I wtedy nadszedł moment prawdy. Wzięli karabin kalibru .50 i załadowali go pociskami przeciwpancernymi. Dla których dystans sześćdziesięciu metrów jest nierealistycznie krótki. Ale rozumiałem, co mieli nadzieję udowodnić.

Panele okazały się w stu procentach skuteczne.

Tak samo z odległości trzydziestu metrów, a potem piętnastu i nawet siedmiu. Chociaż naukowcy skłonni byli przyznać, że w związku z widocznymi wyszczerbieniami po strzałach z bliskiej odległości panele powinno się wymieniać po każdym takim incydencie. Nawet oni znali się w wystarczającym stopniu na polityce, by zrozumieć, że kandydat nie powinien pokazywać się za szybko wyszczerbioną po poprzednich nieudanych zamachach. Tak jakby cudem uszedł z życiem. To niezbyt dobre dla publicznego wizerunku. Ludzi mogłoby to zainspirować.

Projekt finansowany był w dużym stopniu z zagranicy i od jego sukcesu zależało życie wielu ważnych cudzoziemców, dlatego testy były na każdym etapie nadzorowane przez przedstawicieli wszystkich zainteresowanych stron, którzy sprawdzali liczby, zadawali pytania i zaglądali za kulisy. Każdy z nich był specem od wywiadu, ale z pewnym przygotowaniem naukowym. Żołnierze starej gwardii, którzy nie mieli akurat nic lepszego do roboty, wszyscy

z dużym doświadczeniem. Naukowcom z Paryża to nie przeszkadzało. Dla nich było to coś w rodzaju specjalistycznych recenzji, tyle że skróconych w czasie. Przesunąłem palcem po ekranie i przewinąłem listę przedstawicieli do litery E, żeby znaleźć Etats-Unis d'Amérique.

Stany Zjednoczone Ameryki.

Pentagon wysłał Toma O'Daya.

Popatrzyłem nad niskim murkiem na dom Joeya. Bramy były nadal otwarte i wciąż paliły się światła. Poza tym jednak nic się nie działo.

— Może wybrałbyś się na mały spacer? — powiedziałem do Bennetta, oddając mu smartfon.

— Po co miałbym wybrać się na spacer?

— Chciałbym porozmawiać z panią Nice w cztery oczy.

— Co chcesz jej powiedzieć?

— Coś, czego nie będzie słycać w miejscu, w którym się znajdziesz.

Bennett wahał się przez chwilę, a potem wstał i zniknął w ciemności. Chwilę wcześniej był przy nas i zaraz potem zapadł się pod ziemię, tak samo jak na tym balkonie w Paryżu. Nice i ja przykucnęliśmy obok siebie, opierając się plecami o mur.

— To jest ten moment, kiedy będę próbował się ciebie pozbyć — zacząłem.

Nic nie powiedziała.

— Nie z powodów, o których myślisz — dodałem. — Mógłbym skorzystać z twojej pomocy na dziesięć różnych sposobów i w każdym wypadku byłabyś dobra. Ale to jest sprawa między mną i Kottem. Chce, żebym zniknął, dlatego ja chcę, żeby on zniknął. Wciąganie innych ludzi w prywatny spór byłoby nie fair. Bennettowi powiem to samo.

— Bennett i tak będzie stał z boku. Musi. Obowiązują go pewne zasady. Ale ja mogę robić, co chcę.

— To jest sprawa między mną i Kottem. I tu też obowiązują pewne zasady. Ma być jeden na jednego.

— Tylko tak mówisz.

— Naprawdę tak uważam.

— Moim zdaniem robisz to po prostu z uprzejmości.

— To zarzut, którego nie słyszę tak często.

— Dlaczego wziął moją tabletkę? — zapytała.

— Wziął w znaczeniu zabrał, czy wziął w znaczeniu łyknął?

— W znaczeniu łyknął.

— Domyślam się, że łykał najróżniejsze tabletki. Facet takiej wielkości czuje ból i strzykanie w różnych miejscach. Boli go kręgosłup i stawy. Więc dość wcześnie zaczyna mieć słabość do opiatów i leków przeciwbólowych, a potem próbuje tych świństw, które przechodzą przez jego ręce. Po pewnym czasie łyka wszystko, co zobaczy. Ryzyko zawodowe.

— Nie chcę ich więcej brać. Widziałeś jego usta? Był obrzydliwy.

— W tym momencie nie możesz ich już brać. Nawet gdybyś chciała.

— To jest prawdziwy powód? Myślisz, że zeświruję?

— A ześwirujesz?

— W każdym razie nie ze strachu. W tym momencie nie wiem, co to takiego.

— Nic nam nie będzie.

— Nam?

— Tobie tutaj, a mnie tam.

— Mogłabym ci pomóc.

— To sprawa między mną i Kottem — powtórzyłem. — Nie zamierzam napadać na niego całą bandą. Nie czułbym się później dobrze.

•••

Bramy były nadal otwarte, ale nie chciałem wchodzić od frontu, bo było to zbyt oczywiste miejsce. Kott musiał je obserwować w pierwszej kolejności. MI5 dostarczyłoby z pewnością odpowiednie wyliczenia. *Kott przez 61 procent czasu obserwował frontowe wejście.* Drugą opcją było wejście od tyłu. Trzecią i czwartą boczne ściany. Ale która była trzecią, a która czwartą? Domyślałem się, że miejsce trzecie przypadnie ścianie wychodzącej na klub bowlingu. Tutaj toczyła się do tej pory akcja. Wybrałem więc drugą boczną ścianę, tę, której przypadło miejsce czwarte i której nie obserwowano przez noktowizory, i dotarłem tam, przekradając się po ciemku, a potem wdrapując na ogrodzenie. Co nie było łatwe, ale jakoś się udało, bo elementy z kutego żelaza mogły posłużyć za szczeble. Z ogrodzenia zeskoczyłem na grządkę kwiatową. Tylko wąska ścieżka dzieliła mnie teraz od bocznej ściany. Na parterze było w niej osiem okien. Dziecko z kredką narysowałoby je wszystkie jako małe, ale mogłem przejść przez każde z nich, nie schylając głowy.

Zajrzałem do środka przez najbliższe okno. Parapet znajdował się na wysokości mojej piersi. Pokój był mały. Relatywnie rzecz biorąc. Wnęka, nisza lub salonik. Albo biblioteka, gabinet czy buduar. Za następnym oknem było znacznie lepiej. Zobaczyłem korytarz, a dziewięć metrów dalej schody prowadzące na górę. Domyślałem się, że w pewnym punkcie korytarz skręca pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w prawo, w stronę frontowych drzwi.

Stałem nieruchomo i odetchnąłem. Wdech i wydech. I jeszcze raz. Następnie stłukłem szybę kolbą zdobycznego browninga — brzdęk, brzdęk, brzdęk — najwyżej, jak mogłem dosięgnąć, robiąc dostatecznie duży otwór, by można było wejść do środka. Spodziewałem się, że Kott uzna to natychmiast za blef. Zwykle odwrócenie uwagi. Że niby on przybiegnie to sprawdzić, a ja wejdę tymczasem przez frontowe drzwi, za jego plecami. Ale ponieważ mnie przejrzał, będzie pilnował drzwi. Tyle że z racji swojej profesji cierpiał na silną paranoję i mógł równie szybko uznać, że to podwójny blef, i podbiec do okna, by stanąć twarzą w twarz ze mną. W związku z czym zastosowałem potrójny blef. Pobiegłem do frontowych drzwi. Wiedziałem, że są otwarte. Przy tego rodzaju zamkach trzeba użyć klucza zarówno przy wejściu, jak i wyjściu. A wychodzący ochroniarze tego nie zrobili. Ruszyli od razu do jaguara i bezzwłocznie odjechali, wkładając w biegu płaszcze i przeczesując włosy.

Klamka, którą nacisnąłem, była cackiem w eleganckim georgiańskim stylu o długości ponad siedemdziesięciu centymetrów. Sama rączka miała wielkość przedramienia normalnego mężczyzny. W środku zobaczyłem hol wejściowy z marmurową podłogą w biało-czarną szachownicę oraz żyrandolem wielkości jabłoni.

Ani śladu Kotta.

Co było korzystne. Pozwoliło mi otworzyć drzwi na oścież i uzyskać wolne pole ostrzału. Za holem zaczynał się długi korytarz ze schodami na samym końcu. Korytarz, gdzie wybiłem okno, był po mojej lewej stronie i odchodził od głównego pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

Wszedłem do środka.

Ani śladu Kotta.

Co oznaczało, że jeśli uznał, że zastosowałem podwójny, a nie potrójny blef, gapił się w tym momencie na rozbitą szybę albo przeszukiwał pomieszczenia w bezpośrednim sąsiedztwie, wszystkie te cholerne wnęki, nisze i saloniki, biblioteki, gabinety i buduary.

Był gdzieś po mojej lewej stronie.

Ruszyłem korytarzem. Jak każdy korytarz był prostokątny, o znacznie większej długości niż szerokości i miał typowe dla korytarzy umeblowanie oraz drzwi po lewej i prawej stronie, do sal, które zawsze można znaleźć w dużych rezydencjach. Ale bywałem już wcześniej w dużych

rezydencjach i dom Joeya zupełnie ich nie przypominał. Pamiętałem, że drzwi były tam oddalone od siebie bardziej niż w zwykłych domach, co sugerowało ogromne sale, które okazywały się jeszcze większe, niż można się było spodziewać. Innymi słowy, chodziło o proporcje. Tymczasem dom Joeya był w gruncie rzeczy normalnym domem, tyle że równomiernie urósł. Pokoje były ogromne, ale wcale tak nie wyglądały, bo zdawało się, że drzwi znajdują się w normalnej odległości jedne od drugich, tyle że miały ponad dwa i pół metra wysokości, a z framugą prawie trzy metry, więc normalna odległość była złudzeniem optycznym.

Marmurowe płyty na podłodze w każdym czasopiśmie wnętrzarskim miałyby szerokość sześćdziesięciu centymetrów, ale w domu Joeya — dziewięćdziesiąt. Prawie metr. W wytwornej wiktoriańskiej rezydencji listwy przypodłogowe sięgałyby trzydziestu centymetrów. W domu Joeya miały czterdzieści pięć. Zwykła klamka w drzwiach uderzałaby mnie w biodro. Klamki Joeya trącały mnie w żebra. I tak dalej. W rezultacie poczułem się bardzo mały. Tak jakby pomniejszył mnie jakiś szalony naukowiec. Może faceci od aluminiowego szkła zabiorą się do tego w następnej kolejności.

I poczułem się ślamazarny. Nic dziwnego. Dotarcie gdziekolwiek trwało półtora raza dłużej. Trzy kroki między punktem A a punktem B zamieniały się w cztery i pół. Miałem wrażenie, jakbym przedzierał się przez melasę. Albo kroczył do tyłu. Zawsze zabiegany, zawsze w niedoczasie. Jakbym wchodził na górę zjeżdżającymi ruchomymi schodami. Dezorientujące, jakby człowiek znalazł się w zupełnie innym wymiarze.

Zatrzymałem się, jak mi się zdawało, dwa metry przed rogiem korytarza. Choć mogły to być trzy. Tak czy owak, wstrzymałem oddech i nadstawiłem uszu. Cisza. Żadnego chrzęstu szkła pod stopami, żadnych odgłosów zamykanych bądź też otwieranych drzwi. Ruszyłem więc pomału do przodu, żeby pokonać dwa, trzy czy ile tam naprawdę było metrów. W lewej ręce miałem browninga, w prawej glocka z jednym nabojem w komorze i dwunastoma w magazynku. Wystrzeliłem ich na razie pięć, cztery pod maskę jaguara i jeden w podglebie klubowej murawy, za pośrednictwem Joeya.

Uznałem, że Kott spodziewa się zobaczyć głowę wychylającą się zza rogu i spodziewa się zobaczyć ją na normalnej wysokości, bo tak podpowiada mu po prostu instynkt. Lecz co tu było normalne? Być może poziom stu siedemdziesięciu centymetrów nad podłogą, czyli trochę powyżej połowy wysokości normalnego pomieszczenia. W zwariowanym świecie Joeya mogło się to przekładać na poziom dwóch i pół metra. Czyli Kott powinien się wpatrywać gdzieś wysoko nad moją głową. Mimo to dałem sobie duży margines bezpieczeństwa. Zadbalem o to, by patrzył o wiele wyżej. Ukłąłem i wyjrzałem tam, dokąd sięgała listwa przypodłogowa, co z powodu jej gigantycznych rozmiarów nie przysporzyło mi większych problemów.

Wyobraziłem sobie moje brwi i oczy, nagle widoczne, ale ledwie dostrzegalne na tle ekstrawaganckiej stolarki.

Ani śladu Kotta.

Zobaczyłem odłamki szkła na marmurze. Z rozbitego okna. Zobaczyłem pozamykane drzwi. Do saloników, gabinetów i buduarów. Nie zobaczyłem Kotta. Czy czekał za którymiś z zamkniętych drzwi? Może tak. A może od początku nie ruszył się z miejsca. Może był nadal na górze, w apartamencie dla gości, i czekał, cierpliwie jak wszyscy snajperzy, ze swoim barrettem kalibru pięćdziesiąt leżącym na stole i wycelowanym prosto w drzwi.

Wróciłem myślami do planów architektonicznych, które wcześniej widzieliśmy. Apartament dla gości był w lewej tylnej części domu. Generalnie nad skrzydłem kuchennym. Na górę po schodach i w prawo. Wyprostowałem się, rozejrzałem na wszystkie cztery strony, zaczerpnąłem powietrza i je wypuściłem.

I ruszyłem w stronę schodów.





Schody biegły do połowy w lewo, a potem, na podeście, zakręcały o sto osiemdziesiąt stopni i prowadziły w prawo. I jak wszystko inne w tym domu sprawiały wrażenie normalnych, ale były w rzeczywistości powiększone, w związku z czym musiałem się wysilać, stawiając za każdym razem o pięćdziesiąt procent wyższy krok i posuwając się o połowę dalej do przodu, niż to było zakodowane w pamięci mięśniowej. Poza tym zdawałem sobie sprawę, że lada chwila moja głowa wyłoni się między zdobieniami balustrady. Kott mógł tam leżeć, z lufą karabinu w jednej linii z poręczą. Mógł mnie trafić w plecy, zanim postawię stopę na podeście. Z odległości czterech metrów. A ja nie byłem zrobiony z tlenoazotku glinu.

Przywarłem więc do ściany i do momentu, gdy zobaczyłem korytarz na piętrze na własne oczy, wchodziłem na górę tyłem. Był pusty. Ani śladu Kotta. Przebiegłem żwawo resztę drogi i znalazłem się w miejscu, które wyglądało jak powtórka korytarza z parteru, tyle że podłoga wyłożona była tutaj dywanem, nie marmurem. Dywanem wielkości świeżo skoszonej prerii. Zobaczyłem sporo drzwi, wszystkie wysokości dwóch i pół metra. A potem kolejny korytarz i kolejne drzwi. Dwoje po prawej, dwoje po lewej i jedno na samym końcu, na wprost. Przez te ostatnie, jak sądziłem, wchodziło się do apartamentu dla gości. Musiałem do nich podejść.

Lecz korzyść podchodzenia prosto ku drzwiom w domu olbrzyma polegała na tym, że miałem dużo miejsca z prawej i lewej strony. Normalnie korytarz na piętrze stanowiłby wąskie pole ostrzału. Dzięki temu, że był większy o pięćdziesiąt procent, mogłem trzymać się z dala od środkowej linii. Bo być może Kott coś przyszykował. Może ustawił nieruchomo swój karabin, wycelowany i gotowy do strzału przez drzwi. Może uruchamiał go promień podczerwony. Albo Kott miał rentgenowskie okulary.

Udało mi się jednak bezpiecznie dotrzeć do ściany. Stałem przy framudze i chwyciwszy browninga za lufę, zastukałem nim w drzwi.

— Kott? Jesteś tam? — zapytałem.

Bez odpowiedzi.

Zastukałem jeszcze raz, głośniej.

— Kott? Otwórz drzwi.

Co, moim zdaniem, mógł zrobić. Balistycznie rzecz biorąc, były już otwarte. Każdy z nas mógł przestrzelić je na wylot. Jeśli o niego chodziło, mógł przestrzelić na wylot wszystko. Gdyby chciał celować na podstawie tego, skąd dobiegał dźwięk, mógł to zrobić. Ściany i podłogi praktycznie dla niego nie istniały. Żył w przezroczystym świecie.

Ale chciał chyba widzieć. Z całą pewnością. Facet, który powiesił sobie na ścianie moje zdjęcie, który oglądał je tuż przed pójściem spać i zaraz po obudzeniu, chciał chyba widzieć, jak trafia mnie pocisk. Chciał zobaczyć, jak padam. Wyobrażał to sobie pewnie codziennie na zajęciach jogi. *Zwizualizuj swój sukces*. Czekał na to piętnaście lat. Mógł otworzyć drzwi.

— Kott, powinniśmy najpierw pogadać.

Bez odpowiedzi.

— W końcu nic złego się nie stało. Ty zapomnisz o mnie, ja zapomnę o tobie. Każdy z nas może pójść swoją drogą. Powinieneś się ogarnąć. Nie ma sensu robić z tego takiej wielkiej afery. Wysłałem za kratki wielu facetów i nikt inny tak się z tego powodu nie wściekał.

Usłyszałem skrzypnięcie i przez chwilę myślałem, że to skrzypią drzwi, ale dźwięk dochodził zupełnie z innej strony, od schodów. Kątem oka zobaczyłem przebiegającego chłopca. Przebiegającego naprawdę szybko. Wbiegł po schodach, śmignął w bok i zniknął. Mały

chłopiec? Jak Bennett mógł mi o tym nie wspomnieć? Gdzie była jego matka? Co tu się, do diabła, działo?

I nagle tylna część mojego mózgu sprostowała: to nie dziecko. Nie pucułowaty, chudy albo zwinnie chłopaczek, ale ktoś sztywny, zużyty i spięty. Normalny dorosły. Mały facet, mający może metr siedemdziesiąt wzrostu, przebiegający obok balustrady wysokiej na metr sześćdziesiąt, na tle półmetrowych listew, pod czterometrowym sufitem.

Nie mały chłopaczek.

John Kott.

• • •

Próbowałem odtworzyć w pamięci plany architekta. Chciałem przypomnieć sobie więcej szczegółów. Korytarz na piętrze biegł od przedniej do tylnej części domu, od szczytu schodów do ozdobnego okna nad frontowymi drzwiami. Odchodziły od niego dwa boczne korytarze, jeden do apartamentu dla gości, przy którym stałem, i drugi w stronę wielkiej głównej sypialni. Kott nie ruszył w moją stronę i byłem przekonany, że nie zaczął się przy ozdobnym oknie. Po co miałby to robić? A zatem był w sypialni Joeya.

Usłyszałem dobiegający z dołu głos. To był Bennett, stojący w korytarzu na parterze.

— Reacher?! — zawołał. — Wszystko w porządku?!

— Wynos się stąd, Bennett! — odrzyknąłem: — Nie ma powodu, żebyś się w to mieszał.

Czekałem, aż coś odpowie, ale nie usłyszałem nic więcej.

Nacisnąłem klamkę w drzwiach apartamentu dla gości. Nie był zamknięty. Wszedłem do środka i rozejrzałem się. Widywałem podobne miejsca w hotelach, tyle że mniejsze. Nieduży przedpokój, ubikacja, aneks kuchenny, salonik i dwie sypialnie, jedna po lewej, druga po prawej stronie, obie z własnymi łazienkami. W sypialni po lewej nikt nie mieszkał. W sypialni po prawej zobaczyłem rzeczy Kotta. Nie było ich zbyt wiele. *Coś do spania i plecak*, powiedziała Casey Nice w Arkansas i miała w zasadzie rację. Czymś do spania był śpiwór, a plecakiem skórzany marynarski worek, w którym były T-shirty, bielizna i amunicja.

Amunicja składała się z naboju Parabellum kalibru dziewięć milimetrów i naboju przeciwpancernych kalibru .50. Wizualnie bardzo się od siebie różniły. Naboje do pistoletu wydawały się małe i filigranowe. Jak biżuteria. Te do karabinu wyglądały jak amunicja do działka pokładowego w myśliwcu. Same gilzy miały dziesięć centymetrów długości.

Sprawdziłem wszystkie możliwe miejsca, ale nie znalazłem pistoletu.

Znalazłem za to karabin.

Leżał pod łóżkiem Kotta, w specjalnym futerale. Barrett light fifty, poważna broń o długości ponad półtora metra i wadze prawie dwudziestu pięciu kilo z lunetą i pełnym magazynkiem. Z Tennessee. W cenie używanego samochodu. Wyrwałem z mocowania lunetę, bo tyle tylko miałem czasu zrobić, i wyszedłem z powrotem na korytarz.

• • •

Zgodnie z planem architekta powinienem teraz przejść dziesięć metrów, skrócić w prawo, przejść siedem metrów i skrócić w lewo do czegoś w rodzaju przedpokoju przed właściwą sypialnią. Na planie mógł zostać nazwany niszą albo wnęką. Drzwi do sypialni znajdowały się na wprost. W lewej ręce trzymałem browninga, w prawej glocka, zupełnie jak dawny rewolwerowiec z czarno-białych filmów. Nie żebym wierzył w te stare historie. Nigdy nie spotkałem faceta, który potrafiłby jednocześnie strzelać z prawej i lewej ręki. To znaczy celnie strzelać. Lepiej było skoncentrować się na glocku, a jeśli w tym samym momencie uda się na

chybił trafił oddać strzał z browninga, tym lepiej. Nie powinno zaszkodzić.

Skręciłem po raz pierwszy. Przed sobą zobaczyłem ozdobne okno. Ale wciąż miałem do niego kawał drogi. Coraz lepiej rozszyfrowywałem wymiary zwariowanego domu. Celowałem z glocka w najbliższy róg, na wysokości trzech listew przypodłogowych, co przekładało się na metr trzydzieści pięć centymetrów, czyli tam, gdzie powinna się znaleźć pierś Kotta. W tym momencie miałem pięć metrów do przedpokoju, a dziewięćmilimetrowy pocisk Parabellum jest mały i szybki. Gdyby Kott wychylił się zza rogu, już po jednej ósmej sekundy byłby martwy. Plus czas mojej reakcji. Która byłaby błyskawiczna. Z całą pewnością.

Kott nie wychylił się zza rogu. Wszedłem do przedpokoju. Drzwi do sypialni były zamknięte. Dwa i pół metra wysokości, trzy metry razem z framugą, klamka na wysokości żeber. Usłyszałem zza nich kobiecy głos.

Nieartykułowany. Nie krzyk ani jęk, lecz coś w rodzaju sfrustrowanego pomruku. Chciała coś zrobić albo coś dostać, albo po coś sięgnąć, ale nie mogła. Choć właściwie „chciała” to niewłaściwe słowo. Nie wydawała się zniecierpliwiona. Była zdesperowana. Musiała coś zrobić, coś dostać albo po coś sięgnąć.

Ale nie mogła.

— Bennett?! — zawołałem przez ramię, lekko się cofając. — Nadal jesteś tam na dole?

Bez odpowiedzi.

Nagła cisza w sypialni.

Stanąłem z boku, na wypadek gdyby Kott chciał strzelić przez drzwi.

Nie zrobił tego.

*Jak sprawić, żeby wyszli dobrowolnie? Nikt tego nie wie. Nikt nigdy nie wiedział.*

Normalnie stanąlbym oparty plecami o ścianę i uchylił drzwi na długość ramienia, ale te w domu Joeya były na to zbyt szerokie. Więc niczym zwinny mały facet, którym stałem się w tym nowym otoczeniu, skoczyłem do przodu, nacisnąłem klamkę, kopnąłem drzwi, cofnąłem się i wycelowałem.

I pociągnąłem za spust. I trafiłem Johna Kotta w sam środek czoła. Tyle że to nie był on. To było lustro na bocznej ścianie. Huknął strzał, zabrzęczało szkło wypadające z ramy, a potem znowu zapadła cisza.

— Co się stało, że o mnie nie zapomniałeś i nie poszliśmy każdy swoją drogą? — zapytał ze środka sypialni John Kott.

Nie słyszałem jego głosu od szesnastu lat, ale to był on. Akcent z Ozark, wolno cedzone słowa, płaczkliwy, pełen pretensji ton.

— Nie odpowiadałeś na to, co mówiłem — odparłem.

— Nie warto było odpowiadać.

— Kto tam z tobą jest?

— Wejź do środka i zobacz.

Ponownie odtworzyłem w pamięci plan architekta.

— Jesteś na pierwszym piętrze bardzo wysokiego domu — powiedziałem. — Blokuję ci jedyne wyjście. Właśnie oddałem strzał z pistoletu w Londynie. Za pięć minut na zewnątrz będzie pięć tysięcy policjantów. Bez jedzenia przeżyjesz najwyżej trzy tygodnie. I co potem zrobisz?

— Policja się nie zjawi — odparł.

— Tak myślisz?

— Bennett poinformuje ich, że to jeden z jego ludzi.

— Co wiesz o Bennecie?

— Wiem o nim bardzo dużo.

— Kto tam z tobą jest?

— Pokazałbym ci w lustrze, ale je stłukłeś. Będziesz musiał wejść do środka.

Cofnąłem się o krok.

— Bennett?! — zawołałem. — Jesteś nadal na dole?!

Bez odpowiedzi.

— Nice? Jesteś tam?

Bez odpowiedzi.

Podszedłem z powrotem do drzwi sypialni.

— Chyba wiesz, że Joeya nie ma już wśród żywych. I wiesz, że jego ludzie uciekli. Więc mogę tutaj zostać tak długo, jak będzie trzeba. Umrzesz z głodu, nawet jeśli policja się nie zjawi.

— A ty będziesz miał na rękach krew kolejnej niewinnej osoby. Bo nie jestem tutaj sam. Ale chyba o tym wiesz, prawda? — odparł Kott.

Mruknął coś, być może „powiedz mu, mała”, i znowu usłyszałem kobiecy głos, nadal nieartykułowany, ale tym razem nie brzmiało to jak pomruk frustracji, lecz jak stłumiony krzyk. Była zakneblowana. A skoro była zakneblowana, była również związana.

Po chwili krzyknęła ponownie.

— To ma zrobić na mnie wrażenie? — zapytałem.

— Taką miałem nadzieję.

— A co ja jestem, pracownik społeczny?

Krzyk rozległ się po raz trzeci, długi i donośny, ale stłumiony przez knebel. Po chwili przeszedł w szloch, w którym słychać było ból, cierpienie, udrękę i poniżenie.

— Muszę przyznać, że przynajmniej na mnie robi to cholerne wrażenie — powiedział Kott.

Według planów architekta pokój miał mniej więcej dziesięć na dziesięć metrów. Łazienka znajdowała się po lewej, garderoba po prawej. Stałem dokładnie tam, gdzie wcześniej, i patrzyłem w lustro, w którym nie widać było nic prócz maźniętych lakierem desek, nieprzeznaczonych do oglądania. Lecz wcześniej, kiedy było w nim posrebrzane szkło, widziałem tam Kotta. I skoro widziałem go pod ostrym kątem, on też musiał patrzeć na mnie pod ostrym kątem. Oba kąty musiały być równe. Fizyka na poziomie szkoły średniej. Podstawowe prawa optyki. Wezglowie łóżka znajdowało się zapewne tuż obok mnie, po drugiej stronie ściany, a łóżko wydawało się odpowiednim miejscem, by położyć na nim zakneblowaną i związaną kobietę. W takim wypadku Kott siedział prawdopodobnie w jego nogach. Wszystko to wydawało się sensowne, dopóki nie sprawdziłem kątów i nie zdałem sobie sprawy, że siedząc w nogach łóżka, Kott znalazłby się zbyt blisko mnie. Kąty byłyby nierówne. Co było niemożliwe. Ale potem przypomniałem sobie, że łóżko Joeya musiało mieć pewnie dwa i pół albo nawet trzy metry długości, i wszystko się z powrotem zgodziło.

Dałem krok do przodu. Nie znałem się na domowych okuciach i na sprawach budowlanych, ale miałem dobry wzrok i pamięć i wiedziałem, że każdy zawias drzwiowy, jaki widziałem, miał szerokość mniej więcej jednego centymetra, z czego wynikało, że w domu Joeya powinien mieć półtora. A zawias jest tak zbudowany, żeby spełnił swoją funkcję, to znaczy pozwolił skrzydłu drzwi wysunąć się z futryny i otworzyć. Z prostej matematyki wynikało, że szpara między skrzydłem drzwi a futryną po stronie zawiasów będzie najszersza, kiedy będą otwarte dokładnie pod kątem prostym. W przypadku drzwi Joeya oznaczało to niespełna trzycentymetrową szparę. Tyle że nie były otwarte pod kątem prostym. Były otwarte pod kątem trzydziestu stopni i szpara miała dziesięć milimetrów szerokości.

A pocisk Parabellum miał ich dziewięć.

Odsunąłem oko od szczeliny, podobnie jak snajper odsuwa oko od lunety, bo nie chciałem, by Kott wyczuł podświadomie nagłe przyciemnienie albo usłyszał świst oddechu. Siedział w nogach łóżka, na pół odwrócony w stronę drzwi. O szesnaście lat starszy, co było widać. Miał podkrążone oczy i zmarszczki wokół ust. Doświadczony, sterany życiem facet. Ubrany w brązowe spodnie i brązową koszulę, niedrogie, podobne do tych, które sam mógłbym wybrać. Ręce trzymał swobodnie na kolanach. Miał pistolet Browning High Power. Miejscowy hit.

Obok niego na łóżku leżała naga kobieta. Nie znałem jej. Skórę miała białą, włosy żółte. Mogła być w każdym wieku od osiemnastu do czterdziestu lat. Ręce miała związane z tyłu w nadgarstkach, nogi w kostkach. W usta wciśnięto jej jakąś szmatę.

Ręce wykręcono jej tak, że widać było łokcie od wewnętrznej strony. Niezbyt przyjemny widok. Upstrzone były żółtymi i zielonymi sińcami, skaleczeniami i skrzeplą krwią.

Kott podniósł strzykawkę, pokazał jej, a potem przysunął do jej łokcia. Kobieta wykręciła szyję i obserwowała go szeroko otwartymi oczyma. Dotknął igłą jej skóry. Kobieta nie odrywała od niej oczu, cały czas mając nadzieję.

Kott odsunął igłę.

Kobieta osunęła się w dół i wydała taki sam jak wcześniej pomruk. Słysząc w nim było frustrację, udrękę i ból. Musiała coś dostać. Ale nie mogła.

Cofnąłem się o krok, schowałem browninga do kieszeni, rozstawiłem szeroko nogi, po czym swobodnym naturalnym ruchem, który wykonywałem wcześniej tysiąc razy, podniosłem oburącz glocka i strzeliłem przez szparę: tym razem w prawdziwego Johna Kotta, nie w jego odbicie. Ale trafiłem go dokładnie w to samo miejsce, w środek czoła. Pięć metrów. Jedna ósma sekundy. Zobaczyłem elegancką ranę wlotową i w tej samej chwili eksplodowała tylna część jego czaszki, co nie było już tak eleganckie. Huk wystrzału przetoczył się od moich ramion do uszu, a John Kott po prostu tam siedział, nieruchomy jak posąg, siedział i siedział, aż w końcu przechylił się na bok i spadł z łóżka.

•••

Nie sprawdziłem, czy jest martwy. Padł na twarz i widziałem wewnątrz jego mózgu. To mi wystarczyło. Zamiast tego przeszukałem jego kieszenie i znalazłem komórkę dokładnie taką samą jak moja. Następnie rozwiązałem sznury, którymi związana była kobieta, wyjąłem jej szmatę z ust i oglądając się za siebie, poszukałem wzrokiem szlafroka lub ręcznika, którym mógłbym ją okryć. Wykorzystała ten moment, żeby złapać strzykawkę i wbić sobie igłę w ramię, po czym zamknęła oczy, wcisnęła tłoczek i pchała go powoli, powoli, aż do końca.

Odczekała chwilę.

A potem wydała odgłosy, których wcześniej nie słyszałem: pomruk zadowolenia, senny chichot i westchnienie czystego szczęścia.

Lekko zamroczona, powoli wstała, chwiejąc się na nogach.

— Chcę stąd wybyć — powiedziała.

Miała obcy akcent. Wschodnioeuropejski. Z Łotwy albo Estonii. Wymawiała niewyraźnie niektóre sylaby. Z początku zrozumiałem, że chce tu jeszcze pobyc.

Może i chciała.

— Wyciągnij strzykawkę z ramienia — powiedziałem.

Zrobiła to i upuściła ją na podłogę.

— Gdzie jest twoje ubranie? — zapytałem.

— Nie mam żadnego — odparła.

W związku z czym poszedłem do łazienki i znalazłem ręcznik wielkości podwójnego materaca. W świetle Joeja służący prawdopodobnie do wycierania rąk. Wróciłem z nim do kobiety i zarzuciłem go jej na ramiona. Zrozumiała, o co mi chodzi, i otuliła się nim we wszystkich właściwych miejscach.

— Jak masz na imię? — zapytałem.

— Wpierw musisz dać mi pieniądze — odparła.

Zatoczyła się, a ja schowałem glocka do kieszeni, złapałem ją za łokcie i pomogłem odzyskać równowagę.

— Możesz iść? — zapytałem.

Odetchnęła głęboko i domyśliłem się po kształcie jej warg, że chce odpowiedzieć twierdząco, ale nagle oczy stanęły jej w słup i wydając z siebie kolejny pomruk czystego zadowolenia, straciła przytomność, a ja złapałem ją, gdy padała, i wziąłem na ręce. Mogłem chyba znieść ją na dół i zostawić gdzieś, zanim nie znajdę Bennetta, który wezwałby karetkę, kiedy ja i Nice już się stąd zabierzemy. Krótka zwłoka nie miała chyba znaczenia. Kobieta nie potrzebowała natychmiastowej pomocy i nie powinna jej potrzebować, chyba że ponownie dałaby sobie w żyłę.

Przesunąłem ją na rękach tak, żeby i jej, i mnie było wygodniej, wyniosłem ją do dziwnego małego przedpokoju i skręciłem w korytarz. I tam stanąłem twarzą w twarz z Charliem White'em. Który trzymał w ręku pistolet, kolejny browning high power, i celował z niego prosto w moją głowę.

Pogrzebowy garnitur Charliego był cały pochlapany krwią po tym, jak uderzyłem go w twarz. Nos mógł być zmiażdżony albo złamany, trudno jednak było to stwierdzić z całą pewnością. Włosy miał wściekle potargane, ale utrzymywał pozycję pionową. Nieźle jak na siedemdziesięciosiedmiolatka.

— Okłamałeś mnie — powiedziałem. — Mówiłeś, że nie jesteś uzbrojony.

— Bo nie byłem — odparł. — To broń Joeya. Wiem, gdzie ją przechowuje.

— Gdzie ją przechowywał — poprawiłem go. — W tym momencie niczego już nie przechowuje.

— Wiem — mruknął. — Znalazłem go.

— Ciężko było na niego nie trafić.

— Odlóż tę dziwkę — powiedział.

Zrobiłem to dość chętnie, bo chciałem mieć wolne ręce. Położyłem ją delikatnie na dywanie i jej głowa obróciła się ku Charlieemu, jakby mu się przyglądała.

— Nieźła z niej sztuka — stwierdził. — Można się z nią zabawiać godzinami. Zrobi wszystko za działkę. Dosłownie wszystko. Wymarzysz sobie cokolwiek, a ona to robi. Musiałbyś to zobaczyć, żeby uwierzyć.

Mówiąc to, opuścił pistolet i celował teraz w moją pierś. Stał trzy metry ode mnie. Jedna setna sekundy.

— Rozłóż szeroko ręce — powiedział. — Jakbyś próbował pofrunąć.

I to była chwila prawdy. Ręce do góry, ręce na kark, ręce do przodu — każde z tych poleceń mogło poprzedzać próbę założenia mi kajdanek albo związania, żebym nie stanowił zagrożenia, dopóki nie zapadnie decyzja, co dalej. Ale rozłożenie szeroko rąk oznaczało egzekucję. Oznaczało, że musiałbym wykonać pięć ruchów, żeby się uratować. Opuszczenie rąk, sięgnięcie za siebie, wyciągnięcie broni, podniesienie rąk, wycelowanie. Bez względu na to, jak bardzo powolny i zamroczony był stary Charlie, zastrzeliby mnie, zanim dotarłbym do punktu trzeciego. Trzy metry. Błysk i gra skończona. Teoretycznie zdążyłbym zobaczyć płomień wylotowy. Światło porusza się z prędkością większą niż pociski. Płomień błysnąłby po pokonaniu przez pocisk mniej więcej dwudziestu centymetrów, a fale świetlne natychmiast by go wyprzedziły i dotarły do moich oczu, zanim trafiłyby mnie w pierś. Inną sprawą było, czy zdążyłbym pomyśleć: Oho, to chyba płomień wylotowy.

Pewnie nie.

— Rozłóż szeroko ręce — powtórzył Charlie.

Coś się za nim poruszyło. Jakiś cień, na schodach.

— Lepiej się zastanów, Charlie — poradziłem mu. — Powinieneś przejść na emeryturę.

Cień znowu się poruszył. Ktoś był na schodach. Przemieszczał się po nich powoli, przystawał i ruszał dalej, bardzo cicho, rzucając długi cień. Musiał mieć za sobą lampę ustawioną na jakimś meblu w korytarzu na parterze. Uświadomiłem sobie, że na piętrze mogli się zorientować, że wchodzę, na długo przedtem, nim w polu widzenia pojawiłaby się moja głowa.

— To nie jest gra dla starych ludzi, Charlie — podjąłem. — A ty właśnie straciłeś następne pokolenie. Świat się zmienia. Powinieneś odejść, kiedy jeszcze możesz.

— Świat się zawsze zmienia. Na ogół na gorsze — odparł, wskazując głową trzymaną w rękę pistolet. — Nic nie było już takie samo, odkąd te rzeczy zastąpiły porządne staroświeckie manto.

Cień znowu się poruszył. Ktoś wchodził po schodach, cicho, stopień po stopniu — każdy wysokości ponad trzydziestu centymetrów — tak jakby wspinał się po gładkich na górskim zboczu.

— Dlatego nadszedł czas, żeby odejść — podjąłem.

— Niekoniecznie — rzucił Charlie. — Joey nie jest aż tak dużą stratą. I tak zamierzaliśmy zrezygnować z tego rodzaju działalności. Interesujemy się teraz komputerami. Zarobimy więcej na numerach kart kredytowych.

Cień przybrał kształt głowy i ramion. Przesuwał się coraz wyżej. Nie spuszczałem z oczu Charliego, polegając głównie na widzeniu peryferyjnym. Nie chciałem, żeby się spostrzegł.

— Rozłóż szeroko ręce — powtórzył.

— Kto jest najbliższym krewnym Joeeya? — zapytałem.

— Dlaczego chcesz to wiedzieć?

— Pomyślałem po prostu, jak trudno będzie sprzedać ten dom. Pula nabywców będzie bardzo mała. Albo duża, w zależności, jak na to spojrzeć.

Cień był coraz dłuższy. Głowa, ramiona, tułów, trzydzieści centymetrów w górę, czterdzieści centymetrów w przód. Niczym zwierzak z filmu animowanego, stratowany i rozpląszczony na stopniach.

— Powiniście sprzedać biznes Serbom — powiedziałem. — Zanim przejmą wszystko za bezcen.

Kątem oka zobaczyłem włosy i czoło. Jasne włosy, zielone oczy, twarz w kształcie serca. Wchodziła na górę tyłem, podobnie jak ja.

Sprytna dziewczyna.

— Serbowie niczego nie przejmą — stwierdził Charlie. — Zostaną na zachodzie, tak jak było zawsze.

— Zamierzacie podzielić biznes Libora po równo? — zapytałem.

Nie odpowiedział.

Kątem oka zobaczyłem ją od pasa w górę. W ręku trzymała glocka, podniesionego wysoko, przy ramieniu.

— A więc nie zamierzacie podzielić biznesu Libora po równo — mruknąłem. — I myślicie, że Serbowie się z tym pogodzą?

— Byliśmy tutaj pierwsi.

— Ale ktoś był tutaj przed wami, prawda? I przegoniliście go, kimkolwiek był. Mogę to sobie wyobrazić. W czasach, kiedy byłeś młody, nabuzowany i pełen werwy. Tacy są teraz Serbowie. Powinieneś wziąć od nich gotówkę, póki jeszcze możesz.

Nice dotarła do podestu. Zaraz odwróci się o sto osiemdziesiąt stopni. Zaraz ruszy dalej.

— Nie przyszedłem tu, żeby dyskutować o interesach — powiedział Charlie.

— Więc po co przyszedłeś?

Kolejny stopień. Kolejne trzydzieści centymetrów.

— Obowiązują pewne zasady — rzekł Charlie. — Ty je naruszyłeś.

— Pomagałem ci — sprostowałem. — Przetrzebiając stado. Darwinizm w akcji. Masz słabą drużynę, Charlie. Nie widzę w niej mocnych punktów. I nie widzę wystarczająco tęgich głów na numer z kartami kredytowymi.

— Dobrze sobie radzimy. Nie musisz się o nas martwić.

Nice weszła na górę. Charlie był tęgim, barczystym mężczyzną. Miał szerokie plecy. Stał sześć metrów przed nią.

*Jestem przeciwnym strzelcem, bez szczególnych predyspozycji do walki wręcz.*

— Wiedzą wszystko o łapówkach, które płacisz. Kiedy przestaniesz to robić, rozszarpia



cię na strzepy — powiedziałem.

Podeszła bliżej. Stawiając cicho kroki na dywanie. Zostało jej może pięć metrów.

Podejdz jeszcze bliżej, pomyślałem. A potem wyceluj w korpus. Żadnego kombinowania. Żadnych strzałów w głowę.

— Nie mam zamiaru przestać płacić — mruknął Charlie. — Dlaczego miałbym to robić?

Jeszcze jeden bezszelestny krok. Cztery i pół metra.

Stała nieruchomo.

Za daleko.

Podniosła glocka.

— Strzelałeś kiedyś z pistoletu, Charlie? — zapytałem.

Casey Nice wstrzymała oddech.

— A co cię to obchodzi? — odparł.

— FBI opublikowało kilka cyfr. Wyniki badań i analiz. U nas w kraju. Średni dystans celnego strzału z broni krótkiej wynosi trzy metry trzydzieści centymetrów.

Nice opuściła niżej glocka.

Dała krok do przodu.

— Mam do ciebie bliżej niż trzy metry i trzydzieści centymetrów — powiedział Charlie.

Casey zrobiła kolejny krok.

— Tak tylko mówię — mruknąłem. — To trudniejsze, niż się wydaje. Ale wcale nie musi takie być. Ludzie nadmiernie to komplikują. Lepiej jest się rozluźnić. Potraktować to jak coś naturalnego. Jak wskazanie palcem. W ten sposób nigdy się nie chybi.

Była o kolejny krok bliżej.

— Nie chybię — odparł Charlie. — Chociaż może powinienem. Umyślnie. Może powinienem cię najpierw zranić. Dostałbyś nauczkę.

Nice zrobiła jeszcze krok. Dzieliły ich jeszcze trzy metry.

— Nikt nie musi mnie niczego uczyć — powiedziałem.

— Powinno się nauczyć cię dobrych manier.

Kolejny krok.

Miała do niego dwa i pół metra.

— Nie martw się o mnie, Charlie — rzuciłem. — Świetnie sobie radzę.

— Może radziłeś sobie świetnie w przeszłości. Ale teraz nie idzie ci najlepiej.

Casey Nice wyprostowała ramię. Jej pistolet był niecałe półtora metra od jego pleców. I w tym momencie zacząłem się niepokoić. O wiele różnych rzeczy. Charlie mógł ją wyczuć węchem. Mógł wpaść mu w nozdrza zapach pistoletu. Mógł wyczuć zawirowania powietrza. Dzięki jakiemuś prymitywnemu instynktowi. Siedemset lat pierwotnej ewolucji na każdy rok cywilizacji. A jeśli Nice strzeli z półtora metra, kula przejdzie przez niego na wylot i oberwę tak samo, jakby to on strzelił.

— Za sekundę padnę na podłogę — powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy.

— Że co? — zapytał.

A ja zrobiłem to. Padłem niczym płaszcz spadający z wieszaka, a ona strzeliła mu w plecy z odległości półtora metra i zobaczyłem kawałki ciała i krew bryzgającą z jego piersi. Ozdobne okno za mną roztrzaskało się w drobny mak, a ja wylądowałem obok kobiety owiniętej ręcznikiem, która poruszyła się we śnie, objęła mnie ramieniem za szyję i pocałowała w ucho.

— Och, skarbie — mruknęła.

Niespełna dwie minuty później siedzieliśmy na tylnej kanapie miętowozielonego vauxhalla. Przed sobą mieliśmy mężczyznę i kobietę, którzy dostarczali nam tablety. Oboje byli w dalszym ciągu milczący i zrównoważeni i nie okazywali śladu niezadowolenia z powodu przydzielonej im niewdzięcznej misji. Dobrzy gracze zespołowi. Bennetta zostawiliśmy w domu Joeeya i nie spodziewałem się go zobaczyć kiedykolwiek więcej.

Zaraz za Chigwell wjechaliśmy na autostradę do Anglii Wschodniej. M11, jak określały ją miejscowe znaki. Zmieraliśmy do bazy Royal Air Force w Honington. Niedaleko miejscowości o nazwie Thetford. Bennett obiecał, że to potrwa dziewięćdziesiąt minut, ale wszystko wskazywało na to, że krócej. Kobieta prowadziła wyjątkowo szybko. Teren wokół nas był płaski. Strategicznie Wielka Brytania jest lotniskowcem przycumowanym permanentnie do wybrzeży Europy i mają tu dużo miejsca na pokłady startowe.

RAF Honington okazał się dużą bazą, w większości spowitą w mroku. Kobieta minęła bramę i wjechała prosto na płytę lotniska. Dokładnie tak, jak to zrobił żołnierz SEALs w McChord, co wydawało się teraz czymś odległym w czasie. Zatoczyła taki sam dobrze odmierzony łuk i zatrzymała się przy schodkach do samolotu. Wysiedliśmy, zatrzasnęliśmy za sobą drzwi i miętowozielony vauxhall odjechał.

Samolot był z tej samej kategorii co gulfstream O'Daya, krótki, spiczasty i prędko, ale pomalowany na kolor ciemnoniebieski, bardzo lśniący, z jasnoniebieskim podbrzuszem pod złotą ozdobną linią i z napisem *Royal Air Force* nad oknami. W owalnych drzwiach kabiny pojawił się mężczyzna w mundurze RAF-u.

— Proszę państwa na górę — powiedział.

W środku nie było karmelowej skóry i orzechowego forniru. Skóra była czarna, a fornir przypominał z wyglądu włókno węglowe. Wnętrze surowe, ale z klasą. Całkiem inny styl. Coś w rodzaju współczesnego bentleya. Tego, którym jeździł Joey. Facet w mundurze poinformował nas, że wioził ostatnio kogoś z rodziny królewskiej. Jakąś księżną. Chyba Cambridge. Co sprawiło, że znowu zacząłem myśleć o MI6, o MI5 i wszystkim, co sytuowało się pomiędzy. Casey Nice i ja usiedliśmy po obu stronach przejścia, naprzeciwko siebie. Facet w mundurze zniknął i minutę później byliśmy w powietrzu, ostro nabierając wysokości i zmierzając na zachód, do Ameryki.

Podano nam posiłek, a potem facet w mundurze wycofał się do jakiegoś pomieszczenia, zostawiając nas samych. Spojrzałem na Nice siedzącą tak blisko, że mógłbym jej dotknąć.

— Dziękuję — powiedziałem.

— Proszę bardzo — odparła.

— Dobrze się czujesz? — zapytałem.

— W związku z Charliem White'em? Tak i nie.

— Skoncentruj się na „tak”.

— Robię to. Wierz mi. To, jak mówił o tej dziewczynie... Słyszałam go z dołu.

Torturowanie jej sprawiało im przyjemność.

— Nie zapominajmy o handlu bronią, narkotykach i lichwie.

— Ale nie powinniśmy być jednocześnie sędzią, ławą przysięgłych i katem.

— Dlaczego nie?

— Jesteśmy podobno cywilizowanymi ludźmi.

— Oczywiście, że jesteśmy — odparłem. — Jesteśmy bardzo cywilizowani. Lecimy

samolotem jakiejś księżnej. Nie dlatego rządili światem, że byli mili. I nie dlatego rządzą nim my, kiedy przyszła na nas kolej.

Nice nie odpowiedziała.

— Udowodniłaś przynajmniej jedno — powiedziałem. — Że dobrze sobie radzisz w terenie.

— To znaczy bez tabletek? Chcesz mi znowu poradzić, żebym je odstawiła?

— Niczego ci nie będę mówić z wyjątkiem „dziękuję”. Ocaliłaś mi życie. Bierz wszystkie tabletki, jakie chcesz. Ale wiedz przynajmniej, dlaczego to robisz. Sprawa jest prosta jak drut. Niepokoisz się o to, czy jesteś w wystarczającym stopniu profesjonalistką, i niepokoisz się o matkę, ale tylko jedna z tych trosk jest uzasadniona. Z tego wynika, że bierzesz tabletki, bo twoja matka jest chora. I to jest w porządku. Bierz je tak długo, jak tego potrzebujesz. Lecz nie wątp w swoje zdolności. To zupełnie inna sprawa. Dobrze wykonujesz swoje obowiązki. Bezpieczeństwo narodowe nie jest zagrożone. Zagrożona jest twoja mama.

— Nie wstąpię do sił zbrojnych — oświadczyła. — Zamierzam pozostać tam, gdzie jestem.

— Powinnaś zostać. Sytuacja się zmieniła. Wiesz, co się naprawdę wydarzyło. Właśnie awansowałaś stopień wyżej. Trudniej cię będzie zdradzić.

Leciliśmy dalej, ścigając zegar, ale go nie doganiając, i wylądowaliśmy w Pope Field o drugiej nad ranem. A potem zawróciliśmy i podkołowaliśmy pod mały budynek z napisem 47. *Jednostka Logistyki, Dowództwo Wsparcia Taktycznego*. Silniki przestały pracować, a facet w mundurze otworzył drzwi i opuścił schodki.

— Powinni chyba państwo wejść przez czerwone drzwi — oświadczył.

— Dziękuję — odparłem, po czym wyciągnąłem grube rulony brytyjskiej waluty z Romford i Ealing i mu je dałem. — Urządźcie przyjęcie w kantynie — powiedziałem. — Zaproście księżnę.

Następnie zszedłem w ślad za Nice po schodkach i ruszyłem w ciemności ku czerwonym drzwiom.

• • •

Otworzyły się, kiedy mieliśmy do nich jeszcze dwa metry, i wyszła przez nie Joan Scarangelo. W ręku trzymała aktówkę. Czekala na nas, ale nie zamierzała się do tego przyznać. Chciała wywołać wrażenie, że wraca właśnie do domu po długim dniu pracy.

Zatrzymała się i na mnie spojrzała.

— Odwołuję to — powiedziała.

— Co pani odwołuje?

— Spisał się pan bardzo dobrze. Brytyjski rząd oficjalnie nam podziękował.

— Za co?

— Dzięki pańskiemu udziałowi ich pracownik osiągnął bardzo satysfakcjonujące rezultaty.

— Bennett?

— Przyznaje w swoim raporcie, że bez pana nie mógłby wiele zdziałać.

— Ile czasu byliśmy w powietrzu?

— Sześć godzin i pięćdziesiąt minut.

— I już zdążył napisać raport?

— To Brytyjczyk.

— Czego nie mógłby beze mnie osiągnąć?

— Dopadł Kotta w domu miejscowego gangstera. Dokąd udał się wyłącznie za pańską

sugestią. Dlatego jest panu bardzo wdzięczny. Po drodze był zmuszony zneutralizować pewną liczbę członków gangu, w tym dwie naprawdę grube szychy, więc jest nam wdzięczny również Scotland Yard. A dzięki temu, co napisał, część chwały spłynie również na nas, więc powiedziałabym, że generalnie czeka nas okres świetlanej współpracy. Nasze londyńskie operacje będą przebiegać lepiej niż kiedykolwiek.

— Facet twierdzi, że przechwytyją naszą łączność — powiedziałem.

— Wiem — odparła.

— Rzeczywiście to robią?

— Tak im się wydaje.

— Co to znaczy?

— Stworzyliśmy potajemnie nowy system. Jest zaszyfrowany w rutynowych danych przekazywanych przez satelity meteorologiczne. Tam ze sobą rozmawiamy. Ale zachowaliśmy stary system. I to właśnie przechwytyją. Wrzucamy tam różne śmieci.

Nic na to nie odpowiedziałem.

— Nie dlatego rządymy światem, że jesteśmy głupi — stwierdziła i kołyszac aktówką, odeszła w swoich porządnych butach, ciemnych rajstopach i czarnej spódnicy, a ja obserwowałem ją jeszcze przez trzydzieści metrów, co nie było specjalnie przykre, bo wszystko w niej świetnie do siebie pasowało, zwłaszcza rajstopy i spódnica. W końcu wyszła poza ostatni krąg świata i połknął ją mrok. Słyszałem jej obcasy jeszcze przez minutę, a potem Casey Nice pchnęła czerwone drzwi i weszła do środka.

• • •

Bufet był pusty. Żadnych ciastek, żadnej kawy. Wszystko uprzątnięto pod koniec dnia przed nowymi porannymi dostawami. Weszliśmy na górę, poruszając się szybko i łatwo w standardowych wymiarach. Gabinet Shoemakera był pusty. Sala konferencyjna też. Ale u O'Daya paliło się światło.

Siedział przy swoim biurku, w marynarce i swetrze, opierając łokcie o blat i czytając. Miał pochyloną głowę i spozjrzał na nas, w ogóle jej nie podnosząc.

— Wysłuchamy sprawozdania rano — powiedział.

Nie ruszyliśmy się z miejsca.

— Ale mam jedno wstępne pytanie — oświadczył. — Dlaczego przylecieliście z powrotem RAF-em? Nasz samolot czekał w pogotowiu.

Usiadłem na krześle pożyczonym od marynarki. Casey Nice zajęła miejsce obok mnie.

— My też możemy zadać wstępne pytanie? — zapytałem.

— Przypuszczam, że to będzie uczciwa wymiana.

— Przylecieliśmy RAF-em dla czystej przyjemności. Chcieliśmy zobaczyć, jak żyje druga połowa.

— To wszystko? — zapytał O'Day.

— Chcieliśmy, żeby Bennett zapracował na to, co od nas dostał.

Zobaczyłem, jak się odprężył.

— Nasze pytanie jest następujące — powiedziałem. — Dlaczego ani NSA, ani CGHQ nie trafiły na ślad pieniędzy?

Zobaczyłem, jak się sprężył.

Nie odpowiedział.

— Mówimy o rocznym czynszu Kotta — ciągnąłem — jego kosztach utrzymania, jego honorarium, samym karabinie, całej tej amunicji do ćwiczeń, o sąsiedzie, prywatnym odrzutowcu do Paryża, pieniądzech, które zapłacono Wietnamczykom, haraczu dla dwóch gangów

w Londynie i prawdopodobnie transporcie zwłok do kraju. To nie są dziesiątki milionów dolarów, ale więcej, niż kosztowała cała operacja jedenastego września. Dlatego jestem przekonany, że ich komputery nie zignorowałyby takich pieniędzy. A to bardzo bystry ludzie. I zmotywowani, bo cokolwiek by się stało, oni też ponosiliby część winy. Bo wszystko zaczyna się od pieniędzy. Więc dlaczego ich nie zauważyli?

— Nie wiem.

— Ponieważ ich w ogóle nie było.

— Musiały być. Nie ma pieniędzy, nie ma operacji.

— No właśnie. Nie było żadnej operacji.

— Czy ktoś cię walnął w głowę? Właśnie udaremniłeś operację. Znalazłeś Kotta pięć kilometrów od miejsca zamachu.

— Pierwszy pocisk miał rozbić szybę — powiedziałem. — Drugi pocisk miał zabić faceta. Ale drugiego pocisku nie było.

— Bo szyba nie pękła.

— To nie miało żadnego znaczenia. To, czy szyba pęknie, czy nie pęknie, to rzecz, która miała się rozstrzygnąć w przyszłości. Widział pan wideo z Paryża. Ile czasu minęło od chwili, gdy pocisk trafił w szybę, do chwili, gdy ochroniarze zakryli swoimi ciałami prezydenta?

— Dwie sekundy — odparł O'Day. — Zareagowali bardzo szybko.

— A teraz niech pan pomyśli o odległości. Tysiąc trzysta metrów. Pocisk jest w powietrzu przez trzy całe sekundy. Co oznacza, że nie może pan czekać. Bo co się stanie, kiedy pan zaczeka? Pociąga pan za spust, czeka całe trzy sekundy, no i proszę, szyba pęka, więc pociąga pan za spust ponownie, czeka pan kolejne trzy sekundy i nowy pocisk przybywa na miejsce. Ale w tym momencie prezydent jest już zakryty przez agentów ochrony. Zmarnował pan swoją szansę. Może pan zabić faceta, tylko jeśli drugi pocisk będzie ścigał pierwszy pocisk w powietrzu. Musi ruszyć za nim mniej więcej pół sekundy później. W ten sposób dwa pociski lecą razem, jeden za drugim. Dokładnie rzecz biorąc, zanim pierwszy trafi w ogóle w szybę, oba wędrują razem dłużej niż przez dwie całe sekundy. Dzięki temu drugi pocisk przelatuje przez spadające okrychy szyby i trafia prezydenta, zanim ktokolwiek, wliczając w to samego zainteresowanego, który jest w końcu najbliżej, zdąży zareagować.

O'Day nie odezwał się.

— A co będzie, jeśli szyba nie pęknie? — zapytałem. — Wtedy pocisk też w nią trafi, pół sekundy później, i technicy zobaczą na szybie nie jedno, ale dwa wyszczerbienia.

O'Day nie odezwał się.

— Drugiego pocisku w ogóle nie było. I nie miało go być od samego początku. Ktoś wysłał Kotta do Paryża, żeby wystrzelił tylko jedną kulę. W szybę kuloodporną. Co nie miało sensu. Szyba albo by pękła, albo nie pękła, ale gdyby pękła, wtedy pocisk, który ją rozbił, albo by się roztrzaskał, albo zmienił kierunek lotu i nie byłoby z niego więcej żadnego pożytku. Trzeba było albo wystrzelić dwa pociski, albo nie strzelać w ogóle. Jeden pocisk można było wystrzelić tylko wtedy, kiedy wiedziało się ponad wszelką wątpliwość, że szyba spełni swoją funkcję.

— To miałby zrobić producent? — zapytał O'Day. — Szukający reklamy?

— Rzeczywiście chodziło o pewien rodzaj reklamy. Ale niekoniecznie producenta. Kto jeszcze osiągnął korzyść? Musi pan przejrzeć swoje notatki i sprawdzić, kto wpadł na pomysł, że chodziło o konkurs.

— Jakie ma znaczenie kto?

— Przypuśćmy, że prowadzi pan gdzieś agencję. I chce pan znaleźć sposób, żeby poprawić swoje notowania. Tak się składa, że wie pan na pewno, że nowa szyba spełni swoją funkcję. I w tym momencie ma pan bezkosztową metodę, żeby wrócić na główną scenę. Kott

oddaje swój pojedynczy strzał, pan wszczynając panikę, twierdząc, że został rozpisany konkurs, i nagle jest pan samcem alfa w największej na świecie obławie na zamachowców. Światowi przywódcy całują pana w tyłek. Ile agencji posunęłoby się tak daleko?

— Serio? Wszystkie miałyby ochotę. Ale niewiele uwierzyłoby, że im się uda. Najwyżej kilka, na całym świecie.

— Więc zawężmy pole poszukiwań. Kto może przekazać forszę z lewych funduszy nieujawnionym agentom w rodzaju Kotta, tak żeby nie zauważyli tego w NSA i GCHQ?

— To niczego nie zawęża. Wszyscy mogą to zrobić.

— Komu najbardziej zależałoby na tym, żeby poprawić swoje notowania?

— Jak można to obiektywnie zmierzyć? Czy to nie jest kwestia osobistych wyobrażeń?

— Kto wiedział, że szyba spełni swoją funkcję?

— Każdy, kto uczestniczył w testach.

— Nie zawężamy chyba zbytnio pola poszukiwań? — zapytałem.

— Nie — zgodził się.

— Kto znał Johna Kotta?

— Mogli go wypatrywać na wielu radarach — odparł po chwili O'Day.

— Przed szesnastu laty — dodałem.

Nie odpowiedział.

— Ilu szefów agencji zajmuje swoje stanowisko szesnaście lat później? — zapytałem.

Nie odpowiedział.

— Może powinniśmy to dorzucić, jako czynnik decydujący. Jako kolejny punkt, który trzeba sprawdzić. Który szef agencji zajmuje swoje stanowisko szesnaście lat później, chce poprawić swoje notowania, wie, że szyba nie pęknie, dysponuje lewym funduszem i zna Johna Kotta?

O'Day nie odezwał się.

— Jeśli pan chce, możemy to omówić punkt po punkcie. Pańskie notowania były tak niskie, że wysłali pana, żeby oglądał pan testy szyby kuloodpornej. Wielki O'Day, do tego stopnia upokorzony. To była oczywista aluzja. Chcieli, żeby przeszedł pan na emeryturę. Wszyscy o tym wiedzieli. Nawet Kienkin w Moskwie. SWR uważała pana za starego wiarusa, który poszedł w odstawkę. Ale pan patrzył daleko wstecz. Wiedział pan, że Kott wkrótce wyjdzie. Obserwował go pan. Może pracował dla pana przed szesnastu laty. Może był pan na mnie tak samo wkurzony jak on. Więc złożył mu pan propozycję. Jeśli pojedzie do Paryża i odda jeden bezsensowny strzał, wtedy wcześniej czy później poda mu pan mnie na talerzu, gdzieś na otwartym terenie, w zasięgu strzału.

O'Day nie odezwał się.

— Ja byłem jedynym celem — powiedziałem. — Ja osobiście. Nie G Osiem, nie szczyt Unii Europejskiej i nie G Dwadzieścia. To wszystko była jedna wielka ściema.

— Bzdury — mruknął O'Day.

— Żeby nie tracił wigoru, karmił go pan historyjkami z mojej teczki personalnej. Facet wpadł w prawdziwą paranoję. Korzystne dla miejscowej gospodarki. Ktokolwiek prowadził tam punkt ksero, zaliczył dobry rok. W końcu wysłał go pan tam samolotem. Facet robi to, co trzeba. Wymyśla pan bajkę o konkursie. Znowu jest pan głównym rozgrywającym. Każe pan Kottowi być w pobliżu. Mówi mu pan, że ogłoszenie już się ukazało. I szybko mnie pan znajduje. Kott jest wniebowzięty. Wysłał mnie pan do Paryża. Wie pan, że znajdę się na tym balkonie, i wie pan mniej więcej, kiedy to będzie. Dzwoni pan wcześniej. Załatwia pan wizytę. Ustala pan rozkład jazdy. Dzięki temu Kott dostaje mnie na talerzu, ale chybia.

— Bzdury.

— Więc cyrk przenosi się do Londynu. Mój telefon ma GPS. Wie pan, gdzie jestem. Ma pan zamiar doprowadzić do mnie Kotta. Przez cały czas z nim pan rozmawia. Kott ma telefon taki sam jak mój. Wie pan, że sprawdzimy Wallace Court. Ale pani Nice nie uprzedza pana o tym wcześniej. Nagle widzi pan tam mój GPS, ale nie jest pan w stanie ściągnąć tam Kotta na czas. Za późno się pan dowiedział. Trudno. Jutro trafi się kolejna okazja. Politycy wpadają w panikę. Zrobią dla pana wszystko. Wszyscy są panu głęboko zobowiązani. Wszystkie drzwi stają przed panem otworem. Kochają pana nawet londyńscy gliniarze. Teraz nie pozwolą panu odejść na emeryturę. Bo tak czy owak będzie pan górą. Jeśli to Kott mnie dorwie, natychmiast wyda go pan Bennettowi i będzie pan tym, który zakulisowo ocalił świat. Jeśli to ja dopadnę Kotta, będzie pan tym, który ocalił świat, sięgając śmiało po pomoc nieujawnionych agentów. Tak czy owak, stanie się pan gwiazdą. Wróci pan na strony podręczników.

O'Day nie odezwał się.

— To pan dał pieniądze sąsiadowi — powiedziałem. — Skąd inaczej wiedziałby pan, że jest szczerbaty?

Bez odpowiedzi.

— Ale teraz wiedzą o tym inni. Sześć najbardziej niepokojących słów w całej tajnej branży. Które właśnie padły. Wiem ja i wie pani Nice. Właśnie dlatego wróciliśmy RAF-em. Bo gdzie wylądowałby pański samolot? Może w Guantanamo. Ale nie wylądował i oto jesteśmy z powrotem w Ameryce, cali i zdrowi. I wiemy. Jestem pewien, że mógłby pan złamać karierę pani Nice, ale mnie pan nigdy nie znajdzie. Zawsze będę się czaił gdzieś w pobliżu. A pan mnie zna, generale. Zna mnie pan od dawna. Nigdy nie wybaczam i nigdy nie zapominam. I nie będę musiał dużo robić. Wystarczy, że szepnę słówko. Przypuścimy, że SWR dowie się, że to przez pana zginął Kienkin. Pewne zobowiązania mogą zostać anulowane. I ktoś może zastosować kroki odwetowe. Zaczną się plotki o biednym starym Tomie O'Dayu, który był tak zdesperowany, że wymyślił kretyński plan. Niech pan pomyśli o wszystkich tych nieopierzonych agentach śmiejących się z pana w kułak. Wszędzie na świecie. W całej szpiegowskiej społeczności. Takie będzie pana dziedzictwo. To bardzo możliwe. Obawiam się, że będzie pan musiał z tym żyć. Albo i nie. Ale niech pan nie sądzi, że będzie pan mógł to zignorować. Teraz to sprawa między panem i mną, generale. I nie skończy się happy endem.

Wstałem z krzesła, położyłem na biurku browninga, z którego miał zamiar mnie zabić Charlie White, po czym wyszedłem w ślad za Casey Nice z gabinetu, na dół po schodach, przez czerwone drzwi i w mrok na zewnątrz.

• • •

Odwiozła mnie swoim szkaradnym fordem bronco pięć kilometrów do skrzyżowania, przy którym mogłem złapać nocny autobus. Nie rozmawialiśmy. Zatrzymała się, ale nie mogła wysiąść, bo musiała wciskać stopą hamulec, w związku z czym uścisnęliśmy się tak samo niewinnie, jak zrobiliśmy to w Londynie. Poprosiłem, żeby pożegnała w moim imieniu Shoemakera, po czym wysiadłem i podszedłem do betonowej ławki. Popatrzyłem, jak macha mi na pożegnanie i odjeżdża, a potem położyłem się i obserwowałem gwiazdy do chwili, gdy usłyszałem zbliżający się autobus.

Przejeżdżałem potem przez miejsca, których nie pamiętam, ale wiem, że miesiąc później byłem w Teksasie, w autobusie mijającym Fort Hood i jakiś facet w mundurze zostawił na siedzeniu egzemplarz „Army Times”. Na okładce była twarz O'Daya. W środku znalazłem jego nekrolog. Korygowano w nim wcześniejsze doniesienia. To był nieszczęśliwy wypadek. Generał sprawdzał nieznaną broń zdobytą w Europie. Jego nieostrożność można było wytłumaczyć późną porą. Nieprawdziwe okazały się pogłoski, że kilka minut wcześniej w bazie wylądował samolot

RAF-u. O'Daya mieli odznaczyć pośmiertnie trzema kolejnymi medalami i nazwać jego imieniem pewien most na drodze stanowej w Karolinie Północnej, na wąskim strumieniu, który przez większą część roku pozostawał suchy.



<sup>1</sup> Gra słów; ang. *homeless*, bezdomny.

<sup>2</sup> Londyńskie karty miejskie noszą nazwę Oyster, ostryga.